

MAREK ORAMUS

TRZECI NAJAZD

MARSJAN

*Nie w grzmotach katastrofy kosmicznej, nie w płomieniach
wojny domowej i nawet nie w kleszczach przeludnienia,
lecz w sytej, niezmqconej ciszy kończy się historia
ludzkości.*

Arkadij i Borys Strugaccy, Drugi najazd Marsjan

NIEUSTRASZONY ZABÓJCA LAMPIONÓW

KONIEC CZERWCA 2032

I

Nikt nie przewidział, że przylecą do nas na balonach.

Wypadło to w czwartek, który z dwóch powodów dobrze utrwalił się w mej pamięci. Po pierwsze, tego dnia błyskawicznie zakończyła się czternastoletnia wojna o Arktykę i wszystkie uczestniczące w niej państwa, czyli Rosja, USA, Kanada, Norwegia i Dania odwołały z tego akwenu floty wojenne. Do wielkich incydentów zbrojnych co prawda nie doszło, raczej były to przepychanki, pogróżki i zdejmowanie miniatur Kremla z dna morskiego w miejscu określonym jako biegun północny. Symbole te po pewnym czasie pojawiały się na nowo — jeszcze okazalsze — i w końcu Duńczycy złożyli z nich całe wesołe miasteczko. Od czasu do czasu w wyniku starć tonęła fregata albo łódź podwodna, trafiona torpedą albo bombą głębinową, nad Arktyką unosiły się eskadry samolotów, i bywało, że niektóre waliły się na lód po zestrzeleniu. Od kiedy efekt cieplarniany uwolnił Przejście Północne i Morze Arktyczne stało się żeglowne

wzdłuż łądów przez cały rok, wszystkie kraje nabrzeżne kombinowały, jak tu dobrać się do arktycznej ropy. Ale ponieważ chętnych było wielu, a ich prawa równe, więc nawzajem trzymali się w szachu i do eksploatacji złóż, a tym samym złachmanienia ekologicznego tej pięknej i dzikiej krainy na razie nie doszło. W każdej jednak chwili incydenty mogły przerodzić się w wojnę światową i człek kładąc się do snu, nie był pewny, czy obudzi się w tym samym świecie.

W czasie gdy państwa okołobiegunowe szarpały się o strefy polarne, Chińczycy po cichu i bez fajerwerków sfinalizowali dzieło rozpoczęte na początku wieku, czyli zajęli Afrykę. Nikomu to jakoś nie przeszkadzało. Na skutek stosowanego modelu ekonomicznego, wyzysku, eksterminacji, chorób i ustawicznych wojen, a także pod ciśnieniem ludności napływowej z Państwa Środka, po raz kolejny w dziejach Murzyni nie mieli nic do powiedzenia na własnym kontynencie.

Ów feralny czwartek zapamiętałem też z tego powodu, że poprzedniego dnia rozwiązaliśmy nabrzmiały problem natury prawie kryminalnej. Z niskiej chęci zysku podjęliśmy się pilotować dziewiątkę kompsognatów, jak wtedy określaliśmy wszelki element napływowy, z Pol-Ukrainy na obszar Niemiec. Sprawa była skomplikowana, należało załatwić karty benzynowe, zestroić limity energetyczne, ominąć kontrole itd. Kompsognaty wprawdzie pokazali wyglądające na autentyczne karty zawodnicze ze znośnymi terminami ważności, więc od tej strony teoretycznie nic nam nie groziło. Wszyscy w jednorazowych garniturkach z papieru i ciemnych okularach plażowych, z daleka spra-

wiali wrażenie wycieczki egzotycznych turystów. I kiedy już przewieźliśmy ich po jednym, po dwóch, tak że pozostawało tylko ciepłą rączką zainkasować gotówkę, nie zjawił się po nich pies z kulawą nogą. Po dwóch dniach zwłoki ziemia zaczęła nam się dymić pod trampkami. Do dziś zastanawiam się, czy to defilada balonów i wywołane przez nie poruszenie przysporzyły nam kłopotów, czy przeciwnie — spowodowały, że wyszliśmy obronną ręką.

Trzymaliśmy tych dziewięciu Pakistańców czy innych Khmerów w starym magazynie przy opuszczonej wytwórni prefabrykatów, należącej do krewnych Rudiego Recknagla, którym brakowało kapitału na uruchomienie produkcji. Zaczynaliśmy mieć pietra: gdyby policja nas nakryła, musielibyśmy łączyć, że kompsognaty należą do nas. Zdemonstrowanie takiego kłamstwa trwałoby sekundę, wystarczyło sprawdzić status ekonomiczny Winczorka, Recknagla czy mój. Wiedzieliśmy, że za przrzutem ludzi stoją chińskie triady, kontrahent solidny, wypłacalny i słowny, ale w przypadku przewału raczej stroniący od żartów. A dziewiątka wychudzonych osobników to nie igła, lada chwila ktoś mógł zauważyć oznaki ich obecności nawet w tak ustronnym miejscu i dać cynk policji. Nikt z nas nie kwapił się zawieźć im wody ani chleba, takiegośmy chwycili cykora.

— Dobra — postanowiłem przełamać marazm, który nas obezwładniał. — Zgłaszam się na ochotnika. — I sięgnąłem po worek z chlebem, który czekał w kącie, aż ktoś się nad nim zlituje. Dwie zgrzewki wody wsadziliśmy do bagażnika już wcześniej.

— Ja z tobą — zadeklarował się bez entuzjazmu Rudi Recknagel z Geneegasse. — Ale jeśli wzięli dziuplę pod

obserwację, to leżym i kwiczym, Papa. Dziś jeszcze trafimy do pensjonatu na państwowy wikt i opierunek.

— Dlatego lepiej pojedę sam. Będę bardzo uważał i szybko ko sieprzał, jakby co. Czekajcie tu na mnie.

Leo Winczorek palił zakazanego przez prawo papierosa, przyglądając się uważnie jego rozżarzonej końcówce. Był z nas najstarszy, więc nieformalnie uznawaliśmy go za przywódcę grupy.

— Nadajecie się obaj do dzielenia pomocy humanitarnej, nie przeczę. Ale nie zawadziłoby trochę się rozejrzeć. Powinniśmy pomyśleć o tym wcześniej, łązić i lornetować z odległości. Przyczaić się na godzinkę w krzakach. Jak psy się zwiedzieli o przerwucie, to warują i czekają, kto się zgłosi po przesyłkę.

— Coś mi tu cały czas nie pasuje — marudził Recknagel. — Skośni nigdy dotąd nie nawalali. I nagle przytrafiła im się awaria? Nie dzwonią ani nic.

— Jest jakaś afera z komórkami. Moją szwankuje od rana — powiedział Winczorek.

— Nie dzwonią, bo się zorientowali, że są na podsłuchu — zasugerowałem. Z moją komórką też było coś nie w porządku. Gdy się ją otwarło, w okienku przesypywał się jakby kurz — chaotyczne liczby, litery i znaki. Jakby zamieniła się w miniaturowy młynek do mielenia cyferek. Momentami wszystko to znikало, a po sekundzie albo dwóch wracał na ekran podświetlony chaos.

— Chodzi mi o to, że tracimy czas. Nie możemy tak stać beczynnie!

— Może już ich capnęli? Lepiej zastanówmy się, jak z tego wybrnąć.

Takeśmy się przekomarzali, a kompsognaty już drugą dobę spędzali po ciemku w magazynie w swoich przewiewnych ubrankach.

— Otwórzmy im drzwi do wolności — rzucił lekko Winczorek. — Niech się rozbiegną po Arkadii, do której tak wzdychali.

— Widzieliście te ich kobiety... — skrzywił się Rudi. Zaśmialiśmy się, choć wcale nie było nam wesoło.

Bo też z czego tu się śmiać? Z tej nędzy? Ci derwisze mieli w kościach po parę tysięcy kilometrów i kilkanaście granic za sobą pokonanych w samochodowych schowkach, ciasnych jak pułapka na szczury, w podwoziach i ładowniach TIR-ÓW, a także na własnych nogach, biegiem albo na brzuchu, przy akompaniamencie ołowianych trzmieli warczących nad uszami. Skórę mieli koloru ziemi przebytej po drodze, jakby naznaczył ich pył, który na nich osiadł. Szli od zalanej depresji Bangladeszu, od delt Mekongu, Gangesu, Irawadi i innych wielkich azjatyckich rzek. Posuwali się wzdłuż pradawnego Szlaku Jedwabnego, gdzie wyrosła sieć baz paliwowych, hurtowni, miasteczek i miast, transportowano tamtędy ludzi i towary na odległości lokalne — ale suma tych odcinków odtworzyła historyczny trakt. Zbiegowie, którzy dotarli tak daleko, wydawali się niczemu nie dziwić. Własny los jakby ich nie obchodził. W zapadniętych poszarzałych twarzach żyły tylko oczy, a właściwie ożywiały się na moment pod wpływem nieznanego czynnika — i zaraz gasły, jakby właściciel zdał sobie sprawę z niestosowności takiej reakcji albo wstydział się impulsu, który ją wywołał. Wiedziałem, że aby dostać się do Europy, spieniężyli dorobek całego życia, więc wracać nie mieli dokąd ani po co.

— Zrobimy tak — Winczorek przejął dowodzenie w trudnej sytuacji. — Kopnę się na zwiady. Do zmierzchu jeszcze ze dwie godziny. Powalęsam się dyskretnie po okolicy. Przeweszę, co i jak. Iść z prowiantem najlepiej o zmierzchu, wtedy oko ludzkie jest najmniej czułe.

— Akurat — prychnąłem. — Zapomniałeś o pewnym wynalazku starożytnych Egipcjan.

— To znaczy?

— O noktowizorach.

— No tak. Na pewno macie lepsze propozycje.

Nikt nie miał. Winczorek rozłożył ręce w geście ni to tryumfu, ni to rezygnacji.

— Podrzucę cię — zaoferował się Recknagel.

— Dobra, byle nie za daleko. Gdzie lornetka?

Ulotnili się — mnie zostało czekanie. Łatwo powiedzieć: wypuścimy łapserdaków i kłopot z głowy. Na nich otwarte drzwi nie robią żadnego wrażenia. Dobrze wiedzą, że w parę godzin zostaliby wyłapani jak koty, a w przeciągu dwóch tygodni deportowani do krajów pochodzenia. Nawet ważne karty zawodnicze by im nie pomogły. W żadnym ludzkim języku ani be, ani me, co dziesiąty z trudem dukał po angielsku, tak zniekształcając słowa, że zrozumienie ich graniczyło z cudem.

Wrócił Rudi Recknagel. Nic nie mówiąc, zwałił się ciężko na krzesło. Zabębnił palcami po blacie.

— Walniemy po piwie? — zdobył się wreszcie na rozsądną propozycję. — Już dziś nigdzie nie jadę.

— Dawaj. — Oderwaliśmy zawleczeni. — Odstawiłeś go?

— Uhm. Wysiadł koło starej mleczarni. — Pił łapczywie,

jakby w obawie, kiedy trafi mu się następne. — Myślisz, że to się dobrze skończy?

— Gdyby to była pułapka, już by nas zgarnęli. Kręciliśmy się tam wystarczająco często i namolnie, żeby nas namierzyć. Po co by mieli zwlekać?

— Żeby wygarnąć też tych, co się zgłoszą po kompsognatów. Wierchuszkę. Naszych szefów.

— My nie mamy szefów.

— Chyba o tym nie wiedzą. — Przechylił puszkę i piwo zagrało w półokrągłej szczelinie. — Cholera, jak nam się upieczę, wycofuję się z tego biznesu. Nie na moje nerwy to wszystko.

— Już to kiedyś mówiłeś.

— Tym razem dotrzymam słowa. Wiesz, zastanawiałem się, co z nimi dzieje się dalej. Nie pójdą przecież na ulicę żebrać, bo to tak jak wsiąść w autobus do tej ich Somalii.

— No, ulica to dla nich samobój. Bo co potem, jak złapią — milczeć jak głaz? Kłamać? Jak policja doprowadzi tłumacza, pewnie i tak nie usłyszy od nich krzty prawdy. Na ich miejscu bym mówił, że przyjeżdżam z Ameryki.

— No! — zaśmiał się tubalnie Rudi. — Ameryka ostatnio ździebko się przyczerniła. — Łyknął resztę piwa i zmiął w garści puszkę. — Cały świat się przyczernił. Dziwi mnie jedno: że to my mamy z nimi te przewały.

— To znaczy?

— Patrząc logicznie, nie mieli prawa dostać się tak daleko.

— Niby czemu?

— Nikt w tym nie ma interesu. Ktoś musiałby ich tu chronić... zajmować się nimi... Nie prościej skasować szmal

i porzucić delikwentów w interiorze opodal Kijowa? W jakimś opuszczonym magazynie na przykład?

Udałem, że nie kojarzę. — Skośni to uczciwi kontrahenci. To dla nich sprawa honoru.

— Tere-fere. Skośni nie przerzucają ich tu ze względów filantropijnych. To twardy biznes, chłopie. Są to kupieni niewolnicy, stanowiący czyjąś własność. Mafia po prostu dowozi ich na miejsce. Szczerze mówiąc, to jedyny racjonalny powód, który powstrzymuje mnie przed wzięciem nóg za pas. Porzucanie cudzej własności, którą mieli dozorować, nie leży w ich naturze. Chodzi o renomę firmy. No i o strach. Nad skośnymi są więksi od nich macherzy, którzy by ich mogli wziąć w obroty, gdyby *coś* zostało spaskudzone.

— Czyli wyznajesz spiskowo-hierarchiczną teorię rzeczywistości — wtrąciłem.

— A ty nie? To współczuję.

— Jest tylko mały problem: kto płaci za to wszystko? Ci mandaryni?

— Z byka spadłeś? Kompsognaty. Oni finansują te eskapady. Najpierw ze sprzedanego dobytku. Gdy tego zabraknie — czyli dość szybko — ich mocodawcy i właściciele udzielają im kredytu. Gdy wreszcie trafią na miejsce przeznaczenia, lądują w podziemnej szwalni albo warsztatach, żeby tam tyrać za psi grosz. Niektórzy do końca życia nie zobaczą nieba nad głową. Zauważyłeś, że nie ma wśród nich dzieci?

Skinąłem głową.

— Odebrano im je. Dziewczynki, jeśli miały minimum urody, trafiły do burdeli. Chłopaki na cyngle do gangsterów. Reszta na części do przeszczepów.

— Ładnieśmy się wpakowali — westchnąłem. Te proste słowa wyrażały dokładnie to, co czułem. — Za krótkcy je steśmy na to wszystko.

A jednak cudem wyplątaliśmy się z tej paranoi. Gdy Winczorek robił obchód okolicy, skośni capnęli go ukradkiem — cicho i bez świadków. Wyjaśnili, że nastąpiły małe komplikacje i że przed świtem odbiorą ładunek. My im chleb, wodę i kompsognatów, oni nam szmal w wymiętych pięćsetkach. I więcej się nie widzimy.

Nie do wiary, ale tak to właśnie przebiegło: bez większych komplikacji. Przetrwaliśmy w nerwach do zmierzchu, potem pół nocy czailiśmy się na posterunku obserwacyjnym, bo wszystko było lepsze od mąk oczekiwania. W końcu skośni zmaterializowali się jakby znikąd, dali umówiony znak, forsa przeszła z rąk do rąk — i razem z derwiszami wsiąkli w ciemność, gdzie pewnie stała ich furgonetka.

Noc wisiała nam nad głowami, pełna gwiazd i grania świerszczy. W nogach czułem rozkoszne dygotanie.

— Idziemy na zasłużony odpoczynek, panowie — zarządził Winczorek. — Balanga jutro.

W ten sposób zakończył się ostatni dzień samotnej ludzkości w kosmosie. Dawno tak nie spałem. Ktoś szarpał mnie za rękę. Zora.

— Obudź się, Papa. Znowu pochlałeś z tymi bandziorami, co?

— Zora, kochanie! Wprost przeciwnie! Ani grama, wyobraź sobie. Ale udało się zakończyć szczęśliwie pewien interes... Która godzina?

— Po dwunastej. Przetrzyj oczęta i słuchaj: wszyscy jadą za miasto na piknik. Będą pokazy lotnicze albo coś w tym guście.

— Pokazy? U nas? Skąd wiesz?

— Z internetu. W nocy diabli wzięli radio i telewizję. Nic nie słyhać ani nie widać. Zdechły też wszystkie komórki.

Pomyślałem, że deputat zmartwień wyczerpałem wczoraj. Działyły natomiast zwykłe telefony, więc niezwłocznie zorganizowaliśmy grupę inicjatywną. Wzięliśmy dwa koce do sędziwego forda combi, gdzie wczoraj zalegały pakiety wody mineralnej, załadowaliśmy skrzynkę browaru i mi-giem znaleźliśmy się na miejscu. Łowcy UFO, dowcipkował Leo Winczorek, a słynna z wielu akcji lornetka wojskowa dyndała mu na piersi, gdy wypakowywał grill na energię słoneczną, a potem rozstawiał soczewki i zwierciadła. Na szczęście pogoda dopisała.

— Zreasumujmy — powiedział, gdy kielbasa na grillu skwierczała w najlepsze. — Formacja złożona z dziwnych balonów oblatuje wszystkie kontynenty po kolei. Lecą wzdłuż południków jak po sznurku, z południa na północ. Dziś przedefilują nad nami, jutro nad Polską, potem nad Ukrainą... i tak dalej. Oj, będzie się teraz działo! Korki na autostradzie, te rzeczy... Wszyscy naraz będą się ewaku-ować, wybuchnie panika... Jak podczas słynnego słuchowiska Orsona Wellesa w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku!

— Może to wszystko pic? Chwył reklamowy?

— Z wygaszeniem radia i telewizji? Nikt nie ma takich pieniędzy, żeby wyłączyć propagandę na tak długi czas.

Błonia powoli zapełniały się grupkami ludzi zachowującymi się identycznie jak my. Dwaj policjanci dostojnym krokiem przemierzali koczowisko, sprawdzając liczniki energetyczne. Widać było, że dryfują w stronę dymu, który

jakiś dziadek puszczał ze starodawnego rusztu opalanego węglem drzewnym. Musiał mieć papiery w porządku, bo rychło dali mu spokój.

Piliśmy beztrosko, przegryzając pieczoną karkówką, przegadując o tym i owym. Piwo przyprawiało o senność. Zamknąłem oczy — i znowu brutalne szarpnięcie przywróciło mnie rzeczywistości.

— Więcej delikatności, człowieku — burknąłem, nie wiedząc nawet do kogo. Od razu je zobaczyłem: na tle białych obłoczków przesuwiał się rząd mydlanych baniek w pastelowych, cieszących oko barwach. Przesłonięte siwa-wą mgiełką dali, wydawały się tak delikatne, że byle powiew mógłby je strącić z wysokości. Pływały wolno, zachowując stały dystans między sobą, jak korale niewidzialnego nasyjnika. Czuło się ich monstrualną wielkość: miały rozmiary piłek futbolowych, a przecież dzieliły je od nas grube kilometry.

— Wiecie, co mi to przypomina? — odezwała się Zora. — Jest taki obraz Magritte'a... Nazywa się *Głosy wiatru*. Duże białe kule unoszą się nad krajobrazem. W dole jakaś łąka, krzaki... Pustka kompletna. Nie ma nawet krów. Odludzie — i obcy fenomen, którym nie ma się kto zachwycić ani przestraszyć.

— Kule Magritte'a trzymały się bliżej siebie. — Znałem ten obraz, bo oglądaliśmy go razem. — A na równiku każda miała szerokie czarne wcięcie. I leciały zdecydowanie niżej, prawie nad samą ziemią. Znacie się może na chmurach?

— Trzeba nie mieć wszystkich w domu, żeby myśleć, że to chmury — skomentowała Zora Spess.

Winczorek z Recknaglem wyrywali sobie lornetkę. Skupieni w małych grupkach obserwatorzy zżywieniem komentowali zjawisko. Niektórzy bili brawo, inni poprzestawali na wymachiwaniu rękami.

— Wcale nie uważam, że to chmury — powiedziałem urażonym tonem.

— Kolega Papadopoulos dobrze kombinuje — wziął mnie w obronę Winczorek. — Samoloty. Z tyłu — powiedział, oddając lornetkę Rudiemu, a sam zajął się szperaniem w skrzynce. Ale butelki tylko zagrzecotały złowrogo.

— Niby co ty kombinujesz, Papa? — szturchnęła mnie Zora.

— Różne chmury występują na różnych wysokościach. Znając wysokość i średnice obserwowane tych baniaczków, można by oszacować ich rzeczywiste gabaryty.

— I bez tego widać, że są słusznych rozmiarów.

— No tak. To dobre określenie. Mają w pasie po parę kilometrów.

Przerzucaliśmy się tak przez jakiś czas. Dopiero znacznie później wyszło na jaw, że największe z nich miały po dziesięć kilometrów średnicy i poruszały się w atmosferze z równą swobodą co w próżni. Lornetka przechodziła z rąk do rąk. Kiedy przyszła moja kolej, burta balonu — czy cokolwiek to było — stanęła przede mną jak ściana. Przebiegały po niej serie szybkich zmarszczek, jak na wodzie, którą to tu, to tam porusza zrywający się wiatr. Jaki materiał jest zdolny do tak subtelnej reakcji?

— Wcale nie jest powiedziane, że to tkanina. Mogą to być na przykład zawirowania cieczy pod cienką przezroczystą pokrywą.

Recknagel obrzucił Zorę Spess wzrokiem pełnym po-
błązania.

— Chodzi ci o to, że te balony są ze szkła? Równie dobrze
można by twierdzić, że te zmarszczki to nie żadne ciecze
tylko dym. A więc — kontynuował — napędzają je zwykłe
silniki spalinowe, rzecz jasna niezwykle lekkie. Rury wyde-
chowe mają skierowane do wewnątrz, żeby nie zanieczysz-
czać środowiska. Na tym polega wyższość tej technologii.

— Gówno prawda — powiedziała ze złością Zora.

Nie zamierzałem się włączać do bzdurnej sprzeczki, ale
w końcu mnie poniosło. Przecież sam odniosłem wrażenie,
że to nie powłoka wypełniona gazem, która może sflaczać,
sfałdować się i opaść, jeśli na przykład zrobi się w niej dziu-
rę. Przeciwnie: kiedy wodziłem lornetką po baloniastych
tworach, wielkich jak egzotyczne owoce, gotów byłbym
przysiąc, że patrzę na coś litego. Jak kolby z chemicznego
laboratorium.

— Latające garnki! Brawo! — podchwycił Recknagel. —
Słyszysz, Zora, coś dla ciebie. Zawiozły obiad i właśnie wra-
cają do kuchni. Trzeba uważać, żeby ich nie prowokować,
bo są w najwyższym stadium rozdrażnienia!

— Tam się coś szykuje! Widzicie te samoloty? — wy-
krzyknął Winczorek i bezceremonialnie wyszarpnął mi
lornetkę. Przelatujące na dużej wysokości balony zbliżyły
się do nas i teraz widziałem, jak obydwie samoloty otwarły
do nich ogień, o czym świadczyły gęste rozbłyski spod
skrzydeł. Z tej odległości szczekanie działek nie dochodziło,
ale kanonada trwała przez dobre parę minut. — Pochłaniają
pociski! — wydyszał czerwony z emocji. — A niech mnie...
zjadły wszystko!

Samolotów o jastrzębim, drapieźnym kształcie ani trochę to nie zdeprymowało. Odleciały po pięknie rozwijającej się krzywej, zarobiły trochę wysokości i zaatakowały powtórnie.

— Niech to szlag — westchnął Recknagel. — Bezpilotowe. Za ciasne skręty. I za szybkie. Człowiek by tego nie wytrzymał.

Tym razem samoloty zrezygnowały z działek. Ten z przodu runął całym impetem na najbliższy balon, który nie zdobył się na żaden odruch obronny. Dziesięć ton stali i kompozytów wniknęło w przydymioną ścianę jak w mgłę, nie wchodząc z nią w żadną reakcję, nie wywołując w miejscu zderzenia najmniejszego wiru — i po długiej chwili wychynęło po drugiej stronie. Słyszałem jęk, jaki wydarł się z piersi paru setek ludzi zgromadzonych na błoniach. Samoloty pokreśliły się bezradnie w pobliżu balonów i w końcu odleciały.

— Tak to jest bez radia — podsumował Rudi. — Nie można nimi sterować z ziemi. Zrobiły to, co im zaprogramowano, i fertig.

Czekaliśmy cierpliwie jeszcze ze dwie godziny, ale nic więcej się nie wydarzyło. Baniaczki, bynajmniej nie stropione zbrojnym incydem, oddalały się z godnością i w końcu przepadły za horyzontem. Ludzie zbierali z ociąganiem koce i zasmarowane kopciem grille. Trzaskały drzwi samochodów.

— Gwóźdź dnia zaliczony, a w gardle sucho — gderał Recknagel. — Chodźcie, nabędziemy jeszcze piwa.

Nikt jakoś nie poparł pomysłu, który kiedy indziej podchwycilibyśmy z entuzjazmem. Dzień dogasał; pozbawiony

ozdóbek na niebie wydawał się szary i bez znaczenia. Winczorek składał ostrożnie oprzyrządowanie grilla, zresztą nie było już nic do pieczenia.

Wracaliśmy w atmosferze dekadencji i ogólnego zniechęcenia. Prowadził automatyczny pilot — teraz, kiedy wszyscy piliśmy alkohol, nikt nie chciał ryzykować. Kosmici kosmitami, a policja łapie po dawnemu.

— Spójrzcie — powiedziała Zora — o wiele więcej ludzi na ulicach. — Nikogo nie zainteresowało to spostrzeżenie, więc pozostałą część drogi odbyliśmy w milczeniu. Przejżdżając obok stacji benzynowej, Winczorek przypomniał sobie, że musi zatankować. Stanęliśmy na końcu krótkiej kolejki.

— Paliwo już droższe — zauważył. — Szybko reagują, sukinsyny. Świat się wali, a oni swoje.

— Idę do domu — oznajmiłem. — Nie chce mi się tu z wami siedzieć.

— A pies cię trącał — burknął Recknagel. Pewnie też by wysiadł, ale miał dużo dalej.

Zora również uznała, że pójdzie do domu piechotą. Marszerowaliśmy bez słowa. Rzeczywiście, ulice wyglądały na bardziej zatłoczone, ludzie dyskutowali w małych grupkach.

— Może zajrzemy do mnie? — zaproponowała, gdy już wypadało się rozdzielić. — Co tu robić w taki wieczór... Telewizja nie działa...

— Wiesz, Zora, chciałbym się trochę zastanowić. Co to wszystko oznacza. A może dla wytchnienia przeczytam kawałek książki. — Uśmiechałem się głupawo.

— No to cześć. Widzę, że baniaczki zalazły ci za skórę.

Patrzyłem, jak odchodzi. Kiedy oddaliła się o kilkanaście kroków, szarpnął mną krótki impuls, żeby pobiec za nią, przynajmniej zawołać. Zamiast tego ruszyłem w stronę swojego bloku.

Co czytałem, nie pamiętam. Zora miała rację: rozkojarzył mnie dzisiejszy pokaz. Może to była po prostu projekcja holograficzna, kino na niebie dla ubogich. Nie mieściło mi się w głowie, że tak przeleciały — i nic. Atakującego intruza po prostu wchłonęły i wypłuły po drugiej stronie jak natrętną muchę, której nie ma co poświęcać wiele uwagi. Żadnego kataklizmu, żadnego końca świata. Jak to nic? Włączyłem ścienny telewizor — na ekranie kaszka. Radio — szmer przesypywanego piasku w głośnikach. Internet miałem od miesiąca wyłączony za niepłacenie. Wpakowałem płytę w odtwarzacz i zbawczy hałas wypełnił pomieszczenie.

Szykowałem się już do spania, kiedy nadciągnął Leo. Poznałem, że pił, ale trzymał się na nogach i jeszcze nieźle kojarzył. Winczorek mógł sporo wychlać i korzystał z tego daru niekiedy dość rozrzutnie.

Poszedłem do lodówki po piwo, ale po zastanowieniu wziąłem też flaszkę wódki. Ani na nią spojrział, kieliszek wychylił machinalnie, bez należytego skupienia. Opadł na krzesło za stołem.

— Wiesz, Papa, nie gniewaj się za to najście w nocy. Pewnie już się kładłeś.

— Skądże — wzruszyłem ramionami — jeszcze młoda godzina.

— Przyszedłem, bo mam ci coś ważnego do powiedzenia. Jak nie powiem, do jutra zapomnę. — Ale nic nie mówił, oddychał ciężko, zapatrzony w kąt pokoju.

— Kropnij sobie jednego — powiedziałem.

Łypnął na mnie złowrogo i oszczędnym ruchem ręki dał znak, że to dobry pomysł.

— Jak to jest, Papa, że w godzinie próby opuścili nas ci wszyscy mądrale — wierzgnął torsem w kierunku martwego telewizora. — Jeszcze tydzień temu myślałem z szacunkiem: namnożyło się tęgich łbów, oj, namnożyło. Każdy problem rozgryzą, a bywa, że i zagryzą. Włączałeś, przypuścmy, telewizor w nikłej nadziei natrafienia na niekodowanego pornosa, a już to bractwo głodnych harpii rzuciło się na ciebie, epatując przenikliwymi diagnozami, sypiąc receptami na dolegliwości świata. Czasem trudno się było wyrwać z oszołomienia na widok tych erupcji. Siedziałeś, dajmy na to, z rozdziawioną japą, chłonąc te emanacje intelektu, czasem dla niepoznaki oddalając się w sen — a oni nawet na chwilę nie ustawiali w wymierzaniu cięgów widzialnemu światu. Najwytrwalsi tokowali jeszcze nad ranem, kiedy wyrzywałeś się z chorych majaków, żeby zwlec z siebie ubranie. Wyznam ci coś, Papa: przyzwyczaiłem się do nich. Byli stałym elementem, punktem orientacyjnym mojego świata. Mówiłem sobie: gdyby coś paskudnego się stało, ci łebscy faceci powiedzą nam, co robić. Kiedy zniknęli, naprawdę poczułem się nieswojo.

Wychylił kieliszek. Jego twarz falowała mi przed oczami.

— No bo może mi powiesz, co się z nimi stało? Znikli, zrejterowali — gdzie są teraz? Kogo pouczają ze swadą? I niech mi ktoś uprzejmie wyjaśni, dlaczego żaden z nich słowem nie zająknął się o tym gównie, w które właśnie wpadliśmy? Nikomu nawet nie zachręściło w szlejach, że cwaniaczki z kosmosu urządzają tu sobie promenadę.

— No, to jeszcze nie jest powiedziane — zacząłem. Nie słuchał.

— Gdybym tydzień temu któremuś z tych pajaców zasunął to w formie zapytania czy możliwości... sugestii... pewnie lżyłby mnie ze znużeniem za ciemniactwo, w atrakcie istotniejszych kwestii... na jałowym biegu genialnej mózgownicy. Papa! On by wygadywał swoje, uśmiechając się z politowaniem, a tu już by szło na moje, bo przecież wycieczka w okolice naszego zapyziałego Rummlau zajęła tym baloniarzom trochę czasu. Już wtedy musieli być od wielu lat w drodze i szykować się do lądowania. Wiesz, że drożeje benzyna? — Pokiwał ze smutkiem głową. — A drożeje. Kolejki coraz dłuższe. Człowieku, coś się zaczyna! Powiem ci nawet, co: era beztelewizyjna.

Nie miałem pojęcia, czy oznajmił mi już tę ważną rzecz, z którą przyszedł, czy też zdążyła wylecieć mu z głowy. Skraćcowałiśmy butelkę, a następnie całe piwo z lodówki. Zasypiając, słyszałem, jak mamrocze do siebie, rozkładając za ścianą materac. Nie wstałem, żeby mu pomóc. W końcu nocował u mnie nie pierwszy raz.

II

Kiedy powróciłem z krainy niespokojnych snów, Winczorek był już na nogach. W łazience, nie patrząc w lustro, umyłem zęby, odnosząc wrażenie, jakby szczotka szorowała po cudzej szczęce. Przetarłem też oczy odrobiną wody. Zupełnie nie pojmuję tych wszystkich opisów srogiego kaca

w rodzaju „łeb mu huczał jak gniazdo szerszeni". W moim przypadku kac objawia się w ten sposób, jak gdyby ktoś powłókł mi instalację od wewnątrz warstwą kevru, tworzywa znanego z odporności, a do tego położył kowadło na żołądku. Szerszenie nie mają tu nic do rzeczy.

Winczorek usadowił się w kuchni przy stole. Nie zadał sobie trudu uprzątnięcia śladów libacji; odsunął jedynie puste butelki na tyle, by zrobić miejsce dla łokci. Przeglądał z uwagą wydruk gazety z zeszłego tygodnia. Obok dymiła herbata.

— Cześć, Papa — powiedział, widząc mnie w drzwiach. — Wstał nowy dzień, rozjaśnij swe smętne oblicze. Jesteś w stanie przyswoić nieco napoju?

— Prawdę mówiąc, wolałbym coś zimnego.

— Zimne było wczoraj — stwierdził ze znużeniem. Mięchał gazetę z jakąś podejrzaną czułością. — Głędziło się trochę, co?

— Nie bardziej niż zwykle. Zamierzałeś mi coś ważnego powiedzieć.

— A nie powiedziałem?

— Wiesz, trudno osądzić. Mówiłeś różne rzeczy. — Z przyzwyczajenia sięgnąłem do włącznika radia.

— Daj sobie spokój — poradził. — Ten sam szum co wczoraj. Ale sądząc po tym, co widać z okna, obeszło się bez rewolucji. — Nie wypuszczał zwiniętej gazety, jakby zaraz zamierzał tłuc muchy — Myślałem, że ci powiedziałem.

— Może i tak — przyznałem dla świętego spokoju. Nalewając sobie herbaty do kubka, przeskanowałem zasoby umysłu. Czynność ta ujawniła niespodziewane podo-

bieństwo do przepychania się między oślizgłymi połciami w rzeźni. — Miało to być coś cholernie ważnego. Bałeś się, że zapomnisz.

Uśmiechnął się nieznacznie.

— Piłem wczoraj w knajpie z pewnym znajomym, który zna się na radiotechnice... Pracuje w inspekcji radiowej czy coś w tym guście.

— Baniaczki tłumią fale radiowe? — poddałem.

— Nie wiem. Ten radiotechnik twierdził, że coś się stało z atmosferą. Elektromagnetyczne własności powietrza uległy zmianie w ten sposób, że fale radiowe przestały się rozchodzić tak swobodnie jak przedtem.

— W ogóle się nie rozchodzą.

— Nie. Mylisz się, Papa. Kaszka na ekranie i ten chrobot w głośnikach — nazywają go piaskiem spadającym na perkusję — to podobno nic innego jak promieniowanie radiowe Drogi Mlecznej. Ono dochodzi tak, jak dochodziło, podczas gdy sygnały sztucznego pochodzenia są wygaszane. Chyba że wszystkie radiostacje naraz przestały nadawać, w co nie chce mi się wierzyć. Nasuwa się pytanie, czy jest to efekt uboczny, czy działanie z premedytacją.

— Efekt uboczny czego?

— Mnie pytasz? Choćby przelotu baniaczków, jak sam raczyłeś zasugerować. To byłby dla nas wariant pomyślny. Wariant niepomyślny natomiast oznacza takie manipulowanie własnościami atmosfery, że nasze fale elektro zostają w stu procentach wytlumione albo pochłonięte i przestajemy z nich mieć pożytek.

— I oczywiście natychmiast zaczynamy rozglądać się za winowajcą.

— To chyba oczywiste. Nasze życie jest **zagrożone, a przynajmniej** pozbawione dawnego komfortu.

— Wszystko mi jedno, kto to zrobił.

— Niesłusznie. Jest różnica, czy ktoś trafił cię w czoło przypadkiem, czy dlatego, że tak postanowił. W pierwszym przypadku możesz zejść z linii ognia, w drugim nie — bo właśnie ty jesteś celem.

— Nie za kwieciście opowiadasz o tej banalnej sprawie? Wszystko wydaje się jasne: wyłączyli nam radio i szlus.

Podniósł na mnie przekrwione od przepicia oczy.

— Wyłączenie radia w ten sposób nazywasz banałem? — pokręcił ciężkim łbem ze zdumieniem. — W takim razie nie wiem, co byłoby w stanie cię zdziwić. A może nie doceniasz roli radia w rozwoju cywilizacji? Bez fal elektromagnetycznych wracamy migiem do osiemnastego wieku i wcześniej, do ludzkości, której wymiana najprostszych wiadomości zabierała całe tygodnie. — Upił herbaty i wydawał się zbierać myśli. — Przede wszystkim musimy zbadać dokładnie, czym i gdzie nam zaszkodzili. Pamiętaj: najpierw łapię się za oko i wrzeszczysz z bólu, a potem rozglądasz się w poszukiwaniu sprawcy.

— Dopiero mówiłeś, że za czoło.

— Za oko lepiej. Bo jesteś także półślepy, jak ta cywilizacja teraz. Najpierw więc rozlegną się utyskiwania na niedogodności życia bez fal radiowych, a dopiero potem zostaną wskazani sprawcy i pojawi się podziw dla zastosowanej przez nich technologii.

— E tam — marudziłem — ludzkość nie działa w ten sposób. Jesteśmy jak sieć neuronalna, różne procesy zachodzą równolegle. Gdy więc jedni biadolą, inni biorą się

za rozpoznawanie przyczyn, a jeszcze inni za typowanie sprawców.

— Na pewno, Papa, właśnie tak będzie, skoro ty tak powiedziałeś. A wiesz co przed chwilą przyszło mi do pijanej głowy? Że baniaki na niebie, którym z takim zachwytem i entuzjazmem przyglądała się wczoraj ludność naszego nieszczęsnego Rummlau, nie miały na celu defilady ku uciesze zebranych na dole tłumów. Nie wywołanie podziwu było ich zamiarem, nie sycenie estetycznych instynktów, lecz ostateczne zaoranie i wybronowanie przestrzeni powietrznej. Zamknięcie wora, że tak powiem. Jeśli mam rację, nie były zwiastunami dobrej nowiny, lecz kultywatorami *mającymi* wygładzić przestrzeń tak, by fale radiowe wpadały w nią jak w czarną dziurę i czeły bez najmniejszych szans na propagację. No? — łypnął znad stołu, wyraźnie tryumfujący. — Jak ci się podoba?

— Rozpylili w atmosferze jakieś paskudztwo?

— Rozpylić to można preparat na mole. Ten znajomy stwierdził, że skoro jedne sygnały rozchodzą się bez przeszkód, a drugie nikną, to tłumienie w atmosferze ma charakter anizotropowy. To znaczy różny w różnych kierunkach, niejednorodny, selektywny... Atmosfera zachowuje się jak tłumik inteligentny. Ta jej nowa cecha musi być sztucznego pochodzenia.

Uznałem za stosowne prychnąć z lekceważeniem. — Też mi rewelacja. To się przecież rozumie samo przez się.

— Nie, Papa. Nic się nie rozumie samo przez się. My tu sobie możemy wymyślać przeróżne horrendy, ale słowa tamtego faceta to konkret. Coś, czego się można uchwycić.

— I uchwyciłeś się?

— Częściowo. Myślałem o tym wczoraj wieczorem i dziś od samego rana. Normalne, zdroworozsądkowe podejście wydaje się takie: gaszą nam radio, bo nie chcą, żeby ludzie szybko porozumiewali się na odległość. To bzdura, Papa. Działają przecież telefony, wychodzą gazety. Jest internet. Każdy może pójść na dworzec, wykupić bilet i pojechać, gdzie go oczy poniosą.

— Tylko po co miałyby ruszać się z miejsca? — spytałem. — Świat się ujednolicił. Wszędzie wygląda tak samo.

— Żeby przekonać się, co się dzieje gdzie indziej. Czy anomalie mają charakter lokalny, czy kontynentalny, czy nawet globalny. Nie, Papa, moim zdaniem nie wyłączyli nam radia za karę ani ze względów profilaktycznych.

— Może obawiają się, że dysponując radiem, szybciej skrzyknemy się przeciwko nim? Czytałem, że nowoczesna wojna polega na sparaliżowaniu wrogowi łączności.

Skrzywił się. — Skąd u ciebie, człowieka łagodnego, te odchylenia militarne? A co byś powiedział na pomysł, że gasząc nasze fale, nadali do nas wiadomość? Że to znak, a nie represja? Że właśnie mamy zwrócić szczególną uwagę na pasma radiowe i telewizyjne?

— Więc im się udało, psiakrew. — Nie chciało mi się myśleć. Nic mi się nie chciało. — Chcesz przez to powie dzieć, że sami zamierzają nadawać, więc zawnazas eliminują konkurencję? — Staralem się o troche ironii w głosie, lecz nie bardzo mi wyszło. — Na pewno chcą się dorwać do naszego rynku reklam. Dlaczego nie napiszą listu na niebie?

— Skąd wiesz, że już nie napisali? Widziałeś te pod skórne drgawki baniaczków? Dasz głowę, że to nie sygnalizacja? — Improwizował odważnie, trzeba mu było

przynąć. — Gdyby je na ten przykład sfilmować i odtworzyć w zwolnionym tempie, a nuż ułożyłyby się w komunikat jakiegoś *lingua cosmica*?

Chyba zrozumiał, że zapędził się za daleko, ale mam za słaby charakter, a może jestem za mało wspaniałomyślny, żeby przepuszczać takie okazje.

— Posłuchaj — powiedziałem z raptownym ożywieniem — masz silnik. Uruchamiasz go. Jeśli widziałeś, jak taki silnik pracuje, to wiesz, że wykazuje rozmaite drgania, które oczywiście można zarejestrować, zmierzyć i tak dalej. Gdyby się tego nie robiło, dochodziłoby bez przerwy do katastrof lotniczych.

— Dobra, Papa — powiedział ze znużeniem — jak chcesz wyprowadzić nokautujący cios, to zabieraj się do tego zważaj. Nudzi mi się.

— I oto pojawia się facet, który twierdzi, że te wykresy amplitud i częstotliwości trzeba przebadać na komputerze, bo może silnik w ten sposób usiłuje się z nami skomunikować. Nie dysponując innym sposobem ekspresji, właśnie ową pantomimą i rezonansami wyraża to, co ma nam do powiedzenia.

Moją udaną akcję skwitował uśmieszkiem. Pomilczał, z podpartą głową przeczytał gazetę. — Więc załóżmy, Papa, że to jednak znak, to wygaszenie radia. Ale znak czego, twoim zdaniem?

— Mówiłem przecież: sami będą nadawać. Poziom na szych audycji tak ciężko ich wkurzył, że osobiście siedli za konsolą — szczyłem już bez krzty finezji. Leo mi imponował. Miał chłop kondycję. Wydawał się niewspółmiernie słabo zdemolowany w stosunku do tego, co wypił.

Postanowiłem kontynuować numer z silnikiem. — Te baniaczki — zauważyłeś? — jakby z lekka tęczywały. Co chciały nam przez to przekazać?

— Żyłowanie dowcipów zarzyna je — poinformował mentorskim tonem. — Więcej rewelacji już nie usłyszysz. W zasadzie wszystko zostało powiedziane.

— O ile rzeczywiście coś się z tego sprawdzi.

— Musi się sprawdzić, i to szybko — dziś, jutro. Gdybyś wyciszył radio w całej Europie — to kiedy byś wygłosił orędzie do narodu?

— W porze dziennika telewizyjnego?

— Widzisz, Papa, jakie to proste? — zaśmiał się nieprzyjemnie. — W tej gazecie znajdziesz pory nadawania głównych dzienników w radiu i xv. Nie przegap. No — rzekł w stronę zegara kuchennego — na mnie czas. Zamierzam pokazać się w Urzędzie Zatrudnienia. Jak mnie nie zobaczą, wstrzymają zasilek.

— Pluń na to. Nastąpiła nowa era.

— E tam, strzeżonego Pan Bóg strzeże. Przecież nie wszystko tak od razu szlag trafi, nie?

Po jego odejściu w ramach walki z kacem rzuciłem się na tapczan. Ogarnął mnie szarpany, urywany półsen. Uwolniwszy się od niego, stwierdziłem, że świat istnieje i ma się dobrze. Telefon, o dziwo, nadal działał. Zadzwoiłem do Żory i słuchałem jej głosu, który z oddali zawsze brzmiał lepiej niż w rzeczywistości.

— Gotujesz obiad? — spytałem z nadzieją. — To zaraz wpadnę.

Zora Spess wykazywała taką właściwość, że podobała mi się bardziej, gdy o niej myślałem, niż gdy ją miałem

obok siebie. Oczywiście żadna tam miłość ani podobne trele-morele. Odwiedzałem ją z potrzeby ciała, z lęku przed samotnością, z nudów. Jestem przekonany, że podobnie to wyglądało z jej punktu widzenia. Luźna znajomość. Nic poważnego. Zora nie należała do nikogo, ja nie należałem do nikogo, a nasz świat też chodził własnymi ścieżkami. Aż do wczoraj.

Po drodze usiłowałem kupić gazetę, ale wszędzie były zniechęcające kolejki. Na ladach, na stelażach poniewierały się wydrukowane dla zachęty pojedyncze egzemplarze tygodników, które nikogo nie interesowały, bo pochodziły z innej epoki.

Za to Zora druknęła sobie gazetę z komputera, ale oczywiście nie taką jak trzeba: „Unsere Zeitung” zamiast „Kurier”. Trzymając Zorę na kolanach, usiłowałem coś ukradkiem przeczytać. Obserwowała, jak się męczę, wreszcie wzięła wydruk i przerzuciła na drugi koniec stołu, gdzie nie mogłem go dosięgnąć. Zrozumiałem, że najkrótsza droga do bezcennych wiadomości wiedzie przez łóżko, więc wylądowaliśmy w nim błyskawicznie. Sypialnia Żory zawsze kojarzyła mi się z dyskoteką: wielki ekran na ścianie brzęczał muzyką i migotał barwami, które omywały nasze gołe tyłki.

W gazecie nie było żadnych konkretów, tylko dywagacje. W sondzie ulicznej ktoś zeznał, że niebo z kolorowymi balonikami wydaje mu się odświętne. Jakiś pismak analizował fenomen baniaków, główną część wyводу poświęcając zagadnieniu, jak sobie poradziły z defiladą tam, gdzie niebo było zasnuwane ciężkimi chmurami. Znalazło się trochę informacji z serwisu; wynikało z nich niezbitie, że gdzie indziej działa się to samo: tak samo baniaczki dryfowały po niebie,

a ludzie gromadzili się na ulicach i placach, żeby je podziwiać. Większość objętości „Unsere Zeitung” zajmowały jak co dzień wiadomości polityczne i gospodarcze, co stwarzało kojące wrażenie, jakby nic szczególnego nie zaszło. Tylko jeden artykuł odbijał od tej tendencji, wyrażając nadzieję, że po dekadach kryzysu wizyta Ligi Pięciu na Ziemi jest szansą na opanowanie nowych technologii i szybki rozwój. „Społeczeństwo wypalone kryzysem trwającym niemal od samego początku wieku zyskało wreszcie światełko w tunelu: pomoc gospodarcza braci w rozumie oznacza w perspektywie dostęp do gwiazd”. Tak to formułował nastawiony entuzjastycznie redakcyjny przygłup.

Gziliśmy się z Zora do późnego wieczora, więc do gotowania obiadu rzecz jasna nie doszło. W porywie szlachetności przyznałem się do wczorajszego pijaństwa, co ją słabo wzruszyło, bo i tak się domyślała. Kiedy definitywnie zabrakło tematów do rozmowy, zrelacjonowałem poranne wywody Winczorka.

— Ale to tylko w Europie i Ameryce — powiedziała.
— Gdzie indziej wszystko zostało po staremu. Tak napisali w gazecie.

Nie zauważyłem tej notatki, gdyż umieszczono ją w mało eksponowanym miejscu. Plotka puszczona nie wiadomo przez kogo odwoływała się mgliście do teorii sygnału i radziła czuć przy telewizorach w porze emitowania najbardziej popularnych audycji.

— Czyli bez przerwy — powiedziała Zora. — W TV nie ma już innych audycji oprócz najbardziej popularnych.

Nie odczuwało się braku telewizji, bo i tak działały kablówki oraz internet, a tam wszystko zostało jak przed

inwazją. Pierwsze popołudniowe wiadomości nadawano zwykle o piątej. Czekaliśmy na próżno, wysłuchując opinii, z których nic nie wynikało. Istotnym faktem była natomiast wiadomość, że strefy, w których zanikały fale radiowe, miały najpierw ograniczone rozmiary. Potem stopniowo rozszerzały się na całą przestrzeń, we wszystkich trzech wymiarach, co sprawdziły samoloty.

Znowu zdarzyło mi się przysnąć z Zora w objęciach; było mi gorąco i niewygodnie, ręka przyciśnięta biodrem czy udem ścierpła, nadto zaś miałem niejasne przeczucie, że należy się obudzić, bo dzieje się coś ważnego. Rozwarłem powieki; od ściany naprzeciwko, zajmowanej w połowie przez ekran, mżyła kolorowa poświata, wykrawając z półmroku zarys nagiego torsu Żory; leciała właśnie głupkowata reklama nowego rewelacyjnego systemu wchłaniania. Ktoreś z nas musiało włączyć telewizję internetową. Sycząc przez zęby, uwolniłem rękę — kompletnie straciłem w niej czucie — i przekręciłem się, żeby zorientować się, która godzina. W tym samym momencie stała się rzecz niesłychana: reklamę ucięto w połowie, pokazała się czołówka dziennika i błada z wrażenia spikerka zakomunikowała, że stacja przechodzi na retransmisję.

— Zora! — szarpałem śpiącą za ramię. — Obudź się. Coś się zaczęło.

— Zdrowo nałgał ten twój Winczorek — ziewnęła Zora, gdy wtem obraz studia pierzchnął z ekranu, zastąpiony planszą z pięcioma kulami w różnych kolorach. Gdyby te kule rozmieścić w dwóch rzędach, a nie w jednym, można by pomyśleć, że to artystyczna wersja pięciu kół olimpijskich.

Potem przez dobrą minutę nic się nie działo.

— Czekają, aż się wszyscy zbiegną — skwitowała Zora.
— Na drugi raz nie budź mnie bez powodu.

Chciałem jej powiedzieć, że kto akurat nie ogląda T v, ten i tak nie wie, że właśnie warto, lecz telewizor niespodziewanie wybuchnął dźwiękiem, odegrano dwukrotnie jakby hejnał, rodzajem kompozycji przypominający sygnał dawnego dziennika. Kule odsunęły się w tło, na gładką jasno-beżową płaszczyznę. Przed nią wyrósł osobnik z grubsza w typie spikerów telewizyjnych, może tylko pozbawiony ich cukierkowatego zaciętrzewienia. To, co widziałem w jego wzroku — bo patrzył nam prosto w oczy — określiłbym jako ciekawość i życzliwość. To znaczy określiłem później, kiedy było dość czasu na zastanowienie się nad tym.

— Dobry wieczór państwu — powiedział, sprawiając przykrość wszystkim, którzy spodziewali się dziwolągów językowych. Na pasku pojawiło się jego nazwisko: Tangel Ulosque. — Liga Pięciu wita państwa z całym szacunkiem. Jesteśmy zachwyceni, że udało nam się dotrzeć do tak uroczej planety jak Ziemia, wcale niełatwej do odnalezienia w bezmiarach kosmosu. Po co przybyłaś, Ligo Pięciu, zapyta pewnie ten i ów. Naszą powinnością, z której wszędzie pilnie się wywiązujemy, jest spełnianie życzeń. Wielu z państwa marzyło lub marzy o różnych przedmiotach, urządzeniach lub przeżyciach osobistych. Dotąd ich spełnienie albo było niemożliwe, albo wiązało się z wyrzeczeniami — ale teraz pojawiliśmy się my. I my wasze życzenia spełnimy.

Zniknął, a trąby archanielskie znowu odegrały zniekształcony, a może zmodyfikowany sygnał z dawnego dziennika.

— Nie brak im tupetu, co, Zora?

— Ciii... — położyła mi palec na ustach.

— Niniejszy krótki program będzie poświęcony kwestiom technicznym i logistycznym. Dzisiejszej nocy розміścimy, na razie na ograniczonym obszarze, komunikatory stanowiące podstawę naszej Wysyłkowej Poczty Lampionowej. — Wziął ze stołu z niewielkiej sterty płaski przedmiot wielkości standardowej koperty na list. To wtedy, podobnie jak reszta ludzkości, po raz pierwszy zobaczyłem lampion w postaci skompresowanej. Kamera natychmiast pokazała tę rzecz w zbliżeniu. Lśniące, lekko napięte tworzywo miało postać listu; widziane z boku ujawniało niewielkie zgrubienie, jakby do środka włożono płytkę albo coś w tym rodzaju. Z jednej strony kopertę pokrywały znaki czy napisy. — Jutro o świcie takie pakiety znajdziecie państwo na parapetach, chodnikach, na ulicach i w innych miejscach publicznych. Sam w sobie komunikator nie ma żadnej wartości. Należy wysłać go najpóźniej o zmierzchu w dniu znalezienia. Niewysłany komunikator traci swe własności i rozpada się na substancje niegroźne dla otoczenia.

Przerwa. Plansza, znowu grzmoty.

— Podobnie każda próba majstrowania przy komunikatorze, badania jego konstrukcji i budowy spowoduje automatyczną utratę jego cudownych własności. Nie jest to jednak niebezpieczne dla zdrowia, chociaż mało rozsądne. Aby wyekspediować komunikator naszą Poczta Lampionową trzeba zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, w schowku, który znajduje się przy każdym komunikatorze, należy umieścić włos, kawałek paznokcia, odrobinę skóry, śliny, krwi albo spermy. Posłuży to skatalogowaniu odbiorców. Umieszczo-

ny element musi oczywiście należeć do właściciela. Niewidzialny system komunikatora i tak wykryje oszustwo i zamówienie nie zostanie zrealizowane. Później za każdym razem przy kolejnych zamówieniach należy wkładać do kieszonki jeden z wymienionych uprzednio elementów.

Przez cały czas na zbliżeniu jego ręce manipulowały przy lampionie. Szczególnie wyraźnie zademonstrował, jak należy odginać kieszonkę. Wziętą ze stołu szpilką ukłuł się w palec i rubinowa kropla kapnęła do pojemniczka. Wtedy zacisnął górną krawędź kieszonki, a kamera ukazała jego rozpromienioną twarz.

— Drugą czynnością niezbędną do wysłania komunikatora jest energiczne zagięcie tego oto czerwonego rożka.

— Znowu nastąpiło zbliżenie, ukazujące dokładnie ów nerwalgiczny rożek. Dobrze utrzymany paznokcie przesunął się kilkakrotnie po linii zgięcia. Uruchomiło to reakcję wewnętrzną, komunikator nadał się, opity powietrzem czy innym gazem, rozświetlił od wewnątrz i teraz wyglądał zupełnie jak chiński lampion.

— Tak przygotowany komunikator należy wypuścić na otwartej przestrzeni, aby jego droga do nieba mogła przebiegać bez przeszkód. Można go po prostu wystawić za okno i lekko pchnąć, o ile w pobliżu nie ma drzew o gęstych koronach. Lekceważąc ten wymóg, ryzykujemy, iż komunikator nie dotrze do rozdzielni i nasze zamówienie nie zostanie zrealizowane.

Znowu przerwa. Fanfary.

— Powiedział: do rozdzielni — szepnęła Zora.

— Na razie nasza oferta jest uboga, nie rozpoznaliśmy jeszcze dobrze państwa potrzeb, znajdujemy się też w fazie

rozruchowej naszego przedsięwzięcia. Każdy komunikator zostanie bowiem wyposażony w tabelkę z symbolami obrazkowymi różnych przedmiotów. Należy zdrapać symbol jednego z nich tuż przed wysłaniem zamówienia. Jednocześnie zamówić można tylko jeden przedmiot. Wysłać można — czy już wspominałem o tym? — też tylko jeden komunikator, toteż handel nimi ani magazynowanie ich nie ma sensu.

Wypuścił prostopadłościenny lampion, który natychmiast wzbił się i przywarł do sufitu studia w daremnej chęci poszybowania wyżej.

— Zamówione przedmioty będą czekać na państwa do kładnie w tym miejscu, skąd wyekspediowano komunikator. Jeśli więc ktoś wypuści go przez okno, oczekiwany przedmiot będzie wisiał za szybą. Należy to wziąć pod uwagę, ponieważ zamówienie przedmiotów większych niż można wciągnąć przez okno prowadzić może do ich utraty. Z kolei wysyłanie komunikatora z miejsc ogólnodostępnych może spowodować przejęcie zamówionego dobra przez inną osobę. Powiecie państwo: zawsze można je przecież zamówić po raz drugi. Zgoda — lecz prowadzi to do zmniejszenia efektywności całego przedsięwzięcia. Najlepsze są zatem własne okna, balkony, dachy domów.

Spojrzał w górę i uśmiechnął się z nikłym skrzywieniem ust. Lampion ciągle tam tkwił.

— Nie powtarzam tych wszystkich informacji, bowiem będziecie państwo mieli okazję wysłuchać ich wielokrotnie. Liczba szczęśliwców objętych naszą akcją będzie się systematycznie powiększać w miarę rozszerzania zasięgu akcji. Dziękuję za uwagę. Nasz zespół żegna państwa.

— Ale jaja — westchnęła Zora, podczas gdy w pokoju wybrzmiewał odgłos trąb. Kule zniknęły, miejsce planszy zajęła spikerka omawiająca podekscytowanym głosem, w jaki sposób nagranie znalazło się w posiadaniu stacji. Wyglądało na to, że Liga Pięciu emitowała je już od pewnego czasu na ważniejszych kanałach. Dla nas liczyło się to, że znajdowaliśmy się w strefie, o której mówił mężczyzna z lampionem.

Zora obróciła ku mnie roziskrzony wzrok.

— Co to wszystko znaczy, Papa, twoim zdaniem? Będą rozdawać za darmo?

— Na to wygląda, kochanie — nie zdobyłem się na nic mądrzejszego. Przywarliśmy do siebie, porażeni tą perspektywą.

III

Wracając od Żory, przekonałem się, jak pod wpływem jednego komunikatu w telewizji może zmienić się miasto. Brakowało trochę do północy, ale nikt nie myślał o spaniu; na rzęsiście oświetlonych ulicach panowała iście świąteczna atmosfera. Ludzie tańczyli, stawiając ciężkie od alkoholu kroki na porzniętym szynami tramwajowymi bruku. Na samym środku skrzyżowania Himmelstrasse z Wienerallee paliło się ognisko, otoczone przez żądnych wytchnienia balowiczów. Piekli kiełbaski na długich patykach; nieopodal stało policyjne audi z otwartymi drzwiami. Jeden z policjantów siedział w tych drzwiach, zdjawszy czapkę

i spuściwszy nogi na chodnik. Drapał się po rzadkich włosach, jakby zafrasowany, czy należy interweniować, czy nie. Drugi, o ile dobrze zauważyłem, odrzucił głowę na oparcie i beztrasko raczył się snem.

Przypadł do mnie jakiś staruch o przesyconym wodą oddechu. — To jasne, że chcą naszych kobiet! — chrząkał. Kapelusznik na jego głowie przypominał padłe ze starości zwierzę.

— Kto? — zapytałem bezmyślnie, zaszokowany tym karawatem.

— Z księżycą pan spadłeś? Ci z baniaczków, któż inny? Masz pan żonę albo siostrę? — szarpał z całej siły mój rękaw. — Musisz ich pan strzec jak żrenicy oka!

Uwolniłem rękę i oddaliłem się od zbiegowiska. Dochodząc do swojego bloku, słyszałem jeszcze ochrypy śpiew.

Zanim cokolwiek postanowiłem, otwarłem okno, by przyjrzeć się parapetowi. Ponad wszelką wątpliwość nie leżało na nim nic. Odszukałem miotełkę, chcąc precyzyjnie oczyścić go z pyłu. W sąsiedniej dzielnicy ktoś odpalał race z dającą do myślenia konsekwencją. Zastanawiałem się, czy mam domknąć okno, czy jak zwykle pozostawić je uchylone. A może czuwać, by nie przegapić anioła stróża z krążkiem lampiona w ręku?

Radio wciąż nie działało. Siedziałem po ciemku nad herbatą, wpatrzony w tafłę szyby, rozjaśnianą przez kolejne eksplozje światła na niebie. W końcu znużyło mi się i poszedłem spać.

Obudziły mnie głosy; na chodniku pod moim oknem przekrzykiwało się od dobrej chwili co najmniej kilka osób. Nad parapetem załopotwały skrzydła; gołąb wylądował z hałasem na blaszanej półce i dziobał coś zaciekle. Rzuciłem

się z odsieczą — w samą porę, by odpędzić rozzuchwalone ptaszysko od nocnego daru niebios.

W dotyku lampion sprawiał wrażenie monstrialnej prezerwatywy, zatopionej na gorąco w gumowanym papierze. Czułem pod palcami mięsisty pierścień o onieśmielająco wielkiej średnicy. Oprócz tego pod papierem znajdowały się rozmaite rozgałęzienia, idące prosto ku brzegom, a także dodatkowe *zgrubienia, jakby ziarna*. Z drugiej; strony opakowania odkryłem kieszonkę z symbolem Ligi Pięciu oraz nadrukowaną tabelkę ideogramów: latarka, rower, lampa, coś, co wyglądało na wentylator, hełm, potem jakby gogle, buty, jakieś naczynia czy wazon. Sprawdziłem, czy na parapecie nic nie zostało — niby skąd mieli wiedzieć, że mieszkam samotnie? Głosy pod oknem nasiliły się; wyjrzałem ostrożnie. Grupa kumoszek z naszego bloku wydzierła sobie nadprogramowy komunikator, który musiał spaść pomiędzy krzaki. Omiotłem wzrokiem pobliskie parapety; większość została już oczyszczona. Ze trzy piętra niżej pewien jegomość bezceremonialnie usiłował ściągnąć lampion sąsiadowi, posługując się drutem nałożonym na kij od szczotki.

Ciągle jeszcze w piżamie, rozścieliłem na stole gazetę. Na środku złożyłem ów tajemniczy dar niebios. Z kuchni przyniosłem nóż z ostrym szpicem oraz śrubokręt. Tak uzbrojony zasiadłem nad lampionem, zastanawiając się nad planem badawczym. Poczułem się jak genialny uczony, który zaraz wydrze obcemu fenomenowi jego tajemnicę — ale nic rewelacyjnego nie przyszło mi do głowy. Na wstępie zajrzałem więc do kieszonki, poruszony do żywego jej nadobną różowością, przywodzącą na myśl gardziołko

głodnego pisklęcia. Obmaciałem szczegółowo kopertę, nie dowiadując się niczego nowego. Końcem śrubokręta starłem jeden z symboli na kieszonce, bodaj gogle. Nic się nie stało. Starłem więc jeszcze jeden, a potem kolejno wszystkie. Lampion zniósł te zabiegi z podziwu godną cierpliwością.

Nie certoląc się dłużej, złapałem nóż i nakłułem zewnętrzną powierzchnię opakowania. Spowodowało to konieczność poszerzenia instrumentarium chirurgicznego o nożyczki; po rozcięciu powłoki ochronnej moim oczom ukazała się czerwona pręga, podobna do obdartego ze skóry małego węża, zatopionego w przezroczystej, trochę galaretowatej substancji. Mogłem nadal tego dotykać, bo z wierzchu zachowała się cienka warstwa tworzywa podobna do celofanu. Od owej glisty, która zaraz zaczęła się rozciągać, kurczyć i drgać, jakby szukając wyjścia, odbiegały czerwone odrośla, niby nerwy liścia, łącząc się na brzegach w misternym ornamencie. Całość przypominała bardziej innoplanetarne danie gastronomiczne do przygotowania w warunkach polowych niż instrument z utajoną zdolnością szybowania ku niebu.

Z fascynacją, ale i z obrzydzeniem obserwowałem objawy ożywania lampionu. Rosówka pod celofanem obkurczała się bez pośpiechu, od srebrnej galarety podbiegały ku niej jakieś zgęstki, sama zaś galareta mętniała, pojawiały się w niej strzępki jakby grzybni, dotykając się i czeznąc niespodziewanie. Potem do czerwonego rogu, który według instrukcji koniecznie należało zagiąć, przesunął się robak jaśniejszej substancji, odbił się stamtąd i równie leniwie zawrócił, po czym wtopił się w mięsiste ciało pierścienia. Stę-

żało ono jak pod wpływem szoku, czerwone nerwy napięły się, wszystkie jednocześnie, jakby w daremnym zamiarze wyzwolenia się z opresji, którą im zgotowałem. Raptem obmiękły, puściły i dały za wygraną. Miseczka z rodziną dżdżownic — zbyt natrętne skojarzenie, żeby się go pozbyć — zaczęła się związać od brzegów i natychmiast czernieć, jak trawiona niewyczuwalną temperaturą. Owionął mnie potworny smród, szokujący swą obcością; porwałem się zza stołu w przekonaniu, że oto Liga Pięciu w odwecie za ten drobny eksperyment usiłuje mnie właśnie otłuścić. Chlor, fosgen i dwufosgen, przeleciały mi przez myśl nazwy gazów bojowych ze szkolenia samoobrony, lecz wypuściwszy owe szkodliwe opary, lampion poniechał dalszych represji, dając do zrozumienia, że to wszystko, na co go stać. Już dogorywał, czerniał, rozkładał się błyskawicznie, galareta pod przezroczystą skórą zestaliła się, wessała czerwone nerwy niby paluchy jakiegoś marsjańskiego nietoperza i oto miałem na gazecie tylko placek ciemnobrązowej masy. Szarpnąłem okno; z bezpiecznej odległości obserwowałem, jak resztki po lampionie pękają na części i zaraz podlegają dalszej erozji — aż po niedługiej chwili na gazecie spoczywała jedynie kupka ciemnego proszku.

Wziąłem go w palce — aksamitny w dotyku, jak grafit. Co to właściwie było? Żywe stworzenie? Urządzenie biochemiczne sporządzone z wykorzystaniem zaawansowanej biotechnologii? Smród ulotnił się równie szybko, jak się pojawił, ale potem miałem odkrywać jego ślady przy najdziwniejszych okazjach, tak jakby nowy składnik wszedł w skład powietrza na stałe. Uniosłem gazetę z resztkami lampionu i po prostu wysypałem za okno. Podmuchał wiatr

porwał pył, szary obłoczek zatańczył na tle ulicy — i tyle go było widać.

W lekko markotnym nastroju udałem się do sklepu po produkty do podtrzymywania egzystencji. Wszędzie gadano o przelocie baniaczków, lampionach, wczorajszym komunikacie i o Lidze Pięciu. Z podniesionej z chodnika gazety dowiedziałem się, że lampiony należy bojkotować. Jeszcze lepiej rozpalać duże ogniska i w nich je unicestwiać. Niezłym wyjściem było też odnoszenie ich na policję, która nie z takimi rzeczami sobie radzi. Handel lampionami — gdyby znaleźli się szaleńcy chcący je nabywać — miał być bezpardonowo ścigany. Z ciekawszych rzeczy przeczytałem korespondencję z naszej strefy specjalnej oraz informację, że stref takich, zanim się połączyły, naliczono na całym świecie czterdzieści pięć, przy czym w każdej działa się z grubsza to, co i w naszej. Tłumienie fal radiowych spowodowało kryzys w branży lotniczej; pozbawione naprowadzania samoloty miały kłopoty z odnajdywaniem lotnisk. Zmieniono więc korytarze powietrzne w ten sposób, by omijały owe „dziury radiowe”, gdzie pilotowanie bez wspomżenia wież kontroli było ponad ludzkie siły. Nie na długo to wystarczyło, więc loty do stref zawieszono. W końcu ruch lotniczy zamarł całkowicie i to był najbardziej spektakularny skutek wydarzeń „czarnego czwartku”. Chaos zapanował także na autostradach i dworcach kolejowych. Jak to zwykle praktykuje rodzaj ludzki — gdy jedni ciągnęli do stref wiedzeni ciekawością, drudzy pragnęli jak najszybciej z nich się ewakuować, uciekając przed wymaganym zagrożeniem. Te dwie fale zderzyły się z sobą, doprowadzając do kilku znaczniejszych kolizji i wypadków.

Były to wiadomości ciekawe, acz nieświeże, bo wczorajsze; już wieczorem rozchodziła się wieść, że najludniejsze obszary na Ziemi, czyli właściwie cała planeta poza oceanami i biegunami, zamieniła się w jedną wielką Strefę, a to, co z początku wydawało się wyjątkiem, wybrykiem i incydem, w ciągu niewielu godzin przekształciło się w normę, określającą nowe warunki, w których trzeba będzie dalej żyć. Na tym polegał największy szok psychiczny: że świat zmienił się do niepoznaki i wciąż dalej się zmieniał, a to, co było dotąd, nie wróci pomimo najserdeczniejszych żali i rozdzierania szat. Nie chciało się w to wierzyć, ale tak wyglądały fakty.

W obszerniejszym artykule publicysta zastanawiał się, czy możliwy jest powrót do modelu „państwa przedradiowego”. Gros dziejów ludzkich przebiegło wszak bez tego wynalazku, więc wyeliminowanie go nie powinno zrujnować cywilizacji. W środku numeru publikowano też abstrakcyjne z pozoru rozważania, jak nowe właściwości atmosfery wpłyną na zachowanie zdolności bojowej przez pociski samosterujące, i tu autor ujawniał nastawienie optymistyczne: fale radiowe nie były do tego za każdym razem konieczne. Zastanawiałem się, skąd tego typu dywagacje, czyżby wywołał je jakiś konkret? Może myśliwce Luftwaffe próbowały także gdzie indziej zaatakować baniaczki? Nigdzie nie natrafiłem na wzmiankę na ten bądź co bądź interesujący temat.

Na czołówce informowano, że rząd kanclerz Gomółki, w pełni świadom powagi sytuacji, obraduje bez ustanku. Zebrali się wszyscy, którzy tylko mogli to zrobić: NATO, Unia Europejska, Parlament w Strasburgu. Na razie jedy-

nym efektem było — jak dawniej, gdy pojawiał się problem — powołanie mnóstwa specjalnych komisji. Kanclerz apełowała do rozsądku obywateli. Minister obrony zapowiadał buńczucznie, że armia w razie potrzeby stanie na wysokości zadania. Jeśli nie liczyć wyłączonych telewizorów skrzynkowych i naściennych oraz odstawionych do hangarów samolotów, życie biegnie normalnym torem, zapewniał w wywiadzie minister spraw wewnętrznych. Minister komunikacji, którego ranga nagle bardzo wzrosła, obiecywał szybkie okablowanie budynków, by, jak rzekł, przywrócić ich mieszkańcom prawo do oglądania meczów pucharowych.

Rozczytywałem się w tych rewelacjach, ale pobieżnie; chwytalem z nich piąte przez dziesiąte. Jakaś część mego mózgu, zrolowanego jak wojskowy koc, trudziła się nad sposobem zagospodarowania dnia. Odnalazłem w szufladzie zarzucony nóż turystyczny o długim ostrzu, używany niegdyś do krojenia chleba i kiełbasy na wycieczkach. Nie policzylbym, ile otworzyłem nim puszek. Ocenilem, że jest za tępy, więc podostrzyłem go w kuchni. Dzień wydawał się szary i chłodny, zanosilo się na deszcz, więc przywdziałem płaszcz i kapelusz, i jeszcze stojąc w przedpokoju przed lustrem, przyjrzałem się swemu nowemu wizerunkowi — nieustraszonego zabójcy lampionów.

Pierwszy nawinął mi się w pobliskim parku; zamordowałem go serią szybkich dźgnięć. Przy każdym ciosie wydawał pojękująco-skrzypliwy odgłos, trochę jak dewastowany pergamin albo folia. Potem, zwyczajem lampionów, szerniał, zwinął się do środka; na ostrzu pozostała ziemia oraz szklista maź, jakbym rozplątał ślimaka. Wytarłem nóż

w trawę, a potem w strzępek chusteczki higienicznej. Czułem obrzydzenie na myśl o własnym postępku: najlepszy dowód, że rozglądałem się, czy nikt mnie na intymnej czynności mordu nie przydybał. Ale nie; z nożem w ręku stałem nad kopczykiem szarej substancji. Kopnąłem ją ze wzgardą; nie trafiłem, lecz sam powiew powietrza wystarczył, by zatrzeć ślady. Przez chwilę miałem irracjonalny odruch wyrzucenia narzędzia mordu w krzaki, lecz opanowałem go — było mi jeszcze potrzebne.

Do południa załatwiłem w ten sposób pięć albo sześć; za jeden, znaleziony na jakimś podwórku, musiałem dać dzieciom na cukierki.

— I co pan z nim zrobi? Wyśle go pan do nieba? — interesował się malec o brudnych piąstkach. Popatrywał na mnie wzrokiem człowieka, który w dziedzinie lampionów ma już konkretne doświadczenia.

— Zamierzam przeprowadzić eksperyment — skłamałem. — Przywiążę do drania kamień, żeby przekonać się, ile udźwignie.

Istotnie, tego zamierzałem zakłuć dopiero po doprowadzeniu do fazy rozwinięcia. A gdyby rzeczywiście przedtem pomęczyć go trochę? Malec porozumiał się wzrokiem z kolegą — i już ich nie było.

Pod wieczór liczba unieszkodliwionych przeze mnie lampionów wzrosła do jedenastu, wliczając dwa ostatnie, które pochłoniął ogień. W parku imienia von Humboldta, od którego rozpocząłem kruczję, dostrzegłem w drodze powrotnej świecące słabo, lecz dymiące obficie ognisko. Duszący dym snuł się blisko ziemi i między drzewami, tworząc z lekka nierealną scenerię. Opodał grupka dorosłych

z kilkorgiem dzieci przyglądała się ogniovi markotnie, dorzucając od czasu do czasu wiązkę zielska — nie dziwota, że tak dymiło. Spomiędzy gałęzi najbliższego drzewa zwisała wstęga płótna z napisem VOLKSFEUER. Szczytna idea nie cieszyła się masowym poparciem; przy mnie — a stałem tam dobrą chwilę — z oczyszczających właściwości ognia skorzystało ledwie kilka osób. Płomienie ożywiały się wtedy na kilka sekund, zabarwione na niebiesko — jak w szkole na lekcji chemii, kiedy nauczyciel prażył na łyżce egzotyczną sól. Po wesołych błyskach, objawiających światu unicestwienie kolejnego komunikatora, wokół robiło się jeszcze bardziej szaro i przygnębiająco.

Starszy pan, dobrze odżywiony i porządnie odziany, przyniósł ich w końcu całą garść. Zebrani, zwłaszcza dzieci, spoglądali łakomie na tę zdobycz. Spalił niespiesznie ze dwa, uważnie wybierając miejsca, gdzie płomień był najmocniejszy.

— Tak z nimi trzeba — pomrukiwał głośno, niby to do siebie, ale wszyscy go słyszeli. — Ludzie myślą, że zasy pią ich skarby... a to tylko przekłeta pułapka na chciwych i niegodnych.

Za kolejnych dwóch jeńców dałem mu pięć euro. Wręczył mi koperty z ociąganiem i pod warunkiem, że dokonam rozprawy na jego oczach. Wydawał się zawzięty na lampiony z osobistych, emocjonalnych powodów; wtedy też pomyślałem po raz pierwszy, że starszy pan nadawałby się na członka tajnego antylampionowego sprzysiężenia, godzącego w samą Ligę Pięciu.

— Spal je pan, a nuże! — dyszał obok, jakby żywił do nich głębszą awersję. — I tak nie wyłapiemy wszystkich, ale

nie ma co zwlekać. Niech to będzie nasza odpowiedź na tę cholerną prowokację.

— Pozwoli pan, że zrobię to po swojemu — odpowie działem z godnością.

Ciągle nie spiesząc się, zajrzałem do miniaturowej waginki oraz sprawdziłem znaczki na kieszonce. Bez wątplenia mieliśmy do czynienia z produktem wielkoseryjnym. Naciśnąłem czerwony rożek; lampion wypełnił się powoli, jakby z zastanowieniem, i rozgorzał wewnętrznym światłem. Czy to fluoryzował gaz, który go wypełniał?

— Kończ pan tę zabawę — domagał się starszy pan.

— Ma pan go załatwić, a nie pieścić się z nim.

Wyciągnąłem więc nóż, ledwo obeschły po poprzednich egzekucjach, i pchnąłem wrywający się lampion mniej więcej w połowie wysokości. Rzekłbyś: zakwilił cienko, natychmiast poniechawszy dalszej kokieterii. Zwyczajem swej rasy zaraz poczerniał i zgasł, a jeszcze później zaczął obkurczać się do wewnątrz. Znałem już z grubsza ich zwyczaje, więc nie czekając, aż dojdzie do fazy proszku, cisnąłem szczątki do ognia.

— Panie, tu są dzieci — rzekł niepewnie ktoś z grupki.

— I bardzo dobrze — wziął mnie w obronę starszy pan.

— Niech się ucza, jak z nimi postępować.

Mimo jego zachęt ostatni lampion załatwiłem mniej demonstracyjnie. Ktoś z oczekujących podszedł do mnie z żądaniem noża. Lampion w jego rękę właśnie rozkwitał cudownym migotaniem. Pchnął go niedbale kilka razy i odrzucił; ognisko zafalowało niebieskawo.

Niebieski wydawał się ich sztandarowym kolorem. Moje ręce okryły się brudnofioletowym nalotem, jakbym cały

dzień łąpał nimi egzotyczne motyle. Wionęło od nich odstręczającym smrodem spalonej żółci, a przebierając palcami, czułem tę samą aksamitną gładkość co rano. Skręciłem do najbliższej piwiarni, żeby je umyć, ale nawet mydło miało się dziwnego brudu nader niechętnie. Po namyśle, upewniwszy się, że nikt nie widzi, opłukałem też nóż, choć wydawał się prawie czysty. Przez dłuższy czas ściekały zeń niebieskawe strugi — a może tylko mi się tak wydawało.

Na wizytówce, wręczonej mi przez starszego pana, widniało nazwisko Walter Heinkauer. Nigdy o nim nie słyszałem. Emerytowany dentysta, adres w sąsiedniej dzielnicy. Zmiałem kartonik i wrzuciłem do popielniczki, ale po namyśle wyjąłem go stamtąd i schowałem do kieszeni.

W Bierstube mimo stosunkowo wczesnej pory kłębiło się od groma ludzi. Wszyscy zapragnęli nagle upić się i wygadać, ale nikt nikogo nie słuchał, panował straszliwy harmider. Przy moim stoliku zasiedli dwaj młodzieńcy, na oko gimnazjaliści, którym zarost sypał się skąpo na przyszczate oblicza.

— A ja ci mówię, że transfer Wenus przez tarczę Słońca nie ma tu nic do rzeczy — wywodził piskliwie ten czarniawy. Spoglądał na swój kufel takim wzrokiem, że wymieniając go na szklankę mleka, zrobiłbym mu przysługę. — Poza tym to było szóstego czerwca! — zapiał tryumfalnie, jakby ta data o czymś przesądzała.

— No i co z tego? — wycedził ze znużeniem jego kumpel. Pewnie siedzieli w jednej ławce, a na przerwach ciągnęli koleżanki za warkocze. A, prawda, teraz tego nie wolno. — Chcąc coś wyjaśnić, trzeba powiązać ze sobą pozornie nic nie znaczące i odległe w czasie fakty. W roku dwa tysiące

dwunastym w kalendarzu Majów skończyły się wszystkie cykle, przede wszystkim tak zwany długi okres, trwający sto cztery tysiące lat, i przecinanie promienia galaktycznego, trwające pięć tysięcy sto dwadzieścia pięć i pół roku. Weszliśmy w minus trzy tysiące sto czternastym roku, a wyszliśmy właśnie w dwa tysiące dwunastym. Co miało być dalej, nie wiadomo; w każdym razie w kalendarzu Majów nie było więcej czasu. Czas się skończył! — wykrzyknął.

— Przepraszam — powiedziałem — o czym panowie mówią?

— O końcu świata, którego nie było. W grudniu dwa tysiące dwunastego Ziemią miały zatrzęść wielkie kataklizmy, a skończyło się na niczym. Fakt ten budzi naszą głęboką dezaprobatę i właśnie staramy się dociec, dlaczego przepowiednia nie została spełniona.

— Gdzieś został popełniony błąd rachunkowy. Koniec świata opóźnił się o dwadzieścia lat. — Czarniawy gapił się w kufel, jakby miał zaraz do niego zwymiotować. Poszarzał na twarzy. Uszło z niego powietrze i wydawał się zrezygnowany. Naraz i mnie zrobiło się wszystko jedno. Pętla Wenus, Wenus wchodzi na ekliptykę, Byk przy Plejadach, rok platoński, obrót Galaktyki — cudaczne sformułowania wirowały mi wokół głowy.

Wróciłem do siebie; przez moment własne ściany i sprzęty wydały mi się odstręczające i obce, zupełnie jakbym spoglądał na nie cudzymi oczami. Potem to wrażenie dziwności ustąpiło. Zerwałem z siebie groteskowy strój i stękając z rozkoszy pod prysznicem, usiłowałem zmyć z siebie odium haniebnych czynów, których dopuściłem się w ciągu dnia.

Potem zadzwoniłem do Żory — czy też ona zadzwoniła do mnie. Potrzebowaliśmy się nawzajem, a ona to rozumiała.

— Papa, czy ty masz jakieś akcje? — zapytała od progu.

— Nie, skąd. Coś się dzieje?

— Giełda leci na łeb, na szyję. Rano wprowadzono limity spadku. Po południu wszystkie transakcje zawieszono. Tak jest na całym świecie.

— Dużo straciłaś?

Uśmiechnęła się z przymusem. — Niedużo. Wszystko. W łóżku zaśmiewaliśmy się z tego. Opowiedziałem o swoich rzeźniczych wyczynach.

— A ty co zrobiłaś ze swoim lampionem?

— Nic. Mam go w torebce.

Właśnie szyby okna, które dawno zdażyły poczernić od zmroku, rozjarzyły się niczym witraż. Pokój ożył; cienie skoczyły po ścianach, a po chwili zapadły w ciemnych kątach.

— Ktoś z dołu puścił lampion — westchnęła Zora.

Przedarłem się do okna, walcząc z gęstniejącym powietrzem. Niebo było zapchane mrowiem różnobarwnych pęcherzy, ze wzdargą oddalających się od tego padołu. Patrzyłem bezsilnie na ten dowód, jak znikomy efekt przyniosła moja znojna praca.

— Piękne — zachwyciła się Zora. Otworzyła okno; wtargnął przez nie zapach podobny do delikatnych perfum rozpylonych w powietrzu. Na dłoni Żory rozwijał się lampion podobny do egzotycznego owocu z bajki; w jej rozszerzonych z zachwytu źrenicach nabrzmiewała kolorowa iskra.

— Daj kawałek paznokcia.

Ogryzłem go machinalnie. Zora nakarmiła lampion, zdarła symbol na kieszonce. Komunikator, wysunięty za okno, jakby się wahał, czy oderwać się od ciepłej ręki. Wreszcie uniósł się wolno i poszybował.

Długo w nocy myślałem o tym kawałku mnie, wysłanym w prezencie Lidze Pięciu. Czy darem tym unieważniłem moje dotychczasowe uprzedzenie wobec lampionów, czy odkupiłem bezmiar popełnionych wobec nich zbrodni? Walter Heinkauer byłby zapewne zde gustowany. Czy ofiarując Zorze tak wiele, udowodniłem, że ją kocham?

Zapadłem w sen. Śniła mi się nowa epoka.

IV

Nowa epoka rozpoczęła się o świcie następnego dnia, a właściwie jeszcze w nocy, kiedy z przestworzy cudownym sposobem spłynęły w dół prezenty dla tych, którzy nie pożałowali kropli krwi i wysłali komunikatory. Przebudziłem się z głupim uczuciem, że zdarzyło się coś niezwykłego; ściany bloku rezonowały, podając sobie okrzyki pełne ekscytacji, a także inne odgłosy, dość odmienne od znanej mi codziennej krzątaniny. O tej porze nikt nie powinien się wydierać poza zagorzałymi bankietowiczami z piątego piętra. Siąpił deszcz, zza szyby dochodziło bębnienie kropel o blaszany parapet. Za oknem zawisł wielki szary kształt, jak monstrualna głowa zagładająca do środka. Ptak? Nie poruszał skrzydłami ani nie przemieszczał się, po prostu wisiał tam jak przyśrubowany.

Otrząsając się z resztek snu, rozważałem jeszcze mgliście, że to ktoś z góry dla kawału spuścił na linie wiadro z butelką szampana. Dlaczego akurat szampan przyszedł mi do głowy? Przez wszystkie lata mieszkania przy Fundamentstrasse nikt nie obdarował mnie nawet dobrym słowem.

— Zora — szarpnąłem ją za ramię — dostaliśmy coś.

Denerwująco powoli docierało do niej, co mówię. Jej nagrzane ciało próbowało mnie zbyć wielokrotnie w takich razach sprawdzoną metodą: naparło, wtuliło się we mnie i starało się przeczekać.

— Zora! Coś ty tam zamówiła?

Jakby ją przebiegł prąd. Oprzytomniała w jednej chwili i nago, tak jak leżała, wyskoczyła z pościeli. Paroma susami pokonała odległość od okna; dopadłem ją dopiero u samego parapetu, kiedy bezceremonialnie sięgała klamki.

— Zwariowałaś? Chcesz wciągnąć tę rzecz do środka? Wiesz przynajmniej, co to jest? To może być... — szukałem odpowiedniego określenia — koń trojański!

Obróciła się wolno i spojrzała na mnie spokojnie. Wyrywana ze snu, rozczochrana, podekscytowana, wydała mi się nagle bardzo piękna.

— Aleś wałnął, Papa — powiedziała z politowaniem w głosie. — To przecież w ogóle niepodobne do konia.

— Dobrze wiesz, co mam na myśli. Bądź co bądź jest to przedmiot obcego pochodzenia. A jeśli to jakaś pułapka? Jaki interes mają w rozdawaniu takiej masy towaru?

— Czemu ty się tak wszystkiego boisz, Papa? — Zarzuciła mi ręce na szyję. To też należało do repertuaru jej stałych sztuczek. — Rozdają, bo mają dobre serce. No pomyśl: co niebezpiecznego może być w lampie?

— Włóżmy coś na siebie — zaproponowałem, żeby zyskać na czasie. W bloku po drugiej stronie ulicy paliły się prawie wszystkie światła. — Nie róbmy kina dla ubogich.

Wspólnym wysiłkiem wciągnęliśmy tłumok do środka. Grzybowatego kształtu, wydawał się obciągnięty folią albo błoną niejednakowej grubości — ale nie był to polietylen. Krople deszczu nie zwilżały jej. Folię pokrywały narośla, a od dołu zdobił ją zasklepiiony węzeł, jak gdyby odcięto ją albo oddzielono od większej całości. Wyobraziłem sobie otwór przesłonięty taką błoną, która oblepia przedmioty wylatujące z taśmy produkcyjnej — monstrialne nożyce ucinają ją z tyłu, a błona obkurcza się jeszcze w locie i zra-
sta w miejscu obcięcia. Tak to wyglądało w pobieżnych oględzinach u okna, kiedy prawie wrywaliśmy sobie z rąk niespodziewany dar niebios.

Na wszelki wypadek rozścieliłem na stole gazetę. Grzyb wywracał się na niej — zrosty pokrowca, węzeł czy zgrzew w miejscu, gdzie folia została zasklepiona, wytrącały go z równowagi. Nożem, tym samym, którym dziurawiłem wczoraj bezbronne lampiony, objechałem folię poniżej kapelusza tego grzyba, w którym już rozpoznawałem ekstrawagancki abażur. Rzuciliśmy się zrywać folię, chłodną, matową pod palcami, jak skóra obdarta z egzotycznego stworzenia.

— Nic ci to nie przypomina, Zora? Mnie skórkę pod kapeluszem pieczarki. Wiesz, tam są takie strzępki...

— A mnie łożysko. To, co się wyciąga z kobiety zaraz po urodzeniu dziecka.

Wiedziałem, że Zora nie rodziła do tej pory, ale może widziała łożysko na filmie. Jej uwaga wydała mi się szoku-

jąca. Musieliśmy pomyśleć o tym samym, **bo nasze ręce jak** na komendę zaprzestały uwalniania lampy.

— Chcesz przez to powiedzieć...

— Nic nie chcę. Takie miałam skojarzenie.

Dalszą robotę wykonywaliśmy wolniej, ze skupieniem, ostrożnie. Rzeczywiście, w tych zdzieranych płatach i pasmach było coś organicznego, jak w naskórku zdejmowanym z nadmiernie opalonych pleców. Tyle że naskórek ten musiałby być przynajmniej czterokrotnie grubszy i znacznie elastyczniej szy. Ale nic już nie mówiłem, gdyż spod opakowania — czymkolwiek było — wyłonił się pyszny kształt klosza, umieszczonego na wysmukłej nóżce, przechodzącej w podobną do kaczej łapy podstawkę. Klosz miał cechy lamp secesyjnych, lecz bez ich ociężałości — a może mi się zdawało. Nóżka wnikała w podstawę w sposób sprawiający zadowolenie; umieszczona tam dodatkowa masa gwarantowała lampie stabilność. W ogóle pod względem plastycznym był to wytwór bez zarzutu.

— Przecież to prawdziwe dzieło sztuki! — roześmiała się Zora. — Ale mieliśmy szczęście! Patrz, tu był ukryty kabel. — Odwinęła go. — O, jest i wyłącznik.

Nacisnęła go, a lampa rozjarzyła się miodową poświatą, w której bez trudu wykryłem pokrewieństwo z miękką emanacją lampionów. Po dotknięciu klosza poczułem mrowiącą odeń delikatną ciepłość.

— Cholera jasna, Zora! Przecież nie włączyłaś nawet wtyczki do kontaktu!

— Rzeczywiście — zaśmiała się bez troski — sam świeci. Nie potrzebuje zasilania.

Wyjąłem jej z ręki wtyczkę i zanim zdążyła zaprotestować, wepchnąłem do kontaktu. Nic się nie zmieniło. Lampa nadal mżyła spokojnym, głębokim światłem, jakby jej było wszystko jedno. Po naciśnięciu wyłącznika zwyczajnie zgasła.

Odetchnąłem głęboko. Opadłem na krzesło i poddałem lampę szczegółowym oględzinom. Wyglądała jak odlana z litego materiału, gdyż nigdzie nie znalazłem szwów, złączy ani śladów montażu. Jakim cudem doprowadzili materiał do płynnej zmiany własności, od lanej, ciężkiej podstawy po umieszczoną na łożdźce wydmuszkę? Jednak ten mleczy pęcherz nie całkiem naśladował żarówkę, gdyż wraz z rozżarzeniem się lampy światło wypełniało poszczególne jej elementy — jakby to były światłowodowy. Z łożdzy wyrastały też podobne do kocich wąsów pręciki, podtrzymujące abażur, który składał się na pozór z pojedynczych, zachodzących na siebie płatów, ale zostały one spojone ze sobą, czy raczej wtopiły się w siebie. Gdy spróbowałem szarpnąć jeden z drutów, ani się ugiął, jakby nigdy nie służył o sprężystości. Ale gdy zdjąłem palec, rozvibrował się krótkim, urywanym terkotem na granicy słyszalności. Zora mi przeszkadzała, więc nie byłem pewien, czy nie uległem złudzeniu.

— Dobra, Papa — rzekła stanowczo, wyjmując mi lampę z ręki. — To nie jest właściwy obiekt do twoich wyrafinowanych eksperymentów. — Wpatrywała się w przedmiot zachwyconym spojrzeniem. — Postawię ją na komódce. Tam będzie dla niej dobre miejsce, nie uważasz?

— Jak to? — zaprotestowałem. — Chcesz powiedzieć, że zabierasz moją lampę?

— Twoją? A czyj był lampion? Może twój?

— Ale w środku był mój paznokieć!

Popatrzyła na mnie tym swoim krowim, spokojnym spojrzeniem, którego siłę znaliśmy oboje.

— Nie bądź śmieszny, Papa. Paznokieć — prychnęła. — Też mi tytuł do nabycia praw własności. — Ignorując mnie i moje pretensje, z powrotem skupiła się na nabytku. Jej dłoń gładziła miłośniczo krzywizny przedmiotu.

— Dobrze wiesz, że nie chodzi mi o żaden paznokieć. Chcesz? — wyszarpnąłem z szuflady nożyczki — natnę ci paznokci na tydzień, na cały miesiąc! Lepiej, żeby ten przedmiot pozostał u mnie, bo może być niebezpieczny! A może byś pomyślała, że taki paznokieć to dla nich kompletna informacja genetyczna o właścicielu... o mnie! — załkałem. — Jak przyjdzie do płacenia, zgadnij, na czyj parapet podrzucą rachunek?

Z wyraźną niechęcią oderwała dłoń pieszczącą klosz. Odstawiła lampę.

— Jakiś ty małostkowy. — Wyjęła mi z ręki nożyczki. — Dawniej amanci umierali dla swoich kochanek. — Obejrzała z uwagą swoje palce, obcięła kawałek lakierowanego paznokcia i teatralnym ruchem złożyła przede mną. — To chyba kwituje całą sprawę, Papa.

Okazując demonstracyjny brak zainteresowania lampą, paznokciem i całą resztą, rzuciłem się na łóżko. Zora tańczyła wokół swego nowego nabytku, to podchodząc blisko, zdejmując urojone pyłki, to odbiegając na dystans dla lepszej perspektywy. Wydawało się, że łączy ją z lampą niewidoczna lina, która nie pozwala odejść za daleko.

Zapalać i gasić lampę można tylko przez określony czas, nawet gdy czyni się to najpierw z wtyczką w kontakcie,

a potem bez. Także rozmaitych zachwyconych westchnień nie sposób wydawać w nieskończoność. Dlatego wcale mnie nie zaskoczyło, gdy usłyszałem:

— Przestań się wylegiwać, Papa. Nie jesteś chory.

Powiedziała to, nie przerywając adoracji zesłanego przez Ligę skarbu. Nie uznała też za stosowne zaszczycić mnie choćby spojrzeniem.

— Potrzebna mi będzie duża torba. Masz coś takiego w domu?

— Kult okazywany przedmiotom — zauważyłem — nazywa się bałwochwalstwem.

— Nie bądź zgryźliwy, Papa — usiadła obok na łóżku, ale nadal nie odrywała roziskrzonego wzroku od lampy. — Bo pomyślę, że jesteś o nią zazdrosny.

Zachnąłem się, ale nieumiejętnie — wyszedł mi taki gardłowy pomruk. Życie w pojedynkę ma jednak swoje zalety: nie trzeba codziennie wysłuchiwać tych impertynencji.

— Właściwie to mógłbyś mnie odprowadzić. Myślę, że gdyby ktoś wyczuł, że niosę taką wspaniałą rzecz, mógłby próbować mi ją odebrać.

— Padło ci na mózg, Zora. Pół miasta ma takie same.

— Może i tak. Ale ty nie dałeś mi nigdy czegoś równie pięknego.

— Nie zamierzam rywalizować z całą Ligą Pięciu.

— I tak byś nie miał szans.

— Jakże łatwo uszczęśliwić kobietę — sztydziłem bezsilnie. — Tylko czy nadażą ci rosnać paznokcie?

W rezultacie pokłóciliśmy się, trzasnęła drzwiami i wybiegła bez śniadania, tuląc lampę do piersi jak głowę

kochanka. „Będziesz tego żałował!”, zdążyła krzyknąć z korytarza. Pewnie że będę. Właściwie już żałuję. Dobrze mieć stałą kobietę w tych ciężkich czasach, nawet taką, do której nic się nie czuje, ale którą można przygarnąć, z którą można się wspólnie zmęczyć i potem zasnąć w zupełnym lekceważeniu spraw tego świata. Ale kiedy ta niekochana kobieta jest na tyle głupia, że usiłuje przestonić ci ów świat, kiedy mówi, nawet bez słów: albo ja, albo ta cała reszta — wtedy trzeba pozbyć się jej bez względu na konsekwencje. Niektóre pokornieją i wracają, inne nie pokazują się więcej. Zawsze istnieje takie ryzyko.

A potem pomyślałem sobie, że dorabiam wysublimowane teorie do idiotycznego konfliktu, bo poszło przecież o lampę, którą każde z nas chciało mieć na wyłączność, a żadnemu nie przyszło na myśl, że moglibyśmy mieć ją wspólnie. *Łaziłem* po pokoju, bijąc się z myślami: wróci, nie wróci? *Zadzwoni* — nie zadzwoni? Dotąd zawsze wracała, samotność żarła ją srożej niż mnie — ale teraz nie była już sama. Miała lampę.

Padłem na podłogę, żeby szukać paznokcia, który w furii zmiotłem ze stołu jednym gwałtownym ruchem. Zajęło mi to ze trzy kwadransy. Co pewien czas przerywałem poszukiwania, klnąc absurd własnego postępowania, po czym do nich wracałem, rozeźlony w dwójnasób niepowodzeniem. Poznałem dobrze topografię własnej podłogi i ponad wszelką wątpliwość ustaliłem, że od dawna należało się jej gruntowne mycie. Musiałem postużyć się latarką; świecąc w szpary między klepkami, aż rżałem z sarkazmu, że oto przydałyby mi się gogle od Ligi Pięciu albo latarka z lampionowej oferty.

W końcu znalazłem paznokiec Żory przypadkiem i w zupełnie innym miejscu, niż się spodziewałem: półprzezroczysty okrawek ze śladem lakieru na brzegu. W poszukiwaniu schowka na to bezcenne trofeum zawędrowałem aż do szafy, gdzie trzymałem spinkę od krawata, błyszczącą jak złota rybka na pluszowej poduszeczce, zamkniętą w prostopadłym pudełku z plastiku. Tu moje znalezisko będzie bezpieczne do czasu, aż obmyślę komponenty zemsty. Spinkę zakupiłem parę miesięcy wcześniej, kiedy wydawało mi się, że wystarczy zmienić sposób ubierania się, żeby odmienić życie. Słabo do mnie pasowała, nie znajdowałem dla niej zastosowania; pewnym usprawiedliwieniem mogło być i to, że nie miałem ani jednego krawata. Teraz przydałem jej do towarzystwa paznokiec Żory i dopiero po dokonaniu tego absurdałnego obrzędu spłynęło na mnie ukojenie.

W trakcie grzebania w szafie dokonałem niespodziewanego odkrycia: pod rzuconym byle jak swetrem kamuflowała się podłużna brązowa paczka. Wiedziałem, że zawiera odłożone pieczołowicie kartki papieru — z rachunków, reklam, oficjalnych i nieoficjalnych powiadomień. Kiedy chciałem napisać list albo potrzebowałem wyrysować schemat, szedłem do szafy i z wnętrza papierzanej paszczy wrywałem szeleszczącą kartkę. Papiery te zbierałem, bo żał mi było wyrzucać jednostronnie czyste arkusze; towarzyszyła temu obietnica czy też nadzieja, że wkrótce wezmę się do pisania i w pół roku wyszykuję powieść, która powali świat na kolana. Zdumiewające, że ludzie, którzy nic nie potrafią i nie znajdują oparcia w konkretnych projektach życiowych, uciekają gromadnie ku literaturze, rozumianej jako czarodziejski młynek do spełniania marzeń autora.

W dzisiejszych czasach napisać książkę to fraszka, biorą się za to nawet aktorki i gospodynie domowe, bo literatura zamieniła się w tasowanie słów. Sensy i znaczenia spadły na dalszy plan — najlepiej gdy nie ma żadnych. No, a odniesienie sukcesu to już sprawa loterii, nie sztuki, gdyż w typowaniu bestsellerów uczestniczą dzieła wszystkich autorów na równych prawach, bez żadnych preferencji — rzecz jasna ja wierzyłem w to święcie. Winczorek, jak to on, wyszydzał moje mrzonki, twierdząc, że w rozdaniach literackich więcej szans mają gnioty, więc trzeba pisać byle co, w myśl zasady „im gorzej, tym lepiej” — rynek wszystko łyknie. Tak to sobie dywagowaliśmy wieczorami dla zabicia czasu, o czym przypomniała mi paczka z wyprasowanym wskutek długiego leżenia papierem.

Powodowany niezrozumiałym impulsem wyjąłem ją z szafy i cisnąłem na łóżko. Nie miałem żadnych skryzjalizowanych planów, po prostu chciałem ją mieć na podorędziu. Coś mi się tłuło po łbie i wkrótce wiedziałem, co: należało zapisać wszystko, co zdarzyło się od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzelśmy balony Ligi Pięciu.

Najpierw jednak pokręciłem się po mieszkaniu, czekając, aż deszcz ustanie. Potem przygotowałem przekąskę, usiadłem i zjadłem. Przyszło mi na myśl, że na dole w skrzynce czeka na mnie korespondencja, więc po nią poszedłem. Oprócz paru reklam było tylko wezwanie do Arbeitsamtu, grożące w wypadku niestawiennictwa wstrzymaniem zasiłku. Wobec takiego dictum narzuciłem kurtkę i wyszedłem się przewietrzyć.

Miasto opustoszało — jak to w niedzielę. Z rzadka przejeżdżały samochody, ale tramwaje kursowały normalnie.

Pasażer, przy którym stanąłem, czytał gazetę; zająłem mu przez ramię w nadziei, że czegoś się dowiem, ale wydruk był przedwczorajszy. Niepostrzeżenie zaniósł mnie do śródmieścia i tam przyłapałem się, że od dłuższego czasu gapię się na wrota kościoła Świętej Kunegundy. Pchnąłem połówkę masywnych wierzei.

Wnętrze, jasno oświetlone kryształowymi żyrandolami, po barokowemu kipiące od detali, wydawało się zbyt przestronne jak na liczbę zgromadzonych wiernych — ledwo kilkanaście osób rozrzuconych po ławkach w głównej nawie. Do ołtarza wydawało się tak daleko, że prawie rozejrzałem się za wypożyczalnią rowerów. Kończyło się nabożeństwo. Ksiądz, w lśniącym od złotych haftów ornacie, stał w milczeniu, jakby na mnie czekał, bo ledwo usadowiłem się w niewygodnej ławce, zaczął mówić:

— Wielu z nas, bracia i siostry, zastanawia się teraz, czy wydarzenia, które rozgrywają się na naszych oczach, zgodne są z zamiarem Bożym. Niektórzy formułują to bardziej bezpośrednio: czy Bóg w ogóle wie o tym, co nam się przytrafiło? Dlaczego na to zezwolił? Jakim prawem wyjątkowa pozycja ludzkości została zakwestionowana, skoro Chrystus Pan, przybrawszy ludzką postać, zstąpił właśnie na naszą planetę?

Na te pytania nie widać na razie rozsądnych odpowiedzi. Musimy jednak pogodzić się z faktem, że skoro Bóg stworzył Wszechświat, to jego dziełem jest także wszystko, co się w nim zawiera, od największych galaktyk po najmniejszych drobiny kosmicznego pyłu. Jeżeli istotnie na naszej Ziemi jesteśmy świadkami wizyty istot rozumnych odmiennych od człowieka, a wszystko jak dotąd zdaje się na to

wskazywać, są one w takiej samej mierze dziełem Boga i jego dziećmi jak my sami. Stwórca nie ułatwił kontaktów między nimi, ustanawiając otchłanne przestrzenie, których przebycie — o ile w ogóle możliwe — trwać by musiało tysiące, a może i miliony lat, skoro najszybszym w przyrodzie promieniom świetlnym przebycie tych zawrotnych dystansów zajmuje dziesiątki lat, a nawet całe wieki.

Ksiądz złożył ręce i zamilkł, jakby coś rozważał.

— Nie ułatwił — ale i nie wykluczył. Znów zapytajmy: a więc Bóg zgadza się na to, by jakiś rodzaj istot rozumnych pokonał te przepastne odległości, najeżone wszelkim niebezpieczeństwem, jakie tylko może sobie wystawić wyobraźnia. Tak, bracia i siostry, Bóg nie odciął rozumnych od siebie w sposób kategoryczny, nie zamknął ich w więzieniu, czyniąc odległości między nimi nieprzebytymi, ale pozostawił wąską szczelinę. Mogą z niej skorzystać ci, którzy dzięki swym talentom, zapałowi i pracy zbudują odpowiednie maszyny, użyją odpowiednich metod i wykażą się dostateczną determinacją. Albowiem istoty te, podobnie jak nas, Bóg z właściwą sobie szczodrością obdarzył wolną wolą i zdolnością do kreacji.

Wielu z was, bracia i siostry, nurtuje pytanie, czy to, co obserwujemy w ostatnich dniach na niebie i wokół siebie, zasługuje na miano cudów. Tu muszę stanowczo zaprzeczyć. Cóż to jest cud? Fizycy skłonni są twierdzić, że cud to zjawisko, które zdarza się niesłychanie rzadko, a tak czy owak stoją za nim ślepe siły przyrody. Arthur C. Ciarke, klasyk powieści science fiction, ujmuje to inaczej: „Wszelką odpowiednio zaawansowana technologia jest nie do odróżnienia od magii”. Nie do odróżnienia, dodajmy, dla kogoś

nawykłego do znacznie niższego poziomu techniki. Dla dzikusa magiczne przyrządy to karabin czy radio: pierwszy zadaje śmierć w skuteczny i zagadkowy sposób, drugie umożliwia komunikację oraz odbieranie głosu i obrazu na wielką odległość. Niestety, tak się złożyło tym razem, że to my, ludzie dwudziestego pierwszego wieku, mający o sobie raczej wysokie mniemanie, zostaliśmy postawieni w roli takich dzikusów. Obserwujemy zadziwiające rzeczy, świadkujemy niepojętym fenomenom, jedno wszakże nie ulega wątpliwości: nie są to cuda, za którymi stoi bezpośrednio Boska ręka i jej interwencja. W związku z tym istotom, które dokonują przed nami takich spektakularnych manifestacji, pod żadnym pozorem nie należy się cześć boska. Gdyby znalazł się ktoś na tyle szalony, że widziałby w nich bogów, popełniłby grzech bałwochwalstwa. Jeszcze nie jest jasny cel, który im przyświeca, ich zamiary są nieprzeniknione, ale jedno zdaje się nie budzić wątpliwości: istoty te nie czynią cudów i nie są wysłannikami Boga samego, aczkolwiek działają w ramach praw przez niego nadanych. Bóg nie marnuje swej ogromnej mocy na to tylko, by kogoś zadziwić albo oszołomić. Kto może wszystko, ten nie czyni niczego pochopnie i nie rozdrabnia się na cyrkowe sztuczki, bo nie musi demonstrować swej potęgi ani tym bardziej nikomu imponować. Tak więc, bracia i siostry, odejdźcie w pokoju do domów i pamiętajcie: także i wy dysponujecie wolną wolą i swobodą wyboru. Nikt was do niczego nie zmusza, ale od tego, co wybierzeć, zależy będą przyszłe losy ludzkości, was samych i waszych dzieci. Bądźcie silni i nie dajcie się zwabić na liche błyskotki, jak w dawnych wiekach ludzie dzicy na perkal i koraliki. Niech

was błogosławi Bóg wszechmogący, Ojciec i Syn, i Duch Święty.

Wraciałem w stanie dziwnego uspokojenia. W parku, gdzie palono lampiony, została plama mokrego popiołu i smętny transparent z zaciekami. W przygodnej knajpie wrzuciłem na stojąco szybkie piwo, ale nie poczułem ochoty na następne. Stałem bez pomysłu na chodniku. Nie miałem ochoty ani dalej wałęsać się między budynkami, ani też wracać.

Sto metrów dalej znalazłem rozrzucone ulotki, które wyglądały tak, jakby przeleżały dłuższy czas. Podniosłem najbardziej suchą; zawierała namiętny apel, aby nie ulegać lampionowemu szaleństwu, gdyż prezenty Ligi Pięciu działają toksycznie. Jest to spowodowane wysoką zawartością szkodliwych substancji. Obracałem odezwę przed oczami: chyba tylko kompletni amatorzy mogli wyprodukować taki tekst. Należało zasunąć konkretnie: w lampionach stwierdzono obecność rakotwórczych glinokrzemianów, zwiększony udział technetu i kalifornu, jak podaje klasyk, a ponadto ropopochodnych benzenu, czyniących z wątroby rzeszoto. Ludzie uwierzą w dowolną brednię, byle w garnirze pseudonaukowej terminologii. W podpisie stało: No Wire. Co to miało znaczyć? Nawet nie chciało mi się mieć nieszczęsnego papierka, rozwarłem palce i pozwoliłem mu opaść.

Sądziłem, że może spotkam znajomych, ale nie spotkałem. Rozwahałem, gdzie by tu zajrzeć z wizytą, ale miałem za mało gotówki na butelkę. No i tych miejsc — przykra konstatacja — gdzie mógłbym wpaść bez zapowiedzi, nie było znowu tak wiele. Właściwie nie było ich wcale. Wró-

ciłem do swoich czterech ścian. Przez te parę godzin nikt nie uraczył mnie słowem.

Z paczki na łóżku wyjąłem dwie kartki, żeby nie wyglądało za ambitnie, rzuciłem na stół, zaostrzyłem żyłką średnio twardego ołówek, po czym przez dłuższy czas okrążyłem tak przygotowaną arenę zmagania. Zapisałem pierwsze zdanie: „Nikt nie przewidział, że przybędą do nas na balonach”. Na szczęście należało do zdań otwierających, pociągających za sobą następne. Pozostawało mi jedynie układać je na papierze. Siedziałem więc przy stole, wśród dobrze znanych sprzętów, wyczulony na to dobre promieniowanie, które mnie przenikało, idąc jakby z góry. Niewiele kombinowałem, organizm zachowywał się jak wyregulowana na odbiór antena, a urządzenia peryferyjne, jako to ręka wraz z ołówkiem, zapisywały każde drgnienie. Raz czy dwa wstałem, żeby dobrać kartek, ostrożnie, żeby nie spłoszyć sygnału, i nadal zbierałem zdanie po zdaniu, w miarę jak wsączały się we mnie, nie wiadomo skąd. Upływ czasu przestał mnie obchodzić; skończyłem dobrze po północy, a przede mną leżało osiem jednostronnie zapisanych kartek. Przekładałem je nieufnie i trochę z niedowierzaniem. Trans się urwał. Chwilowo nie miałem nic do dodania.

V

Jak zwykle Leo Winczorek przyniósł ważne wiadomości i koncepcje. Mrużąc z niezadowoleniem, sadowił się za stołem na swoim stałym miejscu. Parę minionych dni mocno

go odmieniło. Gdzieś ulotniła się jego beztroska, stał się poważny, nawet posepny, nie gadał byle gadać, jak dawniej. Chwilami zdawało mi się, że Winczorek, jakiego znałem, przeprowadził się albo wyjechał, a na jego miejsce przywiało starszego brata, którego istnienie było dotąd okryte tajemnicą.

— Daj jakieś piwa, Papa — stęknął ze znużeniem — trzeba przepłukać gardło.

Wyjąłem z lodówki butelki. Nalewał sobie bez pośpiechu, jakby pragnął to celebrować w nieskończoność.

— Trzeba cieszyć się piwem, póki jeszcze jest. Za pół roku może po nim zostać tylko wspomnienie.

Zdumiała mnie ta uwaga. Tak jakbyśmy potrzebowali uzasadnienia do picia.

— Piwa — oświadczyłem z mocą — nie zabraknie w tym kraju nigdy. Warsteiner, Krombacher i Radeberger są wieczne.

— Oj, Papa, jakżebym chciał, żebyś miał rację. Ale doświadczenie życiowe mówi mi, że każda rzecz, która jest, może pewnego dnia zniknąć i nie pojawić się więcej.

— Masz coś konkretnego na myśli?

— Weźmy producentów oświetlenia na przykład. Po ostatnim deszczu lamp i latarek, które w dodatku nie potrzebują zasilania, rozwijanie tego typu interesu graniczy z szaleństwem. Wyobraź sobie, że w następnej kolejności w ofercie Ligi Pięciu znajdzie się też piwo. W poręcznych sześciopakach albo i beczułkach. Gratis. Co wtedy? Browary zaczną plajtować jeden po drugim.

— Ale nasze piwo wytrzyma tę konkurencję. Nie sprosta mu jakiś parszywy syntetyk na wodzie z gór lodowych sprowadzanych z Pasa Kuipera — wykrzywiłem się z odrazą. —

Albo syntetyzowane chemicznie, na zasadzie małpowania składu chemicznego. Takie piwo nie ma duszy, choć upić się nim w ostateczności można. Kiwał głową bez przekonania.

— Skąd w ogóle te czarne myśli? — spytałem. — Za branżę spożywczą wezmą się nie tak prędko, być może nigdy. Pomyśl o tych megatonach surowców, które już teraz muszą przetwarzać niezbyt daleko stąd, a potem precyzyjnie ekspediować do odbiorców.

— Myślę — zniecierpliwiał się. — I co z tego?

— Ano to, że w swoim rozpasaniu charytatywnym nie mogą przekroczyć pewnych granic.

— Chodzi ci pewnie o granice państwowe.

— Chodzi mi o to, że gdyby chcieli wzbogacić swoje rozdawnictwo, swoje konwoje humanitarne o sferę artykułów żywnościowych, to rychło by się okazało, że muszą żywić całą planetę. Rzecz jasna za darmo. Ludzie przestaliby grzebać się w glebie, widząc codziennie manę lecącą w dużych ilościach z nieba. Liga, jeżeli są tam rozsądnie myślący planiści, ograniczy się do gadżetów, a żarcie po dawnemu będziemy przyrządzać sobie sami.

Winczorek poprawił się w krześle.

— Rozumowanie niby poprawne — rzekł z ostentacyjną dezaprobatą — ale wnioski całkowicie fałszywe. Skąd wiesz, co leży w ich zasięgu? A jeśli dla Ligi Pięciu żywienie przez dłuższy czas całej ludzkości nie przedstawia wielkiego problemu? Jeśli mogą sobie na to pozwolić?

— Co z tego będą mieli? Tylko dodatkowe obowiązki. Nie wykrzeszą dla siebie więcej uwielbienia, niż rozdając te lampy, gogle czy rowery.

Spojrzał na mnie ponuro. — Na propagandzie — mrucnął — raczej im nie zależy. Nawet gdyby wybuchł tu kult Ligi Pięciu, ich to nie wzruszy. Nie o to zabiegają.

— To pewnie mi powiesz, o co.

— Poczekaj. Skończmy tamten wątek. Po ostatnich zrzutach osiągnęli tyle, że położyli producentów różnego rodzaju tak zwanych dóbr trwałych. Butów, żelazek, termometrów, pił, grzejniko-nawilżaczy... Załóżmy, że wkrótce położą wszystkich... Stać ich na to. W ślad za świecidełkami pójdą przecież pralki, lodówki, samochody i cała reszta artykułów przemysłowych.

— Może tak, może nie. Wiesz, jakich to wymaga ilości surowców, energii, jakiej logistyki przy dystrybucji? Przecież to się sprowadza do zastąpienia całego ziemskiego przemysłu i handlu!

— Tak? Chyba udowodnili, że potrafią to robić? Twój błąd polega na tym, że nie możesz się wyzwolić od ziemskich miar. Porzuć ten padół, wznieś się w górę! Ziemia to tylko ledwo widoczna kropka pod twoimi nogami, a ty przez dziewiętnasty wymiar masz możliwość czerpania prosto z zasobów kosmosu. Ubytki surowców uzupełniasz rozbijającymi na kawałki planetami. I tak dalej.

— O ile wiem, niczego w pobliżu jeszcze nie rozbili.

— Ty wiesz! — parsknął. — Ty to wiesz, Papa. Może rozbili tam, gdzie byli wcześniej, a może czerpią gigantyczną ssawą nad- czy podprzestrzenną z niewidocznej dla nas strony Jowisza.

— Jowisz się obraca. Byłoby widać ślady w atmosferze.

— Niech ci będzie: oni czerpią tak, że nic nie widać! — walnął pięścią w stół. Butelki zadzwoniły ze skargą. — Do-

bra, potem mi powiesz, że to czcze wydumiska. Przypuśćmy, że w pierwszym etapie chodzi im o uzależnienie, a później o ubezwłasnowolnienie ludzkości. Ma się to dokonać: a — bezboleśnie, be — niepostrzeżenie, ce — na nasze własne życzenie. W tym celu zaleją nas masą towaru bijącego jakością nasze utensylia, nie biorąc za fatygę ani centa. W ten sposób spowodują, że cały ziemski przemysł straci rację bytu.

— Przemysł jest złem koniecznym — rzekłem z przekonaniem. — Tylko brudzi, paskudzi i produkuje buble.

— Ale daję ludziom zajęcie! — ryknął. — Ty i te twoje ekologiczne brednie! Ty sobie, Papa, nie zdajesz sprawy, jakie to ważne, żeby ludzie mieli coś do roboty. Większość szlachetnej rasy dwunogów są to zwyczajne, prymitywne indywidua, lekko podrasowane małpy, które najchętniej spędzałyby czas na picciu wódki i dupczeniu, ewentualnie na rozbojach i demolowaniu świata dla rozrywki. Osiem godzin dziennie przy obrabiarce, a w mniejszym stopniu w biurze, częściowo tłumi w nich te zapędy. Lecz zabierzmy im obrabiarki, dajmy za darmo dostęp do różnych gadżetów i na dodatek mnóstwo czasu wolnego — a stanie się rzecz straszna. Ich mózgi wielkości orzechów włoskich zaczną natychmiast generować zachcianki oraz żądze, które dawniej by się im nawet nie przyśniły! Jutro raj znajdzie się w zasięgu każdego!

— Myślałem, że marksściści już wymarli.

— Że niby byt określa świadomość? Nie, tym zardzewiałym kluczem niczego nie otworzymy. Reasumując: w zamian za trochę ichnich beznadziejnych rupieci mamy ziemski przemysł w ruinie, mnóstwo wolnych rąk i głów oraz

powszechną ochotę do dokazywania. A zauważ jeszcze, że ta darmocho nie jest ustanowiona na wiek wieków. Nie było na ten temat żadnych traktatów ani choćby obietnic. Tedy wyobraźmy sobie — mówił w powietrze, mechanicznym głosem i bez krzty dowcipu — że pewnego dnia pojawią się warunki. No, chłopcy i dziewczęta, panie i panowie, dosyć się już nachapaliście za friko, teraz chcąc się nadal rozkoszować naszymi lampami i goglami, które umożliwiają widzenie przez ściany, będziecie musieli dać w zamian to i to. Spojrzał na mnie spođe łba.

— A jak dać nie chcecie czy nie możecie, ucinamy na szą pomoc humanitarną. Zwijamy nasz Caritas. To nas sprowadza, Papa, w ciągu jednego miesiąca do poziomu wspólnoty pierwotnej. A ze wspólnotą pierwotną można zrobić wszystko.

Wyjąłem więcej butelek z lodówki, która chwilowo była jeszcze ziemskiej produkcji.

— Mówisz tak — wtrąciłem — jakby już dziś nie mogli z nami zrobić wszystkiego, co zechcą. Z jednej strony wma-wiasz im gwiazdne technologie...

— Bez nich nie da się urządzić tych fajerwerków.

— ...a z drugiej posądzasz o zapóźnienie w dziedzinie cybernetyki społecznej. Zdaje mi się, że to też mają opanowane niezgorzej. Za miesiąc, dwa będą mieli całą ludzkość po swojej stronie.

— Szkopuł w tym, Papa, że nie bardzo wiadomo, czego mogą od nas zażądać. Owszem, można wierzyć w dobrych wujaszków z Procjona B albo w świętych Mikołajów z Aldebarana — ale to się nie trzyma kupy. We Wszzechświecie, jaki znamy, obowiązuje generalna zasada: coś za coś. Nic

za darmo. Obojętne, czy dotyczy to energii, diamentów czy innych rzeczy. Ich ofertę już znamy — żądań jeszcze nie. Niezłe piwo — rzekł w kierunku szklanki. — Aż żał się zegnać z tym smakiem.

—Przestań hamletyzować, człowieku. Piwa nie ma prawa zabraknąć!

—A jak zabraknie? — odparł z niewzruszonym spokojem.

—To się uruchomi podziemne browary i tajne wytwórnie słodu! Chmiel będziemy hodowali w doniczkach jak konopie indyjskie. Kupa ludzi na pewno znajdzie w tym sens życia!

—Jeśli Liga zdecyduje się dostarczać również produkty spożywcze — kontynuował, jakby mnie nie słyszał — wtedy pacyfikacja przybierze wymiar totalny. Zamienimy się w zwierzęta hodowlane, wyczekujące na codzienny przydział paszy, a ich specjaliści będą radzili, jaki rodzaj muzyki i jakie widowiska lepiej wpływają na przebieg tuczu. Znajdziemy się nawet w gorszej sytuacji, bo nie ma na co polować. Pasza treściwa z podajników Ligi — albo korzonki i kora drzewna. Do tego się sprowadzi nasz wybór.

Chciało mi się śmiać, a jednocześnie czułem podskórny niepokój. Małoż to wariackich scenariuszy spełniło się na moich oczach?

—Przesadzasz, moja Kasandro. Zawsze możemy polować na siebie.

—Pewnie i do tego dojdzie, bo niby czemu nie. — Popadł w ciężką zadumę. — To, coś powiedział o tajnych browarach, to jest myśl. Tylko kto nas posłucha.

—Będą sobie rysować kółka na czołach.

— Właśnie.

Uczciliśmy ten niewesoły wniosek minutą milczenia.

— No tak — odezwał się Winczorek. — Po prawdzie, chciałem z tobą pogadać zupełnie o czym innym. Chociaż właściwie o tym samym.

— Wał śmiało.

— Mówisz, że dostałeś prezent od Ligi Pięciu. Czemu więc nie widzę go w pobliżu? Ukryłeś przed oczami sprawiedliwych?

— Ja mówiłem *coś* takiego? Nie przypominam sobie. — Byłem na najlepszej drodze do zaklinania się, ale jego spokojny wzrok i lekko ironiczny uśmiezek wyhamowały mnie w pędzie. — No dobra, dostałem. Dostaliśmy. Zora wzięła.

— Co to było?

— Lampa.

Pokiwał głową nad bezmiarem mojego upadku.

— Chyba się domyślasz, Papa, że to nie są zwyczajne bibeloty. Nie montują ich z drucików, blachy, kartonu i szkiełek. Używają innej technologii od naszej. — Nabrał powietrza. — Oni je hodują.

— Coś powiedział?

— Hodują. Jak rośliny albo zwierzęta. Opanowali genetykę do tego stopnia, że umieją to robić.

Spojrzał na mnie z troską.

— Niedobrze ci, Papa? Przecież nie mówię o żadnych cudach — będzie z pięćdziesiąt lat albo lepiej, odkąd ulepszone genetycznie bakterie produkują insulinę i całą kupę innych specyfików. Zmodyfikowaną genetycznie soję po żerasz z wielkim apetytem w corn-flakesach, czekoladzie

i makaronach. Kukurydza z dodatkiem genu skorpiona, żeby jej nie obłączyły szkodniki, to już prawie klasyka. Kanciaste pomidory wymyślono po to, żeby lepiej układały się w skrzynkach. Z dzieciństwa pamiętam, że pomidory były owalne. Nie miały kantów. Nie tak jak dziś.

— Czujesz chyba — rzekłem — że między naszymi pomidorami a ich lampami istnieje drobna różnica. Jeśli oczywiście ten pomysł z hodowaniem towarów ma coś wspólnego z rzeczywistością.

— Masz rację: różnica. Trudno o lepsze słowo. Oni opanowali coś, co nam się dopiero niewyraźnie śni: sterują specjalizacją komórek.

— A konkretnie?

— Wyobraź sobie zarodek, który się rozwija: najpierw jeden podział, potem drugi, trzeci — i tak dalej. Mógłbyś go w tej fazie poszatkować na pojedyncze komórki i z każdej otrzymałbyś identyczny okaz. Jest to możliwe bodaj do etapu zarodka trzydziestodwukomórkowego, potem włącza się czynnik powodujący specjalizację komórek. Z jednej z nich utworzą się oczy, a z innej, na pozór identycznej — tak niezbędna w naszym przypadku wątroba czy nerki. Z wyglądu te komórki nie różniły się niczym. Masz jakiś pomysł, jak to się dzieje, Papa?

Zgodnie z prawdą pokręciłem głową.

— Każda z tych komórek zawierała pełny zestaw genetyczny. Jakiś czynnik blokuje większość tego zapisu, uaktywniając tylko tę resztę, odpowiedzialną za oczy lub wątrobę. Co to za czynnik, nie wiadomo do dziś. Są oczywiście różne fantastyczne pomysły. Na przykład, że to pole morfogenetyczne tak się szarogęsi. Tak je nazwali, Papa, nie

do mnie miej pretensje. Jest to coś w rodzaju anioła stróża zbudowanego z czystej pneумы. Każdy dostaje go w przydziale w momencie zapłodnienia. Dajmy na to barłożysz się z Zora...

— Nie wymieniał przy mnie tego imienia.

— Niby czemu? Albo to pierwszy raz się rozchodzicie? Otóż, uważasz, barłożysz się z zupełnie inną kobietą niż Zora. — Uśmiechnął się jadowicie. — Pole morfogenetyczne polatuje nad wami i czyha, jak to ono. Moment nieuwagi, zapłodnienie, zygota — a pole już leci w dół i anektuje, co swoje. I od tej pory wszystko reguluje.

— Natomiast Liga Pięciu okiełznała je i zmusiła do produkcji lamp i gogli.

— I wzierników ultrasonograficznych do diagnoz organizmu. Też mają je na stanie. Moim zdaniem, Papa, żadne pole morfogenetyczne nie występuje. Decyzja, co w genetycznym zapisie ma utworzyć tkankę, a co ma być blokowane, ukryta jest o wiele subtelniej, na głębszym, trudniej dostępnym poziomie. Może nawet gdzieś w chaszczech śmieciowego DNA... — zamyślił się. — Myśmy zdołali odczytać tę najbardziej zewnętrzną warstwę, natomiast fachowcy z Ligi Pięciu dobrali się do samego sedna. Potrafią wydawać polecenia owej warstwie blokującej, zawiadującej specjalizacją komórek. W ten sposób mogą wprowadzać dowolne zmiany w dowolnym genotypie i tym samym wytwarzać dowolne fenotypy. Oto inżynieria genetyczna całą gębą, Papa, nie te pierwociny, które u nas na wyrost określa się tym mianem. Świat biologiczny jest dla nich jednym wielkim magazynem półfabrykatów, z których można wytworzyć wszystko. Są w stanie, gdy tylko zapragną, zmieniać

krokodyle w latające smoki, **a strusie jaja w granaty, mówiąc obrazowo.**

— Sam to wymyśliłeś?

— Nie, skąd. Za głupi jestem. Ale chodzę po mieście, spotykam się z ludźmi. Od tego zasłyszysz się to, od tamtego owo.

— Jakie są szanse, że to może być prawda?

Wzruszył ramionami. — Bo ja wiem? Nie ulega wątpliwości, że produkty Ligi Pięciu mają budowę organiczną. Podobno pod mikroskopem widać wyraźnie strukturę komórkową, a spektrometr masowy wykazuje, że to organizmy oparte na węglu.

Tknęła mnie pewna myśl.

— W tej lampie — powiedziałem — klosz i ta niby żarówka wydawały mi się jak z miękkiego szkła.

— Skoro organizmy biologiczne mogą wytwarzać takie rzeczy, jak muszle czy pancerze... Pomyśl o perłopławach, koralowcach albo żółwiach. Każda taka lampa jest prawdopodobnie zdeformowanym genetycznie żywym stworzeniem, zmuszonym do przyjęcia określonych kształtów i funkcji. Pomyśl o gehennie tych istot, nawet jeśli są tylko zwierzętami. Ile muszą wycierpieć, zanim dojrzeją do roli latarki czy gogli. A wtedy na komendę wegetacja zostaje zastopowana, dawka konserwantów utrwala ich nader użyteczną postać, rozpylacze natraskują na nie werniks — i już można ekspediować na Ziemię, by sprawiały radość tamtejszym koneserom.

Przyglądał mi się znad prawie pustej szklanki. Piwo się skończyło, ale nie myślałem o tym. Myślałem o wielkich fabrykach orbitalnych, gdzie dzień i noc trwa projektowanie i produkcja masy użytecznych dla człowieka dóbr.

— Ty to powiesz czyja? — odezwał się wreszcie.

— Nie rób teatru, mów, co ci leży... — Nagle mnie olśniło. — Te paznokcie, które trzeba dawać lampionom. Te włosy... krew i sperma...

— Tak. Sami dostarczamy im materiału. Przyjrzą mu się i w mig ocenią, na co nas można przerobić. Miałeś w ręce tę ich latarkę?

— Co? Nie.

— Ja miałem. Uchwyt przypomina pancierz jakiegoś żółwia, oczywiście odpowiednio uformowany. Reflektor to jego zeszlona źrenica, przedtem oczywiście odpowiednio powiększona. Żarówka to bodaj włókno organiczne zdolne do generowania światła. Materiał lampionów przypomina mi w dotyku trochę pergamin, a trochę taką skórzastą folię. A to pewnie zmodyfikowane skrzydło marsjańskiego motyla albo innego nietoperza. Jeśli mam rację... jeśli ci, z którymi gadam, mają rację, przytrafiło nam się grubsze nieszczęście, Papa. Liga Pięciu to krążący po kosmosie producenci dóbr, uszczęśliwiający nimi chciwych na perkal tubylców. Włączają ich w swój system wpływów i zależności — po czym traktują jak rynek zbytu i złożę genetyczne zarazem. Złożę, które można eksploatować w nieskończoność, ponieważ jest odnawialne.

— Ale wiedząc o tym, nie wolno siedzieć jak mysz pod miotłą! Trzeba to rozgłosić! Bić na alarm!

Pokręcił głową. — Na razie to tylko przypuszczenia. Nawet jeśli się potwierdzą, wszczynanie rabanu nic nie da. Ludzie nam nie uwierzą, bo rzeczy przykre przyjmuje się do wiadomości niechętnie. Co im powiesz: że są następni w kolejce? Oni na to, że słońko świeci, pieczone gołąbki

same lecą do gąbki, jest fajnie, nie trzeba do roboty, a na jutro zapowiedziane są kolejne atrakcje. Kto rezygnuje dobrowolnie z przedśionka raju? Jeśli nawet okaże się, że za darmochę trzeba jednak bulić — niech rachunek uregulują inni. Nas to nie dotyczy. Stado baranów zawsze ufa, że wilk porwie tego obok, nie mnie. Tylko że ta logika się nie sprawdza, gdy wilk zagarnia od razu całe stado.

Słuchałem go z rosnącą niechęcią. Przecież to brednie. Nikt w te bajędy nie uwierzy, skoro mnie samemu słabo mieszczą się w głowie.

— No to teraz pewnie mi powiesz, co z tym fantem zrobić?

— Ajajaj, Papa. Przeceniasz moje możliwości. Nad tym debatują nie takie gremia jak nasze. Pod rygiorem tajności powstają hipotezy i scenariusze, z których duża część po paru dniach nadaje się do wyrzucenia. My wprawdzie nie mamy dostępu do najświeższych wiadomości i analiz, ale to i owo możemy wydedukować. Nie zdziwiło cię na ten przykład, że gadżety Ligi Pięciu są przeznaczone dla ludzi względnie zamożnych?

— Jak to?

— Ano tak. Powstały z myślą o tych, którzy mają gdzie mieszkać, w co się odziać i co jeść. Których potrzeby na najbardziej pierwotnym poziomie są już zaspokojone. Zwróć uwagę, że nasi mistrzowie spełniania życzeń ani pomyśleli o podręcznym zestawie dla bezdomnych: dwukilogramowym pakunku, który o zmierzchu rozkładałby się w niewielki namiot z ciepłą, nadymaną powietrzem podłogą. Na pewno taka rzecz nie przerasta ich kosmicznych potencji.

— Mają za słabe rozeznanie co do hierarchii potrzeb tutejszego społeczeństwa — powiedziałem. — Czy może w ogóle nie zdają sobie sprawy z istnienia zjawiska takiego jak bezdomność?

— Reszty obszarpańców też nie widzą? E, chyba nie masz racji. Inne szczegóły wskazują na coś przeciwnego: że dysponują świetnym rozeznanieniem i znajomością naszych zwyczajów i upodobań. To jest zagadka, Papa. Niby lampiony lecą z nieba jak grad i nikt nie zostaje pozbawiony dostępu do zamówień, ale w ofercie występują tylko błahe świecidełka, bez których można się wspaniale obejść. Dam ci inny przykład: koc, którym można się owinać w nocy albo i za dnia i uniknąć chłodu, bo jego materiał nie tylko doskonale izoluje, ale jeszcze dogrzewa. Za dnia można w taki koc zawinąć resztki ze śniadania i przechować jak w lodówce do następnego posiłku, mając pewność, że się nie zepsują. Czemu nie zsyłają nam takich kocy?

— Przecholowałeś: pakować jedzenie tam, gdzie się wcześniej wycierało brudne nogi...

— A od czegoż genialna aseptyka Ligi Pięciu? Koc byłby rzecz jasna samoczyszczący się i wrogi bakteriom. Albo, powiedzmy, samopiorąca się bielizna, która nie dość że błyskawicznie oczyszcza się z brudu, lecz dodatkowo przejmuje go z właściciela. Albo choćby lekarstwo na katar. Tu masz jak na dłoni ich dobroczynność: sygniemy wam, chłopcy i dziewczynki, trochę zabawek z nieba, ale tak naprawdę nie będzie wśród nich niczego, co by mogło się wam rzeczywiście przydać i odmienić wasz niegodny pozazdroszczenia, czyli psi los. Jak już przy psach jesteśmy — czy im nie przysługiwałoby skuteczne antidotum na pchły, które

je żrą? Albo coś na wszy dla ptactwa? Wiesz, że większość ptaków jest zawszona przez całe swe życie? Wszy je oblażą, ledwo wyklują się z jaja!

— Chyba przeginasz — powiedziałem. — Zapędziłeś się. Nie mogą zainstalować etykosfery, która by chroniła każdego wróbla i każde źdźbło trawy.

— No, przegiąłem — mrugnął do mnie okiem. — Choć właściwie nie. To by było dopiero zadanie na miarę ich możliwości. A na razie potraktowali nas jak gromadę pawianów: naści po bananie i fertig. My zaś chwytny banana i oddalamy się czym prędzej do kąta, żeby go spożyć w ciszy i skupieniu. Wiesz, czemu tak się zachowujemy, Papa? Bo tak naprawdę jesteśmy pawianami.

— A może to badania testowe ichnich socjologów? Może ktoś robi na nas ichnią habilitację, hę?

Rozluźnienie dopadło nas całkowite i ryczeliśmy ze śmiechu. Stary Leo Winczorek wrócił w swej najlepszej formie.

— Nie wiem, ale się dowiem — westchnął, poważniejąc. — Wszyscy się dowiemy.

PROTOTYP

POCZĄTEK LIPCA 2032

VI

Lato, które zgodnie z nowym obyczajem klimatycznym trwało od kwietnia, postanowiło dać się we znaki ziemi i ludziom. Żar lał się z rozpalonego nieba, zamieniając miejskie mury w przedsionek piekła. Trawa na skwerach w ciągu paru dni wypłowiła, przekształcając się w bure wiechcie, a grunt podpodeszwą przypominał beton. Kiedy jedni zastanawiali się, gdzie mimo wszystko wyjechać na urlop, inni przebąkiwali o niespokojnym czasie i z gospodarską troską spoglądali w lasur, na którym kolejny dzień nie pojawiła się nawet chmurka. Za dnia życie w tej spiekocie zamierało, chyba że kto miał pięćdziesiąt euro na basen. Ratowałem się wodą napuszczoną do wanny; choć włożyłem do niej co godzinę czy dwie, niewiele to pomagało. Miałem wrażenie, że ledwo się wynurzam, już cała wilgoć skóry zamienia się w parę, a ja po paru krokach staję się suchy jak dysertacja filozoficzna.

Trzeba jednak przyznać, że od czasu przelotu baniaczków natura się uspokoiła. Przepadły gdzieś wichury łamiące

drzewa i trąby powietrzne znoszące z powierzchni Ziemi całe miasteczka. Mniej się słyszało o pożarach i powodziach — może dlatego, że nasza uwaga była zajęta czym innym.

Od kiedy na miejskich błoniach ujrzałem obiekty Obcych, upłynęły może dwa tygodnie. Świat się zmieniał, wywracał na nice, ale w moim statecznym życiu bezrobotnego nie nastąpiły żadne zmiany. Raz tylko zanosilo się na *coś* poważniejszego, kiedy pewnego popołudnia usłyszałem dzwonek do drzwi. Wcześniej dobiegały mnie wprawdzie podniesione głosy — nasz blok jest akustyczny, a sąsiedzi lubią akcentować różnice zdań — ale tym razem hałasy przetaczały się po piętrach z zadziwiającą konsekwencją. Coś walnęło ciężko, jakby pijak niósł szafę i upuścił ją sobie na nogę, bo towarzyszył temu wrzask bólu. Przygnieciony bagażem trosk, nieprzytomny z upału wziętem te efekty akustyczne za przejaw zwykłej codziennej krzątaniny. Myśl miałem zaabsorbowaną innymi sprawami, a mentalnie tkwiłem jeszcze w starej epoce, kiedy nie strach było otworzyć drzwi mieszkania na terenie patrolowanego bądź co bądź osiedla. Nie zastanawiając się wiele, zdjąłem blokadę. Gdybym zadał sobie trud zlustrowania gości przez wziernik, pewnie bym uniknął zagrożenia, zawsze przecie można natknąć się na inkasenta. Ale trzydzieści pięć stopni w cieniu demoluje ludzki rozsądek.

Było ich troje, półgoła dziewczyna i dwóch spoconych drażli w stanie pewnego podekscytowania. Jeden miał podbite oko, ale może mi się zdawało. Do krótkich rękawków przypięli agrafkami niebieskie opaski z wieńcem unijnych gwiazdek. Odepchnęli mnie i zaraz znaleźli się w środku.

— Gdzie pan to ma? — warknął krótko ostrzyżony osiłek w czerwonej koszulce polo. Na piersi miał ruchomą aplikację, przedstawiającą roześmianego rudzielca z czerwonym rakiem pod rękę. Wokół obrazka w otoczeniu serduszek litery o wesołym kroju układały się w napis RAK MOJA MIŁOŚĆ. Pod pachą dzierżył futerał na raketę tenisową, wypchaną kształtem, który do futerału nie pasował.

— Gdzie mam co? — wymamrotałem zaskoczony.

Obrócili się w moją stronę. Wskutek tego manewru zamieniliśmy się rolami: wyglądało, jakbym ja przyszedł w gości, a oni mnie witali. Dziewczyna wyjęła z kieszeni szortów notatnik i wycelowała go we mnie oskarżyciel-sko.

— Dobrze pan wie, co — powiedziała z irytacją. — Prezenciki od Ligi Pięciu, które tak uwielbiają porządni mieszczanie.

— Nie mam ani jednego. Nie jestem kolekcjonerem. Chwila, moment! — skoczyłem do przodu, ponieważ troje aktywistów rozproszyło się po mieszkaniu z wyraźnym zamiarem skontrolowania szaf i sąsiednich pomieszczeń. — Do rewizji potrzebny jest nakaz! Występowanie w roli policji jest w tym kraju zabronione! Nadto używanie symboli unijnych...

— Niech pan przestanie pierdolić — powiedział ugodowo ten co przedtem. — Utworzyliśmy komitet obywatelski, uprawniony do kontrolowania... ehe, przepływu towarów niewiadomego pochodzenia, stwarzających realne zagrożenie dla zdrowia i życia reszty obywateli.

Wyczerpała go ta przemowa, ale pozostali spoglądali na niego z dumą.

— Mówiłem już, że tu niczego nie ma. Policja wie o waszej inicjatywie oddolnej?

— Nazwisko — ucięła moje wątpliwości dziewczyna. Nawet niebrzydka, jej walory rysowały się zachęcająco pod niebieskim podkoszulkiem. Nie bez wysiłku odcyfrowałem napis, który biegał jej po cyckach: CANCER = LEBENSRAUM.

— Gdzie pan je ukrył? — naskoczył ten z pokrowcem na rakiętę, w którym obły kształt pozwalał się domyślać kija bejsbolowego. Znaczącym ruchem wysunął go spod pachy. — Oszczędzi pan czasu sobie i nam, jak pan je natychmiast wyda.

— Inni, jak widzę, nie mieli nic przeciwko temu. Handlujecie tym dobrem, a zyski idą dla wdów i sierot, co? Wózek z rekwizycją pewnie na podwórku?

— Niszczymy na miejscu — poinformowało rezolutnie dziewczę. — Kurczę, każdemu z osobna trzeba tłumaczyć, że zabawa tymi produktami to gorzej niż drażnienie bosą nogą grzechotnika. — Mieli na podorędziu parę odzywek, które ktoś im ułożył i nakłonił do wyuczenia się ich na pamięć.

Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie następny dzwonek. Byłem bliżej, więc po prostu otworzyłem.

Policjantów było dwóch; ten, który wkroczył pierwszy, prawie nie zaszczycił mnie spojrzeniem, odsunawszy ręką pod ścianę. Dobrze wiedzieli, kogo szukają.

— Rzucić wszystko, co macie w rękach, ale już! — zakomenderował. — Z chęcią was rozwalę za próbę zbrojnego oporu — dodał wkurzony nie na żarty. Miał na sobie szarą koszulę z odznaką na kieszeni; materiał pod pachami prześląknięty był rozległymi plamami potu.

Obaj dzierżyli pistolety, ale nie zauważyłem, **kiedy je** wyciągali. Na razie opuścili je lufami do podłogi.

— Rekwirujemy tylko...

— Milczeć! — huknął policjant. Obie lufy podskoczyły do góry. — Słyszeliście, co powiedziałem?

Futerał z obłym przedmiotem w środku walnął ciężko o podłogę, natomiast notatnik spłynął na nią jak ptak.

— Rączki — powiedział policjant. — Wy dwoje tam — pokazał lufą. — Ty — przeniósł lufę na bydlaka w czerwonym polo — kładź się na podłodze. Powoli i bez sztuczek, bo cię kropnę. Gary, załóż mu bransoletki.

Przesunął się o krok, żeby trzymać pozostałych na muszce, podczas gdy jego partner unieruchamiał przywódcę. Postąpiwszy analogicznie z drugim chłopakiem i dziewczyną, Obermeister schował pistolet, wdział wyciągnięte zza pasa rękawiczki i wrzucił porzucone przedmioty do wielkiego plastikowego worka.

— Ma pan prawo do złożenia skargi za najście. Grozili panu? Coś zabrali?

Pokręciłem niepewnie głową. Policjanci obszukali aktywistów i popędzili ich przed sobą ku wyjściu. Przywódca obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem.

— Jeszcze się spotkamy — wysyczał.

— Grozisz mi? — spytałem, podnosząc głos, tak aby Obermeister usłyszał.

Na klatce nie zobaczyłem nikogo, ale spoza uchylonych drzwi wyglądały zaciekawione głowy.

— Zabrali panu coś? — indagowała stara Frau Schmutzige, wredny babsztyl, którego nie znosiłem za wścibstwo i jędzowaty charakter.

— Nie. Niczego nie miałem — rzuciłem na odczepnego i trzasnąłem drzwiami. Znów byłem panem na własnych śmieciach. Obserwowałem przez okno, jak ich prowadzą do zaparkowanej na chodniku granatowej furgonetki o zakratowanych oknach. Dali się wepchnąć do środka potulnie jak baranki; przez moment poczułem jakby falę współczucia. Ostatni partyzanci, dzielnie nadstawiający karku w obronie starego porządku.

Na mieście początkowo nie widziało się wiele podarków z przestworzy, ale powtórzona wielokrotnie akcja z lampionami spowodowała, że wszędzie zaroilo się od magicznych parasoli, zegarków przyklejonych na czołach, słynnych gogli i innych bibelotów. Faza afiszowania się obcoplanetarnym dobrem szybko przeminęła, bo w lud poszła wiadomość, że grupy wyrostków rabują je prawowitym właścicielom i jeszcze dają wycisk. O aktywistach, od których wyzwoliła mnie śmiała akcja policji, na razie mogłem zapomnieć.

W tym samym czasie naszły mnie wyrzuty sumienia i postanowiłem pogodzić się z Zora. Poziom hormonów wzrósł we mnie na tyle, że pojąłem bezbrzeżną nikczemność własnego postępowania. Na znak pojednania zakupiłem butelkę jej ulubionego cabernet sauvignon, przekonawszy się niemiło, że od pojawienia się Ligi Pięciu podróżowało prawie o jedną trzecią. Przepętniony smutnymi refleksjami z powodu stanu gospodarki, ale i chęcią odnowienia stosunków interpersonalnych, ruszyłem w kierunku Żory, układając sobie po drodze mrozącą krew w żyłach opowieść, jak to o mało nie pozbawiono mnie życia, gdym stał na progu, broniąc własnego domostwa. Ale nie dane mi było w spokoju ducha dojść do celu.

Szedłem, odnosząc niejasne wrażenie, że coś nie gra w dobrze znanym otoczeniu. A przecież wszystko znajdowało się na swoim miejscu: najpierw Kaufhalle Die Sterne, potem park imienia Alexandra von Humboldta, następnie dawny kościół Świętego Sebalda, przerobiony na meczet i szkołę koraniczną. Za meczetem, pustym i cichym o tej porze, po drugiej stronie Hochenzollernstrasse, wznosił się półmartwy blok, z którego wyprowadzili się mieszkańcy i teraz dawne ich lokale przejęli pennerzy, squattersi i przybysze z Europy Wschodniej, którzy nie mieli wygórowanych wymagań. Przeciwną zaś stronę ulicy, tę, którą szedłem, zajmowały, odkąd pamiętam, domy i domki otoczone drzewami i kwiatami. Czasem przez ogrodzenie widziało się stare werandy oplecione bluszczem i zwirowane podjazdy; teraz mało kto się tam kręcił — w tej dzielnicy do niedawna sielskiej i tętniącej życiem. Nie wyglądało na to, by ktoś inwestował w ten teren, remontował czy konserwował, jakby cały obszar został przez właścicieli opuszczony i skazany na zapomnienie. Wśród przechodniów widziało się za to więcej Arabów i chodziły słuchy, że gmina islamska czyni starania o wykupienie całej dzielnicy za pieniądze z Arabii Saudyjskiej, aby urządzić tu lokalne centrum pielgrzymkowe.

Wtedy go zobaczyłem: środkiem chodnika kroczył okazały kompsognat, nie łachudra z Bangladeszu, ale raczej typ ze Skandynawii. Wyglądał jak anioł, wysoki, postawny, piękny. Poruszał się z godnością i w jakiś wykalkulowany sposób, przez co zbędny krok czy gest wydawał się poniżej jego statusu. Zmierzał przed siebie równym tempem, nie rzucając łbem na boki jak pierwszy lepszy turysta, nie przejmował się też ludźmi, którzy na jego widok stawali

jak wryci. Biła odeń nieziemska aura, rzekłbyś, że stąpił w obłoczku niebieskawej poświaty, ale trudno było w pierwszej chwili ustalić, skąd to wrażenie. Zresztą dalszy ogląd też niewiele wyjaśniał.

Odziany był w powłóczystrą szatę w najlepszym gatunku i sandały na bosych stopach, co automatycznie nasuwało skojarzenie z apostołem. O ile dobrze mu się przyjrzałem, nie miał żadnych ozdób. Mimo ich braku unosiła się wokół niego aura zniewieścienia, twarz miał gładko ogoloną czy raczej wydepilowaną, jakby przed chwilą opuścił zakład kosmetyczny. Im dłużej jednak się nad tym zastanawiałem, tym bardziej nabierałem pewności, że żaden zarost nigdy nie skaził tego doskonałego oblicza. Długie włosy opadały mu prawie na ramiona, podcięte i ułożone z upozorowaną niedbałością, możliwą do osiągnięcia tylko wtedy, gdy ktoś o mistrzowskim wtajemniczeniu decyduje się użyć całego kunsztu, jakim dysponuje.

Nadchodził z naprzeciwka, więc siłą rzeczy musieliśmy się minąć. W bezpiecznej odległości postępował tłumek milczących akolitów. Odsunąłem się na brzeg chodnika, żeby przepuścić tę procesję, a wtedy spoczął na mnie jego spokojny wzrok.

Oczy miał całkiem czarne. Bez źrenic.

Zatrzymał się.

— Hejże, młodzieńcze... — zawahał się, a jego czoło przecięła zmarszczka, jakby coś próbował sobie przypomnieć. — Poinformuj mnie z łaski swojej, dokąd można dojść tą prześwietną promenadą?

Głos jego brzmiał łagodnie, podbity zdziwieniem, jakby kłopot sprawiało mu samo ustalenie, jak się tutaj znalazł.

Jego niemiecki był **prosty, lekko archaiczny, ale solidny, bez akcentu.**

Odzyskałem mowę.

— To jest Himmelstrasse... dalej ma pan skrzyżowanie z Wienerallee. Idąc prosto, dojdzie pan w końcu na dworzec, ale lepiej pojechać tramwajem. Jednak to kilka przystanków.

— Tramwajem? — powtórzył, jakby słyszał o nim po raz pierwszy. — Na dworzec? W jakim celu?

Wzruszyłem ramionami.

— Wygląda pan na przyjeźdnego. Może zamierza pan wrócić tam, skąd przybył?

— A skąd przybyłem? — zaśmiał się. Spoglądał na mnie wciąż tym niesamowitym wzrokiem i naraz mnie olśniło: to, co brałem za niezmierny spokój i dostojność, maskowało tylko bezbrzeżną głupotę i nieporadność. Był... jak wymóżdżony. Jedno trzeba mu było przyznać: nie bał się. Co poniekąd nie dziwi: żeby być tchórzem, trzeba trochę inteligencji i wyobraźni. Nie okazywał strachu nie dlatego, że był szaleńczo odważny i żadne opresje nie wydawały mu się straszne. Raczej dlatego, że nie zdawał sobie sprawy z zagrożeń. Albo jeszcze inaczej — to był strzał w dziesiątkę — nie dbał o nie kompletnie. Było mu wszystko jedno, co się z nim stanie.

— Dysponujesz może niewielkim nadmiarem czasu? — zapytał, a kiedy potwierdziłem skinieniem głowy, dodał:

— Bądź zatem moim przewodnikiem, pokaż mi miasto. Nie sądzę, bym przebywał tu wcześniej.

W naszym czcigodnym Rummlau nie mamy wielu za-
bytków klasy zerowej, w okolicy brak też słynnych atrakcji
przyrodniczych, więc nie bardzo jest co pokazywać. Hordy

turystów nas nie najeżdżają. Ale skoro gościek sobie winszuję, żeby go oprowadzać, to czemu nie. Intrygowało mnie jego towarzystwo.

Ponieważ było mu obojętne, gdzie się skierujemy, poszliśmy w stronę blokowiska Żory. Trzeba trafu, że po stu metrach natknęliśmy się na nią samą, zmierzającą jak po sznurku w stronę Fundamentstrasse, czyli miejsca mego doczesnego bytowania. Trzymała butelkę soku brzoskwiнового i idąc, pociągała go sobie przez słomkę.

Padliśmy sobie w ramiona.

— Ach, Zora — wydyszałem w jej pachnące włosy — tak mi cię brakowało. Jak to miło, że wybrałaś się do mnie akurat wtedy, kiedy ja szedłem do ciebie.

Odsunęła się na odległość wyciągniętej ręki, końcami palców muskała mi koszulę na piersi. Jej wyczyszczony z entuzjazmu wzrok zbił mnie z pantafyku.

— To ryzykowna hipoteza, Papa — oświadczyła z przejęciem. — Wybij sobie z głowy, że poczułam się skruszona i biegłam z przeprosinami. Przechodziłam tędy przypadkiem.

Przeniosła spojrzenie na mojego podopiecznego, a jej wzrok natychmiast doznał rozjaśnienia. Oraz roziskrzenia.

— A ten pan to kto? — zapytała na erotycznym przydechu i już wiedziałem, że mój przygodny znajomy wywarł na niej wrażenie.

— To jest... — zawahałem się. — Jak właściwie się nazywasz, przyjacielu?

Spojrzał na mnie nieobecny wzrokiem, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi.

— Jakoś na ciebie wołają, nie? Ja nazywam się Papado-

poulos, w skrócie Papa, a ta pani to Zora. Jak chcę się do niej zwrócić, mówię: „Zora”. Na przykład: „Ruszaj się, Zora, idziemy na piwo”.

Wydawało się, że zajarzył, ale niewiele to dało. Ciężko mozolił się nad odpowiedzią.

— Zdaje mi się — rzekł wreszcie, oderwawszy oczy od naklejki na butelce Żory — że moje imię brzmi Aprikosensaft. Tak chyba będzie w sam raz.

— Śmiesznie — rozświergoliła się Zora. — Ale co tam, ujdzie. — Zanim zdążyłem przejąć inicjatywę, wpakowała mu bezceremonialnie rękę pod pachę. — Wiecie co, chodźmy do mnie, to blisko.

— Ale... mieliśmy przecież zwiedzać miasto. Pan... Aprikosensaft życzył sobie obejrzeć...

— Dobrze wiesz, Papa, że w Rummlau nie ma nic ciekawego. Zresztą zwiedzanie może równie dobrze poczekać do jutra... albo i dłużej. Musimy się lepiej poznać, co, Aprikosen? Mogę do ciebie mówić Apriko?

Aprikosensaft wydawał się osobnikiem, któremu jest całkowicie obojętne, jak kto będzie się do niego zwracał. Dla Żory nie było to żadną przeszkodą. Zaanektowała gościa bez reszty.

— Skąd ty jesteś, Apriko? Skąd pochodzisz? Chyba z Kalifornii, bo tylko tam występują takie cudaczne egzemplarze — zaśmiała się z własnego dowcipu.

— Z Kalifornii — zgodził się potulnie anioł.

— A może z Florydy? Słyszałam, że i na Florydzie z oryginałami niekiepsko.

— Może być i z Florydy — rozpromienił się Aprikosensaft. — Czy Floryda jest na Plutonie, czy dalej?

Coraz mniej mi się to wszystko podobało, ale dreptałem obok nich potulnie. Poszedłbym w cholerę po takim powitaniu, ale nie chciałem tracić okazji do rozszyfrowania dziwnego indywiduum, a jako chronicznie bezrobotny naprawdę nie miałem wiele zajęć.

— A jak tam u ciebie, Aprikosiu, z życiem osobistym — indagowała beczelnie Zora. — Masz ty może narzeczoną? Albo żonę?

Przewidywałem, że anioł zaraz zapyta, co to takiego, ale ku swemu zaskoczeniu usłyszałem odpowiedź przeczącą. Zora wydawała się wniebowzięta takim postawieniem sprawy.

— Czyli sugerujesz, Apriko, że jesteś do wzięcia?

— Zora, opamiętaj się — próbowałem ją mitygować.

— Jestem... do wzięcia — stwierdził Aprikosensaft po stosownym namyśle. — Oczywiście, że jestem. Czemu nie?

— Świetnie. Widzisz, z daleka wyglądasz jak ktoś, kto bardzo potrzebuje opieki. Jak taki bezdomny psiak, którego nie ma kto przygarnąć ani poczęstować miską rosółu.

Reakcja Aprikosensafta zaskoczyła nas oboje: po prostu uderzył w płacz. Łzy wielkie jak grochy łały mu się obficie po policzkach, złościąc mokre ślady i mocząc gors wytwornej koszuli, ale ponieważ prawie we wszystkim różnił się od pospolitego człowieka, także i jego płacz był osobliwy. Stał nieruchomo jak posąg i płakał jak posąg: jego dostojnych rysów nie deformowały żadne spazmy, a piersią nie targał szloch. Płakał, by tak rzec, równie rześście co statycznie, łązy nabrzmiwały i spływały z dającą do myślenia jednostajnością, jakby kto otworzył specjalne przepustnice służące temu celowi. W trakcie oddawania się aktowi rozpaczy oczy

miał otwarte i dałbym głowę, że nie widziałem w nich bólu, aczkolwiek już wtedy mogłem uznać się za uprzedzonego. Jednym słowem płacz ów, przeciągający się ponad miarę i na mój gust zbyt mało intymny, wydał mi się wyrachowany, obliczony na efekt. Ale na Zorę wystarczył. Kobiety chętnie posługują się płaczem, ale się na nim nie znają; sam fakt, że ktoś sięgnął po tę wunderwaffe stosunków międzyludzkich, już jest dla nich sygnałem, że żarty trzeba odłożyć na bok.

Z chustką, która cudownym trafem zmaterializowała się w jej dłoni, Zora przystąpiła do osuszania Aprikosen-saftowej rozpaczy, mamrocząc w jego kierunku stosowne pocieszenia. Akt ten zbrzydził mnie ostatecznie, gdyż wśród sformułowań rozpoznawałem znane mi z bliskiego obcowania z Zora określenia, żywcem wyjęte z katalogu małych zwierzątek i zabawek i jeszcze dodatkowo zdrobnione. Miałem ochotę wyrwać jej ów strzępek ligniny, Aprikoza zaś palnąć w plery z męskim napomnieniem: „Chłopie, nie rób z siebie widowiska, bądź twardy!”, albo coś podobnego. Zamiast tego świadkowałem scenie bezsilnie, czekając, aż się zakończy.

Aprikosensaft, uznawszy snadź, że dość przedstawienia, powstrzymał ronienie łez równie szybko i łatwo, jak je uruchomił. Więż pomiędzy nim a Zora zacieśniła się: wielki mężczyzna trzymany przez kobietę za rękę jak przedszkolak nie jest czymś nadzwyczajnym w naszych nie uznających normalności czasach. Obejrzałem się: czereda postępujących za nami kibiców stopniowo rzedła, a potem rozproszyła się zupełnie.

W mieszkaniu Żory zostaliśmy rozsadeni wokół dobrze mi znanego owalnego stołu w stylu podrabianego

biedermeieru. Wyłącznie po to, aby zwrócić na siebie uwagę, wyjąłem z plecaka nieszczęsną butelkę wina, która miała przypieczętować nowy etap zażyłości z Zora. Aprikosen obrzucił wino zaciekawionym spojrzeniem, ale zdołał się powstrzymać od pytania, co to za przyrząd i do czego służy. Zora podała zaraz ciasteczka na talerzyku; schrupaliśmy po jednym.

— No, Aprikosen — zagadnąłem — opowiadaj.

Spojrzał na mnie jak na wariata.

— Co tu opowiadać — wzruszył ramionami. — Sam widziałeś...

Chciałem powiedzieć, że nie widziałem nic takiego, co by tłumaczyło jego tajemniczą obecność w obcym mieście — lecz w tym momencie inicjatywę przejęła Zora.

— Zdejmuj to, Apriko. Boże, przecież ty jesteś całkiem mokry! Jeszcze mi się zaziębisz!

Ponieważ nagabnięty ani się kwapił do zdejmowania koszuli, przemocą zaczęła ściągać mu ją z barów. Aprikosensaft poddawał się temu bez przekonania, ale i bez oporu, mruczając, że nie trzeba. Jego twarz pałała zadowoleniem. Spoglądałem z rezerwą, jak zwinne palce Żory uwijają się przy guzikach obcego mężczyzny, i z chwili na chwilę robiło mi się coraz smętniej. Chcąc dzieło zdejmowania doprowadzić do końca, musiał wstać, pozbył się okrycia z niejakim zalem i przekazywał je w ręce Żory nieufnie.

— Przepluczę tylko i wysuszę... — zaczęła Zora i za milkła. Aprikosen stał przed nami, demonstrując klatkę piersiową i bicepsy godne gladiatora. Umięśniony był so lidnie, lecz bez cechującej kulturystów przesady. Skórę miał gładką, pozbawioną choćby jednego włosa, bez żadnej skazy

czy blizny. Ale konsternacja Żory wynikała z czego innego: Aprikosensaft, gdy już rozpoczął strip-tease, nie umiał się zatrzymać. Zwolnił zapięcie u pasa i spodnie opadły zeń z szelestem, który prawie dał się słyszeć.

— Nie musisz... — zaczęła znowu Zora. Gdyby ktoś walnął ją pałką w czerep, nie osiągnąłby lepszego efektu.

Aprikosen górował nad nami, wielki, nagi, a tym co się najpierw rzucało w oczy, był jego fiut, długi jak u konia, nieobrzezany, jeśli ktoś pragnąłby ściślejszej informacji. Jego właściciel był jak heros grecki, który przypadkiem zstąpił pomiędzy ludzi, z tą tylko różnicą, że herosów owych artyści dłuta i pędzla wyposażali w małe kuśki, żeby nie przeszkadzały w walce. Tu jednak, w pokojowych warunkach, w landrynkowym mieszkanku samotnej kokietki, nic nie stało na przeszkodzie, by wypuścić wyposażenie na pełną długość. Przynajmniej według Aprikosensafta, który wylazszy ze spodni, po swojemu szczyrzył zębiska z zadowoleniem.

— Co się stało? — zapytał. — Coś nie w porządku?

Zdobyłem się na przeczący ruch głową, która jednak dość słabo chodziła mi na zawiasach. Zora przesunęła się ku mnie, jakby zaraz miała zemdleć, tak iż w pewnym momencie wilgotną koszulę podetknęła mi niemal pod sam nos. Woń, która od niej biła, coś mi przypominała, nasuwając dalekie skojarzenie, którego nie sposób było dokładnie przywołać.

— Przepłuczę i wysuszę — zapewniła Zora i już jej nie było. Cudem wcelowała w drzwi do łazienki.

— Wciągaj te pludry, bracie — poradziłem — chyba że i tam masz mokro.

— Pludry? — zreflektował się. — A, rozumiem.

I dalej stał jak go Pan Bóg stworzył.

— Być może u was w Kalifornii albo na Florydzie nie widzicie nic gorszącego w obnażaniu się przy damach, ale my w Europie nie jesteśmy aż tak bezpośredni. Chyba że chciałeś się pochwalić?

— Nie, skądże — odparł, podnosząc spodnie z podłogi. — Bo niby czym?

Nim zdążyłem mu udzielić dalszej części reprimendy, wpadła Zora z granatowym płaszczem frotowym w garści. Bez słowa zaczęła go naciągać Aprikosensaftowi na ramiona.

Podniosłem się z krzesła.

— No, tym razem przesadziłaś, Zora. To mój płaszcz. Mogłaś przynajmniej zapytać, czy się zgadzam.

Nie wyglądała na stropioną ani przejętą. Nałożyła mu płaszcz, a potem zawiązała pasek.

— Przesadzasz, Papa. Rządzisz się tak, jakby to była twoja własność.

— A nie jest?

— Nie. Dobrze pamiętam, że kupiłam go dla ciebie, żebyś nie latał goły po mieszkaniu ku uciesze lornetowników z naprzeciwka. Byłeś tylko użytkownikiem, nie zaś posiadaczem. — Pojęła chyba, że się zapędziła, więc dodała pojednawczo: — Chyba nie masz nic przeciwko, żeby Apriko zamiast marznąć, posiedział trochę w twoim płaszczu? Nie jesteś chyba aż tak samolubny?

— Właśnie że jestem! — ryknąłem. — Nie rusza mnie, że sprowadzasz sobie jakiegoś przybłędę, ale dłużej znosić tych zniewag ani myślę! Jak chcecie się dalej bawić, to beze mnie!

— O jakich zniewagach... — zaczął Aprikosensaft, ale nie dałem mu skończyć.

— I nie myślcie, że będziecie chlać moje wino! — Porwałem butelkę i nieprzytomny z gniewu oraz z upokorzenia miotnąłem się ku wyjściu. Żadne nawet nie drgnęło, żeby zagrozić mi drogę.

VII

Minęły dwa dni, może trzy. W ferworze zdarzeń, że tak powiem, prawie zapomniałem o nowym znajomym Żory i o niej samej, choć wieczorami coś mnie ćmiło pod sercem. Kim jest dla ciebie ta kobieta i co znaczy, zadawałem sobie patetyczno-retoryczne pytanie. Może gdybym pewnego dnia postanowił: ta, nie żadna inna, zapowiedział się z wizytą, po drodze zahaczając o kwiaciarnię... Trudno wzbudzić entuzjazm kobiety, okazując demonstracyjnie, jak sobie bez niej świetnie radzisz. Z drugiej strony żał przecie tych wszystkich okazji, które cię ominą w małżeńskim stadle, a i strach bierze przed pancernymi drzwiami, które cię raz na zawsze odetną od piękniejszej połowy tego świata.

I tak na trzecim, czwartym albo dziesiątym planie biłem się z myślami, co postanowić w tak zwanej kwestii Żory, gdy któregoś dnia pod wieczór rozdzwonił się telefon.

— Cześć, Papa — zaświergotała Zora. — Tak uparcie nie dawałeś znaku życia, że pomyślałam, że ruszyłeś w Himalaje z wyprawą wysokogórską. Co u ciebie słychać?

— Pomalutku. Żadnych rewolucji ani rewelacji. Tym bardziej Himalajów.

— Papa, na mieście słyszę, żeśmy się pokłócili ostatnio. Podobno wybiegłeś ode mnie w stanie silnego wzburzenia.

— Ja? Skądże. Twoi informatorzy musieli mnie pomylić z kim innym.

— Podobno wypadłeś na powietrze, jakby cię kto gonił.

— Nic z tych rzeczy, Zora. Znany jestem ze statecznego postępowania. Inna sprawa, że wieczór wydał mi się taki piękny, że nie potrafiłem wytrzymać w zamkniętym pomieszczeniu. — Dość tych słodziutkich przekomarzań, moja droga. — A jak tam się miewa twój nowy znajomy?

— Nijak. Przeważnie śpi.

— Mocno go eksploatowałaś, co?

— Tobie tylko jedno w głowie. Nie za bardzo, jeśli chcesz wiedzieć. On tylko z pozoru wygląda tak... monumentalnie. W gruncie rzeczy jest bezradny jak dziecko i beznadziejnie potrzebuje pomocy.

— Której oczywiście ochoczo mu udzieliłaś.

— Jeśli masz na myśli, że przyjęłam go pod dach, dałam jeść, obmyłam i przenocowałam, to owszem. Chyba nie telepie tobą zazdrość, co, Papa?

— Mną? Skąd? — Zaczerpnąłem powietrza. — Dzwonisz tak sobie czy masz do mnie coś konkretnego?

— Och, Papa, jak ja cię uwielbiam w roli niedostępnego urzędu, do którego hurmem garną się interesanci. Ale dobrze zgadłeś: jest coś, w czym mężczyzna mógłby mi pomóc.

— No to wal prosto z mostu. Coś nie w porządku z twoim nowym koleżką? Mam mu skuć buzię czy tylko dotrzymać towarzystwa?

Nie wiadomo czemu, zniżyła głos, tak że ledwie ją słyszałem.

— Trafnie się domyśliłeś, Papa. Nie mam tu na myśli twojej nieustannej gotowości do dawania wycisku bliźnim, apelowałabym raczej do szlachetniejszej części twojej duszy... jeśli taka się jeszcze zachowała. Chodzi rzecz jasna o Apriko... z nim jest coś nie w porządku. Ciągłe śpi... teraz zresztą też. — W słuchawce zaległa cisza. — Masz trochę czasu, Papa?

— Teraz, zaraz?

— No? Po co zwlekać? Zajrzałyś tu do mnie, zastanowilibyśmy się nad tym i owym.

Miałem na końcu języka jadowne pytanie, czy zastanawiać się będziemy we dwoje, czy we troje oraz czy podczas tej czynności będziemy mieć na sobie ubrania, ale coś mnie powstrzymało od dowcipkowania.

— OK, zaraz będę — rzekłem krótko i węzłowato.

Wrzuciłem na grzbiet starą płócienną kurtkę, która leżała na mnie jak druga skóra. Rozglądając się za kluczami, zastanawiałem się, czy powinienem wziąć coś do ręki. Łańcuch, kawałek kija... Niczym takim nie dysponowałem w naszych pokojowo nastawionych czasach. Wobec powyższego wsunąłem tylko do kieszeni nieszczęsną butelkę wina, z którą uciekłem od Żory. Trzeba alkoholowi dać powtórny szansę.

Skłamałbym, mówiąc, że pędziłem do Żory jak na skrzydłach, raczej laźłem niesporo, noga za nogą, jakbym liczył na to, że coś lub ktoś mnie zawróci. I tak jakoś niespodziewanie spadło na mnie olśnienie: wiedziałem, czemu Zora mówiła cicho do telefonu. Bo czegoś się przestraszyła. Albo kogoś.

— Początkowa fascynacja ustąpiła miejsca grozie — podsumowałem. — No to wal, Papa, z misją ratunkową.

Słońce już zaszło, na ulicach zapaliły się lampy, ale dzień nie dał jeszcze w pełni za wygraną. Na placu przed meczetem roiło się od klęczących na dywanikach i wybijających pokłony postaci. Wysypywały się aż na chodnik, tak że nie sposób było tamtędy przejść. Niebo wydawało się prawie białe w kontraście z ciemnymi fasadami budynków. Wiedziałem, że filmowcy nazywają tę porę fioletowienia świata magiczną godziną i nieraz wyczekują ze zdjęciami, żeby ten niezwykle efekt ozdobił ich tandetne kadry. Dlaczego mnie to nagle obeszło? Bo patrzyłem na otoczenie inaczej — oczami Aprikosensafta? Ech, głupoty, głupoty. Króliki ci się po głowie chędożą, mawiał mój dawno niewidziany ojciec, gdy przyłapał mnie na podobnym mętliku myśli.

Blok Żory wyglądał jako tako, od kiedy wykwaterowano stąd Turków i wyremontowano, a potem sprzedano mieszkania nowym lokatorom. W większości okien paliło się światło — ale nie u Żory.

Zaraz. Wchodziłem już do budynku i z palcem nad cyferkami domofonu zamarłem. Cofnąłem się, żeby sprawdzić.

Obydwa okna Żory, to na murze i to wychodzące na balkon, były ciemne. Ten szczegół ustaliłem już wcześniej. Więc jak dzwoniła? Po ciemku? Prawda, wtedy jeszcze było widno. Ale teraz siedziała w mroku i bała się zapalić światło? Elektrownia odcięła jej prąd za zaległe rachunki?

Stukając kod, pomyliłem się, musiałem poprawiać. Odczułem nieznaczną ulgę, gdy usłyszałem spokojny głos:

— To ty, Papa? Włącz.

Skoczyłem na schody, jakbym chciał połamać nogi. Co ja wyprawiam, do cholery? Z góry schodził jegomość prowadzący kota na smyczy; nie zważając na mój spleziony wzrok, pozdrowił mnie zgodnie z regułami dobrego wychowania. Odburknąłem coś w odpowiedzi.

Pod drzwiami nasłuchiwałem sekundę. Czego się spodziewałem? Odgłosów walki czy pijackiej libacji? Drzwi się uchyliły, zaskakując mnie w niezdecydowanym przygięciu.

— Właż, Papa, i zachowuj się spokojnie. On śpi.

Wzrok mnie nie zawiódł na ulicy: rzeczywiście w przedpokoju i dalej panował rzadki półmrok. Zora szła przede mną, świecąc sobie pod nogi małą latarką z oferty Ligi Pięciu, ale dla pewności chwyciła mnie za nadgarstek. Usiedliśmy w kuchni, przy otwartym oknie z niezaciągniętymi firankami; z zewnątrz wpadało wystarczająco wiele światła, bym mógł widzieć bladą plamę jej twarzy otoczoną chmurą jasnych włosów. Zgasiła latarkę.

— Napijesz się czegoś? — spytała.

Kiwnąłem głową. — Mam to wino, wiesz... Dawaj kieliszki.

Grzebiąc ostrożnie w szufladzie w poszukiwaniu korkociągu, znowu poświeciła sobie latarką.

— Daj spokój — powiedziałem. — Mam swój. Tylko kieliszki. Czemu tu takie zaciemnienie, Zora? Spodziewasz się ataku lotniczego?

Ciemne plamy oczodołów w jej twarzy obróciły się w moją stronę.

— Robię przeciąg, żeby było chłodniej. A ciemno, żebyśmy się nie zlatywały. Poza tym Apriko śpi. Światło mu przeszkadza.

—Ma wymagania, skurczybyk. Jak służba hotelowa za chowuje się za głośno, to ją karci. Płaci ci coś chociaż za ten ekskluzyw? — Milczała, więc dopowiedziałem: — Śpi w sypialni?

Skinęła głową.

—No to wystarczyłoby mu tam zgasić, nie? Aż taki światłowstręt go opanował?

— Ómy, Papa. Ómy. Nie znoszę ich martyrologii.

Kuchnia, w której się rozsiedliśmy, znajdowała się na przeciwległym krańcu mieszkania co sypialnia, odnotowałem mimochodem. Miało to jakieś znaczenie? Kieliszki błyszcząły w półmroku, wycięte światłem. Nalałem; trąciiliśmy się; wypiliśmy.

—Ach, Papa, jak to dobrze, że jesteś. Że nigdzie nie wyjechałeś. Że zgodziłeś się przyjść. Sama nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

—My? — podchwyciłem. — Jesteś jego współniczką? Kombinujecie coś razem?

—Uspokój się, Papa, i powściągnij te chore podejrzenia. Tu naprawdę nie dzieje się nic niezwykłego. — Ale w jej głosie było mało przekonania i dobrze wiedziała, że mnie nie zwiedzie.

—Nie? Tylko tak dla hecy siedzimy sobie po ciemku.

—Z nim coś się dzieje, Papa. Coś niedobrego. Jest chyba chory... słabnie. Ale nie spodziewaj się, że lada chwila jego doczesna powłoka rozpęknie się i wyleżą stamtąd ukryci Obcy, żeby cię pożreć. To nie horror w kinie, Papa.

—Szkoda — ziewnąłem. — Ma chociaż ubezpieczenie? — Natężyłem słuch, ale poza hałasem z ulicy i zwykłymi odgłosami blokowej wieczornej krzątanimy niczego nie wy-

chwyciłem. — W takim razie w czym kłopot? Co dolega naszemu... twojemu gościowi? Długo już tak śpi?

— Od trzech dni prawie nic innego nie robi. Budzi się na krótko i zaraz zasypia od nowa. Mało komunikatywny facet.

— Iz wdzięczności urządziłaś mu nocleg w naszym małżeńskim łóżu, a sama śpisz na podłodze. To się nazywa gościnność!

— Sama śpię na kozetce.

— Skąd u ciebie tyle poświęcenia? — zakpiłem, ale jakby ciężar spadł mi z serca. Czyżbym na starość stawał się zazdrosny? — Powiedział ci, że drażni go światło, czy sama się domyśliłaś?

— Powiedział. Właściwie to go nie drażni, tylko...

— Tylko co?

— Poczekaj.

Zerwała się z krzesła i znikła jak zjawa. Ale i do mnie dobiegły odgłosy spoza drzwi sypialni: jakby ktoś nie tyle próbował je otworzyć, tylko ocierał się o nie. Nie chciał się wydostać, tylko czochrał się o nie plecami. Może próbował w ten sposób zwalczyć jakieś osobliwe swędzenie — nie, drzwi otworzyły się i przez korytarz wytłumiającej słowa ciemności dobiegł mnie łagodny głos Żory pytającej o coś. Odpowiedział mu drugi, chrapliwy, podbity jękami, wypełniony skargą. Jednocześnie poczułem fetor mokrej spalenizny, jakby ktoś przypiekl skóry, a potem w przypływie paniki zalał je wodą, nie, nie wodą, raczej roztworem... roztworem czego? Moczem? Daremnie szukałem nazwy odpowiedniej substancji. I naraz przypomniało mi się, że znam tę woń, czułem ją tu trzy dni temu, gdy Zora wywijiała

mi przed nosem koszulą skropioną obficie wydzieliną gruczołów łzowych Aprikoza, a jeszcze wcześniej, gdy pochylałem się nad abażurem lampy, przysłanej dla Żory w darze z nieba. I gdy wachałem swoje palce po walce ze spowijającą ów gadżet błoną. Ten sam śwąd, lekko zmodyfikowany, czułem, dźgając nożem bezbronne lampiony, wypuszczając z nich dusze i odcinając im drogę do zbawienia. Nie opuszczał mnie, gdy płukałem nóż i mydliłem me zbrodnicze ręce, aby posoka lampionów nie kalała ich dłużej i spływała jak najszybciej siecią kanałów, aby sześciała w konkurencji ze ściekami, którymi hojnie szafuje nasze miasto. Sądziłem naiwnie, że pozbyłem się tej woni, uciekłem od niej, ale ona zachowała się w mej pamięci, a teraz została przywołana, zmaterializowana jak wyrzut sumienia.

Fetor i szuranie przybliżyły się. Nie doczekałem się jednak naszego drogiego gościa. Szelesty w korytarzu przycichły i naraz w drzwiach kuchni pojawiła się Zora.

— Chodź, Papa. On goni resztkami. Coś musimy wykombinować.

Ruszyłem się od stołu, zgarniając po drodze z blatu cienką jak ołówek latarkę. Mniej więcej w połowie korytarza ciemna masa, zwalona byle jak pod ścianą, posapywała ciężko.

— Apriko... to jest Papa. Mówiłam, że przyjdzie.

— Cześć, Papa — wystękał Aprikosensaft. Głos miał nadspodziewanie mocny. — Po tym, jak się tu znalazłem, byłeś pierwszym człowiekiem, którego spotkałem... i tak wyszło, że będziesz też ostatnim.

— Sie masz, Apriko. Jeśli źle się czujesz, może trzeba wezwać pogotowie?

Jakby się zachnął. — Tutejsi lekarze nie poradzą na moje dolegliwości. Ja umieram, Papa. Zużyłem się... zepsułem przedwcześnie... i teraz muszę jakimś sposobem wyprowadzić się z tego świata.

Nie uważam się za wrażliwego faceta, ale po tej przemowie świeczki stanęły mi w oczach. To nie była poza, tylko przeświadczenie o własnej marności, która właśnie doprowadziła do smutnego finału. Głos jego wyprany był z kokieterii, tej, która każe bez sensu wykrzyknąć: „Chłopie, wyjdiesz z tego, jeszcze wypijemy niejednego litra!” Stałem bezradny, pełen współczucia i trwogi — nagle, zanim to sobie uświadomiłem, jakiś diabeł kazał mi unieść latarkę i nacisnąć przycisk.

— Skurwielu! — zawyła Zora, rzucając się ku światłu. Wytrąciła mi latarkę; światło mignęło po ścianach i zgasło. Ale i tak zdążyłem zobaczyć dosyć.

— Możecie zaświecić, jeśli macie ochotę — wymamrotał Aprikosensaft. — Mnie tam wszystko jedno. Właściwie niewiele już widzę.

— To po kiego grzyba...

— Ciszej, Papa — strofowała mnie Zora. — Przestań się wydierać. Nie jesteś w lesie. Wyłączyłam światło głównie ze względu na ciebie i na siebie. Jak zobaczyłam, co się stało z Apriko, nie miałam specjalnej ochoty więcej tego oglądać.

Starłem z czoła niezdrowy pot. Oddychałem szybciej. Aprikosensaft wyglądał dosłownie jak zombie. Nic nie zostało z jego urody wymuskanego efeba. W krótkim błysku latarki, przysłanej, jak się domyślałem, Poczta Lampionową, ujrzałem opuchniętą jak dynia głowę, z której sterczały wiehcie włosów — rzecz jasna tych, które jeszcze nie wy-

lazły. Rysy twarzy miał tak nabrzmiałe, że prawie nie doszukałem się wśród nich oczu, utopionych w tłustych rowach; wywinięta dolna warga odstawała od zdeformowanego oblicza, jakby zamierzała odpaść. Całe płaty skóry, zrolowane czy też zdrapane z policzków, czerepu i karku — widziałem to z góry — otaczały mu szyję jak kołnierz. Gmerał w nich machinalnie, a ich pasma ciągnęły się i rwały bezgłośnie. W tak krótkiej chwili nie można wiele zobaczyć, ale obraz wdrukowuje się w pamięć jak fotografia — zapamiętałem więc także wielki bebecch, wylewający się z mokrej koszuli. Musiał się chyba rozszczelnić, bo błyszczał jak pokryty olejem. Zaiste, Aprikosensaft słono płacił za kroczenie w glorii, kiedy się nań natknąłem. I ktokolwiek — Bóg, przeznaczenie, nieuleczalna choroba — wystawił mu rachunek, uczynił to w piorunującym tempie.

— Nie możemy tak stać bezczynnie — powiedziałem do Żory. — Trzeba wezwać policję. Albo przynajmniej karetkę.

— Ani się waż! — syknęła.

— Zora — tłumaczyłem łagodnie — z nim dzieje się coś, co nas przerasta. A jeśli to epidemia? Chcesz za dwa — trzy dni wyglądać tak samo?

Wyczułem z jej strony niepewność. Kobiety są bardziej czułe na punkcie swojego ciała i bardzo boją się przygód, które by mogły coś w nim zepsuć.

— To nie infekcja, Papa — odezwał się Aprikosensaft. — Nie epidemia. Możesz mi wierzyć albo nie. Prawda wygląda tak, że się rozpadam, Papa. Na kawałki. Nie da się tego zahamować... Ale poza smrodem i ogólnym dyskom fortem dla nas wszystkich niczym wam to nie grozi. Po wstrzymajcie obrzydzenie, bo ja umieram, Papa — powtó-

rzył. — Umrę w ciągu kilku godzin. Chyba byś nie chciał, będąc na moim miejscu, tłuc się w takiej chwili po furgonetkach, przewalany drągami z miejsca na miejsce... bo każdy będzie się obawiał dotknąć tego zdeformowanego cielska.

— To co proponujesz? — spytałem. — Masz jakiś pomysł?

— W tej sytuacji mogę mieć tylko prośbę... do was obojga. Nie chciałbym tu zostać. Narobię tylko nieporządku... już i tak porządnie wszędzie naświwiłem. No i co zrobicie z ciałem? — kaszlnął, jakby rozbawiony, ale zaraz spoważniał. — Pozwólcie mi chociaż na jedno: zdechnąć pod gołym niebem, tak żebym mógł zobaczyć gwiazdy... Pogoda dobra? Nie leje?

Podrapałem się po łbie z zafrasowaniem, którego nikt nie zarejestrował z powodu ciemności.

— Cholera jasna, Zora, to by znaczyło... Mamy go transportować na skwer przed blokiem? A jak nas kto zapyta, co to za pacjent? Policja tak czy owak zwali się nam na kark. Jeszcze bekniemy niewąsko.

— Tchórzysz, Papa? Nie na żaden skwer, bo to za daleko.

— Do okna bliżej? Drobną defenestracją?

— Nie kpij, bo nie ma z czego. Na dach. To tylko jedno piętro.

— Świetny pomysł. Zapewne prowadzą tam szerokie, wygodne schody, a sąsiedzi na wieść o naszym zamiarze zawczasu ewakuowali się, gdzie pieprz rośnie.

— Piętro wyżej są tylko dwa mieszkania. Schmidtowie chyba rzeczywiście gdzieś wyjechali, a Amarillo z żoną albo długo w noc oglądają swoje trzy tysiące kanałów na kablu,

albo piją, albo się dupczą. Nic ich nie obchodzi. Najpierw wydostańmy się na ich klatkę. Jakoś przebiegniemy, Papa — w jej głosie posłyszałem błagalny ton.

— Na dach pewnie prowadzi metalowa drabinka, wąska jak wszyscy diabli. Przynajmniej tak jest u mnie. Nad nią jest zabita na głucho kłapa? — zgadywałem. — Myślisz, że Apriko wejdzie tam o własnych siłach?

— Myślę, że nie. Trzeba mu pomóc. Po to cię wezwałam.

— Ja piórkuję — wyrwało mi się. — Nie mogłem to iść do baru, na balangę albo gdziekolwiek indziej...

— Papa — powiedział Aprikosensaft — byłbym ci do zgonnie wdzięczny... — zacharczał, zdając sobie sprawę, jak krótkotrwałe byłoby to uczucie — gdybyś mi pomógł pożegnać się z tym światem. Godność ma tu pewne znaczenie. Mnie już prawie nie ma wśród żywych. Odmówisz prośbie nieboszczyka?

— Odmówię! To jakieś szaleństwo. Uszczypnijcie mnie, niech się obudzę!

— Ja... obiecuję wejść o własnych siłach. Tylko trochę się oprę na tobie. Nie będziesz musiał mnie nieść. Widzisz przecież, że odpoczywam. Niedługo stanę na nogi.

— Akurat — mruknąłem.

— Papa — usłyszałem podwyższony z napięcia głos Żory. — Zgódź się. Wszystko przygotowałam. Oczekamy jeszcze godzinę czy dwie, aż się wszyscy pośpią... Mam linę i klucz do kłapy. Wciągniemy go jakoś.

— A jeśli nie damy rady? Wciągałaś kiedy osiemdziesiąt albo sto kilo na linie? Tylko na filmach odbywa się to bez wysiłku. A jak Apriko nie przetrzyma do tego czasu? Albo

jak nas kto zdybie na schodach? Co mu powiemy? Że to taka zabawa?

— Papa — odezwał się znowu Aprikosensaft — masz rację. Już i tak dużo dla mnie zrobiliście. Nie mam was nawet czym nagrodzić. Nie będę miał pretensji, jeśli mnie opuścicie.

— Ależ, Apriko, nie ma o tym mowy! Głowa do góry! — Nie wierzyłem, że to mówię. — Skoro twoim ostatnim życzeniem jest zostać wytransportowanym na dach, to my je oczywiście spełnimy.

Niesiony tym porywem szlachetności zostawiłem Zorę z Aprikosensaftem, a sam udałem się zbadać teren. Drabinka wyglądała mniej więcej tak, jak się spodziewałem: wąska, szczebelki cienkie jak dla dzieci. Z klapą nie musiałem nawet specjalnie się zмагаć: odskoczyła prawidłowo, trochę kurzu zazgrzytało mi w zębach i znalazłem się na dachu. Było względnie widno od miejskich świateł; poza tym trochę anten i kominów z ujściami przewodów wentylacyjnych. Nie śpieszyłem się na dół. Postąłem trochę, napawając się szumem odpoczywającego miasta, jak władca wszystkiego, co widzą oczy. Nawet z niewielkiej wysokości świat wygląda zupełnie inaczej, zyskując na dostojęństwie; to by tłumaczyło, dlaczego tylu świrów pcha się w góry. Sprawdziłem jeszcze, czy gwiazdy tkwią przyczepione na swoich miejscach, żeby Aprikosensaft był ukontentowany. Błyskały anemicznie, speszzone łuną miejską, stanowiącą coś w rodzaju świetlistej wybroczyzny, którą poci się miasto.

Kiedy wreszcie zlazłem, Zora targowała się właśnie z Aprikosem, który upierał się, że zostanie w korytarzu, bo mu tam dobrze. Wróciliśmy więc bez niego do kuchni,

by w ponurym milczeniu i utrzymujących się ciemnościach obalić flaszkę. Nie dało się nawet włączyć radia, ale cmentarny spokój naruszali liczni właściciele odtwarzaczy, które przeżywały renesans popularności. Na tym podkładzie Aprikosensaft chrząkał wciąż i cmokał, jakby coś żuł, ale w skoordynowany, planowy sposób, jak ekipa sprawdzająca systemy aparatury przed generalną próbą, to znów wydawał ciastowate odgłosy, jakby odpadł mu jakiś poślec, a on próbował przytwierdzić go z powrotem. No i nade wszystko śmierdział przeokrutnie, ale zobojętniałem i na to, pokrzepiając się myślą, że cały ten bałagan wkrótce się zakończy wyekspediowaniem problemu na dach. Sąsiedzi zachowywali się, jakby nagle potracili powonienie, ale solidne łomotanie do drzwi przyjąłbym jako rzecz normalną.

— Wiesz co, Zora? Władujmy go do wanny. Niech tam zdechnie i rozpadnie się do reszty. Jak się rozsypie na proszek, spłuczemy go do kanalizacji. A jak się nie rozsypie — bo niby czemu miałby to robić — przez dłuższy czas zajmujemy się peklowaniem mięsa. Albo będziemy je rąbać na poście i wywozić autem w celu spławienia rzeką.

Nie zareagowała. Wino się skończyło. Miałem właśnie zadać kluczowe pytanie, czy w lodówce nie ma następnej butelki, gdy z korytarza napłynęło ciche wołanie. Głos był tak odmienny od Aprikosowego lamentu, że wbrew logice sądziłem, iż zmaterializował się tam archanioł z jego plemina, wysłany mu na ratunek. Aprikosensaft gramolił się na nogi, kołyszac bryłową formą, jak gdyby chciał uniknąć nokautującego trafienia. Po małym treningu całkiem nieźle widziałem w ciemnościach, co prawda tyl-

ko pozbawione szczegółów zarysy, ale to wystarczyło dla zgrubnej orientacji. Postępując z wysiłku, denat zdołał ustać o własnych siłach, wspierając się o ścianę. Nie było z nim aż tak tragicznie.

— Zora i Papa — powiedział uroczyście i na swój sposób tryumfująco — jak widzicie, trochę przyszedłem do siebie. Ale to nie potrwa długo. Jak mamy dostać się na dach, mu simy ruszać jak najszybciej.

Przezwyciężając wstręt, wlałem mu pod pachę i złapałem za kłocowate ramię. Było jak z waty. Manewr poszedł jednak łatwiej, niż się spodziewałem. Wytoczyliśmy się na klatkę i tu po raz pierwszy dopisało nam szczęście — nikt nas nie zobaczył. Schody też sforsowaliśmy, chociaż od-poczywaliśmy na półpiętrze. Pod koniec tego etapu siły opuściły Aprikosa i musiałem prawie wlec go po posadzce; na widok drabinki zupełnie stracił rezon, dając znak, żebym go puścił. Z miejsca opadł na kolana.

— Przynieś linę, Zora. I trochę zimnej wody. Może go otrzeźwi.

— Wody nie — zaprotestował żywo.

Dotąd nie miałem okazji, żeby mu się szczegółowo przyjrzeć, bo nadal poruszaliśmy się w ciemnościach — wyłączniki na klatkach działały prawidłowo. Ale na dole ktoś właśnie wchodził lub wychodził; w blasku światła mogłem ocenić rozmiary destrukcji Aprikosensaftowego jestestwa. Nasz gość dosłownie rozlatywał się, walcząc już chyba tylko o to, żeby jak najdłużej utrzymać się w jednym kawałku. Lustrowałem go bez emocji, porządnie zmachany; raz wydało mi się, że złapałem jego spojrzenie, ale było to tylko złudzenie. Kontakt ze światem pragnął ograniczyć do

minimum, walczył sam, wewnątrz siebie o coś, czego nie pojmowałem i w czym reszta świata mu tylko przeszkadzała. Ubranie, kompletnie przesiąknięte, zamieniło mu się w cuchnący łachman; sądząc po fetorze, nie była to tylko wydzielina skóry.

— Nie chciałbym, Apriko, umierać tak jak ty — powie działałem. Intymność wspólnych doświadczeń dała mi tę śmiałość.

Opadł na czworaki i rozkaszał się, chyba ze śmiechu.

— Może będziesz umierał gorzej.

Światło zgasło, za chwilę dojrnęła Zora z liną. Zawiązałem mu ją pod pachami, czując, jakbym obwiązywał poduszki, i zmusiłem go, aby wstał. Zora asystowała, za wszelką cenę usiłując pomagać.

— Ty, Zora, będziesz go wciągać do góry. Nie da się po luzować węzłów, bo nam z nich wypadnie. Ja będę pchał od dołu. Słyszysz, co mówię, Apriko? — Wykonał ruch, który od biedy można było wziąć jako potwierdzenie. — Musisz zebrać wszystkie siły i wspiąć się tak wysoko, jak tylko zdołasz. Zrozumiałeś? Niestety, musimy zapalić światło.

To, co zajęło nam następne pół godziny, mogę określić tylko jednym słowem: koszmar. Aprikosensaft przypadł do drabiny z determinacją, jakby przymierzał się do sforsowania Golgoty. Zora ciągnęła linę bez wycucia, nie wtedy, kiedy trzeba, i ze zbyt małą siłą, ale nie liczyłem na znaczną pomoc z jej strony. W gruncie rzeczy chodziło tylko o to, by pomagała utrzymać go w pionie. Mój plan był prosty: podsadzić Aprikoza na drabinkę tak wysoko, jak tylko można, po czym wleźć pod niego i z takim ładunkiem na barach sforsować jakimś cudem wąską kłapę.

Nie mam pojęcia, jak to się udało. Im wyżej, tym bardziej Aprikosensaft przypominał bezwładny wór mięsa, a w luce wiodącej na dach kompletnie się zaklinował i musiałem natężyć wszystkie siły, aby go przepchnąć. Walczyłem rozpaczliwie, mając na względzie tylko jedno: żebyśmy nie opadli z powrotem, bo całą procedurę trzeba by zaczynać od nowa. Byłem kompletnie mokry, częściowo od własnego potu, a częściowo od kontaktu z oślizgłą wieprzowatą tuszą, której nawet nie można było porządnie uchwycić, bo przelewała się pod naciskiem. Apriko flaczał, nieustannie tracił spoistość, opuszczały go jakieś wapory; nie byłem pewien, czy nie ofajdał mnie podczas tych zmagania, bo fetor był straszliwy. We wszystkich opisach piekła, jakie czytałem, autorzy słabo eksponowali ten aspekt; tymczasem piekło to wieczny odór o niewiarygodnej intensywności plus fizyczny znój, tak że człowiek ma pewność, że zaraz wyrzyga duszę. Tak to sobie wyobrażam w najczarniejszych snach. Koniec końców obaliłem się obok klapy, odepchnąwszy to, co było Aprikozem, jak najdalej od siebie, gdzie upadło jak wór gałganów. Powietrze świszczało mi w krtani, a ciemność wokół pulsowała spazmatycznie: łup-łup, łup-łup, łup-łup.

— Żyjesz aby, Papa? — Z tego, że Zora pochylała się nade mną, nie nad tamtym, mogło wynikać, że to ja byłem bliższy wyzionięcia ducha.

Kiwnąłem głową, rżąc z wysiłku. Wbrew wszelkiej logice i prawdopodobieństwu wdrapaliśmy się na ten pieprzony dach, nikt nas nie zaczepił — a więc pełny sukces. Na wierzchu było jaśniej niż wewnątrz budynku, ale na ciemnej płaszczyźnie nie widziałem osobnika, przez którego wdaliśmy się w ten cały absurd.

— Gdzie Apriko? — zaskrzeczałem. — Spadł? — Chciało mi się wymiotować i całą siłą woli powstrzymałem falę mdłości.

— Tam — pokazała. Wytężywszy wzrok, dostrzegłem niewyraźną plamę pełznącą od luku ku środkowej części dachu, jakby zawczasu wytyczył sobie punkt docelowy. Mobilizując resztkę sił, dopadłem go i pochwyciłem linę, którą włókł za sobą — skazaniec, który zerwał się z postronka.

— Zaczekaj, Apriko — zacząłem ją odplątywać, podczas gdy on, nie zważając na moje zabiegi, parł do przodu po szorstkim podłożu jak ludzki ślimak, w którego się zamienił. Lina, werżnięta w ciało, nie chciała się rozsuptać, sam Apriko też mi nie ułatwiał zadania, jakby zupełnie go nie obchodziło, po co to robię. W końcu dopiąłem swego i wyrwałem linę, nie dlatego, bym ją chciał odzyskać, tylko dla odegnania skojarzeń z wisielcem.

— Apriko... już jesteś na dachu — powtarzała Zora. — Gwiazdy świecą... tak jak chciałeś...

Aprikosensaft nie zdradzał w żaden sposób, że odebrał ten ważny komunikat. Jęknął tylko i przyśpieszył pełzanie. Bardzo możliwe, że już wtedy niewiele kojarzył, ale jego wewnętrzny stan był wtedy ostatnią rzeczą, którą podjąłbym się rekonstruować.

— Zora, tam. — Pociągnąłem ją za rękę. Usiedliśmy pod kominem, którego mur, nagrany za dnia, przyjemnie promieniował w plecy. Aprikosensaft nagle zrezygnował z dalszego pełzania, bo szuranie ucichło.

— A jeśli umarł? — spytałem. — Co wtedy? Co zrobimy z ciałem? Trzeba było do wanny...

Nie słuchała. Pochyliła się do przodu, jakby chciała wystartować do biegu, i tak zastygła. Wór siana, w który definitywnie zamienił się Aprikosensaft, tylko pozornie dał za wygraną. Może swoim zwyczajem przegrupowywał siły, a może osiągnął cel. Gwiazdy nie interesowały go zupełnie. Ku swemu przerażeniu zauważyłem, że nadał się jak balon, a jego potężne brzuchozacząło fosforyzować tak, że wkrótce cały, oprócz rąk i nóg, emanował matowym, mdłym światłem. Zmiany zachodziły w nim wolno, ale dla nas czas przestał istnieć. Nie śmieliśmy drgnąć, wczepieni w siebie, śmierzdzący, zjednoczeni wspólną tajemnicą i misterium dziwacznej śmierci, jakie się przed nami rozgrywało.

Przez pewien czas Aprikosensaft wił się w konwulsjach, zupełnie jakby ktoś obcy próbował wydostać się z jego doczesnej powłoki, ale nie dawał rady. Cały efekt, który osiągnął, polegał na wydłużeniu się balonowatego torsu do rozmiaru sporej lodówki, do której doczepiono dla żartu kloce nóg i szmaciane rączęta. Tors wciąż pęczniał i zyskiwał na jasności, żarząc się już całkiem wyraźnie. Resztki wykwiutnego ongiś przyodziewku, zamienione w strzępy, spłynęły po obłości i ujrzeliśmy pergaminową półprzezroczystą powierzchnię, pod którą nie było już jelit, wątroby ni serca, jeno jakaś krzątanina i falowanie frakcji. Jeszcze się tam unosiły jakieś cienie, przebiegały prądy, obkurczały i popuszczały diafragmy, a wszystko w spokojnej, zaprogramowanej kolejności. Tuż pod powierzchnią owego pergaminu przebiegały różowawe sznureczki, zbiegając się w lokalnych centrach i odbijając od nich — w mniejszej już liczbie — na boki. Z niewiadomych powodów miałem wrażenie, że obserwuję kolejne stadia toczącego się logicznie

procesu, stopniowe meldowanie gotowości zespołów — aż stało się całkiem jasne, co było celem przeistoczenia naszego niedawnego gościa.

— Jezu, Zora — zachłysnąłem się. — Lampion! Nie odpowiedziała, trzęsąc się jak osika. Lampion, nie przejmując się naszą obecnością, targnął się raz i drugi. Był olbrzymem jak na swój gatunek. Próbował chyba oderwać się od dachu i nagle dostrzegłem, że odpadły odeń dwa ciemne kloce skróconych jak u grubasa nóg, a to samo nastąpiło wkrótce ze zredukowanymi, szczątkowymi rączkami. Tam, gdzie mieściły się wspaniałe genitalia Aprikoza, człon jak pyton i jaja jak arbuzy, powstał najwyższy punkt balonu, ozdobiony niewyraźną naroślą, kępką czegoś niekonkretnego, dodaną balonowi jak na ozdobę. Tym szczytem lampion właśnie wycelował w niebo, w świadkujące tej przemianie gwiazdy. Znów się szarpnął, lecz przy dachu trzymał go jak kotwica okrągły obciążnik. Zszokowany transformacją, jakiej uległ organizm Aprikoza, nie od razu uświadomiłem sobie, że to jego głowa. Aprikosensaft, czy raczej to, w co się zamienił, został odwrócony zadkiem do góry, a głową w dół i zamieniony w lampion, co było mu pisane od samego początku.

Lampion zaś, stercząc już pionowo, w pozycji startowej, wciąż jeszcze coś w sobie przestawiał, szarpiąc się na uwięzi jak ciężarowiec, który przymierza się do sztangi, ale bez pewności, że ją dźwignie. Przyszło mi do głowy, żeby skoczyć w ostatniej chwili, porwać go, zdusić, przeszkodzić w tej marszrucie do nieba — lecz po pierwsze, nie miałem noża, a po drugie, byłem zbyt stłamszony przeżyciami ostatnich godzin.

Nagle zrobiło się tyle światła, że zaczęły łzawić mi oczy. Lampion, wspaniały, monumentalny, buchnął feerią barw, nadał się jeszcze bardziej, spał po raz ostatni i powoli, majestatycznie oderwał się od dachu, obciążony dla stateczności ciemną kulą głowy jak balon gondolą. Ta głowa uległa zresztą najmniejszej metamorfozie i od biedy można się było w niej dopatrzeć ludzkich rysów, zdeformowanych upiornym oświetleniem od strony szyi. Zamieniony w pojazd stratosferyczny Aprikosensaft przesunął się wolno przed naszymi oczami jak startująca rakietka — i znikł.

Nad ranem, kiedy gwiazdy bladły, odważyliśmy się zejść na dół.

VIII

Zbudziłem się z nieprzyjemnym uczuciem, że w mieszkaniu oprócz mnie przebywa ktoś obcy. Jeszcze w półśnie sły-
szałem szelest przewracanej gazety. Aprikosensaft wrócił? Powoli uniosłem powieki. Szelest rozległ się znowu, bez żadnych wątpliwości, realny jak sto diabłów. Towarzyszyło mu całkiem wyraźne chrząknięcie.

Starając się zachowywać cicho, wyskoczyłem z łóżka; po drodze złapałem szlafrok. Istotnie, w kuchni rozsiadł się za stołem nieznajomy mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie ciemny garnitur, a złożoną gazetą postukiwał niecierpliwie o blat.

— Kim pan jest i co pan tutaj robi? — Staralem się, aby wypadło to bardziej jak wybuch, ale udało mi się osiągnąć tylko zdumienie.

— Luke Rheinehart z Urzędu Ochrony Konstytucji — przedstawił się. Wsadził rękę do wewnętrznej kieszeni i mignął płytką ze zdjęciem. — Czekałem, aż pan się obudzi.

— Bardzo jestem wdzięczny. — Sarkazm także słabo mi się udał. — Jak się pan tu dostał?

Obrócił na mnie jasne oczy wypełnione czystą niewinnością.

— Nie było zamknięte. Wygląda na to, że nawet w nocy drzwi pańskiego apartamentu stoją otworem. — Uśmiechnął się leciutko, samymi kącikami ust. — Rzadko spotyka się aż tyle zaufania do bliźnich.

Zastanawiałem się, co odpowiedzieć. Było jasne jak słońce, że skurczybyk sforsował jakimś sposobem obydwie zamki. Zawsze na noc zamykałem przynajmniej górny — ale tym razem może mi się zdawało.

— Niech pan się ubierze i coś przetrąci — poradził. — Niestety, o dzisiejszym planie dnia będzie pan musiał zapomnieć. — Popchnął w moją stronę kartkę papieru leżącego na blacie. — Oficjalne zaproszenie.

Przez moment wpatrywałem się w urzędowe podpisy i pieczęcie.

— A jeżeli odmówię?

— Nie radziłbym — poruszył się w krześle. — Będą nieprzyjemności.

— Możecie mi skoczyć... — wymamrotałem na wszelki wypadek i poszedłem do łazienki. Wpatrywałem się w lustro, jakbym chciał dociec, jakie cechy mego odbicia

spowodowały wzrost zainteresowania mą skromną osobą czynników oficjalnych.

— Zje pan coś? — spytałem po powrocie do kuchni. Nie podnosząc wzroku, bazgrał coś w notesie. — To może chociaż kawy?

— Kawa może być.

Nalałem z dzbanka do dwóch kubków i z resztek, które wygrzebałem z lodówki, zmontowałem coś o względnych walorach spożywczych.

— Można? — sięgnąłem po gazetę.

Tak więc ja czytałem sobie i jadłem, a Rheinehart zapisywał złote myśli. Nie patrząc na siebie, przepijaliśmy kawą. W gazecie było jak zwykle o naradach politycznych, aferach i wypadkach drogowych, ale w specjalnym dodatku biznesowym pojawiły się analizy, do czego może doprowadzić strumień darmowych dóbr z przestrzeni kosmicznej. W kątku na dole dodatku, ale wciąż na jego pierwszej stronie, rozpoczął się artykuł o szkodliwym wpływie darmochoy od Ligi Pięciu na ludzkie zdrowie i życie. Przeskoczyłem na kolumny sportowe i poświęciłem im znacznie więcej zainteresowania.

— No, no — skomentowałem głośno — Hidegkuty wbił Arminii trzy gole. A wydawało się, że nic z niego nie będzie.

— Panie Papadopoulos — powiedział surowo Rheinehart — jeśli ma pan jakieś spotkania na dzisiaj, proszę je poodwoływać.

— Nie będzie mnie cały dzień?! — wykrzyknąłem. — Kto mi zwróci dniówkę?

Podniósł się sztywno i podziękował za kawę. Umyłem naczynia, trochę pokręciłem się to tu, to tam, zastanawiając

się, co włożyć i co zabrać. W końcu zdecydowałem się na tę samą kurtkę co zwykle i wsadziłem ręce w puste kieszenie. Po zamknięciu mieszkania miałem w nich tylko klucze.

BMW Rheineharta rwało przed siebie z cichym szmerem opon. Próbowałem sondować, czego też może chcieć ode mnie Urząd Ochrony Konstytucji, lecz Rheinehart zbywał moje indagacje uwagami, że wszystkiego dowiem się w swoim czasie.

Wydostaliśmy się na wylotówkę i już pomyślałem, że obierzemy kierunek na Drezno, ale samochód po niedługiej jeździe skręcił ku ukrytym w lesie wieżyczkom przypominającym sekretny pałacyk zbudowany przez majątnego arystokratę dla metresy. Na posterunku obok ciężkiej kutej bramy drażał w ciemnym uniformie zaszalutował Rheinehartowi, na co ten nawet nie zareagował. Wtoczyliśmy się na podjazd i otrzymałem znak, żeby wysiadać.

Rheinehart prowadził jak po sznurku, przecięliśmy westybul o lśniących posadzkach i po marmurowych schodach z czerwonym chodnikiem i drewnianymi poręczami o złotych gałkach wspięliśmy się na piętro. Minęliśmy kilkoro nieoznakowanych drzwi, Rheinehart pchnął kolejne, które także niczym się nie wyróżniały. Znaleźliśmy się w zwyczajnym sekretariacie z tlenioną blondyną za biurkiem, otoczoną półkami segregatorów. W nosie miała srebrny pierścionek. Jej włosy kontrastowały przyjemnie z takim samym uniformem, jaki nosił jegomość przy bramie.

Pogmerała trochę przy przyciskach osłoniętych przed moim wzrokiem pudełkowatym występem, który ukrywał także jej ręce. Uśmiechając się czarownic powiedziała w po-

wietrze, że przesyłka właśnie dotarła. Przez komunikator w uchu nasłuchiwała krótkiej dyspozycji.

— Komisja czeka — zwróciła się do Rheineharta. — Możecie już wchodzić.

W okrągłym salonie stało kilka krzesel ze składanymi pulpitami, otaczających ustawione centralnie miejsce ze stolikiem: szklanym blatem na metalowych nóżkach. Od razu dokonano prezentacji: Hólwirth, Plichta, Kopfwasser, Suder i Rónning. Rozsiadłszy się, przyjrzałem się mężczyznom, do których należały te nazwiska, a których nasze wejście zastało w trakcie przyjaznej pogawędki. Przez podniesione rolety wdzierało się światło dnia, stłumione koronami buków; po kierunku padania promieni na gałęzie zorientowałem się, że znajdujemy się w zachodniej części budynku.

— Panie Papadopoulos — zagaił Hólwirth, łysawy mężczyzna około sześćdziesiątki, gdy już się wszyscy usadowili — jak pan wie albo się domyśla, działamy z ramienia rządu. Zostaliśmy powołani jako komisja do wyjaśnienia tajemniczych fenomenów i wydarzeń, które miały miejsce w ostatnim czasie. Liczymy na pańską pomoc. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zadamy panu kilka pytań.

Milczałem. Wziął to chyba za przyzwolenie, bo kontynuował:

— Od jak dawna znajduje się pan na terytorium Bundesrepublik?

— Od urodzenia.

— Czyli?

— Od dwa tysiące siódmego roku.

— Rodzice pańscy przyjechali z Grecji.

— Tak.

— Gdzie są teraz?

— Matka po rozwodzie wróciła **do Grecji, ojciec, o ile wiem**, pozostał w Niemczech.

— Utrzymuje pan z nim kontakty?

— Sporadycznie.

— Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami. — Może dlatego — zawahałem się — że podświadomie obwiniam go o doprowadzenie do rozbicia rodziny.

— Jak wygląda pański status edukacyjny? — spytał z boku czarniawy przystojniak. Na skroniach zaczynał już siwieć. Spojrzałem nieprzytomnie, więc uznał za stosowne uściślić: — Jakie studia pan skończył?

— Ma pan przecież moją teczkę — machnąłem w jego kierunku. — Tam wszystko jest.

— Proszę odpowiadać.

— Komparatystykę na Uniwersytecie w Bochum.

— Co to jest, do diabła?

— Odmiana filologii.

— Pracuje pan gdzieś etatowo?

— Nie.

— A pracował pan?

— Jakoś nie było mi dane.

I tak to szło. Zastanawiałem się, co by się stało, gdybym na któreś z pytań odmówił odpowiedzi. Ale na razie nie wykazywali przesadnej dociekliwości.

— W porządku — rzekł łysawy, najwyraźniej przechodząc do sedna. — Co pan wie o tak zwanych lampionach?

— Niewiele. Tyle co wszyscy. Widziałem audycję Ligi Pięciu w telewizji. — Już się zorientowałem, gdzie ich boli.

Zresztą nie trzeba było **geniusza, żeby się od początku domyślić.**

— Co pan o nich sądzi?

— Sprytne urządzonek. Ciekawa technologia.

Popatrzyli po sobie bez żadnych emocji. Dwaj skrajni z prawej strony coś poszeptali do siebie.

— Używał pan ich? — Tym razem pytającym był facet o profesorskim wyglądzie: koszula z krótkimi rękawami, dżinsy, dociekliwy błysk w oku. Ale poza strojem nie było w nim nic z młodzieźowca.

— Tak.

— Zgodnie z przeznaczeniem?

— I tak, i nie.

— Co pan przez to rozumie?

— Trochę na nich eksperymentowałem. Takie małe próby niszczące... żeby się przekonać, co się stanie, gdy postąpić niezgodnie z instrukcją. Miałem też nadzieję, że dowiem się, jak działają.

— I dowiedział się pan?

— Nie.

Wątkowaliśmy kwestię lampionów z godzinę, aż w salonie zmienił się układ świateł i cieni. Łysawy zarządził krótką przerwę, a znana mi już dziewczyna w uniformie wniosła napoje na srebrnej tacy. Postawiono przede mną szklan-kę.

— Panie Papadopoulos — zaczął znowu łysawy. On tu rządził. — Nie muszę panu chyba przypominać, że jako lojalny obywatel Bundesrepublik i Unii Europejskiej jest pan zobowiązany mówić prawdę i tylko prawdę.

— Co to jest prawda? — wyrwało mi się.

— To, co wydaje się panu obiektywnym stanem rzeczy — rzekł szybko profesorek.

Łysawy tylko zamachał ręką z niezadowoleniem.

— Co pan robił w dniu... — odczytał z kartki datę sprzed trzech dni — we wczesnych godzinach wieczornych i w nocy?

— Byłem u mojej znajomej.

— Nazwisko?

— Zora Spess.

— I coście razem robili?

— To, co zwykle robią zorientowani heteroseksualnie młodzi ludzie, kiedy osiągną pewien etap zażyłości.

— A mianowicie?

— Wolno panom zagłębiać się tak szczegółowo w kwestie bądź co bądź prywatne i intymne? — Raz kozie śmierć, pomyślałem. Przekonajmy się, ile wiedzą.

— Niestety, panie Papadopoulos, musi pan zaakceptować, że wolno nam zadawać pytania bez żadnych ograniczeń. Tego wymaga interes państwa. A zatem? Co robiliście z Zora Spess?

— Udaliśmy się do łóżka.

Przysłuchujący się mężczyźni poruszyli się niespokojnie.

— Panie Papadopoulos — rzekł łysawy ze znużeniem w głosie — przed chwilą obiecał pan uraczyć nas czymś choćby zbliżonym do prawdy. Nie wiem, czemu pan tej obietnicy nie spełnia. Do łóżka nie mogliście pójść, bo ktoś w nim już leżał.

— Zora Spess ma kilka łóżek do dyspozycji. Jest osobą zamożną.

— Czemu pan mnie nie słucha, panie Papadopoulos? — łysawy podniósł głos. — Komisja nasza może pana oskarżyć o utrudnianie wyjaśniania kwestii wagi państwowej. Możemy pana wsadzić do więzienia o zastrzonym rygorze.

— Proszę o kontakt z adwokatem — palnąłem.

— Luke, weź go na dół i daj mu wycisk. Tylko żeby mógł potem gadać.

Staralem się uśmiechnąć.

— Panowie, tak nie można — zachnął się milczący dotąd osobnik, którego na własny użytek nazwałem doktorkiem.

— Takie rzeczy nie uchodzą nawet jako żart...

— Jeżeli jeszcze raz usłyszę podobną groźbę, nie dowiecie się nawet, jaki mam numer butów — oświadczyłem butnie.

— To klasyk. Pytanie za sto punktów: który?

— A to pan zna? — odezwał się milczący dotąd Rheinehart. — Szliśmy tak blisko siebie, że przypominaliśmy trójwarstwowy sandwich.

— Ręce do góry, przyjemniaczku! — wykrzyknąłem. — Zobaczmy, czy dosięgniesz do sufitu! Panie Rheinehart, uratował pan honor tego zgromadzenia.

— No, dosyć tych przekomarzań — rzekł zrzędliwie łysawy. — Przepraszam za mój żart i kontynuujmy. Nie interesuje nas w najmniejszej mierze, drogi panie, ile Zora Spess ma łózek ani co lub kogo w nich trzyma, tylko interesuje nas bardzo osobnik, którego pan do niej przyprowadził.

— Nikogo nie przyprowadziłem.

— Pozwolę sobie mniemać co innego. Dalej: interesuje nas niezwykle, czym się ów osobnik przez cały czas pobytu u Żory Spess zajmował i w jaki sposób zniknął. Powiem

panu w sekrecie, że dysponujemy zeznaniami licznych świadków, w tym doniesieniem sąsiadów z klatki, o niebywałym smrodzie, jaki w tym czasie zapanował w bloku. Do dziś, mimo dezynfekcji, nie udało się tam porządnie wywietrzyć. Następnie mamy zeznania państwa Schmidt i Amarillo, że taszczył pan w wielkim znoju podługo-waty tłumok, który zapakował pan do bagażnika samochodu.

— Nie mam samochodu.

— To by się nawet zgadzało: w mieście tego wieczoru skradziono samochód o opisanych nam cechach charakterystycznych. Z tłumokiem w bagażniku oddalił się pan w bliżej nieznanym kierunku.

— Nie mam nawet prawa jazdy — zełgałem bez zmruczenia oka.

— Dochodzi zatem bezprawne kierowanie pojazdem mechanicznym. No, co pan na to?

Nie było rady, opowiedziałem wszystko po kolei. Wybacz, Zora. W końcu nie musiałem czuć się zobligowany do lojalności wobec Aprikoza.

Już w trakcie składania relacji widziałem, jak oczy rozszerzają się im z niedowierzania. Kiedy skończyłem, w szacowne zgromadzenie jakby piorun strzelił.

— Powiedział pan, że osobnik nazwany... — doktorzek pochylił się ku zapiskom — Aprikosensaftem wspomniął coś o Plutonie... W jakim kontekście to uczynił?

— Rozmawialiśmy o tym, skąd przybył. Sądziłem, że to dowcip.

— A jeśli nie? Jeśli ich fabryki znajdują się o czterdzieści jednostek astronomicznych od Słońca?

— Pas Kuipera — mruknął Suder.

— Tak. To by rozwiązywało naraz kilka kwestii. — Doktor wyciągnął przed siebie pięć i stopniowo rozprostowywał palce. — Zacisznego miejsca, w którym można swobodnie działać i w którym nie możemy ich niepokoić. Olbrzymich ilości surowca do produkcji. Równie olbrzymich ilości odpadów poprodukcyjnych.

— Co niby jest tym surowcem, pańskim zdaniem?

— Tamtejsze góry lodowe. Planetoidy i komety.

— Ale do produkcji organicznej potrzeba przede wszystkim węgla. W kometach lodowych nie ma go za wiele.

— Węgiel jest w asteroidach. W chondrytach węglowych na przykład.

— Chondryty i asteroidy węglowe występują bliżej centrum Układu.

— Niekoniecznie. Zdania są podzielone. Pas Kuipera to obszerny magazyn, gdzie można znaleźć wszystko.

Przysłuchiwałem się wymianie zdań przez fachowców beznamienne, zadowolony, że dali mi spokój.

— Dobrze, niech będzie Pas Kuipera. W jaki sposób zatem rozwiązują kwestie logistyczne — na taką odległość? Powiem panom, że podziwiam ich zdolność szybkiego reagowania na zamówienia składane za pomocą Poczty Lampionowej. Wiecie panowie chyba, ile czasu zajmuje przebycie czterdziestu jednostek?

— Nam, ale nie im.

— Dobrze, a co z energią? Do takich przedsięwzięć potrzeba jej w gigantycznych ilościach. Chcąc ją pobierać na przykład ze Słońca, trzeba by przetwórnice zorganizować jak najbliżej.

— Myśle — odezwał się Rheinehart — że przykładamy do ich poczynań nasze ziemskie miary, które okazują się nieodpowiednie. Jeżeli ich technologia umożliwia takie operacje, które dla nas lokują się w sferze technologicznych cudów, to zachowujemy się jak małpa podskakująca do księżycy.

— Co pan przez to rozumie? — zainteresował się przewodniczący.

— Że pozostają dla nas niedosiężni. Jak księżyc dla małpy.

Zapanowało przygnębiające milczenie. Każdy trawił wizję przybyszów z kosmosu, którzy nie dość że nie wyciągają do nas pomocnej macki i nie kwapią się do wymiany osiągnięć, to w dodatku ich dziwacznym poczynaniom ludzkość nie jest zdolna niczego przeciwstawić.

— Panowie — powiedział doktorek — bez fatalizmu. Może mamy rację, może nie. Nie przyjmujemy a priori żadnego rozwiązania. I może na razie skoncentrujemy się na czymś bardziej realnym: zadaniu, jakie miał do spełnienia ów Aprikosensaft.

— Sądzi pan, że był szpiegiem?

— Nie. Przy ich możliwościach mogą obejrzeć z góry każdą piędź ziemi dokładniej niż znaczek pocztowy. Bez zwracania niczyjej uwagi.

— Ale może ziemia ich nie interesuje, tylko stosunki międzyludzkie?

— Właśnie. Jeśli nawet Aprikosensaft był szpiegiem, to przecież wypatrywał nie obiektów strategicznych ani rozlokowania sił szybkiego reagowania, tylko wystąpił w roli sondy zanurzonej w ludzkość. W ten jej wycinek,

który — tak się złożyło — stanowili pan Papadopoulos — skinął głową w moją stronę — i pani Zora Spess.

Nie byłem pewien, czy nie kpi.

— Jak na sondę był sprzętem dość tandetnym i krótkotrwałym. Miał w związku z tym mały zasięg — zauważyłem. — Ponadto jak na szpiega zanadto rzucał się w oczy.

— Ale jednocześnie proszę zauważyć, co ze sobą zabrał po zakończeniu misji, w akcie malowniczego wniebowzięcia? No? — Doktorek rozglądał się z tryumfem. Potem dowiedziałem się, że właśnie on nazywał się Kopfwasser.

— Jakieś próbki, kłaczki, pamiątki? Fatałaszk? Nie! Zabrał głowę. Odpowiednik dysku twardego z zapisem wszystkiego, co zobaczył i przeżył.

— Do czego pan zmierza?

— Że materiał szpiegowski zapisany na owym twardym dysku nie usprawiedliwia takich ofiar. Takich nakładów. Takiego ryzyka.

— Może wynika to stąd, że nie za bardzo wiedzą, czego szukać? Ich poczynania wydają się naiwne, bo na razie, póki nie zdobędą odpowiednich kompetencji, działają na ślepo? Owszem, dysponują niezmiernie sprawną technologią o wielkich możliwościach, ale stosują ją bez odpowiedniego rozeznania. Zanim je uzyskają, muszą wykonać trochę ruchów w ciemno.

— Nie wydaje mi się, żeby rozkręcili tak ogromną i energochłonną maszynę bez należytego rozeznania i przygotowania. Przeciwnie, z pewnego punktu widzenia ich akcja wydaje się wyśmienicie obmyślana i zorganizowana, skoro trafia w najczulsze miejsce systemu społeczno-gospodarczego.

—Globalizacja im się nie podoba?

—A cóż dobrego jest w globalizacji? — wyrwał się czarniawy przystojniak. — To tylko chytry pomysł państw zamożnych, by eksploatować kraje zacofane ich własnymi rękoma.

—Kolego Rónning — rzekł z wyrzutem przewodniczący — nie przyszliśmy tu na dyskusje politologiczne.

—Przepraszam — zgłosił się ten w dzinsach. — Chciałbym się dowiedzieć od pana Papadopoulosa, czy po tajemniczym gościu nie pozostały jakieś rzeczy? Coś osobistego, aparat do golenia, szklanka, z której pił... Nie wpadliście państwo na pomysł, żeby zrobić sobie z nim zdjęcie?

—Nie znałem go aż tak blisko — stwierdziłem — ale chyba się nie golił. To znaczy wtedy, jak zobaczyłem go po raz pierwszy, w fazie rozkwitu. Rzeczy osobistych bodaj nie miał — tylko to, co na grzbiecie. O zdjęciach nic nie wiem, ale tu pewności nie mam. Nie u mnie rezydował.

—Może by zatem sporządzić portret pamięciowy? — nastawał profesor, zwracając się bardziej do przewodniczącego niż do mnie. — Póki nasz młody przyjaciel jako tako go jeszcze pamięta. Już wyjaśniam. Moje rozumowanie idzie tak oto: sklonowanie czy też wyprodukowanie dorosłego osobnika wymaga lat, człowiek rośnie jednak wolniej niż bambus. Nie chce mi się wierzyć, aczkolwiek wykluczyć tego nie mogę, w techniki takiego przyspieszania podziału komórek, by w parę tygodni otrzymać z zygoty dojrzałego osobnika, w dodatku napakowanego informacją. Poręczniej chyba sięgnąć po gotowego osobnika i odpowiednio go spreparować.

—Jak szczura — odpowiedział Rónning. — Dla was, genetyków, nie ma żadnych świętości.

Plichta parsknął z przymusem.

— Ależ zapewniam pana, że są, i to w o wiele większej liczbie, niż pan sobie wyobraża!

— Panowie — napominał ich przewodniczący. — Profesorze, może by tak do konkluzji?

— Oczywiście. Otóż pomyślałem sobie, że o ile użyto tego drugiego sposobu, który wzbudza taką awersję u kolegi Rónninga, czyli przekształcenia fenotypu osobnika odłowionego specjalnie do tego celu — przy okazji: gdzież pewność, że oni traktują nas inaczej niż szczury? — to można by rozesłać gdzie się da rysopis i wizerunek tego Aprikosensafta.

— List gończy?

— Jak zwał, tak zwał. Może ktoś go rozpozna? Może znajdzie się rodzina, w której zginął bez śladu ktoś podobny?

— Wygląd zmienić najłatwiej.

— Rysy twarzy — owszem. Ale już wzrost, sylwetkę, konstytucję ciała — o wiele trudniej.

— Mówił pan jednak, że podlegał znacznym przekształceniom — wiercił dziurę w brzuchu Kopfwasser. — Więc: albo — albo. Jeśli podlegał, i jeśli znacznym, to jego pierwotny wygląd jest nie do odtworzenia. Szukanie wśród zaginionych... wie pan ilu ludzi ginie bez śladu w kraju takim jak Niemcy? Od ośmiuset do tysiąca rocznie. Ale oczywiście rysopis, portret pamięciowy sporządzić trzeba, i to jak najszybciej. Zawsze to jakiś konkret.

— Może rozpoznamy w nim kogoś znajomego?

— Sądzę — rzekł doktorek, pomijając ostatnie pytanie — że starając się odzyskać głowę Aprikosensafta — temu, drogi panie Papadopoulos, służyło owo wleczenie na dach,

w czym nieświadomie udzielił pan pomocy — jego konstruktorzy niewiele dbali o tak zwane dane wywiadowcze. Moim zdaniem pragnęli ocalić inny rodzaj zapisów: tych będących wewnętrznymi charakterystykami mechanizmu. Ponieważ jak wszystko, co na razie do nas ekspedują, był tylko mechanizmem. Ale mechanizmem nowego typu, i to pierwszym. — Odczekał chwilę bodaj dla efektu i dodał: — Był prototypem.

— No cóż — westchnął Rheinehart. — Jeśli ma pan rację, to następní archaniołowie wśród nas są tylko kwestią czasu.

IX

Cholera, zapaliłbym papierosa. Gdybym kiedykolwiek palił. Pociągnąłbym z piersiówki — gdybym miał ją przy sobie. Na tym wyczerpywała się lista standardowych reakcji, okazywanych przez detektywów twardzieli w obliczu nie posuwającego się do przodu śledztwa. Ale dlaczego poczuwałem się do roli Philipa Marlowe'a, który mozolnie, z nikłych poszlak dogrzebuje się prawdy?

Bo zniknęła Zora. Postawiono przede mną zadanie, żeby ją odnaleźć. Poniekąd sam je przed sobą postawiłem.

Właściwie nawet nie było to zadanie. Powiedzieli po prostu: niech pan tam idzie i rozejrzy się. Może coś żeśmy przeoczyli. Towarzyszyły temu wszelkie oznaki — ton głosu, wyraz twarzy — świadczące, że to absolutnie wykluczone, bo przesiali, prześwietlili wszystko, ale dla pewności, dla

spokoju sumienia zwierzchników wysłał jeszcze i tego nie-
dołęgę na dokładnie pozamiatany teren.

Wiedziałem od komisji, że samochód Żory jest na parkingu. Już sam ten fakt przesądził, że się nim nie interesowałem. Zostawiając go, Zora postąpiła sprytnie jak sam Winnetou: auto łatwiej namierzyć niż człowieka. Nie miałem kluczyków, a moi nowi mocodawcy mi ich nie dali. Byłem jednak pewien, że dostali się do środka i obejrzeni wszystko centymetr po centymetrze, od wycieraczek pod nogami po zapasowe koło. Ale Zora jako osoba zapobiegliwa musiała gdzieś schować zapasowe kluczyki.

Dysponowałem natomiast kluczami do mieszkania i do kłapy na dach — w ferworze wydarzeń zapomniałem go zwrócić. Po odprawieniu Aprikosensafta w podniebną podróż i zejściu z dachu, na wciąż miękkich nogach udaliśmy się do mnie. Dalsze przebywanie wśród ścian, o które obijał się dogorywający lampioniarz, w miejscu przeznaczonym jego świeżą martyrologią, wydało nam się odstręczające.

Drogę pamiętałem słabo; zdaje się, nie odezwaliliśmy się do siebie słowem. Skonfundowani jak para winowajców pozbyliśmy się z ulgą cuchnących szmat i po bardzo prowizorycznej toalecie, wczepieni w siebie kurczowo, zasnęliśmy na cały Boży dzień. Po południu oczywiście kąpaliśmy się na wypródki, żeby pozbyć się ostatnich śladów kontaktu z Aprikosensaftem, jedliśmy, bo nagle dopadł nas apetyt. Zażyliśmy też ździebko seksu, choć wszystko nadal wydawało się naznaczone wonią spalonych mokrych skór. Zora prała nasze ciuchy, przesiąknięte Aprikozową gehenną.

— Co z tym zrobimy, Zora? — spytałem, gdy znowu znaleźliśmy się w łóżku.

— Niby z czym?

— No, z tym, co widzieliśmy. Co wiemy. Jeszcze nas oskarżą o współdziałanie w przestępstwie.

— Aleś ty strachliwy, Papa. Jeśli chodzi o mnie, nie zamierzam robić nic. Nie jestem donosicielem.

— To nie ma nic wspólnego...

— Właśnie, że ma. Do jakiej lojalności czujesz się zobligowany? Wobec kogo? Podoba ci się porządek, w którym para przyzwoitych ludzi, jak ty i ja na przykład, musi węgutować na marginesie — i tylko od czasu do czasu otwiera szeroko japy na widok tego, co się wyprawia? Tego chcesz bronić? Status quo? A niechże sobie różne Aprikozy zstępują z nieba i chodzą po ziemi całymi tabunami, a potem ponownie wzlatają w glorii i tym oświeceniu jak z lunaparaku, głównie mnie to obchodzi.

— Ale ludzkość...

— Ludzkość mi zwisa i powiewa. Możesz jej to oznajmić, jak ją spotkasz.

Zasypiałem, debatując nad tym wyznaniem. Ludzkość się na nas wypięła, mianowała nas pariasami tego społeczeństwa — za cóż mielibyśmy jej być wdzięczni? A jednak tkwiło we mnie mocno zakorzenione poczucie lojalności, zainstalowane nie wiadomo jak i przez kogo, podobne do niewzruszonego aksjomatu. Dopiero Zora sprawiła, że poczucie to zachwiało się w posadach, mówiąc wytwornie, zakolebało się przynajmniej na tyle, że zdałem sobie sprawę, że je w ogóle posiadam. Debatując nad poczuciem, nad tym, kto swój, kto obcy i komu człek taki jak ja jest coś winien, zapadłem w niespokojny szarpany sen, pełen otchłannych przepaści. Już, już miałem w nie wpadać, ale w ostatniej

chwili czepiałem się Żory, mimo woli spostrzegając, że i ona w ten sam sposób korzysta z mojej obecności — i tak oto wspomagając się wzajemnie, dobrnęliśmy do kolejnego świtu.

Przy śniadaniu Zora oświadczyła, że wybiera się do siebie trochę posprzątać. Doprowadzić dormitorium do ładu — tak to ujęła.

— Pójdę z tobą — zaoferowałem się bez entuzjazmu.

— Lepiej nie. Dam sobie radę. Tylko byś zawadzał.

Było chłodniej, więc dałem jej jedną z moich koszul.

Wbiła się w wilgotne tu i ówdzie spodnie — i już jej nie było. Ja zaś zostałem, bijąc się z myślami, łącząc tam i z powrotem po przekątnej pokoju, kładąc się na łóżku i wzdychając boleściwie, jak na największym kacu. Pod wieczór decyzja była prawie gotowa: ożenię się z Zora. To, że mało kto się teraz żenił, nie było argumentem. Już chwytałem za telefon, żeby jej to zakomunikować, kiedy naszło mnie spostrzeżenie, że tak ważny dla nas obojga akt należałoby wyrazić w bardziej uroczystej formie. Kwiaty, bławaty, te rzeczy. Postanowiłem zaczekać do jutra.

Jak to nie należy z niczym zwlekać. Moje jutro miało twarz kapitana Rheineharta z Urzędu Ochrony Konstytucji. Oczywiście żałowałem. Może bym ją jeszcze zastał. Może ucieklibyśmy we dwoje. Zawsze to różniej.

Na wizytę w dormitorium Żory wybrałem wczesne popołudnie, zanim mieszkańcy bloku wrócą z pracy albo ockną się po sutym obiedzie. Początkowo kombinowałem, że z powodów, dajmy na to, metafizycznych, lepiej by się wybrać o zmierzchu, w porze wizyty poprzedniej. W ten sposób — mniemałem — udałoby się może odtworzyć

tamtą atmosferę, gdy brzemienisty lampionem Aprikosensaft gotował się do startu w rejon stratosfery. Co by to dało, nie wiedziałem z góry, ale koncepcja podobała mi się z racji podtekstu romantycznego: nie mędrca szkiełko ni oko będzie decydować, ale czucie i wiara ludu. Jeśli chciałem znaleźć element, który coś wyjaśni, to równie dobrze mógł mieć charakter materialny, jak psychiczny: wrażenie, odczucie. Jednakże sceptyk, który czuwał we mnie cały czas, wyśmiał tę koncepcję jako artystowską i dającą znikome widoki na sukces. No, a łączyć do apartamentów Żory wyłącznie ze względów sentymentalnych wcale mi się nie chciało. Niewykluczone, że jedynym zyskiem byłoby bolesne rozbudzenie rozszalałych z rozpaczy zmysłów. Jak to ująć w raporcie?

Zacząłem od tego, że odziałem się stosownie do roli: nie kurtka, ale bury, znoszony płaszcz, którego od dawna nie miałem na sobie. Na nogi stare adidas. Zmieniłem także uczesanie: zlikwidowałem przedziałek i całą czuprynę zagarnąłem do tyłu. Ponieważ włosy uparcie wracały na swoje miejsce, namaściłem je rozcieńczonym szamponem (łatwiej będzie zmyć po akcji, powiedziałem sobie) i przyklepałem do czaszki czapkę z wyhaftowanym po staroświecku napisem „Blind Pig”. Gdy ją zdjąłem, na wierzch wylazło białe, wypukłe czoło, którego eksponowanie wydało mi się niestosowne. W końcu zdecydowałem się iść w czapce, ale za to bez okularów, które już leżały przygotowane na stole.

Tak odmieniony rychło znalazłem się przed blokiem Żory i ledwie musnąwszy wzrokiem tył niebieskiego auta na parkingu, skierowałem się do drzwi wejściowych. Były zastawione paką dostawczego furgonu z napisem

UNITRA na burcie; osobnik w niebieskim uniformie rygłował właśnie tylne drzwi. Obok piętrzyła się sterta kartonów po produktach Grundiga i Blaupunkta. Przez nikogo nie niepokoiony wspiąłem się na drugie piętro, ale ku własnemu zaskoczeniu minąłem drzwi Żory i skierowałem się do wyjścia na dach. Tu jednak opuściło mnie szczęście: na klatce ujrzałem panią Schmidt z panem Amarillo, którzy wbili we mnie zaciekawiony wzrok, jakby się tu ze mną umówili i zamierzali wytknąć mi spóźnienie. Drzwi do ich mieszkań były pootwierane i krzatali się tam jacyś ludzie. Tajna policja nie daje za wygraną?

— Dzień dobry — powiedziałem uprzejmie. — Czekają na mnie państwo?

— O, pan Papadopoulos — odezwał się Amarillo. — Do Żory Spess piętro niżej.

— Z grubsza wiem, gdzie mieszka — mruknąłem — ale dziś idę okrężną drogą. By the way: podobno rozpowiada pan po okolicy, jakoby wynosił po nocy zwłoki owinięte w dywan i rozwoził je samochodami?

Popisał się najczarowniejszym uśmiechem chytrego Azjaty.

— To nie był pan? — Mój mars musiał mu uświadomić, że nie kupuję żartu, więc natychmiast spowaźniał. — Nic takiego nie mówiłem. Choć między nami mówiąc, działa się tu ostatnio rzeczy zastanawiające. Czuje pan? — pociągnął znacząco nosem.

— Nie.

— Wietrzyliśmy, ile się dało, psikaliśmy dezodorantami... tymi legalnymi, oczywiście.. Bo cuchnęło jak wszyscy diabli.

— Myślałam, że nos mi odpadnie — poskarżyła się pani Schmidt.

— I odkryliście państwo, co to tak śmierdziało?

— Dozorca Hackenfliiger mówi, że padlina. Ale ja wyraźnie wyczuwałam spaleniznę.

— Dlaczego stoją państwo na korytarzu? Goście nie pozwalają wchodzić?

— Ach, znów się pan myli. To nie ci, o których pan myśli. Tamci już skończyli. Po prostu nabyliśmy z panią Schmidt trochę sprzętu elektronicznego z wyprzedaży. Telewizory naścienne, tapety dźwiękowe, takie tam... Sklepy i hurtownie rozdają za bezcen. Nie słyszał pan o tej wielkiej akcji? Nie widział billboardów?

— Wierzą państwo, że jeszcze będzie co odbierać?

— No, jakże inaczej? Przecież to wszystko — powiódł ręką w szerokim geście, obejmującym głównie przestrzeń zewnętrzną — nie będzie trwać wiecznie.

— Dobrze — straciłem cierpliwość. — Proszę się odsunąć, bo właśnie wybieram się na dach.

— Tam nic nie ma — rzekł Amarillo. — Czego pan tam szuka?

— Wykonuję zadanie o znacznym stopniu złożoności. No, proszę mi nie utrudniać.

— Już tam była ekipa przed panem. I to niejedna — zakomunikowała konfidencjonalnym szeptem pani Schmidt. — Siedzieli cały dzień. Taszczyli jakieś elementy metalowe... rury albo statywy, sama nie wiem...

— Montowali teleskop do automatycznego skanowania nieba — wyjaśniłem. — Niebu musimy teraz poświęcać znacznie więcej uwagi. Właśnie idę zmienić kasetę.

Spojrzeni na mnie jak na wariata.

— Naprawdę. Chyba nie sądzicie państwo, że łażenie po dachach to moje hobby?

— Dozorca Hackenfliiger coś o tym wie? — zaniepokoił się pan Amarillo.

— Jasne. O wszystkim informujemy go na bieżąco. Dał mi nawet ten oto klucz do klapy.

Właząc po drabince, której sforsowanie bez Aprikoza na plecach okazało się fraszką, zdążyłem pomyśleć, jaki byłby obciach, gdyby nie pasował. Mogli przecież wymienić zamek. Ale mechanizm przeskoczył gładko i wieko odwalilo się zapraszająco. Pan Amarillo i pani Schmidt spoglądali z dołu z zafascynowaniem. Miałem ochotę pokazać im język.

W świetle dnia powierzchnia dachu wydawała się zwyczajna do przesady. Goły beton pomiędzy wieżyczkami wentylacyjnymi tworzył szarobure placyki. W nierównościach gromadził się kurz. Gdziekolwiek beton przecinały stare linie pęknięć i świeże rysy, jakby ktoś włókł po nim ciężkie metalowe elementy. Rozejrzałem się: żadne resztki po Aprikosensafcie się nie zachowały. A co byś chciał? Zaruszonych rączęt i nóżek — gdy spece od zabezpieczania śladów wszystko przebobrowali? Może unieśli je tryumfalnie w foliowych workach jako corpus delicti? Wydawało mi się to mało prawdopodobne, skoro już na naszych oczach, czyli Żory i moich, gdyśmy siedzieli porażeni przeistoczeniem Aprikoza, zbędne resztki po tym synu gwiazd rozpadały się w piorunującym tempie. Wprawdzie w porannej szarówce, po nieprzespanej nocy, zdolność obserwacyjna maleje, ale gdy przełamaliśmy pancierz paraliżu, co nas opanował,

odrzucone przed startem człony Aprikoza przypominały lalczynie kończyny. Byłem przekonany, że po godzinie czy dwóch pozostały po nich tylko kupki popiołu organicznego pochodzenia, które nad ranem zwiął wiatr.

Zbadałem beton w pobliżu klapy. Był czysty, chropowaty, jak to beton, opłukany przez deszcz i wyglansowany przez wichry. Mocodawcy Aprikoza dobrze to rozegrali: zaraz po naszej rejteradzie z dachu zerwała się wichura, a nim dobrnęliśmy na Fundamentstrasse, lunęło jak z cebra. Kiedy się zbudziliśmy, świat był obmyty i radosny. Kto chce, niech oskarży pogodę o zacieranie śladów.

Poszukałem wzrokiem miejsca, gdzieśmy wraz z Zora zażywali wytchnienia, podczas gdy Aprikosensaft zajęty był bez reszty przepoczwarzaniem się w lampion. Tak, tu.. Podwinąłem pod siebie płaszcz i usiadłem, czując jak wtedy za plecami stateczny mur. Teraz bez ceregieli zamierzałem zastosować uproszczonego Stanisławskiego: wczuwamy się, wtapiamy w siebie i tym prostym sposobem cofamy w czasie o kilka dni. Łowimy przeszłe odczucia całym sobą. Więc to tu stary Apriko zrywał się do lotu. Szło mu, trzeba przyznać, niesporo. Beton w tym miejscu wydawał się jakby ciemniejszy. E, zdawało mi się. W końcu bezmyślne gapienie się w szarawy kawałek podłoża znudziło mnie i zdekoncentrowało. Wciągnąłem w płuca rześkie miejskie powietrze i zamknąłem oczy, żeby się zastanowić.

Z zadumy wyrwał mnie kopniak w podeszwę buta. Otworzyłem oczy.

— Nie ma pan lepszego miejsca do spania czy co? — rzędził osobnik, który musiał być dozorcą Hackenflugerem. — Sto razy mówiłem, że tu nic nie ma.

— Ja nie śpię.

— A co pan robi? Psu na buty te wasze metody.

— No, no — powiedziałem niekonkretnie. — Nigdy nie zawadzi rzucić okiem tam, gdzie rozegrały się ciekawe epizody. A pan, panie Hackenfliiger? Nic pan nie zauważył dziwnego?

— Same dziwne rzeczy. Na przykład dziwacznie odziany osobnik na publicznym dachu. Pan tu mieszka? Nie przypominam sobie — udzielił odpowiedzi, zanim sam to zdołałem uczynić. — No, schodzimy na dół. — Trącił mnie w ramię. — I poproszę o klucz.

Wręczyłem mu go. — Wie pan, że Zora Spess zniknęła?

— Tak, pytali o nią.

— Szukam jej. Kiedy **pan** ją widział po raz ostatni?

— Dawno. Z tydzień temu. Mówiłem już. Niewiele panu pomogę.

Obejście pokojów Żory niewiele mi dało. Do sypialni tylko zajrzałem: łożo porządnie zaścielone, nakryte, jakby z miesiąc nie było w użyciu. Dywaniki jak pod sznurek. Służby zostawiły wszystko tak, jak zastały. Na szafkach różne drobiazgi. Brakowało tylko jednego.

Przeszukałem z grubsza całe mieszkanie, boć to nie igła, ale nie znalazłem. Lampa zniknęła wraz z Zora.

Rozsiałem się w kuchni. Zmierch zapadał tym szybciej, że dzień był ponury od chmur i frasunku, a kuchnia ciasna. Siedziałem właściwie już po ciemku. Z szuflady wygrzebałem latarkę, tę cienką jak ołówek, i drugą, grubszą, z rękojeścią opancerzoną jakby żółwią skorupą. Choć tylko lufcik pod sufitem był uchylony, straszna woń męczeństwa

Aprikoza zdążyła się ulotnić. To, co wyczuwałem, sprowadzało się do mieszaniny dymu i czegoś trudno uchwytnego — jakby owoców albo liści, ale nie wiedziałem, jakich. Kadzidło? Woń umieli degradować równie dobrze jak zbędne ręce i nogi.

Wciąż siedziałem bez ruchu, nawet nie zdjąłem płaszcza. Raz czy drugi przełożyłem obie latarki na stole. No, popatrz, powiedziałem sobie, tak kombinowałeś, żeby trafić tutaj 0 innej porze niż ostatnio — nie udało ci się. Trzeba by jeszcze obejrzeć ściany. Ale jeśli coś na nich osiadło, ekipy już to zeskrobały do foliowych woreczków.

Poza tym, powiedziałem sobie, obiektem twej troski jest Zora, nie jakiś przybłąda z Pasa Kuipera. On interesuje cię tylko jako ślad, który może do niej doprowadzić.

Lecz ślad urywał się na dachu. Wobec tego nie pozostawało nic innego jak siedzieć i czekać.

Na co?

Pomyślałem, że mógłbym sobie zrobić herbatę. Zamiast tego wziąłem latarkę ze stołu i puściłem snop światła w ciemny przestwór za drzwiami. Nikt tam oczywiście nie czyhał, ale przypomniało mi się, jak czekaliśmy z Zora, aż się Apriko spręży. Gdzie był teraz? Czy w ogóle jeszcze gdzieś był? Czy może — myśl ta spadła niespodziewanie jak piorun — był z Zora? Wrócił po nią i zabrał ją albo ostrzegł?

Ten wyjątkowo przykry kawałek rozważań dobrze tłumaczył tajemnicze zniknięcie Żory. Przypuśćmy, że wysłała ode mnie — ach, czemuż nie uparłem się, by jej towarzyszyć — i po drodze napotkała jegomościa precudnej urody, który uchylił kapelusza i przedstawił się: „Apriko jestem”. I zaraz podał jej ramię. „Przelećmy się gdzieś dla rozrywki,

na przykład do Pasa Kuipera", zaproponował. „Chętnie, tylko wezmę lampę", Zora na to.

Przecież to bez sensu.

A jeśli byli umówieni? To by tłumaczyło, czemu nie życzyła sobie, abym jej towarzyszył. Tylko kiedy zdążyła posprzątać?

Musiało być inaczej: Zora dobiła do domu bez przeszkód, posprzątała, zrobił się wieczór. Odkurzyła lampę. Włączyła — patrzy, a tu Apriko siedzi jak żywy. „Duszeńko, powiada, jestem jak obiecywałem. To co — w drogę?"

Słaby punkt: człowieka nie sposób zrobić od nowa w ciągu niecałych dwóch dni. Chciałem w to wierzyć z całej siły. Człowieka — nie. A jeśli regeneracja lampioniarza trwa krócej? Dochodzi kwestia zorganizowania mu kolejnej ekspedycji. No, zaczyna jednak brakować czasu. Taka operacja to nie w kij dmuchał.

Chyba że od razu jak doleciał, gdzie trzeba, wzięli ten jego cudownie ocalony łeb w obroty, przegrali zawartość w kolejny — kto wie, ile ich tam czeka w gotowości — potem aktywacja, parę testów, spadochron, kask i kopniak w dupę. Znowu na ziemię, Apriko, a spisz się lepiej tym razem. Wtedy on — buch! — do Żory, Zora — łap! — za lampę — i tyle ich widziano.

Prawdę mówiąc, nie widział ich nikt. Ani razem, ani nawet samej Żory.

To może tak: Zora wraca. Sprząta. Duma. Włóczy się z kąta w kąt. Postanawia wyrzucić śmieci. Zapala ulubioną lampę i światło tej lampy sprawia, że doznaje iluminacji. Przecież to jasne jak słońce, że jutro, pojutrze stawią się tu odpowiednie służby. Skąd się dowiedzą i czego — ich

sprawa. Zaczną dociekać, wypytywać, naciskać, sugerować niestworzone rzeczy. Lepiej znikać. Więc torba, do niej parę par majtek, spodnie, skarpety, sweter. Lampa na sam wierzch, żeby nie ucierpiała. Teraz tak się urwać, żeby nikt nie zauważył. W tym celu kilka zabiegów kosmetycznych — może ostrzygła włosy. Ufarbowała w szamponie. Wiedziałem, że nie ma w pobliżu bliskiej rodziny. Samochód odpada z definicji. Wzięła taksówkę? Tak, ale dopiero w pewnej odległości — i pojechała do koleżanki z gimnazjum albo z zespołu cheerleaderek. Posiedziała u niej dzień czy dwa — i podążyła dalej. Póki nie rozesłano listów gończych. Z czym teraz są jednak pewne trudności. Ech, Zora, Zora. Same kłopoty przez ciebie.

PEŁZAJĄCA REWOLUCJA

LIPIEC 2032

X

Kolejne wynalazki Ligi Pięciu sprezentowane ludzkości w krótkim czasie odmieniły oblicze świata. Pierwszym z długiej listy była rzecz podobna z wyglądu do zmniejszonej suszarki do włosów: rękojeść plus lufa z ozebrowanym wylotem, co dawało pewność, że żadnych pocisków miotać to nie będzie. Ale promienie czy inne paskudztwo — owszem.

— Oto aparat, który wprowadzi pokój pomiędzy skłóconych przedstawicieli panującego na Ziemi gatunku — zachwalał w telewizorni Tangel Ulosque w nieodłącznym brązowym garniturku, objaśniając działanie pistoletu. — To jest część wylotowa, którą należy wycelować w osobnika zachowującego się agresywnie, względnie wykazującego złe zamiary wobec nas albo naszych bliźnich. W momencie naciśnięcia cyngla — pokazał hakowaty występ w kącie złączenia lufy z rękojeścią — zostanie w jego stronę wyemitowana fala uśmierzająca gniew i wprowadzająca

go w stan zdeprymowania. Aparat sam oceni zagrożenie i dobierze wiązkę optymalną do wywołania skutecznego efektu.

Tym razem w studio towarzyszyła mu czeredka zaproszonych gości, bacznie obserwujących jego poczynania. Tworzyły ją dwie kobiety, młodsza blondynka i starsza brunetka, oraz trzech panów: nastoletni chłopak, zażywny osobnik w sile wieku, wyglądający na biznesmena, i niezmiernie chudy starzec o siwych włosach i sępm spojrzeń. Biznesmen był łysy, chłopak raczej szczupły, senior zaś wysoki i przygarbiony. Blondynka miała duży biust, nosiła się krótko, natomiast brunetka odziała się w workowate czernie i brązy, mające zamaskować jej tuszę. Na szyi dyn-dały jej korale w krzykliwym karminowym kolorze. Potem ktoś skomentował, że tak Liga Pięciu wyobrażała sobie przekrój społeczeństwa oraz jego typowych przedstawicieli. Zapomniałbym dodać, że chłopak był Murzynem, a starsza kobieta wyglądała na Latynoskę. Biznesmen prezentował się trochę jak Azjata.

Jak się rychło okazało, zostali zaproszeni po to, aby w imieniu widzów zadawać pytania.

— Jaką nazwę nosi to urządzenie? — zapragnęła wiedzieć blondynka.

— Nie mamy dla niego nazwy i nie stosujemy żadnej, zdając sobie sprawę, że różne kręgi kulturowe nazwą go po swojemu. Możecie państwo nazywać go jakkolwiek: łagodziciel, uśmierzacz, obezwładniacz, moderator, peacemaker — tu uśmiechnął się nieznacznie do jakichś dalekich skojarzeń — sędzia pokoju, rozjemca, dekoncentrator, wybijacz-złych-zamiarów-z-głowy, usypiacz, niwelator,

a nawet psychogaśnica. Można nadać mu imię, jak Eustachy, albo przydomek w rodzaju Czysty Harry. Wszystkie są jednakowo dobre, gdyż na dobrą sprawę nic od nich nie zależy.

— Kto będzie mógł posługiwać się urządzeniem? — tym razem głos zabrał młody Murzyn. Pytania zadawali na stojąco, więc widzowie mogli sobie obejrzeć krok jego spodni na wysokości kolan.

— Każdy, nie wykluczając dzieci. Jest to aparat całkowicie bezpieczny, dysponujący specyficzną acz ograniczoną inteligencją. Jego zadanie polega w pierwszym rzędzie na rozpoznaniu psychicznych właściwości tego, kto po niego sięgnie z zamiarem użycia. Jeśli uzna je za niewystarczające do podejmowania decyzji o zastosowaniu go przeciw innemu człowiekowi — po prostu odmówi posłuszeństwa. To samo — odmowa działania — nastąpi wobec braku zagrożenia. Nikomu nie uda się użyć aparatu przeciw sobie — nie można przecież wykluczyć prób stosowania go do celów samobójczych.

— Jaki jest zasięg skutecznego rażenia przez aparat? — zainteresowała się Latynoska. Wyglądało, że ktoś ustalił wcześniej kolejność występowania.

— Dlaczego rażenia? — skrzywił się prowadzący. — To takie źle kojarzące się słowo...

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że ten aparat głaszcze?

— Chcę i powiem. Dla potraktowanego ładunkiem z naszego urządzenia nie wynikają żadne złe konsekwencje. Nie zachoruje ani w inny sposób nie zaszkwankuje na zdrowiu. Nawet nie odczuje tej interwencji w sposób bardzo przykry, popadając tylko w rodzaj odrętwienia czy też odurzenia...

— Może właściciel będzie mógł aplikować sobie tym urządzeniem lubieżne energowstrząsy? — wtrąciła jadowicie brunetka.

— Nie. Uboczne stosowanie dla przyjemności jest wykluczone. Nie takie jest jego przeznaczenie. Pytała pani o zasięg. Wynosi on około dwudziestu metrów.

— Pytanie dodatkowe: czy aparat poskutkuje wobec kilku przeciwników? Dam przykład: widzę, że szykuje się zbiorowy gwałt. Co mam zrobić?

— Skierować wylot urządzenia na osobnika, który wyda się pani przewodorem lub zachowuje się najbardziej agresywnie. Ładunek rozprzestrzenia się zgodnie z prawami fizyki, obejmie więc też osoby znajdujące się w pobliżu. Jeśli napastnicy są rozproszeni, trzeba poczęstować ładunkiem każdego z osobna. Gdy tworzą na przykład wachlarzyk czy szereg, *można razić ich w sposób ciągły*, przesuwając wylot urządzenia płynnym ruchem od jednego do drugiego.

Do zadania pytania rwał się już biznesmen.

— Dobra, dobra — powiedział, a w jego głosie rozbrzmiał sceptycyzm. — Interesuje mnie, czy w ferworze uśmierzania agresywnych skłonności krzywdzicieli nie ucierpi osoba krzywdzona? Przecież i jej dostanie się część ładunku.

— Tak, to nieuniknione. Jednak i sam ładunek działa do pewnego stopnia selektywnie. Będzie co prawda oszłamiona i z lekka odrętwiała, jak każdy w przypadku tak traumatycznego przeżycia, jednak generalnie wyjdzie bez szwanku. Będzie mogła podejmować racjonalne decyzje i działania, na przykład odejść spokojnie do domu.

— Prawdę mówiąc, bardziej interesuje mnie co inne: jak właściwie działa to urządzenie? Jaka jest jego war-

tość handlowa? Jakie przewidujecie państwo formy dystrybucji?

— Zasad działania ani szczegółów konstrukcji przedstawić panu nie mogę. Nie dlatego, żebym nie chciał — po prostu ich nie znam. Jedno nie ulega wątpliwości: jest to urządzenie skomplikowane, a mimo to skuteczne. Nie wątpimy, że będzie się cieszyło znaczną popularnością. Co do form dystrybucji: chciałby pan pewno mieć wyłączność, co? Nic z tego — zaśmiał się, ukazując drobne ząbki. — Jego rozpowszechnianiem zajmie się tylekroć już sprawdzona nasza Poczta Lampionowa. Zgodnie ze znaną procedurą składamy zamówienie, nie zapominając umieścić w kieszonce drobnego elementu pochodzącego z organizmu zamawiającego. Pozwoli to na identyfikację — następnego dnia o tej samej porze urządzenie będzie już do odebrania w tym samym miejscu.

— Nie to miałem na myśli — wtrącił kłótliwie biznesmen. — Wiadomo, że na taki rarytas każdy chciałby mieć monopol. Chodzi mi też o gwarancje, że fala z emitera naprawdę nie zdemoluje kogoś, kto dybie na nasze zdrowie i życie. Rozumie pan — chciałbym wprawdzie, aby taki napastnik poniechał agresywnych zamiarów, ale nic ponadto. Żeby na przykład nie dostał pomieszania zmysłów ani amnezji na całe życie.

— Już zapewniałem, że interwencja urządzenia jest absolutnie bezbolesna i nieszkodliwa, ale chętnie powtórzę. Nie ma mowy o żadnych destrukcyjnych skutkach — oznajmił radośnie Tangel Ulosque — aczkolwiek działanie urządzenia polega na czasowym zakłóceniu pola psychicznego napastnika. Własny zamiar wydaje mu się najpierw nieistotny,

a po sekundzie czy dwóch wręcz o nim zapomina i odchodzi zaambarasowany czym innym. Jego myśli są w stanie mętliku, nie na tyle jednak dotkliwego, aby zakłócić jego orientację w rzeczywistości. Oddała się, próbując ze sobą dojść do ładu i przypomnieć sobie jakąś niewyraźną myśl czy pragnienie, podobnie jak nad ranem z trudem przypominamy sobie strzępki snu. Kiedy stan ten ustępuje — bo nigdy nie trwa długo — nasz intruz znajdzie się daleko od miejsca konfliktu. Jeśli nie wykaże chęci oddalenia się, my sami będziemy mieli wystarczająco wiele czasu, by się stamtąd ewakuować.

— Wystarczająco — czyli ile? — dociekała blondynka.

— Wystarczająco. Urządzenie samo decyduje, jaką dawkę dobrać. Raz wystarczy parę minut, innym razem potrzeba będzie i pół godziny, zwłaszcza jeśli napastnik jest uzbrojony.

— Teraz ja — powiedział chudy jak tyka starzec. Nosił wąsy. Ubranie wisiało na nim jak kapota na strachu na wróble, choć na oko wszystko miał w dobrym gatunku. — Co się stanie, jeśli dojdzie do pojedynku dwóch zuchów wyposażonych w takie urządzonek, ha? Wycelują je w siebie, nacisną cyngle — paf! — i co?

— Nie będzie żadnego paf. Ani pif. Nic się nie stanie. Urządzenia porozumieją się ze sobą, uzgodnią ocenę stanu rzeczy i po prostu nie odpalą. Pamiętajmy, że są to aparaty inteligentne, dysponujące rozeznaniami w sytuacji. Jeśli jednak ocenią, że jedna ze stron jest zagrożona bardziej, zadziała tylko jedno z nich, powodując u strony przeciwnej nagłe a niespodziewane ustanie agresywnych zapędów i chęci do rozwiązań siłowych.

— Czyli możliwości nadużycia funkcji urzędnika, wykorzystanie go do celów niegodziwych, w ogóle nie wchodzi w grę?

— O tym nie mogę zapewnić. Jest to urządzenie obciążone zawodnością. Tej zawodności można jednak nie brać pod uwagę. Gdybyśmy nie wierzyli, że urządzenie jest prawie doskonałe, nie oferowalibyśmy go jako regulatora skomplikowanych bądź co bądź stosunków społecznych. Tytułem uzupełnienia dodam, że każdorazowa próba manipulacji przy urządzeniu, badania, jak działa czy jak zostało zbudowane, udoskonalanie go własnym sumptem — spowoduje wyłączenie jego funkcji. Kto zamierza bawić się naszym aparatem, majstrować przy nim, eksperymentować, a nawet używać bez wyraźnej potrzeby, ten go po prostu zepsuje. Musimy zrozumieć, że urządzenie to nie służy do rozrywki. Należy po nie sięgać w ostateczności. Nie podczas kłótni z sąsiadem albo z żoną, nie do karcenia psa, ale gdy zagrożone wydaje się nam własne bądź cudze życie albo zdrowie.

Oglądałem te materiały w siedzibie komisji, gdy nie miałem wiele do roboty, czyli przez większość czasu. „Pan będzie naszym kontrolerem, który wychwyci być może to, co przeoczą fachowcy”, powiedziano mi. „Zresztą w dziedzinie inżynierii lampionowej nie ma fachowców — ma pan szansę stać się jednym z nich”. Pod tą niby zachętą kryła się decyzja o usunięciu na margines, gdzie de facto pozostawałem od początku.

Przeglądałem więc nagrania, powtarzając wielokrotnie niektóre fragmenty. Szukałem dziwaczności, niezgodności elementów, niekonsekwencji — wierzyłem, że coś podpowie

mi intuicja. Najpierw wybrałem kadr z psychogaśnicą — taki, na którym urządzenie prezentowało się najwyraźniej. Porównanie z suszarką do włosów wydawało się na miejscu, oczywiście pominąwszy kabel i wtyczkę, których nie było. W miejscu złączenia rękojeści z lufą konstruktorzy przylepili po obu bokach owalne okładziny, które wtopiły się w konstrukcję, wzmacniając ją i poprawiając estetykę. Oczywiście zaletą był brak zapotrzebowania na prąd; psychogaśnicą ładowała się sama, czerpiąc ergi i waty ze światła, a bodaj i z tak podłej odmiany energii jak ciepło. W dotyku — zapewniaли testujący — sprawiała przyjemne wrażenie; miało się po prostu ochotę posiadać ten przedmiot, trzymać go i jak najczęściej pozostawać z nim w kontakcie. Postanowiłem, że gdy tylko Liga Pięciu roześle lampiony, złożę zamówienie jako jeden z pierwszych.

W wywód komiwojażera w brązowym tużurku zostały wplecione powtórki ze znanej już instrukcji ekspediowania lampionów. Trochę przyglądałem się osobom zadającym pytania i na podstawie ich zachowania, sposobu mówienia i innych ulotnych czynników doszedłem do wniosku, że żadnej z nich nie spotkam na ulicy. Z prostego powodu: zostały wykreowane „komputerowo”, oczywiście przy użyciu techniki o nieba przewyższającej żalosne podrygi naszej informatyki. Pod koniec dnia byłem pewien, że także prowadzący program był wirtualnego pochodzenia, ale nie miałem na to dowodów oprócz niekonkretnego odczucia, więc w raporcie, jaki byłem obowiązany składać na zakończenie pracy, sformułowałem oczywisty wniosek, że w najbliższym czasie należy się spodziewać kolejnej inwazji lampionowej i kolejnego szału zamówień.

— I co pan radzi? — spytał Rheinehart, gdy skończył czytać te parę oczywistych linijek.

— Organizowanie kampanii sprzeciwu czy wydawanie zakazów mija się chyba z celem — zacząłem.

— Dlaczego?

— Mało czasu, duże koszty, niska efektywność spodziewana. Liga Pięciu i tak przeforsuje swoje, bo ludzie nie posłuchają zakazów. Tyle lat wychowywaliście masy na posłusznych konsumentów, więc teraz zbieracie owoce.

— Co za wy? Ja nie wychowywałem — mruknął.

— Ani ja. Zresztą może grają na zwykłej pazerności ludzkiej. Ludzie wolą coś mieć, niż nie mieć, nawet jeśli nie wiadomo, na co się to przyda.

— Tak, lepiej mieć... niż być. — Wydawał się myśleć o czym innym. Potem wielokrotnie miałem sobie przypominać tę przenikliwą uwagę.

— Poza tym — tokowałem zadowolony, że ktoś wreszcie pozwala mi się wygadać — myślę, że zdobycie paru takich aparacików byłoby korzystne z tego względu, żeby się im przyjrzeć.

— Przecież zakazali majstrowania przy nich — udał zdziwienie.

— A pan co by zrobił na ich miejscu? Dołączył schemat konstrukcyjny i komplet narzędzi do demontażu?

— Nie, pewnie, że nie — zaśmiał się jakby z ulgą. — Nie udaję wobec pana żadnego pięknoducha, więc powiem to, co i tak obaj wiemy albo się domyślamy. Nasze laboratoria bez przerwy opukują te ich gadzety. Dobierają się do nich to z tej, to z tamtej strony. Jak dotąd za każdym razem rezultat jest tak samo jednostajny i przygnębiający: zostaje

nam w ręku rzadkie błoto, **błyskawicznie degradujące się** do substancji najprostszych.

Któregoś dnia czekała mnie niespodzianka: drzwi się otwarły i stanął w nich nie kto inny jak mój ulubiony kolega Winczorek, który od pewnego czasu nie dawał znaku życia.

— Ach, to tu się ukrywasz! — zakrzyknął, zanim padliśmy sobie w ramiona. Był trzeźwy, co nie rokowało dobrze.

— Nie ukrywam się. Pracuję — oświadczyłem z godnością. — Jak mnie znalazłeś?

— Ma się te sposoby — odparł wymijająco. — Chodź na powietrze, pogadamy o starych znajomych.

Wokół Hoflburga rozciągał się park, który rzeczywiście prezentował się imponująco: stare dęby, buki i lipy, gdzieś tam siwe oko jeziora. Dla mnie, człowieka nawykłego do miejskich murów, obcowanie z tymi wiekowymi drzewami i z tym krajobrazem było przeżyciem samym w sobie. Kiedy znaleźliśmy się z Winczorkiem pod zielonym baldachimem, przez pewien czas w ogóle go nie słuchałem.

— ..coś ty myślał — że policja o nas nie wiedziała? Cały transport kompsognatów capnęli pod Lipskiem pod pretekstem zwykłej kontroli drogowej, ale wpadł tylko wynajęty kierowca furgonu, bo skośni jechali osobno. Zaraz potem łapnęli mnie; naciskali, żeby sypać, bo i tak wszystko mają rozpracowane. Jak to oni. Ja na to idę w zaparte, a oni mi zdjęcia na stół. Wiesz, co mnie najbardziej zaszokowało? Ich jakość. Jakby fotograf stał obok.

— Mnie też nacisnęli — mruknąłem niechętnie. Zrelacjonowałem pokrótce, jak Rheinehart wziął mnie na stronę i pouczył, że lepiej będzie, jak się zgodzę na współpracę, bo

policja ma na mnie kwity i gdy je ujawni, wyjdą na wierzch rozmaite ciemne sprawy. „Na przykład jakie?” — zapytałem hardo. „Przerzut nielegalnych imigrantów. Nielegalne pozyskiwanie artefaktów pozostałych po byłej NRD... oczywiście do handlu. I jeszcze inna drobnica. Ale choćby tego, co wymieniałem, wystarczy”. „Żeby mnie posadzić?” „Żeby panu uprzykrzyć życie. Wystarczy dyskretnie przycynkować skośnym, że to pan poinformował policję, a nie opędzi się pan od kłopotów”. „Ale to kłamstwo!” „Nie będą tego tak szczegółowo dociekać. No, co pan wybiera?”

— Wobec takiego dictum — łypnąłem na Winczor-ka — zgodziłem się piorunem. Próbowałem jeszcze targować się o gwarancje, ale mnie wyśmiali.

— Nie miałeś wyjścia. Każdy by się ugiął. Najważniejsze, że ktoś nas sypnął. Może od początku mieli wśród nas wtyczkę.

— Zwariowałeś? Paru łebków gromadzi się, żeby sobie popić i pogadać, a oni im od razu instalują wtyczkę? To nie STASI, dziś są subtelniejsze sposoby.

— No, może. Widziałeś ostatnio Recknagla?

— Nie, a ty?

— Też nie. Podobno wyniósł się do Berlina. No, głowa do góry.

— Dobrze ci mówić. Najbardziej przygnębia mnie to, że podpisałem cyrograf w takim momencie, kiedy stary porządek chwieje się i odchodzi do lamusa. To tak, jakby w ostatnim dniu wojny dołączyć do armii kłęski. Zaciągnąłem się na służbę u bankrutującego pana, więc trudno spodziewać się kokosów. Prędzej czy później przyjdzie nadstawić karku. Sprzedałem się za pieniądze, które jutro wyjdą z obiegu,

w obronie porządku, który potrwa może do przyszłego tygodnia. Zawarłem najgorszy rodzaj transakcji.

— Moim zdaniem za bardzo to przeżywasz. Takim jak my, na samym dole tego świata, nie pozostaje nic innego jak tylko sprzedawać się na rozmaite sposoby. — Kiwał głową, ni to z aprobatą dla moich wniosków, ni to z poczucia wspólnoty losu, jakim byliśmy złączeni. — Naprawdę myślisz, że to wszystko... kaput? — powiódł gestem po okazałych pniach, za którymi przyczaiła się nasza skołowana ojczyzna.

— A jak inaczej? Giełda zbankrutowała, koncerty i wytwórnice sprzętu padają jedna po drugiej. Nic nie opłaca się produkować, skoro tyle rzeczy można dostać za darmo, i to lepszej jakości. Ceny lecą w dół na łeb, na szyję, a sklepy i tak świecą pustkami. Można było szcuć ludzi reklamami, degradując ich do roli merkantylnie nastawionego bydła, ale gdy Liga Pięciu zademonstrowała konkurencyjny sposób zaopatrzenia, starego systemu nie da się utrzymać. Bo co — przystawisz każdemu do łba pistolet i przemocą pogonisz do supermarketu? A od kiedy wyłączyli radio i telewizję, nawet indokrynować reklamami nie mają. Ludzie odłączeni od telewizorów budzą się jak z wiekowego oszołomienia. Życie się zmienia. Już się zmieniło.

— Niektórzy zaczynają nawet chodzić do pracy — zauważył smętnie.

— Wszystkiego trzeba spróbować — zauważyłem. — Jechcie za coś kupić trzeba, benzyna też nie jest za darmo...

— Tak, przetrwają tylko producenci żywności... choć i to jest problematyczne. Co do energii, nie ma już tej pewności. Te ich zabawki, jak wiesz, przeważnie obywają się bez za-

silania. Czerpią energię z otoczenia... **ze światła, z wilgoci,**
z rozkładu substancji chemicznych...

— Jesteś dobrze poinformowany.

— Coś tam wiem — machnął ze zniecierpliwieniem ręką. — Podobno w Ameryce pojawiły się samochody Ligi Pięciu, których w ogóle nie trzeba tankować. Pobierają energię całą powierzchnią karoserii, same się reperują... Kto będzie chciał jeździć poczciwym benzyniakiem czy dieslem?

— Pozostaną jeszcze wielkie sieci energetyczne.

— E, też nie. Jak wszystkie urządzenia będą się zasilać z powietrza, uwalniając rozmaite formy energii wewnętrznej, to na co komu prąd w gniazdkach? Cała energetyka jądrowa i konwencjonalna, te wielkie szankry gorączki na ciele Ziemi, zniknie jak zły sen. Skoro wystarczy polakierować ściany, żeby pomieszczenia same się ogrzewały, na co ci sieci ciepłownicze?

— No to szykuje się nam rewolucja.

— A coś ty myślał? Ciekawe tylko, kiedy wystawią nam rachunek za te dobrodziejstwa. A może zaproponują przymusowy akces do Ligi Sześciu?

— Po co im szóste koło u wozu? W dodatku skrzypiące i nie z tej epoki? To tak, jakbyś drewniany dyszel próbował przypinać do rakiety.

— Może potrzebują dostawców nowego materiału genetycznego, żeby zmodyfikować produkcję? Energii mają pod dostatkiem, technologię opanowali, surowce ściągają z Pasa Kuipera — ale ich biura projektowe potrzebują nowych wzorów. Nowych rozwiązań. Ze starych wycisnęli wszystko, co się dało. — Zamilkł i tylko żwir alejki chrzęścił nam pod stopami. — Co byś powiedział na wizję cywilizacji wędrow-

nej, takich kosmicznych nomadów, którzy przemierzają kosmos w poszukiwaniu braci w rozumie, ale nie po to, by ich dźwigać do własnej chwały, tylko eksploatować ekonomicznie pod pozorem obsypywania darmowymi upominkami?

— W takim razie niewiele im się dotąd udało — powątpiewałem. — Skoro Liga Pięciu, to przed nami najwyższej cztery sztuki udało im się zhołdować i dolepić do własnej inicjatywy. Niezbyt imponująca liczba.

— Bo w kosmosie cywilizacje rozumne należą do rzadkości — wywodził Winczorek. — To wyjątkowo jałowy las, gdzie nie trafia się nawet jeden grzyb na hektar. Nie wokół każdej gwiazdy krąży układ planetarny zdolny do wydania życia, jak się roiło Drake'owi et consortes. Nie każde życie zmierza do form inteligentnych, a nawet jeśli zmierzy, wichruje w zagładę lub samozagładę. Mówisz, że cztery ujarzmione po drodze cywilizacje to niewiele. Zapewne... ale co wiemy o tych, którzy zostali porzuceni bądź zniszczeni, bo na nic się nie nadawali albo stawili opór? Może na jedną awansowaną do Ligi Pięciu społeczność przypada pięćdziesiąt zdyskwalifikowanych i strąconych w niebyt? I kto wie, co tak naprawdę nas czeka — czy awans na wysokości, czy degradacja do piekła nicości. Wiesz co? Czasami żał mi tego starego, poczciwego świata z jego niesprawiedliwością i zapierającym dech w piersiach marnotrawstwem... że tak niemal bez huku mijają na naszych oczach.

— Nie bardzo jest czego żałować — zaoponowałem, bardziej z przekory niż z przekonania. — Co zamierzasz opłakiwać? Wszeghobecny smog, wieczne korki na drogach i w miastach, programy telewizyjne urągające najskromniejszej inteligencji? A może zgraży złotoustych polityków

od kadencji do kadencji obiecujących wszystko i nie dotrzymujących niczego? Może model ekonomiczny, który jest jedną wielką piramidą argentyńską? Cała jasnie wielmożna ludzkość nadaje się do wymiany i powinniśmy dziękować Bogu, że ktoś podjął za nas decyzję o koniecznej operacji.

— Nie wiedziałem, że taki z ciebie radykał.

Przystanąłem. — Słuchaj, przegadaliśmy razem niejedną godzinę i wiesz, że raz myślę tak, a za chwilę owak. Raz jestem entuzjastą, za chwilę nachodzą mnie wątpliwości. Nie o wszystkim wiem, nie wszystko do mnie dociera — ale jedno wydaje się jasne: obaj mamy znikomy wpływ na to, co się rozgrywa.

— No, jakiś wpływ jednak mamy.

— Minimalny.

— Słyszałeś coś o ruchu No Wire? — zapytał niespodziewanie.

Pokręciłem głową. — Jakaś nowa sekta?

— Podobno połowa fizyków z nim trzyma, a pozostali... Zresztą masz, obejrzyj sobie w wolnej chwili.

I wetknął mi w rękę zwinięte we czworo kartki, z wyglądu przypominające reklamę zabudowy balkonów. Odebrałem je machinalnie. Zatoczyliśmy po parku spore kolisko i należało wracać: godzina, którą sobie daliśmy, miała się ku końcowi.

— Wiesz, że Zora zniknęła?

— Nie, skąd?

W krótkich zdaniach zrelacjonowałem historię z Aprikosensaftem i opowiedziałem o tym, jak się ewakuował do nieba. Winczorek aż przysiadł na ławce i znanym mi ruchem sięgnął po papierosa, ale nie wyjął nic.

— Zawsze najważniejsze zostawiasz na koniec?

Nie odpowiedziałem. Znajdowaliśmy się właśnie obok parkingu, na którym stał niebieski Cytryjon Żory. Takie nadała mu imię. Zapasowe kluczyki znalazłem w szufladzie biurka w jej mieszkaniu. Powędrowałem ku niemu wzrokiem, ale na krótko, bo przy wartowni, którą mieliśmy zaraz minąć, zapanowało ożywienie. Strażnicy wylegli na podjazd, zadarli głowy i obficie gestykułując, pokazywali sobie coś na pociemniałym niebie.

Od strony słońca, przesłaniając jego blask, nadlatywała ku nam chmura tak gęsta, że lazur nieba w jednej chwili przybrał wygląd jak przed burzą. Mimo że nie czuło się smużki wiatru, chmura przemieszczała się szybko i obniżała lot. Dzięki temu przekonaliśmy się, że złożona jest z pojedynczych elementów, jakby dziwacznych, płaskich segmentów albo latawców bez sznurka. Poruszały się ze znaczną prędkością. Powietrze wokół naszych głów załopotało, a pod nogi spadły nam pierwsze lampiony Ligi Pięciu. Niewiele myśląc, zagarniałem i podnosiłem brązowe deszczułki, które nagle utraciły swą lotność, jakby lądowanie u mych stóp stanowiło kres ich misji. Zgromadziwszy spore naręczę, rozejrzałem się: inni robili to samo. Skierowałem się na parking i wrzuciłem cały ładunek do bagażnika.

Ciekaw byłem, jak wobec tej pokusy zachował się zasadniczy Winczorek. Zupełnie zapomniałem o jego obecności. Omiatałem wzrokiem parking i najbliższą okolicę, ale moja Kasandra zniknęła. Z pałacyku wyroili się ludzie skorzy do korzystania z manny, co tak niespodziewanie sypnęła się z nieba.

Z Cytryjonem Żory było tak: jak tylko natknąłem się na kluczyki i dokumenty wozu w biurku, od razu wiedziałem, że z nich skorzystam. Po prostu będę dojeżdżał do pracy samochodem. Rozpierając się przy stole, racząc się winem Żory, które mi nie smakowało, kręciłem kluczykami na palcu jak właściciel mercedesa. Przyjąłem założenie, że Zora na czas swej nieobecności wspaniałomyślnie użycza mi samochodu, i kropka.

Samochód wprawdzie mercedesem nie był, tylko starą Citroënem, na oko dziesięcioletnim, ale miał tylko osiemdziesiąt tysięcy przebiegu. Pierwszy właściciel jeździł nim względnie mało i garażował w ludzkich warunkach, dlatego Cytryjon prezentował się nieźle, kiedy Zora go kupiła. Ale w naszych czasach dziesięć lat dla samochodu to już emerytura. Dzisiejsza technologia wyklucza porządne samochody, bo producenci uprawiają sterowanie jakością. Nikomu nie zależy na tym, by samochód (czy jakikolwiek inny produkt) działał wiecznie. Po ustalonym okresie eksploatacji urządzenie ma się obowiązkowo zepsuć i iść na złom z powodu nieopłacalności naprawy, bo zysk generują tylko nowe produkty. Wyrzucajcie zatem wszystko, co stare, niesprawne i choćby niemodne, bo my, producenci, nade wszystko potrzebujemy zysku, i nikt oprócz was, biedne barany, nam go nie dostarczy. Jest to waszym psim obowiązkiem, żebyśmy mogli utrzymywać na odpowiednim poziomie siebie, nasze jachty, konie, rezydencje, służbę, dzieci i nałożnice.

Z samochodami nie wyglądało to aż tak prosto, bo auto wciąż jest urządzeniem wielkim oraz kosztownym. Ci więc,

którzy dojrżeli do zmiany starego modelu na nowy, zbywali jak dawniej niepotrzebne egzemplarze mniej zamożnym członkom społeczeństwa, ci zaś dorzynali je w trudzie i znoju, wśród biadolenia i przekleństw, zmagając się z ich postępującym inwalidztwem. Ale proces produkcji, mimo że taśmowy i wysoce zautomatyzowany, także podlega fluktuacjom statystycznym opisanym krzywą Gaussa, więc od czasu do czasu dochodzi do wytworzenia egzemplarza trwałego i niezawodnego ponad wszelkie założenia i normy. Dzieje się tak pomimo zorientowania całego procesu na średni poziom, nieśrubowania wskaźników i ogólnego luzu technologicznego. Po dwóch tygodniach jazdy Cytryjonem przekonałem się z zadowoleniem, że należał do wybrańców: palił niewiele, a nie psuł się wcale. Wprawdzie i wcześniej nie słyszałem, żeby Zora narzekała na swoje autko, ale być może słabo się tym interesowałem.

Kiedy człowiek ma problemy egzystencjalne i łązi po Bożym świecie całkowicie nimi pochłonięty, liczne drobniaczki umykają jego postrzeganiu jak wróble i w pewnym momencie staje wobec oczywistości z rozdziawioną gębą — tak go zaskakują. Analogicznie było i ze mną, kiedy zająłem myśl autem Żory; jakby łuski spadły z moich oczu, mówiąc górnolotnie.

Zdarzyło się bowiem, że wracając któregoś dnia po całym dniu wyczerpującej harówki, polegającej głównie na tłumieniu ziewania, wziąłem na pokład autostopowiczkę, wysoką blondynkę, która okazała się Chorwatką. Kiedy ją potem obracałem na różne sposoby, umysł miałem zajęty czym innym niż technika samochodowa. W końcu wyrzuciłem panienkę za drzwi z mocnym postanowieniem, że

szybko jej nie zobaczę, rozparłem się w parującej pościeli jak nażarty kocur i jałem sobie analizować to i owo. Przypomniało mi się więc, jak Svetlana (czy jak tam jej było) zapinała pasy, co wymagało specjalnych zabiegów wokół okazałych cycków i z miejsca naelektryzowało atmosferę. Później w ramach przełamywania pierwszych lodów zagadnęła niespecjalnie wykwintnym niemieckim:

— To stary model, nie? Ale wygląda całkiem dobrze.

W pamięci wyświeciła mi się natychmiast jej biała dłoń muskająca ekscytująco krawędź fotela. To właśnie ten niepozorny gest sprawił, że przypomniałem sobie o seksie.

— Tak, dbałem o niego trochę — odparłem skromnie, albowiem kobiety cenią zapobiegliwość u mężczyzn. Wydaje im się, naiwniaczkom, że przyziemne starania o dobytek obejmą także je same, jeśli tylko znajdą się w zasięgu na szego oddziaływania.

Wtedy też pod wpływem spostrzeżenia, że Cytryjon wydaje się podejrzanie czysty i dobrze utrzymany jak na zero starań, które mu okazywałem, powziąłem postanowienie uważniejszego przyjrzenia się sprawie. Przy pierwszym poweekendowym wyjeździe nie miałem na to czasu, bo rozleniwiony niedzielą wstałem za późno, ale na parkingu przy Hoffburgu, po rzetelnie przepracowanej dniówce, przyłożyłem oko tu i ówdzie.

Pierwsze wrażenie było takie, że samochód istotnie błyszczał jak nowy. Im dłużej go nie myłem, tym bardziej lśnił. Przeciągnąłem palcem po karoserii — ani śladu brudu. Ktoś pucował ją potajemnie po nocach? W takim razie kurz zdążyłby osiąść przynajmniej po tych kilkunastu kilometrach z miasta. Spojrzałem podejrzliwie w stronę posterun-

ku straży: przecież nie myli mi go ochroniarze w ramach akcji Niewidzialna Ręka? Kołpaki na kołach skrzyły się srebrzyście jak na reklamach, a w ozdobnych otworach, których nigdy nie udawało się domyć, nie było ani smużki. Guma opon, też przecież nie pierwszej młodości, prezentowała się czerstwo jak po wyjściu z fabryki, a bieżniki nacięte były wyraźnie i głęboko, jakby je wykonano wczoraj.

Obszedłem moje-nasze autko, rozważając hipotezę roboczą, że niespodziewanie zaczęło cofać się w czasie. Szyby zyskały na przejrzystości, ktoś wypolerował zamki u drzwi i do bagażnika. Listwy gumowe na burtach, które miejscami odłaziły, przywarły z zapalem do blachy, jakby nie zamierzały więcej rozstawać się z samochodem. No i sam lakier. Powiem wprost: jeszcze takiego nie widziałem. Można było się w nim przejrzeć, a gdy słońce na moment wyłoniło się spoza chmur, myślałem, że oślepnę. Największa niespodzianka czekała jednak nad lewym kołem, gdzie jakiś patafian otarł się swą limuzyną i odjechał, pozostawiając wgłębienie i spore zadrapanie. Teraz jedno i drugie zniknęło, tak że w poszukiwaniu śladów kolizji poszłem na drugą stronę karoserii. Ale i z drugiej strony prezentowała się doskonale.

Kręciłem się wokół Cytryjona jak złodziej. Wyglądał tak, jakby w ramach jakiegoś niewiarygodnego procesu radykalnie odmłodził, poddany doskonałej renowacji, do najmniejszego drobiazgu. Niewykluczone, że od pewnego czasu krasnoludki wymieniały chyłkiem element po elemencie i właśnie znajdowały się u finału tej dłubaniny. Podczas gdy ja barłoczyłem się ze Svetlaną, one z zapalem, jaki towarzyszy tylko naprawdę bezinteresownym przed-

sięwzięciom, wzięły się za remont. Niestety, doszło przy tym do zastosowania zakazanych pomysłów racjonalizatorskich.

No bo jak wytłumaczyć, że wskaźnik zużycia paliwa od dłuższego czasu zastygł w tym samym sektorze skali? Samochód jeździł, skręcał, zawracał, mrugał migaczami — a wszystko za friko, bez spalania benzyny! Oto odpowiedź na permanentny kryzys paliwowy. Rosnącym cenom na stacjach mówimy nasze stanowcze nie! Niby powinienem się cieszyć, a jednak na dnie duszy mrowiło się zaniepokojenie.

Proces renowacji nie objął kluczyków, po dawnemu wytartych od wielokrotnego wkładania w zamek. Brelok był porysowany i zmatowiały, kiedy leżał na mojej ręce. Uważnie nasłuchując, otwarłem drzwi i namacałem dźwignię zwalnającą maskę. Pociągnąłem — bez rezultatu. Mocniej — z tym samym efektem. Jakby ją przyspawano. Próbowałem coś dojrzeć przez szpary w karoserii. Bezskutecznie. Mógłbym jeszcze położyć się na asfalcie i zajrzeć od spodu, ale moja ciekawość nie była warta takiego poświęcenia.

— Jakież kłopoty? — odezwał się nad moim ramieniem męski głos. Jeden ze strażników, widząc moje zaaferowanie, pospieszył z pomocą. — Jeśli coś nawaliło, wezwę panu taksówkę.

— Dziękuję, nie trzeba. — Czułem jednak, że muszę usprawiedliwić moją krzątaninę. — Coś mi skurczybyk za dużo pali. Nie mogę tego opanować.

— To stary model — stwierdził strażnik. — Lepiej niech pan poczeka tam — pokazał ręką na wyjazd. — Ktoś pojedzie do miasta, to pana zabierze.

— Dzięki za troskę. Dam sobie radę.

W ten sposób zostałem sam z tajemnicą samochodu odziedziczonego po byłej kochance. Właściwie dlaczego po byłej? Przecież wierzyłem, że Zora wróci. Nie dopuszczałem innej możliwości. Postanowiłem więcej się tym nie przejmować. Tak więc wsiadałem do autka z pewną dozą nieufności, jakbym w środku spodziewał się jadowitego gada, ale dało się z tym żyć. Zresztą modernizacja nie mogła postępować w nieskończoność. Istotnie, po pewnym czasie zmiany zatrzymały się i tylko co rano mój staroświecki pojazd świecił jak cacuszko na tle nowoczesnych kocmóluchów. Nadal nie dopominał się o benzynę, ale w zamian nie pozwalał sobie zaglądać pod maskę. Respektowałem ten układ, jakże dla mnie korzystny.

Co się tyczy Svetlany, pojawiła się następnego dnia. Niełatwo uwolnić się od kobiety, której okazało się trochę starań.

— Zostawiłam tu czapkę — stwierdziła bez ogródek, a ja przypomniałem sobie artykuł na temat metod znakowania swojego terytorium, który czytałem ostatnio w inter-necie.

— Jasne. Jest tam — pokazałem.

Nie musiałem się wysilać, bo czapka rzucała się w oczy jak rozjechany nieboszczyk na szosie: wielka, czerwona, z pomponem. Zamiast ją zabrać i przycisnąć do piersi, którym tylko gbur nie poświęciłby wnikliwej uwagi, przysiadła się do stołu.

— Jak leci? — Oczy miała roziskrzone. — Dobrze, że cię zastałam.

— Tak? Bo co?

— Nie chciało mi się siedzieć samej.

No to posiedzieliśmy razem. Sam nie wiem kiedy, wylądowała mi na kolanach; tak się mówi, choć kolana nie mają tu wiele do rzeczy. Oplotła mnie od przodu swymi długimi nożyskami, a ja trzymałem głowę w jej włosach, które pachniały ziołami, stworzonymi chemicznie w podróbce naturalnego szamponu. Mamrocząc słowa niekonkretne i bez związku, rozmyślałem o Zorze Spess i o tym, jak dziewczyny są do siebie podobne i jak zarazem różne, nawet pod względem fizycznym. Niespostrzeżenie ściemniło się, a wtedy Svetlana odepchnęła się ode mnie jak dokujący prom, który oddziela się od stacji kosmicznej, by ruszyć własną drogą (nie mam pojęcia, skąd biorą mi się niektóre skojarzenia). Nagle znalazła się trzy kroki przede mną.

— Zamknij oczy — zakomenderowała, ustawiona jak do pokazu.

Zamknąłem, zbyt gwałtownie wyrwany z błogostanu, żeby się spierać. Słyszałem szelesty i jakby pocieranie, raz się zaśmiała; zaintrygowały mnie przedłużające się przygotowania i zaskoczyłem ją w trakcie przeistoczenia. Pozbyła się właśnie džinsów, z których wyłoniły się odnóża połyskujące blade w tej szarówce. U zbiegu ud, tam gdzie powinny być majtki, coś się poruszało świetliście.

— Obiecałeś nie patrzeć — powiedziała, ale w jej głosie nie było urazy.

Opinającą piękne zderzaki koszulkę ściągnęła przez głowę i od razu pożałowałem, że nie wytrzymałem z zamkniętymi oczami. Ale efekt był i tak piorunujący. Miała na sobie body, a może jednocześnie kostium kąpielowy, doskonale przylegający do figury. W pewnym momencie wydało mi się wręcz, że jej skóra wygląda jak polakierowana,

a kiedy założyła sobie ręce na kark, przedstawienie zaczęło się na dobre.

Przedtem body wyglądało jak brąz podbiegnięty krwistym karminem; jak gdyby fosforyzujące smocze mięso, pomyślałem, lecz wnet skarciłem się za te rzeźniczo-tolkienowskie asocjacje. Teraz jednak z każdego milimetra wyimaginowanej tkaniny buchnęły roje świateł o różnej intensywności, przecudnych kolorowych robaków, które w jednej chwili oblaży całą Svetlanę, skakały i wędrowały po niej w rytm niepojętej, niesłyszalnej muzyki. To wirowały w opętańczym tańcu jak egzotyczne śnieżynki, to przemierzały dostojnie równinę brzucha i wzgórza piersi, raz po raz łącząc się w roje, jakby konferowały albo uzgadniały między sobą wyniki poszukiwań; niespodziewanie rozlatywały się jak trafione wysokoenergetyczną cząstką promieniowania kosmicznego i już nie było po nich śladu, na ich miejsce wypełzały nowe kolory i wzory, nowe kształty, rozpoczynając płasy w ramach nowej choreografii. Odbywało się to w nieustannej orgii światła, raz hałaśliwego, a raz przytłumionego i subtelnego, jakby robaki były tylko najbardziej zewnętrzną formą na planszy, której tło i podkład też prowadziły własne utajone życie. Svetlana mieniła mi się w oczach, jej tors do bioder i do cipki, wszędzie tam, gdzie była opięta cudowną tkaniną, przyćmiewał całą resztę. Wyglądała jak kobieta elektryczna, której wskutek zatorów płatniczych elektrownia wyłączyła iluminację głowy, rąk i nóg.

— Skąd to masz? — wychrypiałem. — I co to jest? — I nawet niespecjalnie byłem ciekaw odpowiedzi, bo już się domyślałem.

— Stamtąd — wyciągnęła rękę w kierunku sufitu. — Był zrzut takich specjalnych lampionów... z myślą o kobietach. Nie słyszałeś o nich?

Pokręciłem głową, ani dbając, że nie może tego widzieć.

— W odpowiedzi na zamówienie nadeszło coś w rodzaju szarawej ścierki, rozciągliwej... jakby lekko gumowej. Wystarczyło położyć sobie tę ścierkę na brzuchu i poczekać parę sekund, a ożywała i powoli rozszerzała się, obejmowała całe ciało, z przodu i z tyłu. Nie naciągała się ani nie znać było po niej żadnego wysiłku, gdy się rozrastała... aż było jej tyle, ile trzeba. Te wzorki wyświetlają się same, ale można je regulować... jeszcze nie rozpracowałam wszystkich kombinacji.

— Chcesz powiedzieć, że to na tobie rośnie?

— Nie, dlatego. Z tego, że tak dokładnie przylega, wcale nie wynika, że to forma pasożytnicza... czy w ogóle biologiczna. Najważniejsze, że robi to, co jej się każe, i nigdy się nie męczy ani nie irytuje. Patrz — chwyciła za krawędź dekoltu i pociągnęła w dół, a strój zjechał z niej gładko jak szyba w samochodzie. Na tkaninie poniżej nie powstała nawet zmarszczka. — W dodatku chyba koryguje sylwetkę.

— Twojej sylwetce nic nie brakuje.

— I tu się mylisz — westchnęła. — Nawet sławne modelki mają figury dalekie od ideału. Ale i szczęściarom o doskonałych kształtach sylwetka szybko się psuje i jej zachowanie jest okupione całą masą wyrzeczeń. Trzeba utrzymywać dietę, gimnastykować się, chodzić na siłownię, do sauny, brać masaże... Kto poświęca tyle uwagi samemu ciału, ten nie ma czasu na nic więcej. Dzięki temu — klepnęła się

w rozbłyskujące na brzuchu świetliste kleksy — nawet zwyczajna dziewczyna może poczuć się jak królowa piękności. Skończyła się era supermodelek, kochany.

— Może to i lepiej — mruknąłem. Nigdy nie podziwiałem tych szczap, chłopczyc lansowanych przez pedałowatych kreatorów mody. W niczym nie przypominały mi normalnych kobiet, więc żegnałem się z nimi bez żalu.

— Chcesz dotknąć? — zaproponowała, podchodząc. W dotyku materiał był jakby śliski, a zarazem z lekka pluszowy; trudno to dokładniej określić. Warstewka dziwnej tkaniny miała może grubość włosa, wyczuwałem młode, zdrowe ciało, bez mała — odbierałem tętnienie krwi pod skórą. Pomiedzy palcami pełgały mi kluski światła i na swój sposób było to fascynujące.

— Fajne, nie? A teraz spójrz — sięgnęła do pachwiny i po chwili duży fragment cudownej tkaniny podjechał do góry. — Z tyłu też mam podnieść?

Wychyliłem się poza jej biodro, żeby nie podejmować decyzji pochopnie. Pośladki, urągając ludzkiemu przyzwyczajeniu do tworzących całość majtek, były nadal okryte, a wzorki ze świateł i kolorów baraszkowały po nich w najlepsze. Wsadziłem tam rękę, nie z lubieżności, ma się rozumieć, ale żeby wspomóc rozpoznanie. Nie zdołałem ustalić, gdzie kończy się tkanina.

Podczas gdy ja oddawałem się testowaniu najnowszego produktu z oferty Ligi Pięciu, Svetlana pomrukiwała zachęcająco, zanurzwszy palce w moje włosy. Namacałem krawędź body na biodrze i łagodnie pociągnąłem; tkanina powędrowała za ruchem ręki i na udzie Svetlany utworzyła się nogawka. Z miejsca nastąpił tam przerzut kolorowej

ornamentyki. Podniosłem krawędź i nogawka zniknęła, wszystko bez najmniejszego kłopotu, jakbym przesuwiał wyświetlany obraz po manekinie.

Położyłem elektryczną dziewczynę na stole; pochyliłem jej długie nogi w kostkach. Udało mi się wyplatać z odzieży, która wobec tych cudniek wydawała się całkiem nie na miejscu. Wsunąłem się bez pośpiechu w moją pannę, która leżała przede mną jak łąka, napawając się jej gotowością do przyjęcia zbłąkanego wędrowca. Czy body działało także stymulująco pod względem erotycznym? Oczarowany, jakbym kopolował z bajkowym owadem, istotą spoza tego świata, czciłem na swój sposób koniec ery modelek. Teraz każda może być boginią, łaskotało mnie w środku głowy. Ten zaś, kto się nad nią mozoli seksualnie, nareszcie poczuje się jak bóg. Wszystko dzięki czarodziejskiej ścierce dla ziemskich Kopciuszków. Gdyby nie rozdawano ich za darmo, chciałbym nimi handlować — ileż przyjemności z samego prezentowania na klientkach! Hasła reklamowe same cisnęły się do głowy.

Svetlana wyczuła moment zawahania z mojej strony i postanowiła przyjść mi z odsieczą. Na tle połyskującej jak kolonia ukwiałów łączki dostrzegłem jej rękę, która ode-rwała strzępek tego światła i plasnęła nim o mój spocony brzuch. Przerwałem, zaafierowany, co teraz nastąpi. Wzorki na placku najpierw wyparowały i doznałem rozczarowania, że cud się nie zdarzy. Zaraz potem coś otoczyło mnie miękko w pasie, przechodząc na plecy, a następnie jęło się łaskotliwie rozprzestrzeniać w górę i w dół. W trakcie tego procesu wykwitły na mnie moje własne arabeski.

— Każ mu się zatrzymać — szepnęła Svetlana.

— Jak?

— On teraz czeka, żebyś go ustawił. Jak nic nie zrobisz, oblezie cię całego, aż po włosy. Niczym to nie grozi, ale za pierwszym razem jest trochę... wiesz, szokujące.

Przypomniałem sobie, jak się reguluje krawędzie stroju i ograniczyłem je odpowiednio od góry i z dołu. Dało mi to czas niezbędny do wytchnienia i okazję do oderwania myśli; po tych zabiegach można było kontynuować z nową werwą. Gdzieś się ulotniło znużenie fizyczne, wyparował pot, na skórze czułem tylko chłód i świeżość łąki ziołowej, w czym nie było niczego dziwnego, skoro porastała mnie łąka. Także mój grotolaz przypomniał sobie najlepsze czasy i rwał do przodu ze zdumiewającą zaciekłością. Nie wierzę książkowym opisom obopólnych orgazmów, zsynchronizowanych co do sekundy, tak że gdyby w pobliżu znajdował się zegar atomowy, nawet on nie wykryłby przesunięcia w fazie. Teraz jednak coś takiego przydarzyło mi się po raz pierwszy w życiu, czułem, jak eksplozja zamienia mi końcówkę w pędzel. Svetlana darła się ordynarnie, w jakiś kozi sposób, porzuciwszy wszelkie konwenanse.

W stroju musiał kryć się afrodyzjak, bo natychmiast zachciało mi się znowu. Ale wcześniej zgarnąłem Svetlanę ze stołu; udaliśmy się do sypialni, gdzie na straży legowiska stały drzwi szafy z wielkim lustrem. Pomanipulowałem trochę przy naszych ubrankach — w efekcie wzorki oblaży nas całkowicie, z wyjątkiem głów i miejsc łonowych. Było na co popatrzeć. Kino w łóżku, ćwierkało mi pod kopułką. Bezrobotni płci obojga testują wytwory kosmicznej technologii. Pomysłowi Ziemianie znajdują praktyczne zastosowanie dla daru Ligi Pięciu. Kopulujący elektryczni

ludzie u progu nowej ery. Lunapark erotyczny — i inne podobne skojarzenia.

Czas spędzony na przyjemności mija szybko. Coś trzeba było zostawić na jutro. Zerwaliśmy nasze kostiumy, które natychmiast zamieniły się w szare ścierki, zmięte i zużyte. Zetknięte, połączyły się zaraz w niepojęty sposób, & wytworzona w ten sposób ścierka sumaryczna wcale nie zyskała na wielkości czy powierzchni. Ale zmysły miałem przytępione i oceny nieprecyzyjne.

— Wiesz, co znaczy po niemiecku moje imię? — wymamrotała Svetlana. — Zrobiona ze światła. Świetlista. — Głowa jej poleciała na poduszkę, a po sekundzie postężyłem jej równy, spokojny oddech.

Leżałem zatem półprzytomny obok śpiącej Świetlistej, ale wciąż myślałem o Zorze — jakaś obsesja czy co? Już, już miałem zasypiać, gdy po migotkach na jawie dopadła mnie iluminacja innego typu. Zora nie mogła zostawić dla mnie listu otwartym tekstem, to jasne. Sprowadziłby na nas same kłopoty, skoro mógł go przeczytać każdy. Ideałem byłby znak zrozumiały tylko dla nas dwojga, a bez znaczenia dla postronnych. I taki znak otrzymałem: był nim niepozorny samochodzik, który na moich oczach odmłodził i wypiękniał, pozostając doskonale lichy i bez znaczenia dla speców, kiedy go przeszukiwali. Wtedy zawiazek jego cudownego przeobrażenia drzemał pod karoserią. Posługując się Cytryjonem, Zora nadawała do mnie taki oto komunikat: „Poszłam, Papa, tam, gdzie zwyczajnością jest technologia, która tu wydaje się cudem. Gdzie marności ziemskie nie mają wstępu. Poszłam do nieba, Papa”.

Zora na niebie z diamentami.

Nasz zameczek, nadający się w sam raz do sekretnych schadzek bogatego junkra i temu pewnie w przeszłości służący, przeżywał okresy martwoty przeplatane trzydniówkami gwałtownego ożywienia. Te drugie łatwo było poznać po fali gości, która zwałała się nam na kark, tak że zajęta była cała część hotelowa, i po gorączkowych przygotowaniach. Alert zaczynał się od pojawienia się hostess i pokojówek, z zimowego snu, choć to pełnia lata, budziła się recepcja, kelnerzy szykowali sale, a kuchnia pucowała naczynia. Straż wzmocniona o siły zewnętrzne krążyła po parku z psami i ni stąd, ni zowąd ktoś ci zaglądał do biura z zewnątrz przez zamknięte okno z takim wyrazem twarzy, jakby to były przypadkowe drzwi w korytarzu, a nie trzecie piętro. Wychodząc do samochodu, widziało się obcych facetów rozplaszczonych na dachu i pogrążonych, zdawało się, w głębokiej debacie nad sposobem rozmieszczenia dachówki; raz nawet ktoś zwisał z rynny, zanim podjechał wysięgnik na podwoziu ciężarówki i facet bez pośpiechu zeskoczył do podstawionego kosza. Nas, czyli personel pomocniczy, też brano do galopu, każąc przygotowywać materiały, wpinać je w teczki, ładować do plastikowych toreb znaczki, identyfikatory, plany pięter zameczku itp. Po tych oznakach orientowaliśmy się bez pudła: będzie nasiadówka.

Za mojej bytności w zameczku do takiego zamieszania doszło dwukrotnie. Jako niewtajemniczony pozostawałem na uboczu rozgardiaszu, demonstracyjnie okazując brak gorliwości: tyle zaangażowania, ile zaufania. Toczyły się obrady, o których temacie dowiadywałem się z przypadko-

wych uwag czy strzępków zdań, a potem z papierzysk, które utraciwszy klauzulę tajności, poniewierały się dosłownie wszędzie.

Tym razem najazd zapowiadał się mniej licznie, a goście mniej ważni, ponieważ przygotowania przebiegały spokojniej. Odtajniono nawet porządek obrad, złożony tylko z jednego punktu: referat plus dyskusja. Nic więcej. Prelegentem miał być doktor Kopfwasser, z którym zetknąłem się podczas pierwszego przesłuchania przez komisję, a który potem zszedł mi z oczu — wyjechał albo gdzie się stracił, a może nasze drogi w labiryncie zameczkowych korytarzy zwyczajnie się rozmijały. Sam tytuł jego wystąpienia intrygował: „Co się dzieje i o co chodzi?” — bez żadnych dodatkowych wskazówek. Fama niosła, że Kopfwasser zdobył się na zaprezentowanie wykładni tego, co rozgrywa się na naszych oczach, a co wcale ewidentne nie jest, albowiem „To, co ukryte, rządzi tym, co jawne”. Motto z Heraklita, wydrukowane na zaproszeniach, sugerowało pankosmiczny spisek, podczas gdy wszystko działo się w świetle jupiterów i kamer. No, może nie wszystko, ale przynajmniej fakty wydawały się łatwe do ustalenia.

Sam referat miał być głoszony w dużej konferencyjnej, gdzie udało mi się zajrzeć, gdy zawiozłem na wózku aparaturę, którą natychmiast ktoś ode mnie przejął. W ciemnym wnętrzu z portretami dawnych pruskich właścicieli rościło się od trutki w garniturkach. Jako personel pomocniczy wziąć udziału w obradach nie mogłem; za to kazano nam zostać po pracy do późnego wieczora. Tego dnia, grając na komputerze w bilard, cztery razy poprawiłem rekord życiowy, i tak dość znacznie wyśrubowany, a kolację spożyłem

w pieleszach około ósmej. Oczywiście moje poświęcenie zdało się psu na buty.

Za to nazajutrz Rheinehart, który był jakby moim prowadzącym i od którego otrzymywałem zlecenia merytoryczne, wręczył mi dysk z nagraniem.

— Niech pan to przesłucha i zastanowi się, co tam po wiedziano. Może coś pan niechcący zauważy.

Konferencja zaczęła się od formułek grzecznościowych i witania gości, których nazwiska nic mi nie mówiły, z jednym czy dwoma wyjątkami. Następnie, po minucie groźnej ciszy, kiedy Kopfwasser zbliżył się do mównicy, mościł na niej akta, ustawiał mikrofon, rozpoczął jak do kumpli w pubie:

— Co się dzieje i o co chodzi? Prawdę mówiąc, sam chciałybym wiedzieć. — Odczekał, aż umilkną zdawkowe śmiechy i kontynuował: — Zaryzykuję pewną interpretację tego, co się dzieje właśnie na naszej planecie, i przytoczę wnioski, jakie wynikły z analizy tego, co zaszło do tej pory.

Kopfwasser zauważał w pierwszym rzędzie, że asortyment oferowany przez Ligę Pięciu dałoby się z grubsza określić jako AGD, czyli artykuły gospodarstwa domowego. Na razie na terytorium Unii nie było to nic większego od pralki, ale na terenie wielkich aglomeracji Ameryki Północnej pojawiły się w ofercie pierwsze samochody. — Zauważmy — mówił Kopfwasser — że wykluczono natomiast urządzenia związane bezpośrednio z przygotowywaniem i przechowywaniem żywności, a więc lodówki, miksery czy mikrofalówki. Zapewne zbudowanie odpowiednich modeli nie przekracza pułapu technologicznego Ligi Pięciu,

ale zrezygnowano z nich, przynajmniej w początkowym okresie, zapewne dlatego, żeby odsunąć podejrzenie o chęć podtruwania konsumentów. Wiadomo, jaką mamy żywność; jej producenci tylko czyhają na okazję, żeby zwalić na kogoś lub coś winę za pakowane do niej sterydy, barwniki i konserwanty. Zrezygnowano nawet z tak technologicznie prostej rzeczy jak garnki, ale tu być może zagrały inne względy. Garnek wydaje się zbyt prostą rzeczą, by dawał okazję do demonstrowania wyższości technologicznej, chociaż oczywiście są do pomyślenia garnki gotujące zupę bez dopływu energii i być może jeszcze się takie pojawią.

Wchłonięcie przez konsumentów strumienia gadżetów, przydatnych w domu i zagrodzie, nie przekreśla egzystencji reszty ziemskiego przemysłu, wywodził Kopfwasser. Potrzebna będzie wciąż stal na mosty, cegły na budynki, ceramika na umywalki; oczywiście nie należy mniemać, że w przyszłości i te obszary, dotąd wolne od technologicznej konkurencji Obcych, nie zostaną przez nich zaanektowane. Na razie jednak nic na to nie wskazuje. Groźba zwiększy się, gdy zaoferują wielkie maszyny przewyższające nasze transportery, dźwigi czy samoloty, a zwłaszcza broń, i to masowego rażenia. Słabsze technologicznie kraje, żadne zmiany status quo — Kopfwasser nie wymienił żadnego, ale domyślałem się, że chodziło mu o państwa islamskie, Rosję czy Wenezuelę, gdzie po śmierci Chaveza juniora wciąż decydowała się polityczna orientacja — będą starały się wykorzystać tę okazję do wzmocnienia własnej pozycji, może nawet do osiągnięcia lokalnej hegemonii. Ponieważ do żadnego kontaktu ze sobą Liga Pięciu na razie nie dopuszcza, należy wzmóc monitorowanie zmian w jej

nastawieniu. Jednocześnie we współpracy z NATO i ONZ dobrze byłoby podjąć zakulisową ofensywę dyplomatyczną i ordynarnie zapowiedzieć krajom „niezadowolonym”, że wszelkie konszachty mające na celu zmianę status quo na Ziemi przy obcym wsparciu technologicznym będą karane interwencją zbrojną. Zarazem należy uważać z realizacją tych pogroźek, gdyż interwencja taka, skoro już zostanie podjęta, może wywołać kontrę Ligi Pięciu. Tak więc — konstatował Kopfwasser — modelem, który wydaje się najlepiej pasować do tego, co się dzieje i co się zapowiada, jest model łagodnej okupacji, w którym władze oficjalne przygotowują się do zejścia pod ziemię. Co się da, należy załatwiać zakulisowo, póki istnieje możliwość jakiegokolwiek suwerennego działania. W przypadku zaś otwarcia się Ligi Pięciu na kontakt należy obowiązkowo być w pierwszym rzędzie i starać się albo zmonopolizować kanały kontaktu, aby przemawiać w imieniu planety, z czym, ma się rozumieć, mogą być pewne trudności.

— No i co? — spytał Rheinehart, gdy oddawałem mu nagranie.

Wzruszyłem ramionami. — Mam notatki.

Gestem zachęcił, żebym siadał, a sam przyjął postawę człowieka nastawionego na odbiór: kostka jednej nogi na kolanie drugiej, dłonie blisko twarzy, złożone w daszek.

— Wiele nowego nie powiedział — zacząłem. — Ale nie wiedziałem na przykład, że Liga Pięciu wyłączyła z akcji Afrykę.

Poruszył się w krześle. — Nie całą. Południowe brzegi Morza Śródziemnego potraktowano z grubsza jak Europę.

No i południową Afrykę. Resztę zostawiono własnemu losowi. Pewnie obsłużą ją w drugiej kolejności.

— Może chcieli stworzyć obszar odniesienia? — dywagowałem. — Część ludzkości dla porównania z resztą pozbawić wpływu końskiej kuracji, którą nam aplikują?

— Afryka jako nietypowa słabo się do tego nadaje. Na ich miejscu wolałbym ją zachować jako interesujący relikw. Poza tym wyłączyli duże połacie Ameryki Południowej, Grenlandię, Syberię, Tybet... Wszędzie tam, gdzie jest słabsze zaludnienie i bieda, ich dobroczynność nie sięga.

Ale nie jest pan na ich miejscu, pomyślałem.

— Sądzi pan, że nie byłiby w stanie zrzucić Murzynom trochę lekarstw?

— Moim zdaniem leży to w ich zasięgu — a jednak tego nie czynią. Aż tak wielkimi samarytanami nie są.

— Kopfwasser twierdzi, że starają się ograniczyć ludzkość liczebnie.

— I co pan na to?

— To chyba można osiągnąć dużo prościej, nie? Odpowiednio spreparowany wirus, kontrolowana epidemia to chyba dla nich nic trudnego. Po dwóch latach zostałyby z nas dziesięć procent.

— Właśnie. Czemu tego nie robią?

— Mnie pan pyta?

Rozejrzał się z dobrze udanym niepokojem. — Jest tu jeszcze ktoś?

— Może nie chcą się spieszyć? — zaryzykowałem. — Mają inne priorytety. Może też wyznają swoją wersję przy słowia „Co nagle, to po diable”?

— A nie myślał pan, że obawiają się powiązania ich przybycia z wybuchem epidemii? Gdyby taka pogłoska się rozniosła, piorunem utraciliby wizerunek dobrych wujaszków z Ameryki, rozsypujących cukierki po przedszkolu.

— Cukierki też nie są zdrowe.

— Toteż ja tego nie twierdzę. To ostrożni goście. Wirusa rozpylić mogą zawsze; z tym nie ma pośpiechu. Raz rozpylonego pozbierać nawet oni nie są w stanie. Zresztą po co by mieli ograniczać ludzkość liczebnie? Wszak to wszystko potencjalni konsumenci.

— Przy darmowym systemie dystrybucji liczebność nie jest zaletą. Ich zysk nie interesuje.

— Nie wiadomo, co dla nich jest zyskiem — zauważył. — Czego mogliby zażądać z ziemskich marności, co uznałoby za wystarczająco cenne, by tego pożądać? I czego by nie mogli sami sobie wziąć? Dobra, wracajmy do Kopfwassera.

— Ciekawi mnie jego teza o kontrataku koncernów i korporacji. Że skuteczność indoktrynowania społeczeństwa na billboardach, w ulotkach, przez radio i telewizję, oczywiście kablowe i internetowe, jest nikła. Przecież to niedorzeczne.

— Co jest niedorzeczne?

— Że ze strony Ligi Pięciu to tylko promocja na wielką skalę. Że Liga chce dumpingiem opanować rynek — czytałem z zapisków — a po wyeliminowaniu konkurencji uzyskać monopol i dyktować cenę. Niezależnie, co tą ceną będzie. Lampionowe podarunki mają doprowadzić ziemskich przedsiębiorców do bankructwa i wykluczyć z poważnej gry ekonomicznej. Ładunek naiwności, jaki tu się kryje, wykracza poza moją... moje...

— Co panu w tym nie pasuje? Brzmi logicznie.

— Po pierwsze, rynek to nie tylko towary, ale przede wszystkim usługi. Rynku usług nawet nie napoczęli. Po drugie, po co przejmować rynek, skoro już go mają? Ale co innego jest istotne: nie zdziwił pana ten starożytny język, właściwy minionej epoce? Rozumowanie według starych schematów i przy użyciu przebrzmiałych kategorii nie przyniesie dobrych rezultatów i do analizy całkiem nowego zjawiska zupełnie się nie nadaje. Wie pan, cały czas miałem przykre wrażenie, jakby pancernik bądź mrówkolew prawił o odrzutowcach... tak jedno nie pasuje do drugiego.

Rozłączył dłonie, sięgnął do kieszeni marynarki po notes i coś szybko w nim zapisał. Nie mogło to być moje spostrzeżenie, bo pisał krótko.

— Fakty — powiedział, nim zatrasnął okładki notesu — nie zmieniają się od tego, jakiego pan użyje języka do ich opisu. Jeden opis odda więcej, drugi mniej, jeden pozwoli zrozumieć sporo, inny niewiele — ale wciąż przecież mamy do czynienia z tym samym zjawiskiem. Jest pan ze szkoły Wittgensteina, który twierdzi, że nic się nie da, co?

— Jestem ze szkoły zdrowego rozsądku i usiłuję coś z tego zrozumieć. Żeby nie stać i nie gapić się jak cielę na malowane wrota. A wszak wiedzę o zjawisku czerpiemy przez język opisu...

— Drogi panie — przerwał mi ze zniecierpliwieniem — fakty są takie. Na skutek darmowego rozdawnictwa przez świętych Mikołajów z kosmosu koncerty i korporacje albo plajtują, albo stają przed widmem plajty. Pierwszy raz w całej historii światowej ekonomii mają do czynienia z czymś takim. Tuczące je strumienie gotówki nie tylko pocieniały,

ale prawie wyschły. Trzeba by zacząć konsumować zapasy, czego one bardzo nie lubią. Ale co się dalej dzieje? Upadłe i zbankrutowane firmy zwalniają pracowników, przestają płacić podatki. Państwa, pozbawione w trybie nagłym dopływu środków, nie mogą realizować swych konstytucyjnych powinności. Najpierw tną wydatki, jak się da, zaczynając od świadczeń społecznych, a kończąc na pensjach administracji — uśmiechnął się nieznacznie — a wreszcie stają wobec groźby rozkładu. Rozkład oznacza anarchię, anarchia zaś — chaos na niespotykaną skalę. Wojnę trzydziestoletnią, a nawet stuletnią można było przetrzymać, bo ludzi było względnie mało i biosfera, zwana również środowiskiem naturalnym, mogła ich częściowo wyżywić i ochronić. Teraz ludzi jest co niemiara, środowisko ledwo zipie, trudno się więc spodziewać, by pełniło z oddaniem dawną rolę bufora. Nie trzeba wiele wyobraźni, żeby sobie wystawić rozmiar tej apokalipsy.

— Kopfwasser straszył dyskretniej, nazywając to wymuszonym eksperymentem socjologicznym — przeczytałem z notatek. — Wymuszonym — bo sami byśmy się na niego nie zdecydowali. No i nie dysponując takimi środkami...

— Tere-fere. Kopfwasser raz mówi do rzeczy, a raz bredzi. Na przeniknięcie ich intencji na razie nie mamy szans. Obserwujmy raczej uważnie, co się dzieje i jakie są reakcje po naszej stronie. A dzieje się — tu zgoda z Kopfwasserem — rzecz następująca: po szoku, po początkowym efekcie oszołomienia czeka nas przejście do kontrakcji. Będzie ona nie realizacją wykalkulowanego zamiaru, ale odruchem obronnym, którego stawką jest przetrwanie formacji i jej

zasadniczych elementów. Dlatego **konfrontacja może przybrać** formy gwałtowne. Ma pan broń?

— Nie, skądże.

— Zapytam, czy panu nie przysługuje. Kontrakcja na razie polega na opróżnianiu magazynów, wstrzymywaniu produkcji, masowym rozdawnictwie tego, co się nie sprzedało, i równie masowym zwalnianiu pracowników oraz wysyłaniu ich na urlopy. To z jednej strony. Z drugiej propaganda, czyli bezwzględna walka o klienta. Dyskredytowanie towarów Ligi Pięciu, ogłoszenia i ulotki o zagrożeniu zdrowotnym z ich strony, bicie na alarm z powodu uzależnień psychicznych, jakie powodują... Do tego rzecz jasna dochodzą istne horrenda o parszywych zamiarach Ligi Pięciu wobec ludzkości.

— Chcą nas wyzwolić, aby wtrącić w jeszcze gorszy rodzaj zależności — zacytowałem Kopfwassera. — Z tym zagrożeniem zdrowotnym to oczywiście bluff?

— Na razie nic tego nie potwierdza. Ale też jak dotąd nie przysyłają nam żywności, więc zagrożenie wydaje się trudno uchwytnie.

— Od koszulki z azbestu też można dostać raka — zauważyłem z przekąsem.

— Owszem — tylko że na pewnym etapie technologicznym młoty i cepy wychodzą z użycia. Również ich odpowiedniki w przemyśle tekstylnym czy inżynierii materiałowej. Przy tym poziomie, jaki prezentują, przy rozmiarach akcji, jaką podjęli, nie mogą ryzykować przypadkowej wpadki z głupiego powodu. Nie oszczędza się pojedynczych dolarów, inwestując miliardy. Dlatego dziwnie jestem pewien, że nic szkodliwego w ich towarach nie wykryje-

my, zwłaszcza przy użyciu naszych metod z epoki kamiennej.

— Musieli się przygotowywać z pięćdziesiąt lat — zamknąłem oczy. — A przez ten czas my pozostawaliśmy głusi i ślepi.

— Te ulotki... billboardy... natknął się pan na nie?

— Nie. Ale od miesiąca żyję jak w wieży z kości słoniowej: dom, zameczek, dom — tak w kółko. Mało świata widzę po drodze. No i nasza miejscina to grajdoł; na pierwszy ogień poszły pewnie wielkie molochoy.

— Jasne. Walka o dusze zaczyna się w najgęstszych skupiskach. Nic to nie da — dywagował do siebie, jakby zapomniał o moim istnieniu. — Przy takim nastawieniu społeczeństwa ograniczona kontrakcja nie może się powieść. Zostanie przegrana, rozumie pan? Z argumentacji Kopfwassera to nie wynikało.

— Przy jakim nastawieniu? — zdenerwowałem się. — Postawa konsumpcyjna była tu od dekad najbardziej oczekiwana i preferowana, stając się synonimem postawy obywatelskiej. Konsumujesz, więc jesteś. Konsumpcja twoim psim obowiązkiem. Jak się zrobiło z człowieka małpę, łasą na błyskotki, jak się ją uzależniło od błyskotek, to potem nie ma co drzeć szat, że zamiast społeczeństwa istot myślących mamy kolekcjonerów świecidełek. A jeśli — pacnąłem się w czoło — po prostu sobie z nas zakpili?

— Że co?

— Zakpili. Ukazali nam absurd cywilizacji, którą w takim znoju żeśmy budowali. Ten strumień zabawek, którymi nas obsypują, to przecież parodia naszych marzeń — dostać dużo i za darmo. Po przetłumaczeniu na ludzki język ozna-

cza: patrzcie, na jakie manowce absurdu się stoczyliście. Jak sponiewieraliście waszą godność istot myślących. Co ze sobą zrobiliście, nieszczęśni, jak nisko upadliście w waszym pożądaniu marności...

—Nie jest pan przypadkiem protestanckim kaznodzieją? Bo gada pan tak samo jak oni.

Był autentycznie poirytowany. Ale mnie też nie było do śmiechu.

—A najgorsze, co możemy zrobić, to nie zrozumieć tego przesłania. To znaczy zatrzymać się na pierwszym poziomie... nazwijmy go poziomem świętego Mikołaja. Wie pan, co wydaje się groźne? Że większości ludzi nie chce się pomyśleć nawet centymetr dalej. Nie są zdolni do reakcji innych niż infantylne i dlatego przyjmują grę w świętego Mikołaja z całym dobrodziejstwem inwentarza. Liczy się tylko to, co zostanie im w rękach.

—Tym samym subtelnym żartem Obcych pozostanie doceniony tylko przez pana — zdobył się na ironię.

Puściłem tę uwagę mimo uszu. — Przechodzę do wniosków — zakomunikowałem. — Właściwie do jednego wniosku. Wszystkie okoliczności wskazują na to, że znajdujemy się w przededniu rewolucji na skalę, która przyćmi wszystko, co świat dotychczas widział. Nie — poprawiłem się — nie w przededniu. Rewolucja już się zaczęła. I trwa.

—To samo mówiłem wcześniej — zauważył.

Pod wieczór wybrałem się do Die Sterne, lokalnego centrum handlowo-rozrywkowego, żeby kupić parę rzeczy. Spodziewałem się wizyty Svetlany, odzianej w gustowny ku-braczek w płaszące wiórki, więc nie chciałem, aby lodówka

deprymująco ziała pustką. Coś tam kupiłem, odnotowując z dezaprobatą wzrost cen żywności. Zmierzając powoli ku wyjściu, snułem się po pustawych pasażach. Gdzie ci wszyscy ludzie, którzy je zwykle wypełniali? Pewnie wariowali u telewizorów, chłonąc i nagrywając kolejny ważny komunikat Ligi Pięciu o szykujących się w tygodniu akcjach. (Nie mogłem o nich myśleć inaczej jak „promocje” i „wyprzedaje”.) Za roziskrzonymi szyldami trwały na straży blade ekspedientki, marząc o tym, abym się do nich zwrócił po sprawunek. Zastanawiałem się, co by się stało, gdyby Liga Pięciu zdecydowała się na dystrybucję żywności albo przynajmniej lodówek, choć to pewnie zadanie nie lada: karmić za friko całą planetę. Jak zmieniłoby to wygląd szacownych przybytków handlowych — czy opustoszałyby do reszty i należałoby je zamknąć? Pograżony w rozmyślaniach prawie wpadłem na chodzącą reklamę astronomii.

Właściwie zobaczyłem głównie plecy, które najpierw skojarzyły mi się z wystawą jubilerską. Na granatowym, prawie czarnym tle widniały roziskrzone struktury i trzeba było pewnego skoncentrowania uwagi, żeby dopatrzeć się w nich galaktyk i mgławic. Ale nie były to nadesłane przez następcę teleskopu Keplera zdjęcia kosmosu, które wyświetlał szczerze materiał płaszcz; był to albo film, albo zmieniane nieregularnie ujęcia, jakby slajdy, które nieznanym operator gasił i zapalał, gdy mu się wydało, że widzę, czyli ja, znużył się poprzednim widokiem. Gdy wpatrzyłem się uważniej, wyszło na jaw, że obrazki nie są statyczne, lecz płyną po płaszczu jak po ekranie, który ktoś zdjął ze ściany i okręcił sobie wokół ciała. Raz za razem następowały potężne zbliżenia, skoki o miliony lat świetlnych, jakby

kamera dosłownie wpadała między gwiazdy, pokonując w sekundzie niezmierzone przestrzenie. Zastanowiłem się, jak potężny zoom pozwalałby osiągnąć taki efekt, ale, oczywiście, szkopał tkwił w montażu. Zdawało mi się też, że obraz obracał się powoli, okręcał wokół osi wytyczonej przez tor kamery, ale trudno mi było to ustalić z całkowitą pewnością. W końcu z całego ekranu widziałem tylko wycinek — plecy; reszta ginęła w fałdach i za obrysem sylwetki.

Właścicielka płaszcza, szczupła, wysoka, na szpilach, maszerowała dziarsko, czemu u kobiet towarzyszy praca całego ciała. Stwarzało to dodatkowe utrudnienie — no i wypadło przecież zachować obserwacyjną dyskrecję. Obok przyplątał się facet o okrągłej gębie i pokrytej szczecinią szczęce. Przepuściłem go, bo parł, jakby mnie chciał zdeptać. Galaktyki widziałem teraz mniej wyraźnie, bo byłem dalej, ale przynajmniej nie narażałem się na ostrą uwagę: „No, co się pan tak gapi?“, gdyby panna niespodziewanie się odwróciła.

Pochłonięty grą nie zwróciłem uwagi, że wyprzedza mnie jeszcze dwoje równie gorliwych obserwatorów zjawisk astronomicznych: dziewczyna i drugi facet. Cóż, na plec piękna też to działało. Zwłaszcza na plec piękną.

Równy marsz modnisi w galaktyczne wzory został niespodziewanie zakłócony: to gorliwiec, który mnie wyprzedził, zaszedł jej drogę. Miałem zamiar wyminąć ich, przylepić się do najbliższej wystawy i zaczekać, aż moja faworyta znowu ruszy w drogę, ale między przechodniami pasażu rozgorzała kłótnia.

— Zdejmuj tę skórę, ale szybko! — mówił facet tonem, który natychmiast odsuwał posądzenia o żart. Uchwycił

za rękaw i szarpał ze złością. — No, wyskakuj migiem z okrycia.

— Jeśli **pan** chce, może pan sobie sprawić takie samo — odezwała się dziewczyna niskim, matowym głosem. — To naprawdę nic nie kosztuje.

Odwróciła twarz i nasze oczy spotkały się. Nie wyglądała na spietraną. Miała męski typ urody i jak zwykle z opóźnieniem domyśliłem się, że naprawdę była pedałem albo transwestytą. Sylwetka, szczupła budowa ciała, sposób poruszania się mogą zmylić nie takich znawców jak ja. W każdym razie szpile na nogach były faktem, podobnie jak makijaż i damska torebka za ramieniem.

— Ja miałbym w tym chodzić? — wzdrygnął się napastnik. — Nie rozśmieszaj mnie, koleś, bo zdechnę. No, wy skakuj z ciuchów albo ci w tym pomożemy.

Transwestyta — tak będę go nazywał z powodu niepewności co do płci — rozejrzał się ukradkiem. Dwoje kamratów tego, co zażądał płaszcza, odcięło mu drogę ucieczki. Oczy im się skrzyły od przebogatej iluminacji Die Sterne.

— Pan z nimi? — zwrócił się do mnie właściciel płaszcza. Zamrugnął długimi rzęsami, a rękę o pomalowanych paznokciach podniósł do kącika ust. Zaprzeczyłem ruchem głowy. — To lepiej niech pan stąd spieprza.

Cofnąłem się uderzony obcesowością rady. Ten, który zażądał płaszcza — krępy osobnik o nalanym pysku, odziany w cienką kurtkę z wyhaftowanym napisem NIEMCY JESZCZE ŻYJĄ — puścił rękaw i zamierzał pochwycić wyłogi kołnierza, ale był nie dość precyzyjny. Zaatakowany przewidział jego manewr: w jego ręce pojawi-

ła się srebrzysta suszarka do włosów, wymierzona prosto w czoło intruza. Ten śmieszny, dziecinny gest zdeprymował i zatrzymał napastników.

Transwestyta cofnął się o dwa kroki, tak by mieć wszystkich na oku. — Jeszcze możecie odejść bez guza — przemówił łagodnie, tonem pełnym zakamuflowanej kokieterii, jakiego używa ten rodzaj ludzi. Ale na krępego podziałało to jak płachta na byka: czuł, że zdobycz wymyka mu się z rąk i nie zamierzał się z tym pogodzić. Już poczuł się właścicielem galaktycznego trofeum. Wydał zduszony skrzek i rzucił się do przodu, zamierzając wytrącić albo wyrwać aparacik.

Nie zobaczyłem błysku, nie usłyszałem huku, a jednak nie miałem wątpliwości, że suszarka wypaliła. Towarzyszył temu odgłos podobny do skrzypnięcia, jakby ciężkie koło zamachowe przesunęło się o pół obrotu. Dwupłciowiec odskoczył bocianim krokiem i powiódł wylotem suszarki po pomocnikach impertynenta. Krępy, trafiony w chwili, gdy robił wypad, zachwiał się na nogach, ale ustał. Jego otwór gębowy rozwarł się, jakby chciał wydać okrzyk w odruchu protestu, ale nic z tego nie wyszło. Zamknął więc japę, albo lepiej byłoby rzec: zatrzasnął. Z jego oczami też działo się coś dziwnego; stałem wprawdzie w pewnej odległości, ale trudno było nie zauważyć, że uciekły mu w głąb czaszki, wywrócone białkami na wierzch, jakby poczuł wewnątrz siebie coś niepokojącego i postanowił się temu przyjrzeć. Jego palce zakręciły szaleńczego młynka. Odegrawszy tę część pantomimy, chyba się znudził i zaczął dla odmiany przebierać nogami. W kroczu jego spodni szybko powiększała się ciemna plama.

Z niewielkim opóźnieniem fazy te powtarzała dość wernie pozostała dwójka jego komilitonów. Większa ekspresja kobiety sprawiła, że widowisko w jej wykonaniu było atrakcyjniejsze dla oka. Transwestyta tymczasem uśmiechnął się do mnie i mrugnawszy podmalowanym okiem, zdmuchnął z wylotu suszarki niewidzialny dymek.

— To pana krewni? Znajomi? — rzucił pytanie, wpuszczając aparacik do kieszeni płaszcza. Galaktyki podrygiwały, jak gdyby nie zaszło nic szczególnego. Stracił zainteresowanie dla grupy niedobitków z tyłu.

— N-nie...

— To nogi za pas. Policja będzie pana obrabiać.

Minął mnie, skręcając po paru krokach w najbliższy pasaż. Płaszcz na jego plecach błyskawicznie poszarzał, wtapiając się w otoczenie. Wątpiłem wprawdzie, czy uda mu się uciec, bo wszędzie były kamery, ale moja sympatia była po jego stronie.

Napastnicy tymczasem stopniowo odzyskiwali świadomość i toczyli wokół siebie zamroczonymi spojrzzeniami. Nie wyglądało na to, aby wzajemnie się rozpoznawali. Kobieta pierwsza zdobyła się na działanie: przepchnęła się przez kilku gapiów i swingowym krokiem dopadła pobliskiej ławeczki. Tam najpierw skuliła się, jakby chciała koniecznie obejrzeć sobie noski butów, a potem rozpoczęła nerwową grzebaninę w powietrzu, póki nie natrafiła na torebkę. Mając oczy utkwione przed siebie, rozpoczęła gorączkowe poszukiwanie papierosów. Znalazła, włożyła jednego do ust i tak zastygła.

Krepy i jego towarzysz jednocześnie podjęli decyzję o wyruszeniu w drogę; podążali mozolnie ramię w ramię,

automatycznym, marynarskim krokiem, nie odzywając się do siebie. Bodaj nie zdawali sobie sprawy z własnej bliskości i towarzystwa. Przed ruchomymi schodami jeden z nich zdecydował się skrócić w ich stronę, z trudem się na nich utrzymał, ale w końcu, uczepiony gumowej poręczy, pojechał w górę. Drugi — krępy, który wywołał incydent — podążył prosto, ku czerniejącej o sto metrów plamie wyjścia. Klienci multipleksu omijali go szerokim łukiem, zatykając nosy.

Policji się nie spieszyło, więc wolnym krokiem udałem się do domu. Po drodze obracałem w głowie następującą myśl: wojna zaczyna się albo od frontalnego ataku, albo od drobnych, nic nie znaczących incydentów, które dopiero potem okazują się istotne. Nie ulegało wątpliwości, że świadcowałem oto skutecznemu użyciu psychogaśnicy, która bez strat w ludziach, a jednak skutecznie uśmierzyła groźny konflikt w łonie społeczeństwa. Dopiero później dotarło do mnie w całej rozciągłości, że to Liga Pięciu z wyprzedzeniem przewidziała posunięcie przeciwko sobie i wyposażyła własnych klientów w antidotum. Czyli, mówiąc bez eufemizmów, uzbroiła ich.

A gdzie broń i sprzeczne interesy, tam prędzej czy później dojdzie do wojny. Do wojny światów, choć tylko z ludźmi w charakterze walczących.

W domu cisnąłem zakupy na stół, zerwałem kurtkę i nie minęła minuta, jak z psychogaśnicą w ręce ułożonej w poprzek piersi oceniłem krytycznie swoje odbicie w lustrze. Jeśli chciałem osiągnąć choćby cień mistrzostwa istoty z multipleksu, należało zabrać się do ćwiczeń.

XIII

Wyglupy przed lustrem przeciągnęły mi się do kilkunastu minut. Prezentując broń, robiąc wypad, groźne miny, pohukując i wywracając oczami, zaspokoilem w sobie błazna na tyle, że mogłem oddalić się do innych zajęć. Z produktów przyniesionych z Die Sterne, a konkretnie z Karlstadu, skonstruowałem coś w rodzaju kolacji, rzuciłem się na nią i pożarłem ją. Potem, czując, że jeszcze nie wieczór, narzuciłem kurtkę i z psychogaśnicą w kieszeni wychylnąłem na promenady naszego ukochanego Rummlau.

Mrok już zapadał, kiedy zorientowałem się, że zmierzam jak po sznurku w stronę opustoszałego domostwa Żory, dla animuszu podzwaniając w kieszeni pękiem kluczy do niego. Ha, skoro nogi same mnie tam niosą, niech będzie. Ahoj, przygodo! Posiedzimy sobie z Zora, choć bez niej, podumamy, zajrzemy do internetu, może włączymy telewizor... O, to jest myśl przednia.

Zora nie tylko była posiadaczką naściennego telewizora, ale też skrupulatnie wносиła opłaty na rzecz lokalnej kabłówki, która czerpiąc obficie ze światowego „jeziora treści”, układała własny program, na tyle atrakcyjny, że godziło się go sprzedawać i znajdowali się na ten produkt amatorzy. Elefantiasis telewizji, polegające na zawłaszczaniu przez nią wszelkich dziedzin życia, na wdzieraniu się w najbardziej sekretne zakamarki egzystencji, zakończyło się definitywnie. Rozwój internetu i wzrost przepustowości kanałów spowodował rozbicie molocha na kawałki, a możliwość ściągania w stosunkowo krótkim czasie naprawdę dużych plików — filmów, meczów, koncertów rockowych — do-

prowadziła do powstania rynku na tego typu usługi. Kto chciał, mógł sobie na wieczór sprowadzić film z braćmi Marx z serwera wizyjnego w Oklahomie albo *Głębokie gardło* z Lindą Lovelace z serwera w Pekinie, jeśli był miłośnikiem ramotek, i cieszyć się tym w atmosferze zacisza domowego. Postępując tak przez dłuższy czas, wnosząc stosowne opłaty, doprowadzał stopniowo do powstania własnego archiwum, z którego mógł korzystać, ile dusza zapagnie. Epoka, która nadeszła, jeła promować nie twórczość — ta bodaj nigdy w telewizji nie cieszyła się wysoką pozycją na liście priorytetów — lecz umiejętność selekcji i cierpliwość, by z ton śmiecia wyłonić tych kilka okruszków wartych uwagi. Skończyło się więc w telewizji nabożne traktowanie oglądalności, prysł mit czcigodnego abonamentu, skoro każdy mógł sobie zamówić oddzielnie serwis informacyjny z jednej stacji, transmisję meczu z drugiej, a pielgrzymkę papieską z trzeciej — i oddzielnie za to zapłacić. Wszystkie transmisje zresztą już na drugi dzień spoczywały w archiwach, porządnie zdigitalizowane, skatalogowane i wycenione, z warunkami udostępnienia praw i formami wnoszenia opłaty — nic tylko sięgnąć. We wspólnocie mieszkaniowej Żory trafił się fanatyk, który lubił się w tym grzebać; znalaziono dla niego trochę pieniędzy i tym samym powołanie telewizji osiedlowej stało się faktem.

W bloku Żory kolejno zapalały się światła, już i klatka została oświetlona na noc — tylko szyby w mieszkaniu na drugim piętrze pozostały ciemne. Mocniej ścisnąłem klucze w garści.

W mieszkaniu, gdy usiadłem na swoim miejscu w kuchni, było tak samo smutno i cicho jak ostatnio. Przez ściany

docierały do mnie wytłumione odgłosy wieczornego życia: ktoś przypominał sobie o wierceniu dziury w ścianie i zabrał się do tego z zapalem, ktoś puszczał głośno muzykę, czyjeś dziecko wydzierało się wniebogłosy. Pomyślałem, że głupio tak siedzieć po ciemku i o suchym pysku. Zapaliłem światło i podążyłem w kierunku schowka na butelki, który zresztą zawsze prosperował głównie dzięki mojej zapobiegliwości. Otworzyłem drzwiczki i zamarłem.

Flaszki, owszem, tłoczyły się w schowku, jakby zaraz miały stamtąd eksplodować, dziwne jednak było to, że te wcisnięte głębiej spowijało coś na kształt pajęczyny. Światło padało z góry, w szafce panował cień, utrudniając obserwację. Zastygłem z wyciągniętą ręką: a jeśli to pułapka? E tam, nie takie rzeczy już się macało w życiu. Pajęczyna po bliższym zbadaniu okazała się delikatną folią zwisającą na najdalszy rząd butelek pod samą ścianą, cienką, suchą, na swój sposób przyjemną w dotyku, fakturą przypominającą nieco strój Svetlany w kwiatki, plamki i ptaszki. Badając tę fakturę, ani spostrzegłem, jak spory kawałek znaleziska został mi w ręce, przeniosłem go więc do stołu, aby go sobie dokładniej obejrzeć.

Cóż, na pierwszy rzut oka folia jak folia. Butelki w schowku bywały zakurzone, ale jej kurz się nie imał. Spróbowałem ją delikatnie drzeć; z początku rozciągliwa, potem stawiała zdecydowany opór. Gdy się przez nią patrzyło na lampę, opalizowała leciutko. Siatka dyfrakcyjna? Materiał o własnościach dyspersyjnych? Wydawało mi się, że w środku dostrzegam jakby pęcherzyki, a może drobnutką kraterkę, ale wszystko to zbyt mikre, zbyt subtelne, ot, w sam raz dla krasnoludków. Najciekawsze nastąpiło,

gdym umieścił folię na stole. Ożyła; wolno, jakby starając się mnie nie prowokować, rozwinęła się i przyległa do blatu. Badała jego gładź? Na stole nie było okruchów, plam ani innych resztek, toteż bez przeszkód mogłem się przyglądać amebowatym poczynaniom folii. Rozpostarła się na nim i przylgnęła doń całą powierzchnią, jakby określając jego przydatność do własnych celów, ale efekt był widocznie zniechęcający, bo po dłuższej chwili folia odlepiła się od blatu, przybierając poprzedni kształt.

Wyjąłem z kieszeni psychogaśnicę i skierowałem na intruza.

— Ręce do góry, przyjemniaczku! — powiedziałem. — Skończyły się żarty!

Żadnej reakcji.

Wobec tego schowałem aparat. Debatując nad dziwnym fenomenem spod zlewu, przypomniałem sobie o butelkach. Jakby połączyć tę folię piwem? Znalazłem torbę, naładowałem do niej szkła. Folia spoczywała na stole jak martwa. Co z nią zrobić? Schować do kieszeni? A jeśli oblezie mi całe ubranie albo nie daj Boże i ciało? Jaki lekarz mnie wtedy uleczy? Jaki znachor to ze mnie zerwie? W tym momencie wzrok mój padł na ścianę obok stolika i zrozumiałem, że pod nieobecność Żory zaszły tu pewne zmiany.

Ściana wyglądała jak ściana: mur z tynkiem, twardy; gdy stukałem, odpowiadał jak lita masa. Na to tapeta z waty szklanej i farba zmywalna, wiem, bo zmywaliśmy, jak kiedyś wylała się nam Tomatensuppe. Teraz jednak tapeta, tłoczona w śliczną sosenkę, wydawała się pociągnięta warstewką przezroczystej emalii, a może i folii takiej jak ta na stole. Obszedłem mieszkanie pewien, że wszędzie wyczuwam

niepokojące przeobrażenia. We wszystkich pomieszczeniach pozapalałem lampy i krążyłem pomiędzy ścianami, z nosem przy ich powierzchni, jak jakiś Sheriock Holmes, który wie, że popełniono tu zabroniony czyn, ale kto? kiedy? jak? — tego na razie nie przesądza.

Po kolejnym okrążeniu i zlustrowaniu ścian nad podłogą, pod sufitem, koło kontaktów, w załomach i framugach okien podejrzenie potwierdziło się: ściany były jak nowe. Nie pachniały świeżą farbą, ale ktoś je odnowił od mego ostatniego pobytu. Pozmywał plamy, odświeżył otarcia, zakitował dziury, a odprysk w przedpokoju przyrósł na swoje miejsce. W sypialni znikł podsufitowy zaciek, powstały gdy sąsiadom z góry wylała się woda z wanny. W innym miejscu znajdowało się wgłębienie, widoczne dopiero przy bocznym oświetleniu; ono też znikło. Podczas naszej nieobecności wpadła ekipa remontowa i nikomu nie wadząc, nie dezorganizując życia blokowiska, nie przedstawiając sprzętów ani mebli, migiem odnowiła mieszkanie. Podłogi, okna i drzwi pozostały na razie bez zmian. Tak to z grubsza wyglądało.

Po dokładniejszej kontroli wyszło na jaw, że remont wciąż trwa: przy obrazkach, ozdóbkach, blisko stojących półkach folia jakby nie mogła się zdecydować, czy ma pokryć także zawieszony bądź oparty o ścianę sprzęt, czy prześlizgnąć się pod nim. W tych miejscach nad krawędziami stykającymi się ze ścianą wytworzył się nawis, rwany strzępiasto, jakby folia usiłowała przeskoczyć ze ściany jak grzybnia. W takich miejscach pozdejmowałem przeszkadzające w remoncie zapory, odsunąłem regały i przyklepałem folię.

— Czyńcie swoją powinność — poinstruowałem kierownictwo robót.

Z jedną ręką już na uchach torby, w której butelki podskakiwały radośnie, drugą wysunąłem szufladę i złapałem pierwszy lepszy kończasty nóż. Moment się wahałem — ale nie, nie pora na wątpliwości. Pociągnąłem ostrzem po ścianie, starając się zarysować tapetę. Ostrze ześlizgnęło się jak po kamieniu. Przycisnąłem mocniej — to samo. Dźgnąłem ścianę, nie za mocno, żeby nie złamać szpica — odskoczył jak od bloku ze stali. Wobec takiego dictum (kto twierdzi, że rzeczy martwe do nas nie mówią?) nie pozostawało nic innego, jak udać się do Trinkhalle. Folia leżała wciąż skurczona na blacie; dmuchnąłem na nią leciutko. Prąd powietrza poderwał ją i przesunął o centymetr.

Wracając, zastałem pod drzwiami Żory małe zbiegowisko.

— Mówię wam, że widziałem, jak się kręciła koło okna — zapewniał rezolutny młodzian, naciskając dzwonek. — Te raz zgasiła światło i udaje, że jej nie ma.

Usiłowałem sobie przypomnieć, czy rzeczywiście przed wyjściem pogasiłem światła.

— Ostatnio rzeczywiście rzadko się pokazywała — wtrąciłem.

— A pan kto? — spytała zaczepnie dziewczyna o prostych, krótkich włosach, które, gdyby je wymyć, mogły uchodzić za blond. Niebieski sweterek wypychały godne uwagi zderzaki. — Czego się pan wtrąca?

— Po prostu przechodziłem.

— To niech pan przechodzi i znika. Nic tu po panu!

— Skoro tak... — Podniosłem torbę i starając się nie dzwonić butelkami, podążyłem piętro wyżej. Przed drzwiami Schmidów i Amarillo zawahałem się: może by tak

wstąpić? Gościa z piwem każdy powita z otwartymi ramionami. Na to, żeby wspiąć się na dach, nie miałem klucza ani chęci. Przysiadłem na najwyższym stopniu, oderwałem kapsel metodą butelka o butelkę i ciąłem piwo drobnymi łykami, słuchając dobiegających z dołu złorzeczeń.

W końcu znudziło mi się. Wrzuciłem pustą flaszkę do torby, starając się nie czynić hałasu, i ociężale jąłem schodzić do przykrych obowiązków, jakich nie dało się tego dnia uniknąć.

— Suka! — grzmiał rezolutny. Porzucił delikatność na rzecz skuteczności. — Otwierać! — zaryczał. Jego kompan, dryblas z futerałem na skrzypce pod pachą, załomotał pięścią w drzwi.

— Niech pan kopnie, a porządnie — poradziłem. — Z takimi nie ma co żartować.

— A panu co do tego? — zainteresowała się blond dziewczyna. — Już pan się namieszkał?

Wzruszyłem ramionami. — Klucz nie pasuje. Musiałem pomylić klatki. — Mówiąc to, czułem, że moje akcje nie idą w górę.

— Nazwisko! — Dziewczyna otwarła kapownik, który dzierżyła już wcześniej. Srebrna końcówka długopisu celowała we mnie groźnie.

— Trudno wytrzymać w domu, taki hałas robicie. To chyba normalne, że interesuje mnie, że ktoś włamuje się do mojej sąsiadki i przy okazji łyżę ją grubym słowem. Jak nie zareaguję, pokażą mnie w telewizji osiedlowej jako przykład znieczulicy społecznej.

— Niech pan nie będzie taki troskliwy — ostrzegł ten z rakiętą. — Nikt się tu do nikogo nie włamuje.

— Przecież widzę.

— Drogi panie — zniecierpliwiał się rezolutny. On tu robił za szefa. Na grzbiecie miał skórzaną kurtkę z Wehrmachtu, podróbkę z drugiej wojny. — Jesteśmy komisją społeczną z szerokimi uprawnieniami, zajmującą się ściganiem...

— Co mu będziesz tłumaczył, Georg — zniecierpliwiała się dziewczyna — i tak nie zrozumie. Precz stąd! Fora ze dwóra! — tupnęła nogą, a jej piersi zakolebały się gniewnie.

— To ja już może pójdę — powiedziałem skruszonym głosem.

— Tak będzie najlepiej.

Wobec tego wspiałem się z powrotem piętro wyżej i zasiadłem plecami do drzwi państwa Amarillo. Drugie piwo smakowało jak ambrozja i nawet nie zauważyłem, kiedy butelka pokazała dno. Łomoty i złorzeczenia z dołu stały się nie do wytrzymania.

— Najmocniej przepraszam — powiedziałem — na pewno mają państwo stosowne uprawnienia, ale czy mógłbym... ehe, jako sąsiad... dowiedzieć się, dlaczego usiłują państwo wyważyć te drzwi?

Obrzucili mnie takimi spojrzeniami, jakbym minutę wcześniej pomordował im rodziców wraz z rodzeństwem.

— Spadaj pan stąd, i to już! — wrzasnął rezolutny. — Gównno to pana obchodzi!

— Za pozwoleniem — zdziwiłem się uprzejmie — to już Kulturkampf nie cieszy się wzięciem? Gównno mnie obchodzi, że moja sąsiadka będzie miała wyważone drzwi? A do kogo uda się z zapytaniem, kto jej zdemolował domostwo, gdy już powróci z dalekiej podróży?

— Dość tego — warknął ten z futerałem pod pachą. —
Już cię tu nie widzę!

— Nie ślizgaliśmy się razem na świńskim gównie, drogi
panie — oświadczyłem z godnością, choć wypite piwo
sprawiło, że i we mnie wzbierała agresja.

Nic nie powiedział, tylko zamachnął się futerałem jak
cepem. Wyszarpnąłem z zanadru psychogaśnicę i pociąg-
nąłem za spust. Potem przeniosłem wylot aparatu na pozos-
tałych, którzy już postąpili krok do przodu. Ich twarze były
zdeformowane przez nietolerancję. Nie zwlekając, posłałem
każdemu po porcji uspokajających ergów.

Nic się nie stało.

Przez moment zdruzgotała mnie straszliwa myśl, że
moja wunderwaffe odmówiła posłuszeństwa — lecz nie:
wykrzywione paroksyzmem wściekłości, nabiegłe krwią ob-
licze osiłka w *skórze złagodniało pierwsze. Stopniowo jego*
rysy jeły się układać w wyraz niepomiernego zdziwienia,
może nawet pewnej refleksji. Lekko się rozanielił, bujając
myślami w obłokach, lecz sądząc po szkaradnym smrodzie,
jaki owionął klatkę, jego zwieracze nie stanęły na wysokości
zadania. Dryblas wypuścił wolno futerał, a wraz z nim se-
rię szlamowatych pierdów, które ostatecznie zepsuły skład
atmosfery. Schowałem psychogaśnicę i zacząłem szperać za
kluczami. Dziewczyna opadła ciężko na schody; nic trzeba
było długo czekać, jak pod jej pięknym tyłeczkiem zaczęła
nabrmiewać kałuża. Myśl miała jednak zajętą czym innym;
przez moment wzrok jej prześlizgnął się po mnie, ale nie
było w nim już dawnego zainteresowania.

— A czarci pudding nadal zieje — odezwała się zagad-
kowo.

— Głowa do góry, słoneczko — pogładziłem ją po policzku. — Jutro znowu zaświta nam dzień. — Na znak, że nie chowam do niej urazy, chwyciłem obfitą pierś i potar-
mosiłem ją pieścizotliwie.

Gdy kwadrans później wyjrzałem na klatkę, po aktywi-
stach zostały tylko mokre ślady na schodach i ciężki fetor w
powietrzu. Na posadzce, jak na korcie, spoczywał porzu-
cony futerał; kopniakiem posłałem go na półpiętro.

Wróciwszy do mieszkania Żory, sprawdziłem machinal-
nie, czy folia zabrała się do roboty, znalazłem pusty słoik i
wrzuciłem do środka poniewierający się po stole strzępek.
Wzorem bohaterów filmowych przeczesalem palcami włosy,
raz po raz wzdychając ciężko jak ktoś naznaczony trauma-
tycznym doświadczeniem. Czułem do siebie obrzydzenie,
że w ogóle wzięłem udział w scenie na klatce. Dziewczyna
w sweterku podobała mi się i było mi jej żal.

W telewizji kanał osiedlowy pokazywał na razie stare ko-
munikaty Ligi Pięciu. Przełączyłem się na nieczynne pasmo
główne, gdzie dawniej nadawał ZDF; tu oczywiście trans-
misja trwała w najlepsze, tyle że w wykonaniu Ligi Pięciu.
Świadczył o tym znaczek w rogu ekranu: pięć kolorowych
kulek ułożonych w rząd. Szedł film albo reportaż; kamera
pokazywała dwa lampiony lecące wzwyż obok siebie. Jeden
wydawał się dodatkowo obciążony ciemnym elementem, z
każdą chwilą tracił wysokość i chwiał się niebezpiecznie. W
końcu wylądował w krzakach, zaplątał się w gałęzie, jego
miodowy blask przygasł. Przez pewien czas powiewy targa-
ły nim jak wrakiem latawca, a wreszcie coś w konstrukcji
pękło, lampion błyskawicznie szerniał, a potem skurczył
się, pozginał — i to był jego koniec. Kamera wykonała jesz-

cze zoom na pogodne wieczorne niebo, gdzie podobny do małej iskiereki drugi lampion pruć zwycięsko ku gwiazdom.

— Tak kończą się próby manipulacji przy lampionach — pouczył komentarz z offu. — W tym wypadku podwieszenie miniaturowej kamery miało doprowadzić prawdę podobnie do sfilmowania drogi lampionów do stratosfery oraz tego, jak przekazują zamówienia do realizacji. Kamera wyposażona była w czujnik ciśnieniowy; na określonej wysokości miała się oderwać i opaść na ziemię. Niestety, istnieje uzasadnione podejrzenie, że akcja ta służyła nie tyle zaspokojeniu ciekawości, ile rozpoznaniu mechanizmu zbierania zamówień, aby skutecznie go zakłócać. Nie wszystkim bowiem podoba się fakt, iż mieszkańcy Ziemi otrzymują za darmo towary lepszej jakości i wyższej trwałości od tych, które są do nabycia za pieniądze. Powtarzam więc: system przyjmowania i realizowania zamówień został tak opracowany, aby zminimalizować jego podatność na zaburzenia, także te wprowadzane z rozmysłem.

Słowa te wypowiedział znany już powszechnie, uśmiechnięty i gładki na licu Tangel Ulosque, z powodu koloru garniturku zwany panem Brownem. Tym razem towarzyszyła mu kobieta o ognistorudej grzywie, ubrana w popielaty żakiet. Nie patrząc na partnera, podjęła kwestię natychmiast po tym, jak tamten ją zakończył.

— Przedstawimy teraz podobny przypadek, jaki wydarzył się w Ameryce Północnej — oświadczyła. Obraz prezenterów pierzchł z ekranu, ukazując kilku młodych ludzi w kowbojskich kapeluszach, nachylonych nad gotowymi do wysłania lampionami. Pora była wieczorna, więc ocienione dodatkowo rondami twarze były słabo widoczne.

— Ci młodzi ludzie postanowili zaprotestować czynnie przeciw nierównym warunkom konkurencji na rynku. Po stanowili wezwać Ligę Pięciu do respektowania warunków wolnej konkurencji. W tym celu przyczepiają do lampionów ulotki i listy protestacyjne. Ich treść zawiera apel, by Liga Pięciu, cytując, przywróciła równy dostęp do rynku dla wszystkich podmiotów gospodarczych. Zanim wykażę absurd tego postulatu, przyjrzyjmy się, jak ich petycje wędrują do nieba.

Lampiony musiały być przygotowane prawidłowo, bo rozświetliły się i wystartowały ze zwykłym animuszem. Rwały wzwyż przez dobrą minutę, po czym jak na zawołanie coś się w nich zacięło. Jak gdyby wszystkie naraz dostały niestrawności. Nawet idiota łatwo by się domyślił, że to wraz z treści, doczepione im chyłkiem, zakłóciły ich rączy lot. Dalszy los wysłanników był zdumiewająco podobny do smutnego końca ich poprzednika z kamera: wiodły w locie, gasły, kolebały się rozpaczliwie w daremnej próbie wypełnienia misji. Czarne, poskręcane, waliły się w dół jak postrzelone wrony i w efekcie tak czy owak lądowały w krzakach, na drutach telegraficznych, na polu zmodyfikowanej genetycznie kukurydzy. Żałosne badyle, obwieszane zmiętymi strzępkami, jakby popalone, były wszystkim, co pozostało po splendorze świetlistych połańców.

— Sprytna symbolika — mruknąłem. — Oto jak brudne knowania zamieniają anielskość w diabelstwo.

— Króciutko powiem o absurdalności tego rodzaju żądań — kobieta znów pojawiła się na wizji. — Nie jest prawdą, jakoby Liga Pięciu blokowała komukolwiek prowadzenie identycznej akcji dobroczynnej. Jeśli ktoś — firma, organizacja, państwo, osoba prywatna — posiada odpowiednie

środki technologiczne i finansowe, nic nie stoi na przeszkodzie, by rozpoczęła swą akcję choćby jutro. Przestrzeń jest dla wszystkich, a rzesze potrzebujących nie maleją. Jednakże — uśmiechnęła się promiennie do partnera, który wpatrywał się w nią jak urzeczony — wydaje nam się, że pretensje formułują głównie zawistnicy, którym solą w oku jest sprawność dystrybucji naszej Poczty Lampionowej. Inni skarżą się, że pozbawianie ludzi dostępu do naszej zaawansowanej techniki jest sprzeczne z demokracją. Otóż Liga Pięciu nie widzi powodu, aby jakimkolwiek grupom czy organizacjom udostępniać szczegóły zastosowanych rozwiązań. Dobrze wiemy, jak z nieporównanie prostszymi technologiami ludzkość poradziła sobie w przeszłości, obracając je na swą szkodę i pogńębienie. Nasze technologie, narzędzia i sposoby zostaną być może przekazane w terminie późniejszym, gdy Liga Pięciu zyska pewność, że zostaną użyte zgodnie z przeznaczeniem.

— Pozostaje kwestia, czy takie zarzuty są w ogóle usprawiedliwione — podjął mister Brown. — Naszym zdaniem w najmniejszej mierze nie. Któż bowiem przy zdrowych zmysłach będzie żądał równości w dostępie do rynku dla producentów łuczyw, podczas gdy prym na nim wiodą od dawna producenci latarek elektrycznych i ogniów paliwowych? Na tym, drodzy państwo, polega wszelki postęp, że lepsze rozwiązanie wypiera gorsze, póki samo nie zostanie skonfrontowane z jeszcze lepszym. Konkurencja może do woli oferować swoje łuczywa, jeśli tylko znajdzie na nie amatorów.

— Chcemy jednak zaspokoić ciekawość tych widzów, których interesuje, jak przebiega proces realizacji zamówień. W tym celu pokazujemy krótki film — kobieta znów

weszła do akcji. — Fazę początkową wysyłania lampionów wszyscy znamy. — Mimo to w przyspieszonym tempie przez kadr przeleciały poszczególne etapy ładowania i puszczenia lampionu. — Wypuszczony swobodnie lampion wzbija się z powodu różnicy ciśnienia aerostatycznego. Na pewnej wysokości ciśnienia te wyrównują się; lampiony nie mają siły lecieć wyżej. Wobec tego czekają na urządzenie, które je zbierze i posortuje. — Kamera ukazała kilka lampionów, podobnych do zniczy uczepionych niewidzialnego grobowca. Operator podjechał nieco wzwyż: nagle moim oczom ukazała się łąka świateł, rozciągająca się we wszystkie strony. Mdła luna biła od zgrupowanych w wysepki świetlanych wystłanników.

— Akurat — powiedziałem kłótliwie. — Jakim cudem gromadzą się w jednym miejscu, skoro ludzie wysyłają je z tysiąca różnych miejsc?

Spoczywałem na łóżku Żory, pozbywszy się tylko butów. Pociągane w regularnych odstępach czasu piwo usposabiało mnie polemicznie.

— Chyba że — dodałem — wyposażono je w czujniki, które ułatwiają im koncentrację.

Nie zdołałem rozwinąć tej bezwzględnie cennej refleksji, gdyż w polu widzenia pojawił się rekin wielorybi: tak to stworzenie wyglądało. Tyle że był ogromny — na pół nieba albo lepiej. Czyli nie rekin, a Lewiatan. Przy pokazywaniu go została zaangażowana wyższa technika: jedna kamera spod brzucha potwora ukazywała rozwartą pysk, który bardziej przypominał lej. Wlot tego leja zmieniał swój przekrój, o ile mogłem się zorientować. Druga z kamer ukazywała straszną czeluść leja od strony skazanych

na pożarcie lampionów, które najpierw zbiły się w gęstsze skupiska, a potem jak złoty kawior zgodną strugą wpływały do bezzębnej paszczy. Trzecia ów proces pochłaniania niewinnych jak plankton świetlistych robaczków filmowała bardziej z boku, demonstrując porażającą skuteczność tej biożniwiarki. Lewiatan był ślepy, pysk miał obły jak pozbawiona reflektorów maska samochodu — a jednak poza paszczą nie pozostał ani jeden lampion. Żeby pozamiatać całą tę świetlistą łąkę, oczyścić niebo z gryszu lampionów, wystarczyły mu dwa albo trzy nawroty. Doprawdy, nie był to moment na wyrażanie wątpliwości, czy producenci łuczzyw zasłużyli na lepsze traktowanie.

— Ujawnienie powyższych kadrów wiąże się oczywiście z umiarkowanym ryzykiem — uśmiechnął się słodko mister Brown. — Włodarze strasznych broni masowego rażenia, rakiet i samolotów wszelkiej maści mogliby próbować zakłócić linie zaopatrzeniowe Poczty Lampionowej. Ot, na początek spróbować odnaleźć plantacje lampionów i przeszkodzić w ich zbieraniu. Uzasadnienie byłoby oczywiście, jak w przypadku każdej interwencji, takie samo: interes społeczny, dobro kraju albo i całej ludzkości. Chociaż gołym okiem widać, czego chcą ludzie, uzurpatorzy wciąż decydują w ich imieniu. Liga Pięciu oświadcza zatem, że nawet w przypadku prób zakłócania bądź psucia jej linii zaopatrzenia nie podejmie ze swej strony interwencji zbrojnej. Innymi słowy, do żadnej wojny światów nie dojdzie, bo jej wynik mógłby być tylko jeden. Możliwe jest jednak zastosowanie metod dezorientacji wizyjnej i wszelkiej innej, a także spowodowanie utraty przez maszyny latające sprawności ruchowej. Jak się kończy runięcie dużej masy z wysokości,

z grubsza wiadomo. Może też zdarzyć się i tak, że kombajn lampionowy wchłonie razem z nimi do swego wnętrza taki właśnie pechowy samolot wraz z załogą. Lampionom nic się wprawdzie nie stanie; za to samolot i jego załoga będą się czuli jak dżdżownica w glebogryzance. Apeluję więc do tych — mister Brown zmarszczył się łagodnie — którym roiłaby się konfrontacja: zostaliście ostrzeżeni. Liga Pięciu to wprawdzie organizacja istot łagodnych, ale nie tchórzliwych.

Ośłabiła mnie ta przemowa; w jej trakcie ostatnia pusta butelka wysmyknęła mi się z ręki. Przytrafiła mi się chyba sekunda niespodziewanej drzemki, z której coś mnie wyrwało. Ciemność — bo leżałem po ciemku — rozświetlał tylko matowy beż pustego ekranu. Namacałem pilota i wyłączyłem go. Spoczywałem w bezruchu parę minut, a może godzinę, nie przejmując się całym światem, z Ligą Pięciu włącznie. Obejrzane rewelacje wisiły mi i powiewały. A jednak tego wieczoru nie był to kres atrakcji.

Nie wiem, jak to określić, bo doznałem czegoś podobnego pierwszy raz w życiu, ale wśród odnowionych przez nanofolię ścian wyczułem czyjąś obecność. Nie w sypialni, nie w drzwiach — głębiej. Ktoś tam był, poruszał się bezszelstnie, ale wiedział o mnie — i zmierzał w moim kierunku. Ta konstatacja nieco mnie ożywiła. W płaskim pasie ekranu majaczył wylot drzwi z sypialni, usytuowanych tuż za moją głową — i raptem w czarnym obramowaniu przemknęła świetlista smuga, zupełnie jak czarodziejka czy wróżka na filmach Disneya. Brakowało tylko stosownych dzwoneczków z ich uroczym — plim!

Prześwit za moją głową znów wypełnił się światłem, tak że po sypialni przebiegły cienie. Tym razem zjawia odcho-

dziła wolniej, jakby z ociąganiem. Sięgnąłem z łóżka w dół, ale namacałem tylko pustą butelkę.

— Witaj, przyjacielu! — zawołałem buńczucznie. — Siadaj, pogadamy!

Po czym przypomniała mi się niepozorna uwaga wykasowanej blondynki w niebieskim sweterku: „Czarci pudding znowu zieję”.

Nie pamiętam, jak włożyłem buty. Chyba zrobiłem to w piorunującym tempie. Droga do domu zabrała mi zdumiewająco mało czasu. Musiało być dobrze po północy, bo spotkałem tylko hałasującego pijaczka na oko z Senegalu, który nawet nie próbował nagabywać mnie o drobne. Czarci pudding zieję... a ja zamiast zbadać rzecz na chłodno, wziąłem nogi za pas. Może owe wiry świetlne to efekt uboczny odnawiania ścian? A może Zora pod tą elektryczną postacią wraca wizytować swe włości?

xiv

We wtorek wypadły mi konsultacje z Rheinehartem; nie było to nic formalnego, po prostu raz, dwa razy na tydzień spotykaliśmy się, aby wymienić poglądy. Bywało, że coś mi przy okazji zlecał. Tym razem wydawał się nieobecny duchem; nie zważając na to, opowiedziałem o nawalnicy, która przeszła nocą nad Europą.

— Liga Pięciu! — prychnął. — Wreszcie się do czegoś przydała. Jest na kogo zwalić winę za perturbacje klimatyczne, co?

— Bo ja wiem? Wielu to powtarza, ale nikt chyba w to nie wierzy.

— Ludzie rzadko zachowują się racjonalnie. Zauważył pan? Zwłaszcza jeśli wiedzą lub podejrzewają, że sami nie są bez winy. Wie pan, co wykończy cywilizację? — stęknął, pochylając się w fotelu. — Nie gadżety Ligi Pięciu, nie kataklizmy dziejowe — tylko nasze własne lenistwo. Upodobanie do wygodnego życia. Wynalazca kartonów na soki i na mleko umierał jako multimiliarder, w aurze dobroczyńcy ludzkości. Co dobrego tak naprawdę zrobił? Zawalił planetę milionami ton trudnego do utylizacji plastiku stopionego z aluminium, które będą się rozkładać ze sto pięćdziesiąt lat, zanim szeszczą. — Mówił w powietrze, jakby zapomniał o mej obecności. — Albo torby z polietylenu. Wracając ze sklepu, przynosimy ich trzy razy więcej niż potrzeba. Bezmyślne panienci pakują już zapakowane firmowo sprawunki w foliowe worki, po jednym na każdy worek, żeby nie było im ciasno, a na końcu wszystkie w jeszcze jeden worek, większy i grubszy, żeby klient miał tylko jedną rzecz do niesienia. Przychodzi pan do domu, wypakuje to bogactwo, oczy panu błyszczą, na stole zostaje mała kupka produktów, że wnet nakryłby pan je czapką, a na podłodze piętrzy się sterta plastikowych toreb i foliowanych pudełek, w których pan grzęźnie po pas.

— Spalarnie zamieniają je w megawaty — zauważyłem rezolutnie.

— Tak? I to jest takie godne pochwały? Potem idzie pan chodnikiem i wdycha powietrze kipiące od dioksyn, zaś po paru latach zachodzi pan w głowę, skąd ma pan raka. Na tym polega ta szatańska transakcja: wygoda, owszem,

dla wszystkich, lecz za cenę śmierci kilku procent klienteli. Smok musi dostawać swoje dziewice — zaśmiał się sardonicznie. — Wie pan, co doprowadziło do wyginięcia populację wielkich żółwi morskich?

— Krajowcy wyżerali im jaja. Blokowali rozród.

— To też. Ale załatwiły je na cacy torby plastikowe. Jest ich wszędzie tyle, że roznoszone wiatrem trafiły do oceanów. Żółwie myśląc, że to meduzy, którymi się żywią, podpływały i chaps! A tu niespodzianka: wór z polietylenu zatyka gardziel i po paru dobach męczarni ekspediuje do krainy Wielkiego Manitou.

Rwałem się do głosu, aby wzbogacić jego koncepcję o dalsze przykłady, lecz w tym właśnie momencie rozległo się pukanie i do pokoju zajrzała rozczochrana łepetyna. Ze zdumieniem rozpoznałem Kopfwassera.

— Można? — zainteresował się. — Nie przeszkadzam?

Złożyłem blok przygotowany do notatek i podniosłem się z krzesła.

— Niech pan zostanie — powstrzymał mnie Kopfwasser — ja tylko na chwilę... Miało mnie dzisiaj nie być — zwrócił się do Rheineharta — ale w nocy wpadłem na dziwaczny pomysł... albo i dwa. Muszę je komuś opowiedzieć na gorąco.

— Zwołaj konferencję — poradził mu Rheinehart z bijącym w oczy sarkazmem.

— Na to stanowczo za wcześnie... trzeba domyśleć, dopracować w szczegółach... może nawet poważnie zmodyfikować. Masz trochę czasu?

— Pewnie — rzekł Rheinehart swobodnie. — Z chęcią udzielimy posłuchania panu doktorowi. — Gestem dysk-

dżokeja puszczającego w powietrze **kolejną tonę jazgotu** uruchomił elokwencję naukowca.

— Wszyscy zastanawiamy się, jaki plan przeprowadza Liga Pięciu — zaczął tamten. — Jaki cel pragnie osiągnąć. Z pozoru w tych poczynaniach nie widać ziarna racjonalności. Zauważyliście, że w ostatnim komunikacie, tym o lampionach, pojawiły się pogrożki?

— No i co z tego? — odezwał się Rheinehart sceptycznie.

— Ostrzegają nas, żebyśmy się nie zbliżali do ich machin w naszych zawoszonych samolotach. Żebyśmy sobie dali spokój z wytaczaniem naszych zawoszonych głowic. Właściwie powinniśmy być im za to wdzięczni. Ale nie wywiesza się przecież na idącym przez pole kombajnie ostrzeżeń dla przepiórek, kuropatw i zajęcy. Po raz pierwszy Liga Pięciu użyła tonu, nazwijmy to tak, szowinizmu technologicznego i zniżyła się do chępliwości z powodu własnej przewagi technologicznej.

— Cóż w tym dziwnego? — Rheinehart konsekwentnie postanowił odgrywać rolę sceptyka. — Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaprzeczy, że ich przewaga na łądzie, w powietrzu i wszędzie indziej jest faktem.

— Otóż to właśnie! — zatarł ręce Kopfwasser. — Jak kto ma przewagę do tego stopnia miażdżącą, nie potrzebuje jej eksponować. Jako właściciel kombajnu — wróćmy do przykładu z dziedziny rolnictwa — nie odczuwasz przecież potrzeby głoszenia expose do wspomnianych przepiórek, kuropatw i zajęcy, że dysponujesz oto straszliwą maszyną zdolną do obrócenia w perzynę ich gniazd. Nie wyjeżdżasz też kombajnem na pole w celu urządzenia demonstracji siły, tylko dla zebrania zboża. Już przechodzę do kwintesencji.

Otóż skoro uznali za stosowne podkreślić w mało zakamuflowanej formie wyższość własnej techniki nad naszą, skoro chępią się tą wyższością, która ani przez chwilę nie budzi niczyjej wątpliwości, to może ta wyższość nie jest aż tak przepastna, jak nam się wydaje? Będąc tytanem, nie mówi się do słabeusza: „Ja jestem silny, a ty nie, więc lepiej uważaj i nie wchodź mi w drogę, bo oberwiesz”.

— Czemu nie? — powiedział Rheinehart. — Pewna kategoria słabeuszy sama się naprasza. Lubią dostawać wyścisk. ..

— Nie trywializuj. Takie postępowanie jest prymitywne, a więc kłóci się z wyrafinowaniem, jakie Liga Pięciu prezentuje na każdym szczeblu.

— Tak to wygląda z naszego punktu widzenia. Z innego może wyglądać inaczej.

— Nie, nie — bronił swego Kopfwasser. — W takim postępowaniu jest rażąca niestosowność. Niegodna wysokiej inteligencji, która owładnęła tak potężnymi środkami.

— Ejże! — wykrzyknął Rheinehart. — Wymóg, by ci, co dysponują potężnymi środkami budowania czy niszczenia zachowywali się stosownie, w dodatku według naszych miar, wydaje mi się przegięciem. A jeśli oni nie mają na to najmniejszej ochoty? Jeśli nie leży to w ich naturze? Albo w tradycji? A może owładnął nimi chwilowy kaprys? Może zagrały emocje, bo to istoty uczuciowe?

— Panu Kopfwasserowi chodzi chyba o to, że dotąd Liga Pięciu zachowywała się skromnie i taktownie, a teraz nagle zmieniła ton — poddałem. — Może doszło do modyfikacji planu, który mieli? Zmieniła się ekipa odpowiedzialna za public relations?

— Donikąd nas nie doprowadzi to gdybanie — orzekł Rheinehart. — Może zwyczajnie poczuli się zagrożeni, że będą musieli zrobić z nas dżem, czego jako istoty wrażliwe chcą z całej mocy uniknąć. Czy przedstawiłeś już swoje nocne pomysły? — zwrócił się do Kopfwassera.

— Już się do tego zabieram. — Potar mosił w zafrasowaniu szczękę. — Cała ta sytuacja z Ligą Pięciu przypomina mi grę komputerową: jest pewna scenografia, w tym wypadku Ziemia z jej mieszkańcami, są warunki wyjściowe i istnieje zamiar, który grający usiłuje przeprowadzić. Jeśli mu się uda, może mówić o wygranej.

Rheinehart rażno przystąpił do dyskredytowania pomysłu.

— Nadto ogólnie to przedstawiłeś. Przy takim ujęciu wszystko jest grą. Nie kroisz chleba nożem, tylko utrzymujesz, że pomiędzy nożem a bochenkiem odbywa się gra, w której rzecz jasna zwycięża nóż, gdyż chleb zostaje rozkawałkowany. Podobnie postępuje z butelką wody mineralnej ktoś, komu zachciało się pić. Nie pije, tylko prowadzi z wodą grę, doprowadzając do jej fizycznego unicestwienia i tym samym zostając bezapelacyjnym zwycięzcą.

— Nie zrozumiałeś mnie — rzekł Kopfwasser, przypatrując mu się z odrazą. — Gra, jak to się zwykle pojmuje, polega na tym, że w konfrontacji dwóch lub więcej stron każda stara się przechytrzyć przeciwnika, aby coś na tym zyskać. Tu jednak odbywa się gra z udziałem tylko jednej strony. Słyszeliście może o grze w cywilizację? — obrócił się z nadzieją w moją stronę, ale pokręciłem głową. — Gracz dostaje tam pewną domenę w posiadanie, warunki wyjścio-

we i reguły postępowania. Jak za wysoko podniesie podatki, doprowadzi do buntu; jak wzmoże terror, dojdzie do rewolucji. Obwołają go tyranem, znienawidzą i tak czy owak jego dni są policzone, a królestwo upadnie. Analogia z Ligą Pięciu wydaje mi się taka: Liga otrzymała lenno. Zdobyła je, kupiła, odkryła, sama dała sobie do niego prawo — w każdym razie nim dysponuje. To oczywiście Ziemia z jej ludzkością, zasobami itd. Twój przykład z wodą — kiwnął brodą w stronę Rheineharta — wydaje mi się o tyle na miejscu, że ludzkość, jak ta woda, może w grze uczestniczyć tylko na sposób bierny. Nie jest w tej grze partnerem. Woda może się sprzeciwić woli tego, co ma na nią ochotę, tylko w jeden sposób: sprawić, by się nasycił. Jedyna jej szansa polega na masie. Butelkę wody łatwo wypić, ale już z oceanem uporać się trudniej. Nie śmiecie się: Liga Pięciu traktuje nas jak balast, jak martwy element świata, który stawia opór. Chcąc nas poruszyć, musi pokonać naszą inercję.

— No wie pan, czymś jednak różnimy się od jeziora czy góry piachu — zaryzykowałem.

— Nie dla nich. Mogą w każdej chwili przejechać po nas swoją techniką. Gra sprowadza się do cybernetycznego zadania sygnału na wejście układu i śledzenia, co się pojawi na wyjściu. To, co się znajduje wewnątrz układu, niewiele ich obchodzi. Mogłaby to być nawet zupa mleczna.

— Przeholowałeś. — Rheinehart poruszył się w fotelu. — Masz moje słowo, że to nie jest gra komputerowa. To tylko ciekawa analogia, interpretacja artystyczna... nic więcej. Dawaj więcej treści.

— Jak sobie życzysz — rzekł Kopfwasser urażonym tonem. — Odpowiedzcie mi więc na takie pytanie: jak roz-

mieścić raczej dużą liczbę pewnych substancji na cudzej posiadłości. Na planecie, powiedzmy.

— Zapłacić właścicielowi i po krzyku.

— Ale z góry wiadomo, że to nie jest na niego sposób. Jest to gość bardzo podejrzliwy... znacznie bardziej niż chciwy. I ostrożny. W dodatku fanatyczny ekolog, a źli sąsiedzi naopowiadali mu, że chcemy składować toksyny. Nie, przekupstwo sprawy nie załatwi.

— Sądzi pan, że ta zakazana substancja to prezenty Ligi Pięciu? — wtrąciłem. W każdym pomysle Kopfwassera czułem inspirujący ślad, ale pod naporem gołej logiki zaczynały natychmiast się sypać. — Rozdają dzieciom misie i laleczki, a do środka zamiast trocin pakują izotopy promieniotwórcze?

— Nie. Misie są misiami, laleczki laleczkami. Ale na sygnał, który oni dadzą, zamienią się w coś zupełnie innego. Akcja pod kryptonimem „Święty Mikołaj” ma jeszcze jedną zaletę: gwarantuje im w miarę równomierne rozłożenie depozytu na planecie. Ludzie ochoczo zgodzili się przechowywać dla nich miny, które na komendę zaczną tykać i eksplodują.

— I coś zdemolują, tak? Wiesz co — powiedział niezadowolony Rheinehart — gdyby chcieli niszczyć, zabraliby się do tego inaczej. Szybciej, prościej. Nie zadawaliby sobie tyle trudu.

— Może nie chcą niszczyć? — podsunąłem.

— Tylko co?

— Przeobrazić. Wywołać zmiany. Wyprostować.

— No — ucieszył się Kopfwasser — wracamy do koncepcji gry. O tych eksplozjach mówiłem rzecz jasna w przenoś-

ni. I mnie wydaje się, że raczej próbują coś przestawiać niż demolować. Nasuwa się pytanie, w co można przeobrazić takie zabawki.

— Nano — znowu byłem szybszy. Rheinehart obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. — Nanotechnologia będzie ich narzędziem! Może nawet już jest. — Ugryzłem się w język i ani słowem nie wspomniałem o remoncie w mieszkaniu Żory ani o zabiegach renowacyjnych, jakich doznał jej samochód, ale przyszło mi to z najwyższym trudem. — Kto wie, czy nie stosują nano do produkcji tych gadżetów. Czerpak pobiera z kadzi porcję fekaliiów, dorzucają garść rodników nano, czekają parę godzin — i gotowy produkt spada do pakowalni.

— Nasz przyjaciel zbyt prosto to sobie wyobraża — osądził Kopfwasser, odzyskując rezon. — Szczerze mówiąc, nie brałem pod uwagę nanotechnologii. Wie pan — zwrócił się do mnie, studząc mój zapał — do wbicia gwoźdźcia niepotrzebny jest kwantowy rozrzedzacz atomów w ścianie, wystarczy zwykły młotek. Moja koncepcja jest inna: chcą, żeby każdy człowiek na Ziemi miał przynajmniej jeden produkt Ligi Pięciu, bo dzięki nim mogliby monitorować ludzkość. Widzi mi się, że o to im chodzi.

— W celu? — spytał bez litości Rheinehart.

— Och, nie wiem, w jakim celu. Z ciekawości. Żeby o nas dużo wiedzieć. Albo żeby odróżnić dobrych od złych. Może są w trakcie krucjaty religijnej? Macie mnie za proroka?

— Nie, skądże.

— Skoro te ich pistoleciki do rozstrzygnięcia sporów, te myślotłuki... dysponują takim rozeznaniem w sytuacjach konfliktowych, że wazą się rozstrzygać jako ten Salomon,

po czyjej stronie racja, to bez wielkich trudności umieliby chyba pochować podobne systemy skanujące po lampach, goglach, zegarkach i płaszczach w nadobne mgławice? Nawet łatwiej, bo odpada mechanizm do miotania uśmierzającego gniew miazmatu.

— To był cudowny pomysł — rozanielił się nagle Rheinehart — żeby porcja takiego uśmierzacza powodowała jednocześnie, że agresor ma pełno w portkach! Dobrze się zastanowi, zanim następnym razem sprzeniewierzy się tole rancji! I jak taktownie przemilczeli to w zapowiedzi! Trochę tu ironizowałem i tonowałem twoje zapędy — zwrócił się do Kopfwassera — żeby nie szło ci zbyt gładko, ale niczego nie wolno przekreślać z góry. Powiem wam coś, jeśli obie cacie nie rozpuszczać języka.

Kiwnęliśmy w milczeniu głowami.

— W pierwszych dniach wprowadzenia Poczty Lampionowej w Ohio w Ameryce skrzyknął się pluton strzelców wyborowych z wiatrówkami. Gdzieś na prowincji, gdzie lasy, tradycja polowania... ludzie umieją tam strzelać. Zaczaili się i jak ktoś tylko puszczał lampion, to oni go pyk! — ze-strzelowali. W ramach wymiany dostaliśmy ostatnio zza Wielkiej Wody raport na temat dalszych losów ludzi z tej grupy. — Łypnął na nas spode łba. — Prawie wszyscy nie żyją.

Uczciliśmy ich pamięć parosekundowym milczeniem.

— Wiadomo, jak zginęli?

— Różnie. Kilku w nieszczęśliwych wypadkach. U dwóch wykryto raka, który piorunem przetransportował ich na tamtą stronę. Jeden miał Hiv-a 2 — żyje wprawdzie, ale los jego jest przypieczętowany. Jednego zamordowano. Aha,

w tych wypadkach były coś ze dwa samobójstwa... ze trzy wypadki samochodowe... Jeden się upiekł w pożarze.

— To ilu tak naprawdę ich było? — rzeczowy jak zwykle Kopfwasser lubił ściśle dane.

— Chyba z osiemnastu. Rzecz jasna na akcje wychodzili po kilku... nie całą bandą. Jak kto miał wolne. Objeżdżali okolicę jeepem należącym do przywódcy grupy. Ten jeep został kompletnie skasowany przez jakiegoś TIR-a.

— Mszczą się na narzędziach? — zadumał się doktor. — To pewnie i lufy tych wiatrówek poskręcało w ślimaki?

— O wiatrówkach raport nie wspomina.

— Hm, znęcanie się nad narzędziami świadczyłoby, że traktują je jak współwinnych. Albo zniżają ludzi do poziomu narzędzi, albo awansują narzędzia do poziomu ludzi.

— Przy ich technologii granica między jednymi a drugimi się zawęża. W każdym razie następuje tu jakieś zrównanie.

Nie odzywałem się, porażony samą możliwością. Pierwsze lampiony pojawiły się na Ziemi pod koniec czerwca, zatem wymierzenie sprawiedliwości psującym je szkodnikom potrwało niecały miesiąc. Nagle zrobiło mi się duszno, podszedłem do okna i wyrząłem na zewnątrz.

— Co z panem, kolego? — dopytywał się troskliwie Kopfwasser.

Nie było rady, należało stawić czoło zagrożeniu.

— W takim razie i na mnie wydano już wyrok. Zakłułem kilka z nich nożem... kiedy jeszcze nie było wiadomo, co to jest i do czego służy. Z głupoty, powodowany atmosferą ogólnego uniesienia. Z owczego pędu... A co za różnica, czy ktoś z wiatrówki, czy nożem?

— Szukasz czegoś? — zaciekał się Rheinehart, ponieważ doktor obiegił szybko pomieszczenie, zaglądając tu i tam.

— Sprawdzam, czy nie ma tu żadnego z nich. Może oni jeszcze nie wiedzą o grzechu naszego młodego przyjaciela i ktoś... coś musi ich o tym poinformować? Zamawiał pan potem coś Poczta Lampionową?

— Owszem, kilka razy — powiedziałem.

— Z jakim skutkiem?

— Pozytywnym. Otrzymałem to, co zamówiłem.

— Widzi pan, nie jest chyba tak, że oni są wszechwiedzący i znają każdy nasz ruch czy rejestrują każde słowo. To by zatkało system o dowolnej przepustowości. Raczej gdy już porozdawali trochę prezentów, skanowali pochodzące z nich zapisy stochastycznie... czyli wybiórczo... i przypadkiem wpadli na zapis zebrania tych gości z Minnesoty czy Nevady. Zebrali się biedacy w garażu przy flaszcze whisky, żeby omówić kolejną akcję, albo chwalili się, który ile zestrzelił — a w kątku albo na półce lampa czy inna latarka cierpliwie konotowała sobie te wyznania. Moja rada taka: niech pan o tym nikomu więcej nie wspomina, sam też myśli o tym jak najrzadziej... jeśli chce pan pożyczyć trochę dłużej.

Rheinehart wstrzymał się od komentarza, omiół mnie tylko zaciekawionym spojrzeniem. No, no, taki ścichapek, kto by pomyślał... Ale gębę miał pooraną frasunkiem jak dłutem.

— Z tego wynika — rzekł markotnie — że trzeba by jednak ludziom odbierać te podarki, przemocą albo po do broci. W obu przypadkach nie zostanie to dobrze przyjęte.

Nadto ekipy odbieraczy zostaną potraktowane z myślółtów i ich misja zakończy się w początkowej fazie w sposób wielce spektakularny, mianowicie wytrząśaniem własnego gówna z portek. Kto by jednak nie dał za wygraną, temu rychło przydarzy się awaria pompy albo wylew, przejedzie po nim TIR, względnie spopieli go pożar. Skąd rekrutować takich straceńców? — powiódł po nas zatroskanym okiem, w którym migotała jeszcze iskierka rozbawienia po tym wytrząśaniu. — Zwołanie konferencji uznaję za nieodzowne. Ty — zwrócił się do Kopfwassera — dopracujesz swoje koncepcje i zbierzesz je w spójny referat. Pan, panie Papadopoulos, ogłosi w internecie, że poszukuje wiadomości o nagłej śmierci bliskich w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Niech pan zaprogramuje wyszukiwarke, przeskanuje listy dyskusyjne i co tam się da.

— Należałoby chyba zwrócić się też do policji. Oni prowadzą takie rejestry.

— Tak, bezwzględnie. Ja natomiast zwrócę uwagę czynników na raport przyjaciół zza Wody, a ich samych zagadnę o szczegóły. I czy to u nich przypadek odosobniony, czy nie. Trzeba zapłodnić naszych naukowców, żeby wiedzieli, czego szukać. Coś jeszcze, panie Papadopoulos?

— Może warto by się przyjrzeć różnicom w geograficznym adresowaniu oferty?

Potrząsnął głową. — A po ludzku?

— No... czy lampy oferowane w Europie są takie same jak te dla Beduinów. I tak nie możemy badać niczego innego, więc przynajmniej dowiedzmy się, czy w Lidze Pięciu istnieje podział producentów według asortymentu, czy wszyscy produkują to samo i tak samo. Może jedni specjalizują się

w tym, inni w tamtym. A nuż coś wywnioskujemy o strukturze Ligi Pięciu.

— OK. Skonfrontować wytwory z różnych części świata, niech zbadają je nasi technolodzy. Niech naukowcy obstawiają je czujnikami, zbadają podatność na pola i możliwość ekranowania. Rentgenowali pewnie zaraz na początku. — Zauważyłem, że mówi to w kierunku pióra w kieszonce, połączonego z rejestratorem. — Jak wojna to wojna.

Kiedy tego dnia wracałem do Rummlau, czułem w kościach zmęczenie, a w głowie ekscytację, jakbym brał udział co najmniej w naradzie sztabowców, która odwróci losy kampanii. Na ostatnim ślimaku przed Rummlau odbiłem w prawo i Cytryjon po łagodnej estakadzie jął się opuszczać ku miasteczku. Coś kazało mi się obejrzeć przez lewe lustro — z tyłu po pasie dla jadących prosto szarżował olbrzymi van o ciemnych szybach, z których jedna była uchylona. Byłem już na zjeździe, kiedy mnie mijał. Przez wsteczne zdołałem uchwycić bladą plamę twarzy w uchylonym oknie i spoglądający beznamiętnie w moim kierunku czarny wylot lufy; w następnej ćwierci sekundy lufa rozjarzyła się rozbłyskami i szyba boczna w jednej chwili pokryła się siatką pęknięć. Cytryjon podskoczył, jakby próbowała go capnąć ręka kościotrupa, ale ześlizgnęła się i została z tyłu: kule załomotały w karoserię w szybkim stacatto, coś zgrzytnęło, odruchowo dodałem gazu i następne porcje ołowiu przeleciały górą. Znalazłem się w martwej strefie ostrzału.

Wiedziałem, że następny zjazd na drodze vana był półtora kilometra dalej i po dłuższym manewrowaniu także wiódł do Rummlau. Strach nakazywał mi pruć przed siebie, ale powiedziałem sobie: „Bez paniki, Papa”. Ujechałem jesz-

cze z kilometr, nie przejmując się znakami, zaparkowałem na poboczu i wysiadłem. Nogi miałem jak po przeszczepie, bałem się że upadnę, musiałem oprzeć się o karoserię.

Ślimak, z którego zjechałem, czernił się w tyle, zdeformowany ukośną perspektywą. Na zjeździe, gdzie trafiły mnie kule, doszło do kolizji, bo jeden z samochodów kopał się, a wokół wywijają rękami ludzkie mrówki. Poczułem ulgę: zaraz tam będzie policja, a w takie miejsce się nie wraca. Zbadałem karoserię po lewej stronie. Pierwszy pocisk wałnął w ramę nad drzwiami, drugi ugodził w szybę, a kolejny w blachę pod tylnym bocznym oknem. Żaden nie zdołał nic przebić, pozostały tylko spore wgłębienia. Szybę pokryła pajęczyna pęknięć, rozchodzących się promieniście od punktu trafienia, lecz strzał nie zdołał jej roztrzaskać. Potem strzelec musiał poruszyć lufą, a Cytryjon był już zwrócony doń tyłem, bo pozostałe dwa trafiły w bagażnik; również tu lakier pozostał nienaruszony. Gdyby choć jeden ugrzązł w baku, już bym kończył się palić. A wcześniej, gdyby karoseria i szyba nie odbiły kul, już bym nie żył.

Nogi wciąż trzęsły się pode mną jak galareta. Pomimo to wlałem do auta i zapuściłem silnik. Na razie jednego byłem pewien: nie wolno mi pojawić się w domu, ani tym bardziej u Żory Spess. Należało gdzieś przypaść i zastanowić się na chłodno, co dalej. Przejechałem przez Rummlau i nie zwalniając, pomknąłem przed siebie.

PRĄCICHA I WAGINAŁY

SIERPIEŃ 2032

XV

Przez całe Rummlau nikt się za mną nawet nie obejrzał. Z pół godziny jechałem bez planu, zaspokajając odruch ucieczki przed zagrożeniem. W końcu dotarło do mnie, że jeśli nie zawrócę, to niebawem znajdę się w Polsce, chyba że wcześniej zabraknie mi paliwa. Strzałka, która stała jak przymurowana na pozycji „pół baku”, niespodziewanie odbiła w stronę ćwiartki. Czarodziejski Cytryjon znowu przypomniał sobie, jak się pije benzynę.

Jak dotąd miałem szczęście, policja się nie napatoczyła. Zawróciłem więc i w jakimś lasku wysiadłem, żeby ulżyć pęcherzowi. Jeszcze raz obejrzałem wgięcia po pociskach; teraz nie wydawały się takie straszne. Szyba trzymała się cało, choć teoretycznie powinna się rozlecieć na kwadratowe ziarna; widywało się kałuże takich ziaren w miejscach kolizji.

Udało się ustawić Cytryjona w ustronnej części parkingu, gdzie nie rzucał się w oczy, a ja oddaliłem się ścieżką w las,

żeby pomyśleć. Rejterada z Rummlau była może i słusznym pociągnięciem, ale rozwiązywała sprawę na krótko. Przypuszczałem, że po incydencie czarny van ulotnił się — może egzekutorowi wystarczyła pewność, że zostałem trafiony, ale równie dobrze mógł przesiąść się do innego samochodu i kursować po okolicy, żeby mnie dopaść i dobić. A może chcieli mnie tylko nastraszyć? Albo nastąpiła przykra pomyłka? Z drugiej strony: nie dostaje się serii pocisków w auto przypadkiem, bo ktoś roztargniony zapragnął sobie postrzelać na autostradzie. Choć w dzisiejszych szalonych czasach wszystko niby możliwe.

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej mgliście rysował się powód tego przypadkowego ostrzelania. Za co ktoś chciałby eliminować z tego padła tak nędznego robaka jak ja? Wtedy przypomniałem sobie o snajperach z Ohio, strącających śpieszące z zamówieniami lampiony, i zrobiło mi się gorąco. No tak, to był motyw. Ale zarazem uzasadnienie do zaprzestania ucieczki: przed tak bezwzględnie działającą Ananke nie było bezpiecznej kryjówki.

Logika to jedno, strach — drugie. Po godzinnym spacerze, porządnie zrelaksowany, wsiadłem do auta. Silnik buczał uspokajająco, powietrze wpadające przez okno — szybko dawało się ostrożnie przesuwać — chłodziło rozgorączkowany organizm. Włączyłem radio w nadziei złapania wieści o szczegółach wypadku i dopiero po dobrej chwili przypomniałem sobie, że to epoka postradiowa. W końcu postanowiłem, że policji, gdyby się natoczyła, ani rarmru, a benzynę uzupełnię gdzieś, gdzie da się zajechać bez wzbudzania sensacji, najlepiej po zmierzchu. Potem przypnę w jakimś motelu. Gotówki na jedną noc powinno

mi wystarczyć; karty lepiej w ogóle nie wyjmować. Kategorie zakaz dzwonięcia gdziekolwiek. Rano przedostać się do Hoffburga i zrelacjonować Rheinehartowi, co zaszło.

Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Wkrótce napatoczył się motel o wdzięcznej nazwie „Am Stillen Bach”, gdzie udało mi się postawić Cytryjona rufą do muru i kontuzjowanym bokiem do krzaków. Z benzyną postanowiłem zaczekać. Połowa sierpnia to połowa sierpnia, dni wciąż są długie i wcześniej jak o dziewiątej nie robi się ciemno. Wiedziony zapobiegliwością nabyłem sześciopak Sprechera i zamknąłem się w pokoju. Wychyliwszy się z okna, widziałem Cytryjona w kącie parkingu. Nikt się koło niego nie kręcił.

Kiedy ostatnio gadałem z Winczorkiem, miałem na sobie kurtkę, którą potem powiesiłem na haku, bo nadeszła fala upałów. Atoli po upałach zrobiło się na tyle chłodno, że kurtka wróciła do łask. Szperając po kieszeniach, natrafiłem na zwitek papieru, który mi wtedy wcisnął do przeczytania.

Były to trzy ulotki reklamowe, zadrukowane z tyłu archaiczną techniką. Publikacja nie nosiła żadnego tytułu, jedynie ostrzeżenie, by nie czytać tego w miejscach publicznych ani przy świadkach. Najlepiej było oddać się lekturze na łonie natury, w środku lasu albo pod namiotem. Zlekceważyłem te wymogi. Tekst, który następował potem, był jakby kontynuacją dawniejszej opowieści czy wywodu: „Pytacie więc, skąd nieufność do oficjalnej wersji, że atmosfera zmieniła swe właściwości niemal z dnia na dzień w taki sposób, że fale elektromagnetyczne przestały się w niej rozchodzić. Twierdzą z całą dobitnością: nic się nie zmieniło. Dowodzą tego proste doświadczenia, które łatwo powtórzyć, przestrzegając pewnych wskazówek”.

Z opisu i schematu zamieszczonych poniżej zorientowałem się, że chodzi o słynne doświadczenie Hertza w nieco zmodyfikowanej wersji. Był to jakby żywcem wyjęty fragment z podręcznika fizyki dla szkoły podstawowej: to i to przygotować, zmontować, puścić prąd, tak i tak obserwować. Wynikiem doświadczenia miała być fala elektromagnetyczna rozchodząca się w najbliższym otoczeniu eksperymentatora.

Znacznie ciekawsze były ograniczenia, jakich należało przestrzegać, by zapewnić doświadczeniu sukces. Przede wszystkim pod żadnym pozorem nie należało używać prądu z sieci przez prostownik, ale z baterijek. Po drugie: żadnych rejestratorów elektronicznych. Tylko najprostsze urządzenia. Najbliższe ideału były warunki, w jakich pracował sam Hertz: przyrządy własnej roboty. Nie bez znaczenia był wybór miejsca na przeprowadzenie eksperymentu. Nie w domu, ale też nie pod gołym niebem, żeby uniknąć podglądania przez satelity — tak dosłownie napisano. Najlepiej stara szopa albo stodoła, do której nigdy nie doprowadzono prądu. (Skąd taką wytrzasnąć, zastanowiłem się przelotnie.) W ostateczności można eksperyment zrealizować na zwykłym kocu, pod osłoną prowizorycznego daszku albo wielkiego parasola.

— To jakieś dziwactwo — mamrotałem, dowiadując się zaraz, że można to uczynić pod rozłożystym drzewem, w namiocie, a jak już komuś wybitnie się spieszy i nie ma gdzie się ukryć, to lepiej, żeby niebo było zachmurzone. Krótko mówiąc, wyglądało na to, że należało się ukrywać z eksperymentem przed tymi samymi podglądaczami, którzy by chcieli zapoznać się z treścią naszej ulotki.

Według autora przepisu na eksperyment przeprowadzenie go zgodnie z zaleceniami gwarantowało nie tylko wytworzenie fali elektromagnetycznej, ale przede wszystkim uniknięcie podejrzeń, że zabawiamy się w niewłaściwy i niebezpieczny sposób. Czyich podejrzeń, do cholery? I od kiedy to proste eksperymenty fizyczne, zalecane co zdolniejszym uczniom przez nauczycieli, trafiły do domeny czynności zakazanych? Ludziom, którzy postanowili bawić się w ten sposób, przytrafiały się różne nieprzyjemne przygody. Niektórzy nawet ginęli w podejrzanych okolicznościach, wywodziła ulotka.

Jak ci goście z Ohio?

„Przeprowadziliśmy doświadczenie według powyższych wskazówek i stwierdziliśmy występowanie oraz rozchodzenie się fal elektromagnetycznych. Wniosek wydaje się oczywisty: atmosfera ziemską nadal zachowuje właściwości, jakie przejawiała przez pojawieniem się w niej obiektów Ligi Pięciu. Komuś jednak bardzo zależy na ukryciu tego faktu. Dlaczego zatem wyrafinowane ziemskie urządzenia nadawczo-odbiorcze, anteny, radioteleskopy, pelengatory odmawiają posłuszeństwa, mimo że nic nie świadczy, by były zepsute lub w inny sposób uszkodzone?” Na tym pytaniu bez odpowiedzi kończyła się druga strona ni to instrukcji, ni to odezwy podpisanej krótko: No Wire.

Przypominało to odcinek powieści drukowanej w gazecie w zamierzonych czasach, kiedy jeszcze kultywowano takie zwyczaje. To, co trzymałem w ręku, wyglądało na jeden ze środkowych odcinków, bez streszczenia dotychczasowych. Gdzie miałem szukać poprzednich i dalszych? Obejrzałem reklamę. Dotyczyła wymiany okien i zabudowy

balkonów, ale nigdzie nie znalazłem nazwy firmy ani sposobu skontaktowania się z nią. Tylko zwykłe zapewnienia o solidności wykonania, praktyce na rynku i gwarancji na użyte elementy.

Znacznie ciekawszy okazał się trzeci szpargał, zatytułowany „No Wire — co to takiego?”. Autor ujawniał, iż jest ruch obejmujący szerokie warstwy społeczeństwa, poszukujący dowodów na potwierdzenie tezy, że w wyniku inwazji Ligi Pięciu — tak to zostało sformułowane — ziemską sieć internetowa została zainfekowana przez Wielki Bakcyl. Wirus ten w sposób niewykrywalny umożliwiał całkowitą kontrolę publikowanych tam treści. (Jak niewykrywalny, to skąd o tym wiadomo? — zadałem sobie pytanie.) Komunikat nie odradzał korzystania z sieci, uczuła tylko na to, że jeśli ktoś chce zachować swą tożsamość i działania w tajemnicy, musi poruszać się poza siecią. Oznaczało to przejście do konspiracji. Do jej naczelnych zasad należało „odcięcie się od drutów” we wszystkich najistotniejszych sprawach i powrót do starych, nawet archaicznych metod komunikacji. Listów, ulotek, malunków na murach nie da się „podejrzeć” elektronicznie, wbrew intencji autora. Dowiedziałem się, że jak najwięcej istotnych dla życia czynności powinienem wykonywać bez uciekania się do urządzeń zasilanych elektrycznie. Podpisano: No Wire.

Ulotka kończyła się wezwaniem, aby jej nie wyrzucać ani nie niszczyć — wszak posiadanie jej nie było zakazane. Po sporządzeniu kopii, najlepiej metodą benedyktyńską, czyli ręcznego przepisania, podać zaufanym osobom.

Schowałem papiery do kieszeni i jałem rozmyślać o przyswojonych przed chwilą raczej dziwacznych treś-

ciach. Na pierwszy rzut oka wydawały się idiotyczne. Jakieś combo idiotów, względnie innych schizofreników, daje do wiwatu. Poczulem się zmęczony i poszedłem spać.

Następnego dnia z rana czekała mnie przyjemna niespodzianka: lewa szyba Cytryjona była całkowicie wyleczona, przebiegała przez nią tylko delikatna siateczka blizn w miejscach, gdzie szkło prawie kończyło się zrastać. Wgnioty po pociskach stały się płytkie, a ich krawędzie złagodniały. Blacha, wzorem szyby, też dochodziła do siebie w piorunującym tempie. Gdy wypadłem na autostradę, wyjaśniła się także tajemnica złopania benzyny: po prostu samochodzik potrzebował energii na zwalczanie szkód. To, co łykał z powietrza, widać mu nie wystarczało. Od momentu uporania się z najgorszym poziomem paliwa w zbiorniku zaczął spadać o wiele wolniej i w końcu całkiem przestał, umocniłem się więc w postanowieniu, że jeśli nawet dorwie mnie policja, będę siedł w zaparte. Ktoś do mnie strzelał? Nic nie zauważyłem, gdyż jako wzorowy kierowca całą uwagę skupiam na drodze przed samochodem. Nic nie słyszałem, bo włączyłem fono. Na szczęście Zora miała zestaw kilku płytek w szufladzie. Czując się jak ktoś, kto popełnił zbrodnię doskonałą, wybrałem krążek na chybił trafił i jadąc przed siebie, rozkoszowałem się hałasem.

Wkrótce nawiedziło mnie przeświadczenie, że znów za dużo jeżdżę, więc postanowiłem napić się kawy. Obca technologia kończyła usuwanie szkód w samochodzie: szyba zrosła się bez śladu i była przejrzysta jak kryształ, a po pociskach zostały tylko obłe wgnięcia wielkości monety; trzeba było wnikliwie przyjrzeć się, żeby coś wydedukować. W niecałą dobę po przygodzie Cytryjon wyglądał, jakby

furiackie ostrzelanie nigdy nam się nie przytrafiło. To ci samochód, mlaskałem nad filiżanką, nie tylko wozi za darmo, ale na dodatek broni! Toż to jeżdżąca forteca!

Teraz nic nie stało na przeszkodzie, by jechać do Hoffburga. Odszukałem Rheineharta; okazało się, że właśnie zabiera się do przesłuchania nowo doprowadzonego wagoniaka, jak ulica jęła nazywać żeńskie osobniki pokroju Aprikosensafta. Kobieta o kryptonimie Mimosenduft pozorowała częściową amnezję, bardzo jej przypadku wygodną: pamiętała to, co chciała. Do utworzonej ad hoc podkomisji dokooptowaliśmy Kopfwassera, który z entuzjazmem oderwał się od biurka. A więc miłościwie nam panująca Liga Pięciu nadal oferowała nadobnych i zacnych ludzi płci obojga.

Poczęstowaliśmy Mimosenduft sokiem i rozsiedliśmy się wokół niej. Przez *otwarte okna* wdzierał się poszum liści i trele ptasząt, a my jak cierpliwe pająki rozsnuwaliśmy naszą pajęczynę.

— Pani Elzo — zaczął Kopfwasser, bo przedstawiła się jako Elza Warnecke — proszę zamknąć oczy... o, tak... i spróbować określić strony świata.

Z tym zadaniem poradziła sobie błyskawicznie. Po paru pytaniach-testach na orientację nadeszła moja kolej.

— Proszę nie otwierać oczu — powiedziałem — i opowiedzieć nam, co pani ma na sobie.

— Chodzi panu o to, w co jestem ubrana? Cóż, to łatwe. Na stopach mam sandały. Skórzane... Echtleder. Albo bardzo dobra podróbka. Spodnie chyba lniane... jasne... majtki też panów interesują?

— Są częścią pani stroju.

— Oczywiście. Chyba białokremowe, z koronki. Koszula bawełniana, też jasna, we wzorki. Biustonosz... nie ma! — zaśmiała się.

— A ten medalion?

— Medalion?! — prawie krzyknęła. Jej ręka powędrowała ku szyi.

— Tylko żartowałem. Nie chciałem pani przestraszyć.

— Nie przestraszył pan. Zdawało mi się tylko, że nie mam nic na szyi, więc byłoby dziwne, gdyby coś się jednak znalazło.

— Jeszcze włosy i makijaż.

— Nie rozumiem.

— Spinki, szminki, pudry... rzeczy, których zwykle używają kobiety.

— Ja chyba nie stosowałam, przynajmniej ostatnio. Uczenie zwykle, cera naturalna — zaśmiała się. — Mają panowie niezłą zabawę.

— Chcemy pani tylko pomóc. Jest jeszcze płaszcz.

— Tak. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak wygląda. Nie pamiętam, żebym go miała na sobie... chyba go tylko niosłam. Jest bardzo lekki, prawie nic nie waży.

— Może pani otworzyć oczy. Ma pani blizny, tatuaże?

— Nie. To znaczy, tak mi się wydaje.

— Nie jest pani pewna?

— Nie.

— Proszę to sprawdzić przy okazji najbliższej kąpieli. Z grubsza pani opis odpowiada rzeczywistości, poza paskiem u spodni. Bluzkę należałoby obejrzeć dokładniej.

— Mogę zdjąć — oznajmiła, a widząc nasze osłupienie, dodała: — A nuż panowie coś odkrywają?

Kopfwasser zastygł z rozdziawioną gębą, ja musiałem wyglądać podobnie. Jedyne Rheinehart trzymał się jako tako. Tatuazy istotnie nie było, a bluzka w kroju i dotyku wyglądała zwyczajnie, pozbawiona tylko metki. Płaszcz także jej nie posiadał, ale tu w grę wchodziła wyższa technologia tekstylna. Sprawdziliśmy kieszenie — puste, a potem wyróciliśmy je i dokładnie obejrzelśmy. Nie wyglądały na wszyte, raczej na wrośnięte w materiał. Nie było w nich śladu brudu ani różnych strzępków i kłaczek, które gromadzą się po dłuższym albo krótszym użytkowaniu. Także bluzka Mimosenduft wyglądała jak spod igły. Ktoś ubrał naszą miss od stóp do głów w całkiem nowe rzeczy i porzucił obok średnio uczęszczanej stacji benzynowej. Słabo się to trzymało kupy. Ale każdy dziwak pokroju Aprikosensafta stawiał wyzwanie logice.

— Proszę opowiedzieć, skąd wzięła się pani na parkingu, gdzie panią znaleziono?

Zamarła z bluzką w dłoniach, jakby zapomniała, że ją ma nałożyć. Nagość nie krępowała jej w najmniejszym stopniu.

— Mówiłam już podczas jazdy tutaj... że ocknęłam się, jakby nagle włączono moją jaźń. Chyba ktoś mnie podwiózł, ale dalej nie jechał i musiałam wysiąść.

— Wie pani to czy tylko się domyśla?

— Domyślałam się. — Zaczęła zapinać bluzkę ku naszemu szczeremu żalowi.

— No dobrze — odezwał się Kopfwasser — zostawmy to. Pamięta pani rodziców, dzieciństwo, koleżanki i kolegów ze szkoły? Była pani jedynaczką?

— Tak. Ale, jak pan świetnie wie, w naszej epoce dzieci dorastają samotnie... Liczne potomstwo wyszło z mody. Za

to szkolne lata pamiętam **doskonale. I studia. Skończyłam** bankowość w Bombaju.

— Jasne. A teraz jedzie pani objąć posadę w **nowej sieci** banków.

— Skąd pan wie? Mówiłam o tym wcześniej?

— Nie, ale to się nasuwa samo przez się. Jak **mieli na** imię pani rodzice?

— Regina i Eryk.

— Żyją?

— Wydaje mi się, że tak. Nie mam **w** pamięci obrazu ich pogrzebów. Co oczywiście o niczym nie świadczy — uśmiechnęła się przeprasząco.

Notowałem to, co mówiła. Jako rodzinne miasto wymieniła Stavanger w Norwegii, ale potem przeskoczyła na Indie. Ach, to stąd Bombaj. Widać było, że irytuje ją własna nieporadność i wikłanie się w sprzecznościach.

— Może było tak, że rodzice dużo podróżowali? — spojrzała na nas z zakłopotaniem i po trosze z nadzieją, jakby to, czy kupimy tę wersję, załatwiało sprawę. — Może ojciec był inżynierem, objeżdżającym kolejne wielkie budowy, a może korespondentem gazety albo stacji telewizyjnej... chociaż nie kojarzy mi się z kamerami ani z ekipą. Może był radcą handlowym, bankowcem albo dyplomata...

— Nie wie pani tego?

— Nie — wyznała szczerze. — A jednocześnie jestem przecież przyzwoicie odziana, czysta, w dobrej formie... — podniosła do nosa wewnętrzną stronę nadgarstka. — Z pewnością nie przytrafiła mi się ostatnio żadna poniewierka. Czy to możliwe, aby ktoś, kto dbał o mnie dotąd, porzucił mnie nagle jak pieska? Bo się mną znudził? Bo wyjechał?

Spoglądała na nas oczyma, w których nabrzmiewały łzy, jakby to od nas spodziewała się wyjaśnienia. Pamiętałem, jak u Aprikosensafta z nagła rozwarły się krynice i mimo woli rozejrzałem się za chustką.

— A jeśli spadła pani z nieba? — spytałem.

— W jakim sensie?

— Dosłownym. — Spojrzałem na Rheineharta i Kopfwassera, ale nie przejawiali żadnej inicjatywy, zdając się na mnie. Wobec tego w krótkich zdaniach streściłem to, co się zdarzyło od przelotu baniaczków nad Rummlau aż po spotkanie z Aprikosensaftem, pomijając na razie jego malowniczy kres. Obawiałem się nawet wybuchu hysterii, ale Mimosenduft przyjęła moje słowa ze spokojem i zmarszczywszy czoło, jęła się nad nimi zastanawiać.

— Istnieje więc szansa, że po wodospadach dóbr doczesnych Liga Pięciu postanowiła zsyłać nam anioły — podsumował Rheinehart.

— Ale w jakim celu? — zapytała Mimosenduft. Jej analityczny umysł już trudnił się nową hipotezą.

— Tego nie wiemy. Może dlatego, aby nas uszczęśliwić.

— Niech pan nie żartuje — uśmiechnęła się do mnie słabo. — Czuje się pan szczęśliwy, widząc obok siebie kogoś złamanego nieszczęściem?

— Ależ, Mimosenduft, jak pani może tak mówić? Nie to miałem na myśli. Jest pani młoda, zdrowa, nic pani nie dośkwiera. .. Tyle dobra mogłoby wynikać z pani obecności dla otoczenia...

— Droga pani Elzo — odezwał się chłodno Rheinehart, przerywając te umizgi — hipoteza o pani zesłaniu przez Ligę Pięciu nie jest dla nas wygodna, ponieważ rodzi jeszcze wię-

cej pytań niż odpowiedzi. Jeśli ma coś wspólnego z prawdą, to rodzice Eryk i Regina są raczej wątpliwi, podobnie jak Norwegia i Indie. Wtedy trafne byłoby przypuszczenie, że umysł pani został sztucznie naładowany fikcyjną informacją o pani własnej historii... Plus oczywiście tym, co niezbędne, aby orientować się w naszej rzeczywistości. Osobiście nie spodziewam się, aby analizowanie tego, przepraszam za słowo, oprogramowania coś nam dało, w takim zakresie, w jakim pani nas do tego dopuści i w jakim sama zostanie dopuszczona... ale nie mamy innego sposobu, aby to badać. Zgadza się pani współpracować z nami w tej mierze?

— Chyba nie mam innego wyjścia.

— Nie. Zawsze może pani odmówić i nikt nie będzie żywił do pani pretensji. Chcę tylko pani unaocznić, że znajdujemy się po tej samej stronie: i pani, i my chcemy rozszyfrować tajemnicę pani pochodzenia i pojawienia się tutaj. Gdyby założyć, że została pani sklonowana przy użyciu niewiarygodnie skutecznej technologii, a następnie dostarczona na powierzchnię Ziemi — czy nic nie kojarzy się pani z taką wersją? Nie pamięta pani, jak ją wieziono, jak wyprowadzano z pojazdu? Ktoś może coś powiedział przy tej okazji?

Pokręciła głową. — Nie. Nic zupełnie.

— Pani Elzo — powiedział tym razem Kopfwasser — na tym na razie przerwiemy. Jutro wezwiemy panią na badania medyczne. Prosimy panią o wnikliwą samoobserwację... ludzki umysł jest plastyczny i elastyczny, nieraz nie wiadomo, na jakiej zasadzie pojawiają się w nim pozostałości, strzępki wrażeń, zarejestrowane nie wiadomo kiedy fragmenty... Może pani coś takiego zauważy, wspomni... że sama się pani zdziwi. Teraz przynajmniej z grubsza wie pani, czego szukać.

— Jeśli oczywiście teoria panów ma coś wspólnego z rzeczywistością — poddała w zamyśleniu.

— Tak, oczywiście. Jeśli ma.

Rheinehart wyjął z biurka kartę kredytową na nazwisko Monika Vogt i wręczył ją mojej podopiecznej. Ja ze swej strony załatwiłem ze strażnikami ukrycie samochodu; nawet nie pytali o powód, jakby takie kwestie były dla nich codziennością. Przejechałem Cytryjonem na wewnętrzny dziedziniec i tam, w zakamarku, postawiłem mojego wiernego przyjaciela. Przygodny kierowca podrzucił nas z parkingu do miasta i pod wieczór zasiedliśmy w niezbyt drogiej knajpce nad piwem i niewyszukanymi daniami. Mimosenduft jadła niewiele, pijąc za to sporo soku; myśлами wydawała się błądzić po nader odległych rejonach.

— Samoobserwacja — powiedziała nagle, jakby nie słysząc mego tęgiego tokowania. — Czyli mój umysł, niczym fale oceanu, może niespodziewanie wyrzucić na brzeg jaźni, jak na plażę, to czy tamto. Zgadza się?

— Dobre porównanie — oświadczyłem. — Właśnie tak.

— A jeśli... — westchnęła. — Dobra, powiem. A skąd pewność, że mój umysł, ten, którym ja dysponuję... w który mnie wyposażono... działa tak jak twój czy tych ludzi — oszczędnym gestem powiodła nad stołem, wskazując kilka osób uczujących przy sąsiednich stolikach. — Może jestem psychicznym monstrum, a tylko z zewnątrz rezultaty wydają się podobne?

Udałem, że się zastanawiam. Pilnuj jej jak oka w głowie, przestrzegł Rheinehart, tu muszą wkroczyć medycy. Trzeba ją prześwietlić, przeskanować tomografem, EPR czy co tam jeszcze znajdą, pobrać krew, zbadać DNA... Choć to

pewnie na nic. Przez chwilę miałem wizję mózgu, tych stu miliardów neuronów połączonych niewyobrażalną liczbą dróg, działającego z pozoru jak nasz, a jednak zawierającego nadprogramową jakość, niemożliwą do uchwycenia naszymi metodami. Im bardziej skomplikowany system, tym większa szansa, że urodzi się w nim coś nieprzewidzianego. — To niczego nie zmienia, Mimosenduft. Nie sprawdzimy tego. Ak odprej się i ^relaksuj. Nk tylko ty masz kłopoty.

XVI

Klucz w zamku przekręcił się gładko. Z pozoru wszystko było tu jak dawniej: mały przedpokój z szafką, wieszakiem i lustrem, ale każde z osobna odnowione, wypucowane i uszlachetnione, jakby sprzęty odkryły w sobie utajoną przynależność do wyższego gatunku i postanowiły ostentacyjnie zerwać z pospolitością. Dalej czworo drzwi wiodło do kuchni, sypialni, łazienki i do pokoju przyjęć, zwanego przez Zorę górnołotnie salonem. Dwoje z nich, pokryte złotawym nalotem, uchylało się zapraszająco; postąpiłem ku nim z rozpędu ze dwa kt"oki. Z salonu bił blask niemożliwy do osiągnięcia pochmurnego dnia naturalnymi sposobami. Gdyby Zora nie zniknęła, pomyślałbym, że w ramach nowego hobby testuje kolejne lampy z oferty Ligi Pięciu. Jednocześnie dopadł mnie i odurzył zapach: ciężki, zawieszisty, przepelniony wonią ziół, ostry, wieloskładnikowy. Mogłem sobie o nim pomyśleć wiele rzeczy, ale nie to, że został wywołany metodą rozpylania dezodorantów z wyprzedaży

u Lidia. Widać Liga Pięciu i tu przedstawiła ofertę nie do pobicia. Cofnąłem się i zarygłowałem wejście, a potem bez krzty ufności powierzyłem mą drogocenną kurtkę wieszakowi, którego pokryty napyłonym metalem kołek sterczał ku mnie oskarżycielsko jak wyciągnięty paluch.

Kiedy zagłębiłem się w korytarz, podejrzane efekty zaczęły się mnożyć. Blask wzmógł się, a zarazem zmatowiał; przekroczywszy próg salonu, zrozumiałem, dlaczego. Z wypieszczonego pokoju Żory nie zostało właściwie nic. Owszem, nadal stał tu fotel z narożnikiem, a przy nim jak pies — niski stolik na ciasteczka. Z trzech stron otaczały je ściany, których rozstaw dawniej kazał traktować to pomieszczenie jako obszerne. Teraz wyglądały jak dekoracje do filmu, wykorzystane i porzucone, albowiem oplotły je pnącza, obśiadły liście i gałęzie. Sufit zniknął, na jego miejscu fruwały motyle. Z przodu otwierała się nieskończona przestrzeń. Gładka podłoga z paneli po paru metrach zamieniała się w kamienną posadzkę i rychło przeszła w wysepki kamieni powbijane w głąb. Zza stolika i foteli, umieszczonych jakby dla wygody obserwatora na niewielkim wzniesieniu, rozpościerał się widok na sawannę: mnóstwo nieba, powietrza, słońca. Krajobraz ten, dzięki wszechwiedzy uzyskanej z oglądania telewizji, oszacowałem jako afrykański: Afryka była Afryką bezdyskusyjnie, ze stadami dzikich zwierząt, bujną roślinnością i zapierającym dech w piersiach ogromem. Widziałem w oddali złociste gazy, niemożliwe do pomylenia z niczym zebry, galopujące z prześmieszną pracą szyj żyrafy i masywne bryły hipopotamów, taplających się w dość odległym rozlewisku, różowe flamingi brodzące dostojnie po płyciźnie i podchodzące wśród wysokich traw

lwy. Ich wąsate oblicza spoglądały ku mnie figlarnie, jakby to wszystko miało być tylko żartem.

Niczego nie planując, postąpiłem do przodu, odurzony wonią i nagrzaną wilgocią powietrza, nie mogąc się zdecydować, czego chcę: czy żeby ta iluzja jak najszybciej ustąpiła, czy też żeby trwała. Zerwałem z grzbietu koszulę i rzuciłem na stolik, bo od dłuższej chwili okrywałem się potem i młot duszności rozwalał moje płuca — a wtem, jak na dany znak, powietrze przede mną drgnęło i zestaliło się w przezroczystą kurtynę, po której jęły przelatywać z góry na dół jakieś znaki. Zaciekawiony jak dziecko, a może dla skontrolowania efektu, wyciągnąłem ku nim palec i umieściłem go na jednej z kropek. Okazała się nie biedronką, spływającą wraz z kurtyną innych pod moje nogi, lecz sylwetką bawołu. Nacisnąłem mocniej — i oto wielkie wspaniałe zwierzę zjawiło się przede mną w całej krasie i grozie, opuściwszy łeb z imponującymi rogami. Wilgotne bycze oczy przyglądały mi się bez obawy. Pozując tak przez dłuższą chwilę, byk doszedł snadź do wniosku, że to jałowe zajęcie: podniósł łeb, a jego chrapy rozdeły się, nieufnie wciągając powietrze.

Przesunąłem palec w dół, natrafiając na podwójny znak, i oto w miejsce bawołu zjawiła się krowa z cielęciem. Żuła coś miarowo i filozoficznym wyrazem pyska poświadczała o ukontentowaniu, jakie ją wypełniało; cielę biegło wokół, próbując dostać się do wymienia. Było już duże i matka utrudniała mu dostęp, trącając je oślinionym pyskiem, więc w przerwach między tymi zabiegami tu szczypnęło trochę trawy, ówdzie oddarło listek. Krowa z młodym znalazła się co prawda na pierwszym planie, lecz zaraz za nią w tle czerniało groźnie stado.

Mógłbym zabawić się w ten sposób do wieczora, ale zmiany mnie zaniepokoiły. Od mojej ostatniej bytności ktoś zamienił mieszkanie Żory w lunapark, a ja zamiast dowiadywać się, kto i po co, walę jakby nigdy nic na karuzelę. Wypadałoby się chociaż rozejrzeć, czy to nie koniec niespodzianek.

Postąpiłem krok do tyłu, a tafla z hieroglifami zniknęła. W sąsiednim pomieszczeniu ktoś chrząknął albo zakaszłał. Zacząłem przesuwając się ku drzwiom — bokiem, żeby mieć wszystko na oku. Słyszałem swój przyspieszony z emocji oddech.

Z salonu najbliższej było do sypialni i tam się skierowałem. Zora, z poduszką podłożoną pod plecy, spoczywała na známym mi z autopsji wielkim łożu. Jej szyję okalał gruby wełniany golf. Nie patrzyła w moją stronę. Twarz miała bladą i wychudzoną, rysy ostrzejsze niż zapamiętałem, ale ponad wszelką wątpliwość była to ta sama Zora, którą znałem. Ręce, białe jak z gipsu, złożyła na kocu, którym się okryła; przez końce palców przebiegało leciutkie drżenie. Kiedy wpatrywałem się w nie, jedna dłoń wsunęła się w drugą, a tamta zacisnęła się na niej jak na nieposłusznym zwierzątku.

— Jak to miło że przyszedłeś, Papa — powiedziała, wciąż na mnie nie patrząc. — Usiądź gdzieś... ale nie mów za dużo. Nie zastałeś mnie w szczytowej formie. — Głos miała chropowaty i zmęczony.

Naciągnąłem koszulę, odsunąłem koc i siadłem obok na łożku. Nic nie kombinując, raz jeszcze zlustrowałem walczące ze sobą ręce o pobielających kostkach i po prostu nakryłem je garścią. Były lodowate. Uświadomiłem sobie, że na palcu brakuje pierścionka.

Oderwała wzrok od ściany, w którą się wpatrywała; przez moment nasze oczy spotkały się. Potem zastanawiałem się, co w nich zobaczyłem. Panikę? Strach? Zamęt?

— Wypadły do rodziny zawsze są nieudane — stwierdziła. Coś mi się nie zgadzało w mojej starej znajomej. Głos nie pasował do osoby, jakby generował go niezależny mechanizm. — Lepiej było zostać w domu.

— Umarł ktoś? — zapytałem.

Znowu poczęstowała mnie ciężkim, znużonym spojrzeniem. — Ja — powiedziała.

— Nie żartuj. Przecież widzę, że żyjesz. — Nie zabrzmiało to tak, jak powinno, więc dodałem: — Nigdy nie mówiłaś, że masz rodzinę.

— Każdy ma. — Przerwa. — Nawet ja, Papa. Ale to nie jest rodzina, która cię ubóstwia. Która rada by ci nieba przychylić. Raczej taka, od której wyjeżdża się z ulgę.

— Co zrobiłaś z pierścionkiem?

— Musiałam gdzieś posiać. Znajdzie się.

Sypialnia wiele się nie zmieniła, jeśli nie liczyć zabiegów upiększająco-renowacyjnych. Farba odzyskała dawną jaskrawość, a obrazki i kinkiety wyszlachetniały w sposób znany mi z przedpokoj. Nawet wyszarzały dywanik przed łóżkiem, na którym trzymałem stopy, przypomniał sobie czasy świetności.

— Ty wyjechałaś, a ktoś w tym czasie odnowił ci mieszkanie.

— Tak — westchnęła. — Odnowił.

Rozmowa nie kleiła się. Wobec tego puściłem jej rękę, które nie ogrzały się nawet o pół stopnia, i zaproponowałem, że zrobię herbaty.

Demon zwalczający entropię szczególnie natrudził się w kuchni, bo objął także szafki wraz z zawartością. Kryształowy kieliszek od kompletu, który kiedyś pękł podczas mycia, odzyskał zdrowie i urodę. Wytarte złote obwódki na filiżankach znowu lśniły jak nowe. Maszerujący dziarsko porcelanowy krasnal z koszem wykałaczek na plecach odmłodził i wyszlachetniał; czerwień jego kubraka aż kłuła w oczy. Powodowany ciekawością zajrzałem za szafki: błonka łącząca je ze ścianą cieniła i gdzieś tam pozostały po niej tylko pojedyncze nitki. Na moich oczach jedna z nich pękła, a oba końce cofnęły się sprężysto. Czynniki odnowicielskie w mieszkaniu Żory ciągle działały.

Piliśmy herbatę, nie starając się przerywać dostojnego milczenia. Wreszcie Zora powiedziała:

— A co u ciebie, Papa?

— Po staremu. Jakoś sobie radziłem. — Postanowiłem nie rozwijać tego wątku, ale wrócić do tu i teraz. — Widziałś zmiany w salonie?

— No, raczej trudno je przeoczyć.

— I masz pojęcie, kto ci to zainstalował i po co?

— To jest Katalog, Papa. Tak się ta rzecz nazywa. Dali mi ją, bo tak postanowili. Ja o nic nie prosiłam. Jeśli chcesz, możesz to uznać za rodzaj promocji.

— I na co ci to?

— Po pierwsze — całkiem ładny krajobraz, prawda? Teraz jest tam Afryka, ale niedawno jeszcze był ocean. Po drugie — jak zechcę, mogę sprawdzić w Katalogu, co się dzieje ze zwierzętami.

— I co się dzieje?

— Nic szczególnego. Wymierają. Gina. Jest ich coraz mniej. To się dzieje.

— Tyle wiemy od dawna. Ale jaki odnosisz pożytek z tej wiedzy? Po co ci to? Albo lepiej: po co im coś takiego?

— Żeby śledzić, jak to postępuje. Jakie procesy tu działają i jak szybko. Gdzie szybciej, a gdzie wolniej. Kto za to odpowiada.

— Ludzi też to obejmuje?

— Z ludźmi sprawa jest trudniejsza. Ludzie lepiej się kamuflują, częściej przemieszczają. Ale masz rację: istnieje też rozszerzenie Katalogu na rodzaj ludzki — chociaż mnie w to nie wyposażono. Pamiętasz, jak w maju witaliśmy przelot baniaczków na niebie? Wyobrażaliśmy sobie wtedy, że to demonstracja siły, może tylko samej obecności... A oni wtedy przeskanowali biosferę... z ludźmi łącznie.

— Po co... — zacząłem, ale przyszło mi do głowy lepsze pytanie. — Do jakiej głębokości?

— Do jakiej głębokości co?

— Przeskanowali? Czy zatrzymali się na bawołach i tygrysach, czy uwzględnili też krety, dżdżownice i ślimaki? Nie powiesz mi, że ich aparatura z tej wysokości zlicza kolonie bakterii i wirusów?

— Moja część Katalogu obejmuje tylko większe kręgowce. Kretów na pewno w niej nie ma.

— A jeże?

— Nie sprawdzałam. Powinny być.

— A skąd mają pewność, że wykryli wszystkie? Jakiś jeż mógł się zaszyć w chaszczach albo wleźć do nory. Albo złapały go urwisy i wpakowały do skrzynki. Co wtedy ze skanowaniem?

— Nie wiem, Papa. Nawet nie chce mi się tego dociekać. Wiem tylko, że chaszczce czy skrzynka to żadna przeszkoda dla ich aparatury.

— Czyli że chowanie się po bunkrach nic nie da, bo żelbet nas nie ukryje? A gdyby znalazł się ktoś sprytny i wlaź do schronu przeciwiatomowego albo zjechał na dno nieczynnej kopalni? Też go znajdą? Czy poczekają, aż wyjdzie?

Wzruszyła ramionami.

— Skąd ty to wszystko wiesz, Zora? — naciskałem. — Dostałaś instrukcję w sześciu językach?

— Trochę powiedział mi Aprikosensaft... a resztę chwyciłam ot, tak — z powietrza. Tu każdy centymetr sześcienny nafaszerowany jest informacją — powiodła ręką przed odnowionym wnętrzem. — Wiem i już.

— A gdyby coś zwąchała policja i wpadła tu z wizytą? Jak byś się tłumaczyła?

— W ogóle bym się nie tłumaczyła, Papa. Bo niby z czego? Poza tym skąd by się dowiedzieli?

— Te ściany mają uszy, oczy i głowę. I choćby ta Afryka. Trudno to będzie ukryć na dłuższą metę.

— Bez obawy, Papa. Jeśli tylko ty sam nie piśniesz o tym nikomu, nikt się nie dowie. Czekam tylko pismo do administracji, że rezygnuję z poboru prądu i gazu. Ogrzewanie wyłączę sama.

— Będą musieli wysłać ekipę, żeby to poodcinać. A i tak zostanie ci jeszcze woda. Jej zużycie kontroluje się dwa razy do roku.

— Wiesz co? — spojrzała filuternie i przez moment zoba czyłem w niej dawną Zorę. — Robisz wszystko, żeby mnie skonfundować. Ale starasz się na próżno, bo trudno mi się

tym przejąc. — Musiałem zrobić głupią minę, skoro zaraz dodała: — Po prostu mam większe problemy na głowie.

Nieco szybciej, niż nakazuje bon ton, pożegnałem się i poszedłem do domu, żeby trochę pomieszkać. Przed drzwiami wejściowymi do bloku zaczęło mnie dwóch facetów o wyglądzie sztywniaków. Zapytali, czy ja to ja, a kiedy potwierdziłem, jeden z nich błysnął odznaką:

— Policja. Pojedzie pan z nami.

Stałem tak zamurowany, że posąg żony Lota w porównaniu ze mną mógł wydawać się dynamiczny. W głowie robiłem szybki przegląd ciemnych sprawek, których mogłem ostatnio się dopuścić. Czyżby szło o strzelaninę na zjeździe z autostrady?

Samochód mieli kilkanaście metrów dalej, zaparkowany na zakazie. Jeden z policjantów usłużnie otworzył mi drzwi.

Postawiłem nogę na progu.

— O co jestem oskarżony?

— E tam, zaraz oskarżony — zachnął się ten od drzwi. Drugi już zajmował miejsce za kierownicą. — Po prostu chcieliśmy panu coś pokazać.

Wobec takiego dictum nie było sensu wspominać o prawach obywatelskich. Wsiadłem, a sztywniak umościł się obok. Żaden z nich nie sięgał po pasy, więc i ja darowałem sobie przypinanie. Po krótkiej przejażdżce znaleźliśmy się z tyłu kompleksu, który miał chyba coś wspólnego z naszym szpitalem. Obaj sztywniaci wysiedli i nie zajmując się mną, poszli przez wyłożone kostką podwórze do przysadzistego budynku bez oznaczeń. Powlokłem się za nimi.

To, co zamierzali mi pokazać, znajdowało się w piwnicach. Gdyśmy zjechali dwa piętra, od razu zorientowałem

się, czym to pachnie. Zapaszek był mieszaniną środków do dezynfekcji i jakby konserwantów, z nutą cementarnych wieńców i stopionego wosku — ale całe to wrażenie pierzchło, gdy jeden z odzianych na czarno policjantów pchnął okute stałą drzwi i zimny fetor zwłok buchnął mi w twarz.

Tu moi towarzysze rozdzielili się: ten, który prowadził samochód, zatrzymał się przed komputerem na biurku i puknął raz i drugi w klawisze. Ten, który mnie eskortował, udał się pomiędzy rozciągnięte na stołach podłużne pakunki, jakby przypominając sobie, o który z nich chodzi. Stoły miały marmurowe blaty, poczerniałe od kontaktu z kwasami organicznymi, a w niedomytych od lat rowkach czerniała niewyraźna maź. Za to pokrowce na ciała były nowe i błyszczące, jakby wyprodukowano je wczoraj.

— Pozwól pan tutaj — powiedział policjant od pakunków. Sprawnym ruchem rozpiął trupowi na brzuchu zamek błyskawiczny, jak nie przymierzając turystyczną kurtkę.

Zbliżyłem się z ociąganiem, a on odsunął poły pokrowca, żebym mógł się napatrzeć. Miał lateksowe rękawiczki — nie zauważyłem, kiedy je założył. Trup wewnątrz pokrowca był nagi; należał do kobiety, raczej młodej niż starej. Odęty, jakby opity wodą, dość brudny, pokryty plamami i poryty odciskami chyba po odzieży, sprawiał nieprzyjemne wrażenie. Cofnąłem się, próbując opanować mdłości.

— Spokojnie, spokojnie — powstrzymał mnie dobro dusznie policjant. — Niech pan się dobrze przyjrzy. Poznaje pan tę osobę?

Pokręciłem głową.

— Ciało przebywało przez kilka dni w rzece, zanim na tknął się na nie pewien wiosłarz. Niech pan weźmie po prawkę, że nie zawsze było takie... nieapetyczne.

Zmusiłem się, żeby jeszcze raz spojrzeć na zwłoki.

— Może gdyby pan pokazał głowę... — wykrztusiłem.

Poły pokrowca istotnie zawinęły się tak, że zasłaniały głowę, z którą musiało być coś nie w porządku, bo materiał układał się na niej zbyt płasko. Może zmiażdżona, przemknęło mi przez myśl.

— Jak pan sobie życzy — powiedział i na moment rozchylił materiał. Targnąłem się do tyłu tak gwałtownie, że omal nie upadłem.

— Głowy nie ma — pośpieszył z niepotrzebnym wyjaśnieniem drugi z policjantów. — Dysponujemy na razie tylko tym — kiwnął głową w stronę stołu. — Zbladł pan... chce pan sznapsa?

Sama myśl o alkoholu wydała mi się torturą. Udało mi się pokonać skurcz gardła i odmówić.

— Zwłoki były nagie? — zapytałem. — To znaczy, w momencie znalezienia.

— Nie. Rozebraliśmy je. Teraz są przygotowane do sekcji. — Mówił ten, który zainteresował się komputerem. Pochylił się do ekranu i czytał, dodając własne komentarze: — Na ciele nie ma żadnych ran ani potłuczeń, ale oględziny były pobieżne. Na szyi stwierdzono brak ozdób w rodzaju łańcuszków czy naszyjników... co nie wydaje się dziwne. Na rękach brak zegarka, bransolety itp., na palcu lewej ręki — pierścionek. Na nogach tylko jeden but — wyliczał monotonnym głosem.

— Może chciałby pan obejrzeć jej ubranie? — zachęcił ten od pokazów. — Może ono coś panu podsunie?

— Nie. W ogóle co to za pomysł, żebym mógł znać tę panią.

Nie odezwali się, jakby moja uwaga zrobiła im przykrość.

— Wobec tego niech pan spojrzysz jeszcze raz — namawiał ten od pokazów. — Może widział pan kiedyś denatkę właśnie bez ubrania... na przykład w sytuacji intymnej.

— Co pan sugeruje?

— Nic szczególnego. Chwytamy się różnych sposobów, żeby zidentyfikować ciało.

— Macie przecież odciski palców, macie DNA... To powinno wystarczyć.

— Niech pan nas nie poucza. Patrzy pan czy nie?

Znowu zmusiłem się, żeby spojrzeć. — Nie — wymamrotałem — nie poznaję. Skąd w ogóle taki pomysł? — Woń była tak dojmująca, że zatkałem sobie nos palcami.

— Tak łatwo pana nie puścimy — rzekł ten od komputera. Podał mi maseczkę z gazy nasyconą ostro pachnącym środkiem, chyba owadobójczym. Ruchem ręki nakazał, żebym ją założył. Odetchnąłem chemikaliami i wbrew obawom poczułem się lepiej.

— Ciało kobiety, nawet bez głowy, nawet tak zdeformowane, zachowuje pewne cechy charakterystyczne. Sylwetka, sutki, pępek, paznokcie rąk i nóg... pieprzyki, owłosienie łonowe... Na życzenie możemy ją panu obrócić, żeby pan obejrzał ją sobie od tyłu.

— Nie, dziękuję — powiedziałem niewyraźnie, bo maseczka stłumiła głos. Przewyciężając wstręt, zbliżyłem się do stołu. Ja, z tą tutaj, kiedyś w sytuacji intymnej?

Nogi denatki były tak opuchnięte, że nic mi nie przypominały, ale kształt samych kolan wydał mi się niepokojący. Pępek utonął we wzdętym i zarazem sfałdowanym brzuchu. Paznokcie rąk... na środkowym palcu lewej ręki, wciśnięty w nabrzmiąłą skórę, błysnął pierścionek. Pozostawiono go dlatego, że nie dał się ściągnąć.

— Ten pierścionek — powiedziałem, tknięty złym podejrzeniem. — Mógłbym zobaczyć oczko?

— Już się robi — rzekł prawie radośnie i zademonstrował mi je, przekręcając bezceremonialnie palec denatki. — No?

Nie odpowiedziałem. Wyszedłem spomiędzy stołów, starając się z całej siły nie upaść. Dobrnąłem do najbliższego krzesła i oddychając głęboko przez gazę, stopniowo doszedłem do siebie.

— Widziałem kiedyś taki pierścionek — oświadczyłem, gdy milczenie przeciągało się. Słuchali w pozach pełnych szacunku.

— Do kogo należał? — ponaglił ten od komputera.

— Do Żory Spess, mojej znajomej. Zniknęła jakiś czas temu.

— Jak dawno? — zainteresował się ten od zwłok.

— Będzie ze dwa tygodnie.

Obaj kiwnęli głowami, jakby ta wiadomość ich usatysfakcjonowała.

— Nie było zgłoszenia o zaginięciu.

— Sądziłem, że wyjechała. Od pewnego czasu wybierała się do rodziny.

— Gdzie mieszka rodzina?

— Nie wiem.

Takeśmy sobie gawędzili, prawie już zaprzyjaźnieni. Cholera, przecież to nie mógł być ten pierścionek. Żałowałem, że o nim wspomniałem.

— Niech pan obejrzy dla porządku jej rzeczy — rzekł ten przy komputerze. Posadził mnie przed ekranem i puścił całą serię martyrologicznych ujęć ciała jeszcze odzianego, a potem w różnych stadiach negliżu. Wydawało mi się, że rzeczy mogły należeć do Żory, ale pewności nie miałem. Może gdyby nie były takie wymięte i brudne... Także podobne buty — niewiele noszone adidas — chyba u niej widziałem. Na jednym ze zdjęć pokazano w zbliżeniu ów pierścionek, opatrzony cyfrą „8” na czarnym kwadracie.

— Coś pan rozpoznaje? — spytał komputerowiec.

— Kłopot w tym — powiedziałem — że wszystkie te rzeczy są typowe. Nie mogę odpowiedzieć z całym przekonaniem, że je widziałem u niej albo na niej.

— A ciało?

— Widząc je w takim stanie, również nie mogę stwierdzić, że należało do mojej znajomej. To nie może być Zora!

— A niby dlaczego? — spytał łagodnie ten od zwłok.

— Bo... — zacząłem i zawahałem się. Nie mogłem przecież dokończyć: bo żywą Zorę Spess widziałem godzinę temu w jej własnym mieszkaniu. Bo rozmawiałem z nią i trzymałem jej lodowatą rękę.

— Wróćmy do naszej denatki. Jaką śmiercią zmarła, pańskim zdaniem? — Pytał ten od zwłok, wciąż nie ściągając rękawiczek.

W tym momencie popełniłem błąd i dałem się podpuścić. Każda inna odpowiedź byłaby lepsza.

— Ktoś odrąbał jej głowę i wrzucił do rzeki.

Wymienili szybkie porozumiewawcze spojrzenie.

— Głowę czy całe ciało? — drażył temat komputerowiec.

— Zaraz — zreflektowałem się. — Nie muszę w tym uczestniczyć. Ja tego nie zrobiłem, żeby było jasne. Może taka jest panów strategia, że trzeba wymęczyć człowieka tym smrodem, to się przyzna dla samego znalezienia się na świeżym powietrzu. Ale przypominam o swoich prawach obywatelskich, wśród których znajduje się prawo do obrony. Proszę o pozwolenie skontaktowania się z moim prawnikiem.

— Proszę bardzo.

Wobec tego podszedłem do telefonu i wybrałem numer Rheineharta. Już wciskając klawisze, wiedziałem, że go nie zastałem.

— Widzi pan — powiedział komputerowiec — że to na nic.

XVII

Źle spałem w nocy. Źródła niepokoju były dwa: pierwsze, mniej istotne, to otoczenie z obcymi zapachami i dziką Afryką za drzwiami, z miliardami fagów drażących ściany, podłogi, sprzęty i przebudowujących je na swoją modłę. Drugim powodem była Zora, śpiąca u mego boku z jakąś rozpaczliwą determinacją. Lodowaty ziąb jej ręk ustąpił, oddech wyrównał się i tylko czasem przez całe ciało przebiegał krótki, niekontrolowany dreszcz jak pod wpływem prądu elektrycznego.

Leżałem w półmroku, obawiając się zmienić pozycję. Rozpamiętywałem niespiesznie zdarzenia ostatnich dni, gdy Zora poruszyła się i powiedziała całkiem wyraźnie:

— Mówię do was Ja Mniejsza. — Tak to zostało wyartykułowane, że duże litery narzucały się same. Po czym głos przeszedł w niezrozumiałe mamrotanie.

Zmartwiałem. Co się, u diabła, śni tej kobiecie? Ale zanim zdążyłem cokolwiek postanowić, moje ciało zwróciło się ku niej i powiedziałem półgłosem jak do starej, dobrej znajomej:

— Cześć, Mniejsza. Co u ciebie słyhać?

Nic szczególnego się nie wydarzyło, tylko Zora jakby zmieniła rytm oddychania. — Jak się nazywasz? — odezwała się po dłuższej chwili.

— Mówią na mnie Papa. Znowu z pół minuty przerwy.

— Opiekujesz się naszą Zora?

Głos bez wątpienia należał do Żory, ale jednocześnie porbrzmiewał w nim obcy, władczy ton. Żadnej kokieterii. Zora bywała ironiczna i sarkastyczna, ostatnie przeżycia uczyniły jej głos chropowatym i pozbawiły go dawnej trzpiotowości, którą tak lubiłem — ale ten sposób mówienia wyglądał na novum. Już nie wspominając, że mówiła o sobie w trzeciej osobie.

— Naszą? — zapytałem ostrożnie.

— No... twoją i moją.

— Ja nie roszczę sobie do niej tytułu własności.

Znowu milczenie i niewyraźne mamrotanie.

— Ja też nie.

— Jeżeli ktoś jest twój, to możesz mu kazać zrobić, co

ci tylko przyjdzie do głowy — wyjaśniłem, kiedy stało się jasne, że nic więcej nie doda. — Ja nie mogę jej nic kazać.

— Tak samo jak ja. Powiedziałam „naszą” w tym sensie, że oboje ją znamy.

— To kim ty jesteś? Osobowością wielokrotną?

— Kim? — zainteresowała się Zora.

— Człowiek ma zwykle tylko jedną osobowość... ale trafiają się przypadki, że w jednym umyśle mieszka ich kilka. Jedna występuje na zewnątrz, inne są pochowane. Rekord wynosił podobno dwadzieścia trzy sztuki.

— I co robią te osobowości?

— Przede wszystkim bardzo się różnią między sobą. Jedne są łagodne, drugie kłótlive, jedne agresywne, drugie spokojne. Jedne dominują, inne godzą się na podporządkowanie. Nie jest znany mechanizm, który to powoduje, ani ten, który dopuszcza je do głosu.

— Ciekawe rzeczy opowiadasz, Papa. Nic o tym nie wiedziałam.

— Jedne z nich przejmują kontrolę nad ciałem, gdy trzeba walczyć, a inne — gdy trzeba wykazać się sprytem. A są i takie, co tylko przeszkadzają. Neurotyczne albo wręcz traumatyczne... tylko narzekają, jak im źle. — Mówiłem spokojnie, jak do dziecka, ale serce mi biło jak u zająca. Z boku relaksowała się Zora, czułem jej bliskość, słyszałem jej głos, i tylko to, co i jak mówiła, kompletnie do niej nie pasowało.

— Nie jestem osobowością wielokrotną.

— To kim jesteś?

— Osobowością... chyba tak. Ja też nie mogę nic kazać naszej Zorze. Ale to mi nie przeszkadza myśleć o niej... z czułością.

—Dawniej cię tu nie było.

—Nie. Ale teraz jestem.

—To skąd się wzięłaś? Masz jakieś zadanie do wypełnienia?

—E, zaraz zadanie. Tak sobie siedzę i przyglądam się temu, co widzi ona. Przez większość czasu śpię.

—Wiem — powiedziałem. — Jesteś Obcym.

—Obcym czym?

—Obcym przez duże O. Tak tu mówimy na różnych Marsjan i kosmitów wszelkiej maści.

Zora chrząknęła, jakby chciała zakaszleć. Mogło to oznaczać śmiech.

—Rozbawiłeś mnie. Nie, nie jestem Obcym.

—Budzisz się tylko w nocy?

—No nie. Nie tylko. Słuchaj, Papa, zrobiłbyś coś dla mnie?

—Zależy co.

—W przedpokoju na półce siedzi pluszowy miś. Mógłbyś go tu przynieść?

Coś mnie tknęło. — Ile ty masz lat, Mniejsza?

—Pięć, może siedem. Zależy, jak liczyć.

—Jest noc, nie pora na zabawę. Chodźmy spać.

—Dobrze, Papa. Skoro tak mówisz.

Czekałem, co jeszcze powie, ale nie odezwała się więcej. Wobec tego przerzuciłem myśl na osobowość małej dziewczynki, zamieszkującej ciało dorosłej kobiety, a zaraz potem na tajemnicę chińskiego pokoju. Jak upozorować osobowość, nie będąc nią, a na pytania udzielając tylko niekonkretnych odpowiedzi? W trakcie tych dociekań niepostrzeżenie owałdnął mną sen.

Kiedy zbudziłem się rano, świt wpadał przez okno, zapowiadając kolejny upalny dzień. Zora spała na wznak, naprężony szyję; z boku miarowo uderzało tętno. Nachyliłem się, żeby przyjrzeć się temu miejscu, i tylko dzięki nieposkromionej ciekawości dostrzegłem falistą, bladą linię na skórze, miejscami rozgałęziającą się siatkowato, ale nigdzie nie notującą przerw. Co to jest, do diabła? Nachyliłem się mocniej, żeby obejrzeć, jak linia wiedzie z drugiej strony, a wtedy zobaczyłem, że oczy Żory są otwarte.

Był to jej wzrok — i nie jej zarazem. Oczami Żory spoglądał na mnie ktoś obcy, surowy, nieskory do uśmiechu czy żartu. Zupełnie jakby zastanawiał się, co ze mną zrobić. Tak się mierzyliśmy spojrzeniami, aż wreszcie wzrok Żory złagodniał i kilkoma pośrednimi fazami przeszedł w dobrze mi znane spojrzenie bliskiej kobiety, która wyjechała na dłużej, ale właśnie zjawiła się znowu i wszystko zaczęło wracać do normy.

— Czyżbyś podglądał mnie, Papa? — syknęła ta dobrze znana kobieta. — Czego chcesz się dowiedzieć?

— Cześć, Mniejsza. Chciałem się upewnić, czy ty to ty-

— A co, masz wątpliwości? To może przynieś podręczny zestaw do analizy DNA. — Coś do niej dotarło z opóźnieniem. — Zaraz, coś ty powiedział? Jaka Mniejsza?

Patrzyłem na nią niezrażony obcesowym traktowaniem. Czasami z rana tak miała. Ergo — wracała do zdrowia.

— Jak się spało? — zagadnąłem łagodnie. — Coś mamrotłaś przez sen.

— Ja mamrotalam? Chyba się wygłupiasz. Jeszcze mi powiedz, że chrapałam, aż się echo niosło!

Byłem wcieleniem cierpliwości i dobrych manier.

— Zora, kochanie — powiedziałem — musimy coś postanowić. Biorą mnie za mordercę. Uważają, że wykończyłem nie kogo innego tylko ciebie. Wypuścili mnie tylko dlatego, że Rheinehart za mnie poręczył i że obiecałem im, że cię przyprowadzę.

— Nigdzie się nie wybieram.

— To mało rozsądne podejście. Śledztwo w sprawie twojego zniknięcia zatacza coraz szersze kręgi. Pomyśl, co się stanie, jak wpadną tu te zbiry z policji. Nie dość, że cię znajdą, to jeszcze obejrzą sobie w szczegółach tutejsze ciekawostki — pokazałem niekonkretnym ruchem za siebie. — Jak będziemy się wtedy tłumaczyć?

— Te zmiany można szybko skasować — powiedziała bez przekonania.

— Tak? Jak szybko? Na pewno nie da się tego zrobić w parę sekund. Ciach! zniknęło. — Pstryknąłem palcami. — Tak ich to zaciekawi, że będą się domagali, byś opowiadała im o tym przez parę lat. Szeherazada to betka przy tym, co będziesz musiała nazmyślać.

Zastanowiło ją takie postawienie sprawy.

— A poza tym szkoda, żeby się odstało to, co się stało. Już mi się tu zaczęło podobać.

— Coś im obiecał, kanalio?

— Widzę, że wraca ci dawna forma. Nic wielkiego: przyprowadzę cię za rękę, powiesz, że ty to ty, pokażesz ausweis, wymienimy grzeczności — i z powrotem do domu. Chyba że wolisz, aby ci robili naloty.

— Zastanowię się — powiedziała wymijająco. — Zjedzmy lepiej śniadanie.

Po śniadaniu wsadziłem Zorę do Cytryjona i ruszyliśmy na spotkanie z przygodą. Jadąc, przyglądałem się Zorze ukradkiem; nie wyglądała na stremowaną ani szczególnie przejętą.

Moich prześladowców znaleźliśmy w komplecie w biurze, gdzie kazali nam się zgłosić. Sprawiali wrażenie, jakby na nas czekali, nie mając nic innego do roboty. Kiedy weszliśmy, byli chyba w trakcie opowiadania sobie dykteryjek, bo zaśmiewali się na całe gardło.

Postanowiłem ukrócić te wybuchy wesołości.

— Panowie — zapowiedziałem z grobową miną — oto Zora Spess, którą tak pragnęliście zobaczyć.

Śmiech zamarł im na ustach i dłuższą chwilę z nabożną czcią wpatrywali się w Zorę, która przybrała nieobecny wyraz twarzy. Zainteresowało ją coś za oknem. Ten siedzący bliżej zreflektował się i pokazał nam krzesła.

— Nazywa się pani? — zagadnął.

— Zora Spess. Pan Papadopoulos już mówił.

— Urodzona?

Zora odpowiadała spokojnie, nie wkładając w to wiele uczucia, ale i nie okazując zniecierpliwienia. Śledczy zapisywał to wszystko na kartce, zerkając od niechcienia na ekran komputera. Sprawdzał, czy się zgadza.

— Pani Zoro — rzekł familiarnie — mamy tu pewien kłopot. Wyłowiono z rzeki damskie zwłoki w nieciekawym stanie. Pan Papadopoulos coś o tym pani wspominał?

— Uchylił rąbka tajemnicy.

— Naszło nas podejrzenie, że mogła to być pani.

— Na jakiej podstawie?

— No... zniknęła pani niespodziewanie i nikt nie wiedział, gdzie się pani podziewa. Ciało, które nam dostarczo-

no, wydawało się w zbliżonym wieku biologicznym. Poza tym martwe kobiety są gotowe do przyjęcia dowolnej tożsamości.

— Zwłaszcza jeśli pozbawiono je głowy — dorzucił jego kompan.

Zora słuchała tych wynurzeń, nie okazując rozbawienia.

— No dobra — rzekła w końcu — przekonali się panowie, że ja jednak żyję i mam się jako tako. Czy mogłabym już pójść do domu?

— Chwileczkę — inicjatywę przejął drugi ze śledczych. — Chcielibyśmy zyskać niezachwianą pewność, że pani to pani.

— Świadeństwo mojego przyjaciela nie wystarczy?

— Nie. Wolałbym na przykład zobaczyć pani ausweis.

Zora otworzyła torebkę i zanurzyła w niej rękę. Bobrowała przez dobrą chwilę po licznych przegródkach, po czym znieruchomiła.

— To dziwne — powiedziała, blednąc nieznacznie — powinien tu być. Przysięgłabym, że tu go miałam ostatnio.

— Przysięgłaby pani — powtórzył śledczy wolno. Sięgnął do szuflady, coś z niej wyjął i rzucił na blat. — W takim razie niech pani to sobie obejrzy.

Zora zbliżyła się do biurka i nieznacznie pochyliła głowę.

— Wygląda jak mój ausweis. Skąd go pan ma?

— Z szuflady. Jak pani to wytłumaczy?

— Co?

— To, że pani ausweis znaleziono przy denatce?

— Widocznie musiałam go zgubić. Ona go znalazła i zamierzała mi go oddać, ale wcześniej przydarzyło się jej coś przykrego. Tak to wytłumaczę.

— Takie rzeczy się zdarzają — wtrąciłem niepotrzebnie. Nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi.

— Wierzę pani w całej rozciągłości — zapewnił śledczy znużonym głosem. — Zwłaszcza zgadzam się z poglądem, że utrata głowy to rzecz przykra. Ale chyba rozumie pani, że wolelibyśmy mieć pewność? Czy może nam pani pokazać coś, co by nas przekonało, że jest pani tą osobą, za którą się podaje?

— Myślę, że tak — powiedziała Zora. — Mój dentysta powinien mieć pełną dokumentację stomatologiczną obu moich szczęk. Może zgodziłby się udostępnić ją dla policji.

— Tak, to byłoby coś — zgodził się niechętnie śledczy. — Proszę go do tego nakłonić, i to jak najszybciej. Jeśli to możliwe, to jeszcze dziś. A na razie zechce pani tu podejść.

Zora podeszła, a *on* pokazywał jej na ekranie ciało i szczegóły garderoby denatki. Zaprzeczyła, żeby nosiła kiedykolwiek takie rzeczy.

— Teraz pierścionek — rzekł śledczy. — Przyjaciel mówił, że ma pani taki sam.

Zora obejrzała zdjęcie z uwagą. — Miałam kiedyś podobny. Ale nie taki.

— Proszę jeszcze pozostać — rzekł, wyciągając z biurka jakieś szpeje.

— Co to jest? — spytała Zora.

— Zestaw do pobierania odcisków palców. Pobierzemy je od pani i porównamy z odciskami denatki.

— Przecież to bez sensu. Ja i ona nie możemy mieć takich samych odcisków.

— Też tak sądzę.

— W takim razie wydaje mi się, że nie mówi mi pan wszystkiego. Chce pan moich odcisków do jakichś celów, które pan przede mną ukrywa. Wydaje mi się, że z wolną obywatelką nie może pan tak postępować.

Śledczy poruszył się gwałtownie, jakby chciał wstać.

— Zapytam jeszcze raz, bo może źle mnie pani zrozumiała: czy zgadza się pani na pobranie odcisków palców w celu identyfikacji zwłok? Zapewniam panią, że prawo na to zezwala i nie dochodzi przy tym do ograniczenia niczyich praw ani swobód.

— A jeżeli odmówię?

Zabębnił palcami po blacie. — Sytuacja pani nieco się skomplikuje. Będziemy musieli przekonać się, kim pani jest i co panią łączy z denatką. W celu uniknięcia matactwa będę musiał panią przyskrzynić.

— Proszę?

— Aresztować. Wsadzić do więzienia.

— Zgadzam się na pobranie odcisków — powiedziała Zora. — Ale nie przez pana. Nie mam ochoty, żeby pan mnie dotykał.

Zacisnął zuchwy, aż uwidoczniło się to na policzkach.

— Ja to zrobię — zaproponowałem. Rzecz okazała się nietrudna: brałem po kolei palce Żory — znów były lodowato zimne — i sposobem podpatrzonym na licznych filmach odbijałem na podsuniętym arkuszu z nadrukowanymi rubrykami. Każdy palec w innej. Raz czy dwa musieliśmy powtórzyć, zanim obaj śledczy byli zadowoleni z efektu.

— Czy teraz możemy sobie pójść? — odezwała się Zora, wycierając sobie palce chusteczką. Brudny strzępek wrzu-

ciła do torebki. Podeszła do biurka i sięgnęła po ausweis, ale policjant był szybszy.

— Jeszcze nie teraz — powiedział przez zęby. — Najpierw zaświadczenie od dentysty — pomachał plastikowym kartonikiem jak miniaturowym wachlarzem. — Spotkamy się jutro.

— Wątpię — rzekła zimno Zora. — Przyślę to panu mailem. Ausweis proszę mi odesłać listem poleconym, skoro się pan tak do niego przywiązał.

Zaraz po rozstaniu z przemiłymi wywiadowcami zapakowaliśmy się do Cytryjona. Włączyłem silnik.

— Gdzie urzęduje ten dentysta? — zapytałem.

— Nigdzie — odrzekła opryskliwie. — Chyba nie zamierzasz tam jechać, Papa?

— Myślałem, że to najkrótsza droga do wywikłania się z kłopotów.

— Odstaw mnie do domu. Samochodu możesz chwilowo używać. Jak chcesz, możesz wpaść na kolację — dodała łagodniejszym tonem.

Wobec takiego postawienia sprawy pojechałem do siebie i przez resztę przedpołudnia przygotowywałem pułapkę na Ja Mniejszą. Pułapka składała się z małego płaskiego magnetofonu z miniaturowymi mikrofonami na cienkich kabelkach. Głos nagrywał się na płytkę wielkości monety. Wstyd powiedzieć, ale wcześniej użyłem tego zestawu raz czy dwa do zarejestrowania wynurzeń miłosnych moich partnerek w łóżku; gdy już mnie rzuciły, słuchałem sobie tych gadek z powodów sentymentalnych. Jako pamiątki wciąż były drogie memu sercu.

Trochę czasu zajęło mi opracowanie planu. Z Zora spałem zazwyczaj bez żadnej odzieży, ale pod poduszką dyżurowała moja bluza od piżamy — na wypadek, gdybym zmarł i zapragnął się ubrać. Postanowiłem, że magnetofon schowam do kieszeni, mikrofony wystawię przez dziurki na guziki i nagram rozmowę z Ja Mniejszą do późniejszych analiz. Jeszcze nie miałem zdania, czy dam ją do odsłuchania Zorze.

Potem jednak wpadłem na lepsze rozwiązanie. A jeśli Zora zapragnie karesów? Jak w ciasnym zwarciu wytłumaczyć obecność aparatury podsłuchowej? Jeszcze mnie uzna za zbrojeńca. Najlepiej będzie trzymać cały zestaw w kieszeni marynarki, a gdy Zora pójdzie się myć, schowam go pod poduszkę. Na ścianie u wezłowania znajdowało się gniazdko, ale postanowiłem nie komplikować, tylko użyć do zasilania wiecznotrwalej bateryjki Ligi Pięciu. Po zmontowaniu przetestowałem całość kilkakrotnie; działała znakomicie.

Do Żory pojechałem jak najpóźniej, żeby uniknąć rozmowy, która szła jak z kija. W rezultacie kolację zjedliśmy prawie że w milczeniu, wymieniając się zdawkowymi uwagami albo komendami typu „podaj to”, „podaj tamto”. Dopiero zebrawszy talerze, Zora ujawniła, co ją gnębi.

— Papa, czemu tamci dwaj uważają, że mogłabym mieć coś wspólnego z tym ciałem, które znaleźli?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Bo taki jest ich zawód: podejrzewać wszystko i wszystkich. Bo taką mają obsesję, żeby wszystko im pasowało w rachunkach. Bo idą drogą najmniejszego oporu. Tu trup, tu zaginiony, połączmy jedno z drugim, a wszystko zacznie się zgadzać.

— Ty widziałeś tamto **ciało? W prosektorium?**

Musiałem potwierdzić.

— I co?

— Co co?

— No... czy pomyślałeś, że mogłabym to być ja?

— Było bardzo sfatygowane. Mało mam doświadczenia w takich rekonstrukcjach... by określić, jak mogło wyglądać przedtem.

Udaliśmy się do sypialni, Zora rozebrała się do naga i wyciągnęła się na swym wielgachnym łożu.

— Jak leżało?

— Na plecach. Ręce po bokach- Nogi prosto, prawa lekko zgięta.

— Głowa jak?

— Głowy nie było.

— Ach, prawda.

Leżała, nie patrząc na mnie i czekając, co powiem. A ja nie umiałem zdobyć się na werdykt.

— Nic z tego, Zora. Tamto ciało parę dni przebywało w rzece. Nie wiadomo, co przeszło, zanim do niej wpadło. Tyle że ta kobieta miała na palcu twój pierścionek.

— Żartujesz.

— Nie. Albo bardzo podobny. Zegarka nie znaleźli, ale i ty go nie nosisz. Ale pierścionek i ausweis łącznie są to poszlaki godne rozważenia.

— Tak, godne rozważenia — powtórzyła.

— Nic nie pamiętasz?

Jakby się zastanawiała, ile może powiedzieć. — Zdaje mi się, że coś jak czarna góra wisi nad moją pamięcią... że mogłabym się do tego przebić... Ale nie wiem, co by się

stało, gdyby wtedy ten czarny nawis nagle obalił się na mnie. Boję się, że mogłabym się spod niego nie wydostać.

Nie pozostawało nic innego, jak wziąć ją w ramiona, rzecz jasna tylko w celu dodania jej otuchy. Karesy przeordziły się w zapasy: rzuciła się na mnie i musiałem z nią walczyć jak ze zwierzęciem. Jeszcze długo po tym jak skończyliśmy, wydawała spazmy.

Kiedy wyszła do łazienki, skoczyłem po mój zestaw i umieściłem go pod poduszką. Jak wróciła, przed zgaszeniem światła pogadaliśmy jeszcze chwilę. Czekałem cierpliwie, aż zaśnie głębokim, bezapelacyjnym snem. Bałem się poruszyć, choć tysiąc razy miałem ochotę sprawdzić czas na zegarku. Ja Mniejsza nie przejawiała ochoty do konwersacji.

W końcu nachyliłem się i powiedziałem półgłosem: — Jesteś tam, Mniejsza?

— A jakże — odpowiedziała Zora bez wahania. — Właśnie zastanawiałam się, czemu się nie odzywasz. Spałeś czy jak?

— Nie, skądże. Czekałem na ciebie.

— To miło z twojej strony. Słuchaj, lubisz ty trochę tę naszą Zorę?

— Nawet bardzo. Ale ostatnio przyczynia mi zmartwień. Trochę wichruje na umyśle.

— Niepotrzebnie się przejmujesz. Wszystko będzie dobrze. Ożeniłbyś się z nią, jakby co?

— Co masz na myśli?

— Na przykład gdyby Zora zaszła w ciążę i miała urodzić wasze dziecko.

Poczułem, że sztywnieję. Włosy na głowie podniosły mi się i bardzo powoli opadły na swoje miejsce.

— Na szczęście jest to możliwość czysto teoretyczna. Na początku naszej znajomości Zora poinformowała mnie, że nie może mieć dzieci. Jest niepłodna.

— Myliła się. Właściwie sprawa jest przesądzona.

— Kiedy zaszła? Dziś?

— Nie, raczej poprzednim razem. Dziś spędzilibyście płód pigułką wczesnoporonną i po krzyku. — Milczała przez chwilę. — Czy mogę mieć do ciebie prośbę, Papa?

— Prośbę zawsze — rzekłem, wciąż starając się przyjść do siebie.

— Nie róbcie niczego złego temu dziecku. Zależy mi, żeby przyszło na świat. To poniekąd również moje dziecko. Będę się nim opiekować.

Dopiero po dobrej chwili dotarło do mnie, co mi chciała powiedzieć.

— Zamierzasz ingerować w jego... ustrój?

— Bez odpowiedzi.

— Myślałem, że skoro wyjawiasz mi takie rzeczy, to nie masz przede mną tajemnic.

— To błędne mniemanie, Papa, że jesteś u mnie na szczególnych papierach. Za kogo ty się uważasz?

— Za kogoś, kogo lepiej traktować serio. Za kogoś, kto wciąż może podejmować decyzje.

— Byleby nie kolidowały z moimi. Wtedy wszyscy będziemy żyli w zgodzie, długo i szczęśliwie.

— Straszysz mnie, Mniejsza? I bez tego mamy dość kłopotów.

— Wasze kłopoty są przejściowe. Właściwie... — urwała, jakby musiała zajrzeć do notatek, żeby coś sprawdzić. —

Właściwie już po kłopotach. Ci dwaj, którzy maglowali Zore dziś przed południem, mieli niedawno poważny wypadek samochodowy.

Stanęły mi przed oczami ich roześmiane gęby. Nie lubiłem drani, ale mimo woli zrobiło mi się ich żal.

— Co z nimi? — zapytałem. — Wyjdą z tego?

— Diabli zaczynają targi o ich dusze.

— Co proszę?

— Nie żyją. Obaj. Masz pojęcie, Papa? Takie nieszczęście.

Rano, po bezsennej nocy, z magnetofonem w zaciśniętej, spoconej dłoni, próbowałem odtworzyć zapis. Z głośniczka dobiegał tylko jednostajny szum. Próbowałem kilka razy.

Nic się nie nagrało.

XVIII

Rheinehart, a może ktoś usytuowany jeszcze wyżej, docenił wreszcie moje zasługi w rozpracowywaniu Ligi Pięciu. Zostałem mianowany lokalnym opiekunem z ramienia rządu wszystkich zesłanych z nieba aniołów Ligi Pięciu, zwanych potocznie pręciami i waginałami. Cóż, nie sprawiało mi różnicy, kim byli i jak na nich wołano, widziałem w nich ludzi obarczonych stygmatem nieszczęścia i potrafiłem z nimi rozmawiać bez uprzedzeń. Tym sposobem pewnego dnia znalazłem się przed drzwiami pokoju numer 318. Zastukałem.

— Wejść! — dobiegła ze środka energiczna komenda.

Durchschnittslohn i Pampelmusesirup siedzieli na tapczanie, a Sittenvervall, zwrócony ku nim połową ciała, na krześle obok hotelowego stolika. Wydawali się usatysfakcjonowani tymi skromnymi warunkami, a moje wejście przypadło w trakcie krewkiej dyskusji, którą kontynuowali, kompletnie nie przejmując się moją obecnością.

— Więc co? — wycedził Durchschnittslohn prawie że z pogardą. — „Bóg wybaczy, bo to jego zawód”, tak? — Cudysłów był widoczny aż nadto wyraźnie, nawet dla kogoś, kto nie znał źródła cytatu.

— Wybaczy, nie wybaczy — rzekł spokojnie Pampelmusesirup. Z całej trójki najbardziej przy kości, dobroduszością kwitował mizeryę cudzych argumentów. — Przejrzyj na oczy, człowieku. Przecież to branie w obronę katów, gdyż ofiary i tak prawdopodobnie dostąpią zbawienia. A zgodnie z chrześcijańską doktryną liczą się tylko odłączone od stada owce. Więc nie na tych się skupiajmy, którzy i tak znajdują się w niebie, tylko na tych, którzy mają na to nikłe szanse.

— A ja myślę — powiedział Sittenvervall, uśmiechając się zagadkowo — że takie traktowanie Boga, który miota groźby, ostrzega, nawołuje, a potem i tak bierze wszystkich jak leci pod swoją kuratelę, odbiera mu jego powagę. Zamienia go w przekupnia, z którym nie tylko można się targować — przypomnijcie sobie negocjacje Abrahama o liczbę sprawiedliwych w Sodomie i Gomorze — ale którego można lekceważyć. No bo skoro mówi jedno, a potem robi drugie, gdyż w nocy opadły go skrupuły z powodu własnej srogości — to jakże kogoś takiego traktować serio? Bóg powinien być stanowczy, nie zmieniać zdania z byle

powodu; jeśli raz rzekł „a”, ma być „a”, i szlus. Żadne jęki ani błagania tego nie odwróca.

— Wtedy modlitwa, pozbawiona swej mocy, zamienia się w puste klepanie formułek — udało mi się wtrącić.

— Słyszałeś? Pan Papadopoulos dotknął sedna — poczył Sittenvervalla Pampelmusesirup, nie zaszczycając mnie spojrzeniem. — Piekło ma być źródłem cierpienia grzeszników, nie Boga. Nie mogąc nic już zrobić dla potępionych, musiałyby eonami wysłuchiwać ich jęków i wycia. Czy nie czujesz, że jest coś głęboko niestosownego i niedorzecznego w koncepcji, że Bóg dla własnego luksusu, aby świadomość strasznych mąk zadawanych w piekle nie mąciła mu drzemki, wyzwoli owych potępieńców w akcie wspaniałomyślnej abolicji? Także i takie postępowanie pozbawiałoby go należnego mu szacunku. Oczywiście zamiast o dyskomforcie Boga wolimy gadać o niedoskonałości stworzenia, czego wyrazem ma być przepełnione winowajcami piekło. Lecz chyba lepsza tak rozumiana niedoskonałość, wynikła z dania człowiekowi wolnej woli, od udawania, że żadnego problemu nie ma, bo wszystkich się wyzwoli, piekło piorunem opustoszeje i przestanie urągać Bożemu zadowoleniu z własnego dzieła.

— Dobrze powiedziane, jak mamę kocham! — podniecił się Durchschnittlohn, szczupły, przystojny mężczyzna o smągłej twarzy. — Piekło to wszak nie tylko miejsce, gdzie się katusze zadaje, to głównie jego pensjonariusze, skierowani tam na męki. Awansowanie ich, kopnięcie wzwyż, że tak powiem, nie oznacza, że piekło przestanie istnieć, czy przestanie być potrzebne jako puste; to oznacza tylko przeniesienie piekła gdzie indziej. Jeśli więc pensjonariusze owi

na mocy decyzji Boga, podyktowanej jego nieskończonym miłosierdziem, trafić by mieli do nieba, bo niby gdzie indziej, piekło automatycznie przeniesie się tam wraz z nimi. Zwłaszcza jeśli otwarcie mówi się taką rzecz, że i diabeł może być zbawiony jako stworzenie Boże. Jako jego anioł wprawdzie wyklęty i strącony, ale nie pozbawiony szans na poprawę.

— Dla Boga bowiem nie ma nic niemożliwego! — prawie zawył z zadowolenia Sittenverfall. — Nie ma doktryny, której byście nie obrócili na własną korzyść, nawet za cenę wycisowania jej znaczenia. W tych książkach — machnął niekonkretnie ręką w głąb pomieszczenia — nie pada nigdzie oskarżenie o herezję, a jednak wydaje się, że hipoteza o miękkim sercu Boga i zbawieniu wszystkich niebezpiecznie się o nią ociera. Ewangelia i dokumenty Kościoła nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że istnienie piekła należy rozumieć realnie, nie alegorycznie, zaś wieczne męki to wieczne męki, a nie wczasy, z których można sobie wyjechać w dowolnej chwili. Człowiek współczesny nagina dla swojej wygody biologię, medycynę, etykę... normalnym porządkiem rzeczy po kwestiach doczesnych przyszła kolej na eschatologię. Dotychczasowa nam się nie podoba, więc życzymy sobie nowej, bez piekła, gróźb, rozliczeń z życia według przykazań i bez innych strachów, które nas stresują. Chcemy życia w wygodach i bez przejmowania się, co będzie pojutrze; niech nikt się nie waży zakłócać naszego komfortu. W gruncie rzeczy to polityczna poprawność eroduje teologię, a ci autorzy — znowu machnął ręką, tym razem z pogardą — są jej świadomymi lub nieświadomymi rzecznikami.

Jakaś sekwencja dysputy dobiegła końca; wszyscy obrócili się w moją stronę, jakby oczekiwali werdyktu. Rzecz jasna nie byłem w stanie ich rozsądzić. Zamiast tego powiedziałem:

— Debaty teologiczne... ostatnia rzecz, która by mi przyszła do głowy, że panowie się nią zajmą.

— A niby czym się mamy zajmować? — rzekł swarliwie Durchschnittslohn. — Koncentrujemy się na tym, co wydaje się nam najbardziej frapujące. Przypuśćmy, że wchodzi pan do bogato wyposażonej komnaty, gdzie na stołach rozstawiono pyszne potrawy, ale zbliżywszy oko, widzi pan, że to tylko pomalowane trociny i wytoczone z gipsu dania. Z trudem znajduje pan agrest, zielony i twardy, ale po dłuższych poszukiwaniach natrafia pan na dymiącą golonkę z piwem. Od czego by pan zaczął? — rozejrzał się spod nastroszonych brwi, czy kto nie rwie się odpowiadać na pytanie, które sam uznał za retoryczne. — Tak i my zajęliśmy się tym, co się nam wydało najciekawsze i co zarazem znajdowało się w zasięgu.

— No dobrze — powiedziałem. — Zostawmy teologię teologom...

— To najgorsze, co moglibyśmy zrobić — wtrącił Pampelmusesirup.

— .. i przejdźmy do naszych baranów. W jakiej sprawie chcieli panowie mnie widzieć?

— Wstydę się tak przy wszystkich — oznajmił Durchschnittslohn. — Mogę powiedzieć na ucho.

Nachyliłem się, a jego ciepły oddech owionął mi małżowinę.

— Wyjdźmy stąd. Tu się nie da swobodnie rozmawiać.

Wyprostowałem się. — Wszyscy panowie są tego zdania?
Skinęli poważnie głowami.

— Jako nasz szef może pan chyba załatwić taką drobnostkę? — mizdrzył się Sittenvervall.

— Nie jestem waszym szefem.

— A kim?

— Kimś w rodzaju łącznika. Mam przenosić wiadomości pomiędzy waszą grupką a światłym kierownictwem... i odwrotnie. Tak to sobie wyobrażam.

— Dotychczas pan jakoś niczego nie przeniósł — wyłóśliwł się Durchschnittslohn.

— Istotnie... ale to się zmieni. Chciałem właśnie zakomunikować panom, że światłe kierownictwo życzy sobie zacieśnienia współpracy.

— Zacieśnienia? — upewnił się Sittenvervall.

— Właśnie. Zaczniemy istotnie od tego, że przewietrzymy się trochę. Dość siedzenia w zatęchłym pomieszczeniu.

— Jest przecież klimatyzacja — marudził Pampelmuse-sirup, ale pozostali dwaj jęli posykiwać na niego znacząco, więc i on wstał z ociąganiem.

Mieli na sobie identyczne workowate płócienne spodnie do pół łydki i luźne koszule z krótkimi rękawami, czyli ubrania, w jakich do nas dotarli. Na razie nie pojawił się rozsądny pomysł, jak ich wykorzystać ani w ogóle co z nimi zrobić.

Poprowadziłem ich prosto do parku, gdzie swego czasu debatowaliśmy o losach ludzkości z kolegą Winczorkiem. Ledwo weszliśmy pomiędzy drzewa, ich chód zmienił się, bardziej przypominając skradanie. Poruszali się szybciej, jakby coś tropili. Zagadnąłem ich o to.

—Z naszego okna widać powalone przez wichurę drzewo — rzekł Durchschnittslohn, jakby to cokolwiek wyjaśniało. Wobec tego postanowiłem nie przerywać im poszukiwań, pewien, że powaloną sosnę czy dąb w tak dobrze utrzymanym drzewostanie zawdzięczają zbiorowej imaginacji.

Jakież było moje zdumienie, gdy po kwadransie tego podkradania się istotnie natrafiliśmy na wiatrołom. Była to, sądząc po owocach, sędziwa grusza, która nie wiadomo skąd wzięła się w środku dobrze prosperującego parku. Cios wiatru czy też matuzaleмовy wiek przygiął drzewsku gałęzie do samej trawy, ale korzenie pozostały w ziemi — takim to sposobem listowie, lekko tylko zmierzwiłone, zachowało się, a i konary nie wydawały się bardzo poharatane. Z wybujających pni — naliczyłem ich w sumie cztery — dwa odłączyły się od reszty i leżały niemal płasko, wspierając się konarami o grunt. Dziwne, że służby parkowe nic z tym nie zrobiły — a może żadnych służb już nie było, tylko ja o tym nie wiedziałem.

Stanąłem więc wraz z moimi podopiecznymi przyglądając się układowi gałęzi, z którego można było zrekonstruować zaszłą tu tragedię. Sądziłem, że to tylko ciekawostka botaniczna i niebawem podążymy dalej, ale żaden z trzech nie kwapił się ruszać. Obchodzili z uwagą wykolejone drzewo, zaglądali między gałęzie, odsuwając je jak kurtynę i cmokając z uznaniem. Kilkakroć ukradkiem spoglądali w niebo, jakby spodziewali się deszczu.

— Szafas — powiedział wreszcie Durchschnittslohn.

— Powstały samoistnie — potwierdził Sittenvervall, a Pampelmusesirup nic nie powiedział, tylko z aprobatą pokiwał głową.

— Wejdźmy do środka — zachęcił Durchschnittslohn. Poprowadził nas w miejsce, gdzie wystarczyło lekko rozgarnąć gałęzie i zaraz trafią do wnętrza zielonej jaskini o cokolwiek niskim pokryciu z konarów i liści. Nie było tu bardzo wygodnie, bo nie można było się wyprostować, ale im to nie przeszkadzało. Zaraz rozsiedli się bez ceregieli na ziemi. Nie widząc innego wyjścia, też zasiadłem w kręgu.

— Panie łączniku — zwrócił się do mnie Durchschnittslohn — czy miałby pan coś przeciwko temu, byśmy urządzili tutaj naszą świątynię dumania?

— Co takiego?

— No, takie miejsce, gdzie by można usiąść na chwilę i pozbierać myśli. A także zajrzeć tu czasem niezobowiązująco w celu odbycia narad.

— A w jakiej to sprawie zamierzacie się panowie naradzać?

— To właśnie chcieliśmy panu zaproponować, ale wiemy, że w pokojach hotelowych ściany mają uszy.

— Niebo też nie jest całkiem bezpieczne — dodał Pampelmusesirup, wskazując wzrokiem prześwity w gałęziach.

— Można jaśniej? — spytałem.

— Słyszał pan zapewne o nasłuchu nieba — rzekł bez związku Pampelmusesirup. — Jeśli ludzie podsłuchują niebo, to należałoby się spodziewać, że i ono odwdzięcza się tym samym.

— Jak to?

— A tak to. Akcja równa się reakcji.

— Zaraz — wtrącił się Sittenvervall pojednawczym tonem. — Pan łącznik ma rację: trzeba jaśniej. Otóż prze-

czytaliśmy ostatnio powieść dwudziestowiecznego klasyka science fiction. Występują w niej tak zwane twory F, które nasyła na ludzi galaretowaty ocean, aby uprzykrzyć im życie i ukarać za przeszłe grzeszki.

— Znam tę powieść.

— No to pan wie, że owe twory F można traktować jak zmaterializowane wyrzuty sumienia bohaterów. Ci zaś, zamiast je przygarnąć i należycie się nimi zająć — wszak z ich umysłów i przeszłości wysnuto te fenomena — czym prędzej doprowadzają do ich unicestwienia.

Patrzyłem na niego w osłupieniu.

— Dalej pan nic nie rozumie? — ponaglił.

— Nie.

— Istnieje analogia pomiędzy nami a tworami F. Ich stworzył ocean galarety, a nas Liga Pięciu.

— W porządku, ale co z tego wynika? Mam was potraktować tak samo, jak zostali potraktowani tamci?

Sittenvervall spojrział na mnie z niesmakiem.

— E, co się też panu łącznikowi roi. Chcę tylko zwrócić uwagę, że dyskutowaliśmy o rozwiązaniach przyjętych w tej powieści i rozproszenie tworów F w polu neutrinowym wydaje się nam szalonym marnotrawstwem. Można było je ugościć, zatrzymać na noc... a potem wykorzystać.

— W jaki sposób?

— Namawiając do pomocy w wyjaśnieniu tajemnic galaretowatego oceanu. Skoro były jedynym interfejsem pomiędzy oceanem a ludźmi, to pozbywanie się ich wypada uznać za lekkomyślność... jeśli nie wręcz głupotę. Nie odrzuca się jedynego sposobu czy też narzędzia, po którym można się czegoś spodziewać. A po spaleniu tworów F w potoku

neutrin bohaterom rzeczony powieści pozostała tylko czy-
sta beznadzieja.

Odzyskałem rezon. — I to ja mam panów wyzyskać do
zdemaskowania Ligi Pięciu?

Porozumieli się szybkim spojrzeniem.

— Tak daleko się nie posuwamy — rzekł uroczyście
Durchschnittslohn. — Weźmiemy, o ile pan pozwoli, tę
powinność na siebie.

— I jak zamierzacie temu podołać? Najlepsze mózgi na
całej planecie, zbrojne w aparaturę i metody naukowe, za-
trudnia się nad tym zagadnieniem. A tymczasem wy...

— A my rzucimy się na nie z gołymi rękami i pomy-
ślnikiem — dokończył. — Wasza technologia wobec Ligi
Pięciu może znaczyć tyle co nic. W takim razie, korzystając
z samych głów, nie pozostaniemy daleko w tyle.

— Samym kombinowaniem niewiele się osiągnie. Po-
trzebne będą fakty.

— Tych dostarczy nam pan w ramach obowiązków łącz-
nika.

— I gołymi mózgami chcecie wydedukować... co właś-
ciwie?

— Sami nie wiemy. Rozwiązanie tajemnicy, jaką jest Liga
Pięciu i jej działalność. A że gołymi mózgami? Co w tym
zdrożnego? A czymże, za przeproszeniem, posługiwali się
Arystoteles, Galileusz i inni tego pokroju jegomości?

Nie wiedziałem, jak to skomentować.

— Myśleć nam pan tak czy owak nie zabroni. Co najwy-
żej wnioski zachowamy dla siebie.

— No nie, nie stawiajmy sprawy w ten sposób — za-
przeciłem szybko. — W gruncie rzeczy oferta panów jest

bardzo korzystna, choć zjawiała się nieco... niespodziewanie. W czym moi szefowie mogliby wam pomóc?

— Po pierwsze, jako się rzekło: dane — odginał palce Durchschnittslohn. — Chcemy jak najszybciej wiedzieć o wszelkich nowinkach. Musimy mieć z pierwszej ręki materiał do analizy. Po drugie, chcielibyśmy, by nikt nie ruszał tego drzewa. Tu będziemy debatować. Po trzecie...

— Tak?

— Nasze wnioski będziemy ogłaszać wyłącznie w tym miejscu w formie wyłącznie ustnej. Kto będzie się chciał od nas czegoś dowiedzieć, będzie musiał się tu pofatygować. Po czwarte — działamy anonimowo, bez komputerów i internetu. Nie chcemy, żeby cały świat dowiedział się jutro, że my to my.

— Może stosowny kryptonim? — zaproponowałem.

— Leśne Dziadki — Durchschnittslohn przybrał łobuzerski wyraz twarzy. — Leśne stąd, że będziemy dumać w lesie. Do pałacyku wpadniemy tylko na posiłki, przespać się i tak dalej. I niech pan o naszych sprawach informuje światłe kierownictwo, tylko z dala od pomieszczeń zamkniętych. Najlepiej gdzieś pod drzewem.

Uśmiechnąłem się do tej wizji.

— Ciekawi mnie — powiedziałem — czy Leśne Dziadki dysponują przynajmniej namiastką metody, która pozwoli rozpracować Ligę Pięciu.

— Będziemy myśleć — skwitował Durchschnittslohn.

— Natężymy zwoje — dodał Sittenvervall.

— Moment, koledzy, moment! — mitygował ich trzeci muszkieter. — Tak nie można! Człowiek zwraca się z pytaniem, trzeba mu wytłumaczyć, a nie starać się go splawić.

Co do metody — mamy to, co wypracowała nauka ludzi, która, jak pan pewnie wie, polega na tworzeniu i dopasowywaniu modeli. Te modele schowane są w języku; dostępu do nich broni jedynie wyobraźnia. Inaczej mówiąc, musimy wpaść na taki opis tego, co zachodzi, który wyjaśni więcej niż widać gołym okiem. Będziemy tak długo przeglądać i testować modele, aż natrafimy na odpowiedni. Na razie wierzymy w model kosmicznej wizyty z obsypywaniem prezentami, który moim zdaniem już robi bokami i długo się nie ostanie.

— A jeśli model, ten właściwy, przekracza to, co jesteśmy w stanie ogarnąć wyobraźnią?

— E, myślimy, że nie. Jakies to wszystko znajome... to, co wyprawia Liga Pięciu. Swojskie. Jakby urodzone pod tym niebem, nie pod innym. Handel, choć bez pieniędzy, ale przecież nie bez zapłaty. Rzecz stara jak świat. Te lampiony, koafiury i tiurniury, ozdobne krzesła i biżuteria — to tylko garnir, który nie powinien nas zmylić.

— Manipulacje genetyczne — dodał jakby z pretensją Sittenvervall. — Nawet kod genetyczny mają i stosują taki sam. Za mało to wszystko odmienne od tego, co znamy.

Zapatrzyłem się w listowie zwisające mi przed nosem. Jakiś liść odkruszył się od gałęzi i po krótkim locie osiadł mi na nogawce.

— Jeszcze jedno pytanie, ostatnie: o motywację. Z boku sprawiacie panowie wrażenie, jakbyście w wyjaśnieniu tej sprawy mieli osobisty interes.

Poruszyli się niespokojnie.

— A co pan myśli? — rzekł opryskliwie Durchschnittslohn. — Pewnie, że mamy. Każdy ma swojego

stwórcę i z nim się wadzi. Wy wynosicie na ołtarze swojego Boga, który dał wam żyzną i zasobną w dobra planetę... Inna sprawa, coście z nią zrobili — dodał ciszej. — Ale my? Nasz bóg, stworzywszy nas w celach doraźnych, wypchnął nas w obcy świat, do którego z jego woli pasujemy ciałem i językiem. Zrobił to, byśmy realizowali nieznany nam zamiar, a w nagrodę mamy obiecane tylko unicestwienie. Odarł nas z historii i z tożsamości, nie kocha nas, tylko się nami posługuje. Mamy mu za to być wdzięczni? — w jego głosie przebijało autentyczne rozwścieczenie. — Wy macie więcej powodów, by swego stwórcę wielbić — ale my? A za co? Że się z nami obszedł gorzej niż z fantami, które rozsyłał w charakterze podarków? Więc w rewanżu my na niego zapołujemy. Dopadniemy go myślą w jego niebieskim kącie i pozbawimy jego nimbu. Obnażymy jego nicłość...

— Spokojnie, spokojnie, nie zapędzaj się — zmiłogował go Sittenvervall. Położył uspokajająco rękę na jego ramieniu i w jego niejako zastępstwie mówił dalej: — My i wy mamy wiele wspólnego. Nasi bogowie nas porzucili, nasz los ich słabo obchodzi. Też jesteście rzućni na ten padół, opuszczeni, pozostawieni samym sobie. Tyle że wasz Bóg wydaje się autentyczny, a nasz to uzurpator.

Głupio zabrzmiało, ale żeby zrelacjonować to Rheinehartowi, wymogłem na nim, prawie czerwieniąc się z zażenowania, wycieczkę do parku. Słuchał, muszę przyznać, uważnie i nie przerywał słowem. W końcu spoczęliśmy na ławce; spocony z emocji czekałem na jego komentarz.

— Modele — westchnął. — Inaczej mówiąc scenariusze. To nie jest takie głupie. — Zapatrzył się przed sie-

bie, w gąszcz drzew, za którymi rozciągał się groźny świat kontrolowany przez Ligę Pięciu. — Chyba już mogę panu powiedzieć... pamięta pan konferencję sprzed miesiąca? Tę, na której Kopfwasser wygłosił swój beznadziejny referat?

— Słabo. Prawie nigdzie mnie nie wpuszczano.

Zbył tę pretensję milczeniem.

— Był to jedynie kamuflaż, uczyniony po to, by do zameczku mogły zjechać różne dziwne indywidua. Niech mnie pan nie pyta o nazwiska. Był któryś z doradców pani kanclerz, był pewien reżyser filmowy, z przekonanych ezoteryk, jakiś ekonomista i ktoś z wojska... Dalej cywil, zajmujący się logistyką czy intendenturą. Była starsza pani profesor z Instytutu Anglistyki...

— To ta brzydka jak noc?

— Wszystkie kobiety są piękne. O ile wiem, bardzo dużo wniosła do obrad. Poza tym trafił się jeszcze pewien pisarz science fiction.

— To tacy jeszcze żyją? — zdziwiłem się nie na żarty. — Myślałem, że powymierali z głodu.

— Okazał się prawdziwą zakatą. Na wszystko miał gotowe wyimki z dzieł swego gatunku. W ogóle nie myślał, tylko pracował jak skaner, przeszukując dorobek swoich kolegów po fachu.

— I co robili ci strasznie utajnieni jegomoście?

— Grali. Na najwyższym piętrze wydzielono dla nich salę, zaciągnięto okna kotarami, tak aby ani promyk światła nie przedarł się do środka, na ścianach porozwieszano mapy i wykresy, a nad wielkim stołem, gdzie toczyła się gra, zamontowano kamerę wideo. Krótko mówiąc, stwo-

rzono typową scenerię dla rozgrywania gier strategicznych.

Przerwał, bo mrówka wlała mu na nogę i zajął się jej strząsaniem.

— Gra dotyczyła rzecz jasna Ligi Pięciu. Przy podstawowym założeniu, że nie modyfikuje radykalnie swego postępowania, tylko rozszerza katalog towarów o leki, kosmetyki i bodaj biżuterię, próbowano klecić scenariusze, według których będzie się rozwijać sytuacja.

— Co tu rozwijać — powiedziałem. — Będzie jak dotąd. Lampiony nadal będą wozic do góry zamówienia, a ludziska będą gromadzić po chałupach coraz więcej dobra obcopletnetarnego pochodzenia.

— Zespół pracował od ósmej do czwartej po południu, z przerwą na obiad, który im tam dowożono. Podobno wśród graczy panowały takie emocje, że trzeba było siłą zaganiać ich do talerzy. Wieczorem mieli jeszcze jedną sesję... coś w rodzaju narady i podsumowanie wyników. Po czterech dniach skończyli, a piątego opracowali raport. Potem się rozjechali. Kto i jakim trybem otrzymał ów raport, nie mogę powiedzieć.

— Oczywiście sam raport jest ściśle tajny.

— Oczywiście. Chciałby pan pewnie do niego zajrzeć? — Zaśmiał się krótko, nie wiadomo, z czego. — A właściwie czemu nie. Zobaczę, co się da zrobić.

Znowu pomilczał z wielką dostojnością. Nie przerywałem mu.

— Tak że modele, scenariusze, raporty... bardzo pożyteczna rzecz — zauważył. — Jak naprodukujemy ich odpowiednio wiele, na pewno któryś się sprawdzi.

Po grze strategicznej z Ligą Pięciu niewiele zostało. Czyszczono, jak to ujął Rheinehart, metodycznie. Dowiedziałem się, że efektem gry stały się dwa scenariusze, z których jeden natychmiast utajniono i przesłano wyżej, a drugi pałętał się po komputerach, póki nie skonfiskowano i tego. Papiery, płytki, szkice, notatki pozbierano do plastikowych worków i wywieziono helikopterami, razem z uczestnikami gry. W tej sytuacji skazany byłem na kopię raportu, którą Rheinehart dysponował, i niektóre załączniki, które pozwalano mu wynosić, zanim zapadła decyzja o utajnieniu. Owszem, zbierano i to, co się rozeszło „po ludziach”, ale dyskretnie, bez rozgłosu, żeby nie wywoływać afery. Rheinehart akurat coś załatwiał czy gdzieś wyjechał i czesanie go ominęło.

To, co zdołałem zrekonstruować w oparciu o te resztki, przedstawiało się następująco. Liga Pięciu, według założeń gry, istotnie składała się z kilku elementów o nierównym znaczeniu, zdominowanych przez jeden, nazwany na potrzeby gry Marsjanami. Parli oni poprzez kosmos pchani względami natury ideologicznej albo też religijnej, podbijając według tego samego schematu nowe planety zasiedlone przez istoty rozumne. Obsypywali je podarunkami, a gdy to w końcu doprowadzało do rozstrojenia stosunków ekonomicznych na planecie, stawiali ultimatum: albo się do nas przyłączycie, albo zostaniecie spacyfikowani. Załamanie się zaatakowanych było kwestią czasu.

Celem gry było ustalenie, jak miałoby to tego dojść i czy nie ma szczyliny umożliwiającej ocalenie. Wersja gry, do której miałem dostęp, przewidywała, że po wprowadzeniu

do oferty Ligi Pięciu kosmetyków, leków i biżuterii po raz pierwszy nastąpi kontrakcja. Koncerny farmaceutyczne i kosmetyczne, zagrożone w swym istnieniu, będą musiały się włączyć. Nie mogąc osiągnąć centrum dystrybucyjnego Ligi Pięciu ani zaszkodzić mu w inny sposób, zwrócą się ku odbiorcom. W pewnych krajach dojsć miało do wytworzenia się nieoficjalnego państwa podziemnego ze swym centrum decyzyjnym i przede wszystkim aparatem represji.

— Kto będzie podlegał represjom? — zagadnąłem dla porządku, gdyżmy znowu z Rheinehartem zażywali wy tchnienia w towarzystwie stuletnich drzew.

Okazał zdziwienie: — lak to kto? Konsumenci i użytkownicy produktów Ligi Pięciu. U kogo je wykryją, ten będzie miał się z pyszna.

— Jak daleko posuną się w prześladowaniach? — docie kałem.

Gra dawała na to taką odpowiedź, że przynajmniej początkowo kary będą surowe: konfiskata na porządku dziennym, a często sankcje fizyczne do uprowadzania opornych włącznie. Chodziło o zastraszanie konsumentów i tworzenie atmosfery terroru. Swobodna gra ekonomiczna zostanie zlikwidowana. Równolegle zostanie podjęta olbrzymia kampania propagandowa w internecie, wskazująca na ewidentną szkodliwość produktów Ligi Pięciu oraz wredność wchodzących w jej skład nacji gwiezdnych.

— To już się robiło — wtrąciłem. — Chodziły trójki aktywistów, dopytując się o towary pozaziemskiego pochodzenia. Policja deptała im po piętach i wyprowadzała za kołnierze do suk.

— Ale szybko przestała. Teraz rząd po cichu popiera te inicjatywy.

— Mimo że podobno stoi za nimi partia neofaszystowska?

— A cóż to znaczy — neofaszystowska? Od Hitlera upłynęło sto lat, ludzie zapomnieli o faszyzmie. Niemcy zresztą zawsze mieli raczej krótką pamięć. Stoi albo nie stoi. A jak stoi, można na to przymknąć oko. W imię wyższych racji.

— Zapomniał pan, że obywatele będą stawiali opór. Zostali uzbrojeni w myślotłuki i nie zawahają się ich użyć.

— Tak, to jest pewien problem — przyznał z niechęcią.

Gra rozstrzygała to jasno: dojdzie do starć i zamieszek społecznych na wielką skalę, w wielu miejscach i na znacznych obszarach. W grze mowa była o Niemczech, ale sugerowano, że rozleje się to na całą Europę, a może i cały świat. Nie podzielałem tej prognozy.

— Świat dziś jest zdysocjowany — perorowałem do Rheinharta. — Każdy sobie rzepekę skrobie. Ludzie zamykają się w czterech ścianach, ulice własnych miast oglądają przez telewizję osiedlową, nie w głowie im jakiegokolwiek działania zbiorowe. Rewolucje, te rzeczy — niech pan o nich zapomni. To nie dwudziesty wiek.

— Tym lepiej. Łatwiej będzie ich wygnać miot po mieście.

Spojrzałem na niego z uwagą — skąd u niego te myśliwskie skojarzenia? Może to wpływ lasu?

A więc represje, jawne albo zakamuflowane, popierane po cichu przez państwo. W tym miejscu gra pozornie rozwidlała się: albo zwyciężą podziemne bojówki i akcja

Ligi Pięciu z Marsjanami na czele zostanie storpedowana w całości lub w części, albo zostaną odparte i Liga będzie działać po dawnemu. Grający zdecydowali, że zajdzie drugi wariant: nawet jeśli terror ekonomiczny się powiedzie, to na krótko. Ludzka pazerność na darmowe dobra jest niezwyciężona.

Wydawało się, że grający, przynajmniej w tym wariantcie, ewidentnie nie chcieli iść drogą, która wydawała się najbardziej oczywista. Zamiast tego uparcie wprowadzali nowe jakości, jak ta, że pozostałe gwiazdne nacje wchodzące w skład Ligi buntują się przeciw Marsjanom i na czas niezbędny do uśmierzenia buntu dystrybucja dóbr z nieba zostaje wstrzymana albo zakłócona. Ale z takich zmian niewiele wynikało. Ludzkość nie umiała wykorzystać czynnika czasu, jaki tym sposobem dostawała w prezencie. Po okresie przerwy na gwiazdne wojny o nieznaną skalę pomiędzy Marsjanami a ich krnąbrnymi aliantami podarki sypały się z nieba na nowo.

Innym równie mało uprawnionym założeniem było to, że akcja propagandowa przyniesie radykalną zmianę nastawienia wobec prezentów Ligi Pięciu i falę dezaprobaty, a może nawet odrazy, wobec pożądanego do niedawna produktu. Decydującym argumentem miały się tu stać nie zapewnienia o szkodliwym wpływie tych artefaktów dosłownie na wszystko — od zdrowia dzieci po potencję rodziców — ale wizja ludzkości „zjedzonej” przez Obcych. Wchłoniętej i strawionej. Straszona szkodliwością nikt się nigdy nie bał, vide kampanie antynikotynowe i antyalkoholowe, szermujące zagrożeniami dla zdrowia, zatruciami przez dioksyny ze spalonych plastików czy kręćkiem albo

rakiem, wywoływanymi przez promieniowanie mikrofalowe z komórek telefonicznych. Fala niechęci miała się podnieść po rozpropagowaniu opinii, że Marsjanie chcą nas zalać przymusowymi prezentami, utopić nas w ich lawinie, uzależnić od nich, a przy okazji zlikwidować ziemski porządek ekonomiczny. Nastąpić miało masowe a dobrowolne niszczenie i wystawianie na chodniki tego dobra, skąd nawet nie zdążyłyby ich zgarnąć służby oczyszczania, bo już by się te cudeńka rozpadły na czarny pył i zostały rozwiane przez wiatr. Tak miały wyglądać ostatnie kadry tej kampanii: obłoczki pyłu wirujące nad rynsztokami, puentujące całkowite fiasko zamiarów Marsjan czy też Ligi Pięciu wobec zacnych ludzi.

— Myślotłuki też wyrzucali? — zainteresowałem się. — Jakoś nie ma o nich wzmianki.

— Grający pominięli ten szczegół — zaśmiał się Rheinhart. — Niech pan poszuka naszych myślicieli, ja wracam do biura.

Trzech filozofów z nadania Ligi Pięciu zgodnie z zapowiedzią spędzało całe dnie na łonie natury. Ich czerepy ogorzały od słońca czy od wiatru, a może od leśnego życia, wyglądali zdrowo i czerstwo, pod dach wracali jedynie w przypadku niepogody, na posiłki albo w celu wymiany książek. Mnóstwo czytali — to trzeba im było przyznać. Z odrazą spoglądali w stronę komputera, choć czasem zlecali mi znalezienie tego lub owego.

Drogę do zwalonej gruszy o czterech pniach znałem na pamięć, ale gdy stanąłem przed obalonym drzewem przemienionym w szałas, zaskoczyła mnie bijąca odeń cisza. Dla wygody niektóre gałęzie podcięto, a w celu lepszego uszczel-

nienia całość obsadzono po brzegach dzikim winem, które ostro wzięło się do roboty. Mieszkańców tego locum gdzieś wywiało. Dla pewności zajrzałem do środka — może śpią? Nikogo. Zostali uprowadzeni? Stałem zdezorientowany, nie wiedząc, co począć.

— Tu jesteście! — rozległo się wołanie. Dobiegało z kory jednego z sąsiednich drzew.

Siedzieli okrakiem na gałęziach. Trzymając się pnia, spoglądali w dół z zaciekawieniem.

— Cóż to za nowa forma relaksu? — odkrzyknąłem. — Jak tak dalej pójdzie, zaczniecie panowie niebawem więc gniazdo!

— To nie żaden relaks — odciął się Pampelmusesirup. — To mordęga. Całe siedzenie mnie boli. Odbywaliśmy ważną naradę... którą właśnie zakończyliśmy.

Trochę trwało, zanim zgramolili się na dół. Drzewo — tym razem rozłożysta lipa — miało gałęzie prawie do samej ziemi i można się było po nich wspinać jak po drabinie. Nie byli akrobatami, ale złączenie poszło im sprawnie. Widać nie pierwszy raz tak obradowali.

— Nad czym panowie radzili? — zagadnąłem uprzejmie.

— A nad całokształtem — odrzekł tajemniczo Durchschnittslohn.

— I całokształt wymagał aż włączenia na drzewo?

— Niech pan powstrzyma się od kpin, jeśli pan nie zna doniosłych powodów, które nas do tego skłoniły — rzekł Sittenvervall. Zastanowił się przez chwilę, jakby rozstrzygał, czy warto mi powierzyć tę tajemnicę. — Drzewo trudniej podsłuchać.

— Proszę?

— Na drzewie można rozmawiać swobodniej. Podstuch z góry jest utrudniony. Głos rozbija się o tysiące liści wi-brujących na swych ogonkach, odbija o tysięczne blaszki, łamie o ich krawędzie... A jak zdarzy się lekki wietrzyk, to już w ogóle...

— Ruch powietrza wytwarza w koronie układ chaotyczny, w którym wszystko ginie. Pod tym względem drzewa są nieocenione.

— Kto miałby panów podsłuchiwać?

Spojrzeli na mnie jak na wariata.

— Jasne, że Liga Pięciu. Skoro są w stanie obejrzeć z wy-sokiej orbity linie papilarne moje czy pana, to i nasłuch mają odpowiedni. Ale drzewa... o, drzewa! — aż się za-chnął z zachwytu.

Wobec konieczności odbycia kolejnej narady udaliśmy się do szałas. Wnętrze zostało już wyporządzone, tak że znaleźliśmy się w środku jaskini z gałęzi, co prawda z dużymi prześwitami w sklepieniu, przez które zaglądało niebo.

— Gdyby podpiąć od spodu kawał folii — starałem się przypodobać myślą racjonalizatorską — można by siadywać tu nawet podczas deszczu.

— W żadnym wypadku — skontrolował Durchschnittslohn.
— Taka folia brzęczy... rezonuje od głosów, podobnie jak szyba. Wie pan, że już w ubiegłym wieku zbierano laserem drgania szyby i w ten sposób dochodzono treści rozmów toczących się w pokoju?

— Ale szyba jest sztywna, wibruje jak membrana. A fo-lia...

— Stopień trudności wzмага się, to prawda. Ale zasada pozostaje ta sama.

Rozlokowaliśmy się na kocach zawiniętych w folię, zapewne z obawy przede deszczem. Sypiali tutaj — czy raczej oddawali się sjeście w pogodne dni, zaraz po zejściu z drzewa?

— Po morderczej wymianie zdań jesteśmy blisko konsensusu we własnej sprawie — poinformował Durchschnittslohn, kiedy siedliśmy po turecku na tych zaimprovizowanych poduszkach. — Pytanie brzmiało: po co Liga Pięciu produkuje i zsyła na dół takich obiboków jak my?

— Przede wszystkim nie zsyła, bo już przestała — wtrącił się Pampelmusesirup. — Projekt wygląda na zarzucony. W sumie wyprodukowano niewiele egzemplarzy.

— Rozważaliśmy różne koncepcje. Najpierw taką, że celem było dostarczenie ludziom samotnym towarzystwa. Opiekowanie się nimi, bycie z nimi bez względu na okoliczności i status społeczny.

— Dywizje aniołów stróżów — wtrąciłem.

— Miało to iść dalej, do partnerstwa płciowego włącznie. Ulica wymyśliła nawet stosowne nazwy dla tych wolontariuszy i wolontariuszek: pręcicha i waginały. — Patrzył, jakie wrażenie robią na mnie te frywolne neologizmy.

— Obiło mi się o uszy — przyznałem. — Gdyby to się powiodło, światowa prostytutka miałaby się z pyszna, inkasując potężny cios.

— Zrezygnowaliśmy jednak z tej koncepcji, gdyż była sprzeczna z oczywistym wnioskiem, że los czy to pojedynczych ludzi, czy całej ludzkości, niewiele Ligę Pięciu obchodzi. Rzecz jasna w oficjalnych deklaracjach ich propaganda

stara się wytworzyć wprost przeciwne wrażenie... ale to nie jest na pewno instytucja charytatywna. Nie ma miejsca na filantropię tam, gdzie wielkim nakładem sił i środków realizuje się plan podboju.

— Potem rozważaliśmy, że zsyłają nas po to, aby zawstydzic ludzkość — podjął Sittenvervall.

— To ci dopiero — westchnąłem. — Ci planiści mają wrażliwe dusze. Będą cierpieć, jak się dowiedzą, że ludzkości nic nie zawstydzi.

— Ale próbować można — upierał się Sittenvervall. — A nuż siedzą tam idealiści chcący zmieniać świat w najlepszy dostępny sposób, czyli przez świecenie przykładem?

Wywinąłem palcem dolną powiekę. — Mam tu tramwaj? — spytałem.

— Co pan sugeruje? — zaniepokoił się Sittenvervall.

— Że mi to nie brzmi. Nikt by takiej gadki nie wziął na poważnie.

— Właśnie. — Spojrzał na pozostałych, odchrząknął i przystąpił do referowania kolejnego pomysłu. — W końcu więc pomyśleliśmy, że Liga Pięciu chciała wymienić ludzkość.

— Proszę?

— Wymienić ludzkość. Na inną. Z gównianej, kołtuńskiej, zaćpanej, samolubnej i debilnej na taką, że do rany przyłoż. Krok po kroku, element po elemencie. Złych będzie stopniowo ubywało, dobrych — przybywało, aż od nadmiaru dobrych przewrócą się dawne stosunki społeczne.

— To na nic — jęknąłem. — Utopia. Najbardziej skompromitowana idea pod słońcem.

— Tak też ją osądziliśmy. Podobnie jak ci na górze. Najlepszy dowód, że ktoś tam zreflektował się i projekt został zarzucony.

— Dobrze. Następny pomysł.

Sittenvervall rozłożył ręce. — Następnego pomysłu nie ma. Chyba że znowu coś tam dojrzewa — dziabnął kciukiem przestrzeń nad sobą. — Ale tego na razie nie wiemy.

— Jeszcze wnioski — tym razem pałeczkę mówcy przejął Pampelmusesirup. — Rzuca się w oczy brak koordynacji tego wszystkiego. Jak gdyby łapali się za jeden projekt, zaraz z niego wycofywali, próbowali następnego... Jakby nie mieli żadnego pomysłu na ludzkość i próbowali coś wykrzesać metodą prób i błędów. Albo też jakby w Lidze Pięciu istniały frakcje i raz jedna brała górę, raz druga, a niekiedy trzecia i czwarta. Każdy taki zwrot to nowe decyzje, nowa krótkotrwała aktywność i wycofywanie się, zanim na dobre zaczną być widoczne rezultaty. Jest w tym coś dziwnego i zarazem frapującego. — Odczekał dla lepszego efektu. — Istoty rozumne tak nie postępują.

— Nie? — powątpiewałem. — To pan mało wie o istotach rozumnych.

— Może powierzyli całą sprawę komputerom? — dociękał Durchschnittslohn. — Automatom od zarządzania, marketingu, obrotów kapitałowych i tak dalej. Wtłoczono je w algorytmy, które może sprawdziły się gdzie indziej, ale tu szwankują i wymagają modyfikacji. A te nieszczęsne mędrki na układach spletanych ugrzęzły w łańcuchach niemożności i czekają na impuls, który by je wyrwał z błędnego koła oraz gonienia w piętke... i nie mogą się doczekać.

— Może ich mocodawcy pomarli? Może się rozpiłi albo

zaćpali do cna — poddałem. — W końcu ludzkość nie ma w kosmosie monopolu na błędzenie. A może wcześniej uruchomili proces, który toczy się bez ich udziału, wyrodnijąc z dnia na dzień?

— Za szybko by doszło do tego wyrodnienia. Ledwo ruszyli z planem — już zwyrodniał? Nie chce mi się w to wierzyć.

W biurze znalazł mnie telefonicznie Winczorek.

— Słuchaj, mam do ciebie parę spraw — perorował, a z jego głosu wynikało jednoznacznie, że najlepiej zrobię, rzucając wszystko i oddając się w całości do jego dyspozycji. — Rozumiesz, nie mogę tak przez telefon. Najlepiej jak do ciebie podjadę.

Nie miałem nic specjalnego do roboty, więc lekkomyślnie przystałem na jego propozycję. Przyjechał spóźniony; wysiadł, przywitaliśmy się i jakoś tak niepostrzeżenie znaleźliśmy się koło bagażnika

— Słyszałeś może o zespole muzycznym NoW?

— Nic a nic.

— Tak myślałem. Ale nie rób sobie wyrzutów sumienia, bo i ja dowiedziałem się o nim dopiero dzisiaj. Podobno jest to formacja undergroundowa, o której zaczyna być głośno. Ostatnio tak dali czadu, że cały internet o tym huczy. Pójdziemy do lasu? Pogoda wydaje się niezła.

Nie czekając na moją opinię, wyjął z bagażnika podłużną torbę, w której objęły się o siebie metalowe elementy. Zarzucił ją sobie na ramię i ruszył z parkingu ku bramce, jakby to on prowadził mnie, a nie ja jego.

Strażnik popatrzył na nas bez życzliwości. — Co pan tam niesie? — zwrócił się do Winczorka.

— Rower składany — oznajmił Winczorek. — **Bez kół.**
Trzeba zbadać kondycję naszym pręcichom.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

— Mimo to bym zajrzał, jeśli pan pozwoli.

— Oczywiście. — Winczorek postawił torbę na ziemi i odciągnął zamek. Strażnik przez parę sekund przyglądał się żelastwu, potem zanotował nasze wejście i ruchem ręki polecił iść dalej.

Skierowaliśmy się prosto do lasu, gdzie w okolicach zwalonej gruszy natknęliśmy się na Durchschnittslohna i Pampelmusesirupa z Sittenvervallem. Winczorek z ulgą zwałił żelastwo na ziemię, ale nie wyglądał na zachwyconego.

— Myślałem, że będziemy sami — marudził.

— To porządni goście. Są wtajemniczeni.

— Z chęcią się ulotnimy — zaproponował Durchschnittslohn.

Nic więcej nie mówiąc, Winczorek obejrzał sobie szałas, wsadził głowę do środka, wysłuchał stosownych objaśnień, po których jego stosunek do trzech koczowników radykalnie się zmienił. Wyjęte z torby elementy błyskawicznie złożył w ramę rowerową z kierownicą. Zamiast kół rower miał szeroko rozstawione podpory, a pedały prowadziły do niewielkiej skrzynki.

— Kto będzie kręcił? — zapytał.

— Ja mogę — zgłosił się Sittenvervall.

— Dobra, ale nie tutaj. — Winczorek rzucił przelotne spojrzenie na niebo, jakby badał stopień zachmurzenia. — Może wejdziemy do środka? — pokazał szałas, który dawał niezłe schronienie wizualne, jako że podlewane regularnie zielsko obrosło go dokumentnie.

W szafasie okazało się, że po ustawieniu aparatury i posadzeniu na niej człowieka, jego głowa musi wystawać na zewnątrz. W tym celu rozsunęliśmy trochę gałęzie i wszystko grało. Sittenvervall zgodnie z obietnicą kręcił, a prąd z dynama zasilał niewielki odtwarzacz, do którego dopięliśmy ekran.

— Za każdym razem zmieniam kable — tłumaczył Winczorek. — Może to w czymś pomaga, a może nie. — Włożył płytkę i na ekranie pokazał się obraz.

Na moje wyczucie kamera była prowadzona dość niechlujnie, jakby z ramienia, a może z ukrycia. Najpierw pokazała mrowie zaparkowanych samochodów, kasę biletową i bramkę, po sforsowaniu której operator znalazł się wśród kibiców meczu, ale było to złe skojarzenie, bo to nie był stadion. Przeważała młodzież, ale przewijało się trochę starszawych osobników, poubieranych w żaboty i portki w kwiatki. Z krzykliwością strojów niemile kontrastowały bruzdy, którymi poorane były ich smętne oblicza, naznaczone pretensją do świata. W pewnym momencie operatorowi udało się zrobić ujęcie z podwyższenia: na placu z hangarem w tle znajdowało się dobre parę tysięcy osób. Potem ujęcie przeskoczyło i znaleźliśmy się przed proscenium, nad którym wisiał wielki świetlisty napis No W.

— No Wire? — spytałem Winczorka.

Nie odpowiedział. Wywołał menu i przeskoczył z obrazem do przodu. Przez ekran przeleciały smugi, wywołane zapewne nierównomiernością Sittenvervalowego pedałowania. Akurat na ekranie poszło zbliżenie na automatycznego perkusistę: miał małą, psią głowę Anubisa z czerwonymi ślepiami i gruby jak szyna kręgosłup, od którego odchodziły

ręce oraz srebrzyste łuki żeber. W środku był pusty, ale grał jak anioł, o ile mogłem się zorientować na podstawie samych ruchów.

— Teraz — powiedział Winczorek i włączył głos.

Jednocześnie kadr przeskoczył z perkusisty na trzech osobników w pełnopłytowych zbrojach z przyłbicami zasłaniającymi twarze. Mieli instrumenty, ale nawet nie udawali, że na nich grają. Nad ich głowami rozświetlało się matowo pięć wielkich kul w barwach Ligi Pięciu. Ryk pokracznych golemów wyglądających jak człekokształtne chrząszcze przetaczał się nad głowami tłumu:

*Bernie Faust was sprzedał
Za dwa tysiące dolców.
Ty, ty, ty, kolego, jesteś Berniem Faustem!*

— Jeszcze trochę — powiedział Winczorek. Ze skupieniem przejechał suwakiem na menu.

Tornado świetlne nad sceną stopniowo wygasało. Lider zespołu NoW rozłożył ręce na boki i zbliżył się do samej krawędzi proscenium.

— Jeśli nie my, to kto? — zawołał.

— Nikt! — odpowiedział mu tłum.

— Jeśli nie teraz, to kiedy?

— Nigdy!

— Jeśli nie tak, to jak? — Pochylił się, jakby nasłuchując, ale z tłumu padły tylko pojedyncze okrzyki i gwizdy. — Zaśpiewamy teraz nasz superprzebój *Litania*, którego nikt nie zna, bo to nowa rzecz. Ale wiemy z góry, że się spodoba. Różnij, Walenty!

Światła znowu rozpoczęły deliryczny taniec po scenie i elementach rachitycznej dekoracji — drzewko bez liści, pogięta karoseria auta, kawałek muru. Ściana hałasu wybuchła tak intensywnie, że Winczorek odruchowo sięgnął, by ją przyciszyć. Bez żadnej przygrywki zespół NoW zaczął ryczeć:

*ślepy zegarmistrz
ciemna energio
horyzoncie zdarzeń
gazie zdegenerowany — zostaw nas w spokoju!*

*istoto, która nie ma nieba w sobie
powodzie do samobójstwa zbiorowego
hipotezo niewywrotna w sensie Popperowskim
zasado nieoznaczoności
oddziaływanie słabe
zmazo nocna — zostaw nas w spokoju!*

*prądzie błędzący
kolapsie grawitacyjny
ból istnienia
ruino marzeń — zostaw, zostaw nas w spokoju!*

*skażenie ekologiczne
zmęczenie materiału
próbo niszcząca
redukcjo do absurdu — **zostaw nas w spokoju!**
zostaw nas w spokoju!
zostaw nas w spokoju!!!*

— Ja też chcę zobaczyć! — dopominał się Sittenvervall, przestając kręcić. Przekrzywioną głowę wsadził pod gałęzie szafasu. Wobec tego Pampelmusesirup zlizował go na stanowisku i film z koncertu potoczył się dalej. Niesiony aplauzem publiczności zespół NoW poczuł się zobligowany bisować, ale tym razem skandował poszczególne wersy, a zebrani gromko wykrzykiwali po każdym: — Zostaw nas w spokoju!

— Toż to prawie demonstracja polityczna — skwitował Durchschnittslohn. — Ciekawe, jak się na to zapatrują odnośne władze.

— Może koncert odbył się za ich aprobatą, a nawet z ich poduszczenia? — powiedział Winczorek. — Gdyby nie było zespołu NoW, należałoby go wymyślić. Spokojnie, dam wam taką płytkę. — Wyciągnął z kieszeni krótką rurkę i oddzielił z niej jeden grubawy krążek.

— Po co? — zdziwił się Durchschnittslohn — skoro pełno tego w internecie?

— Pełno, nie pełno — skwitował Winczorek. Jego twarz przybrała wyraz zafrasowania. — Bakcyl Ligi Pięciu w sieci pewnie już namierza entuzjastów podejrzanych treści. Płytką lepsza. Jest jednak pewien problem: lepiej nie odtwarzać jej na standardowym sprzęcie, podłączonym do gniazdka.

— Innymi słowy, musimy sobie zbudować taką maszynę — wskazałem rower z dynamem.

— Jasne. Tu macie napisane, jak to zrobić — podał nam plik zmiętych kartek.

JA MNIEJSZA

POCZĄTEK WRZEŚNIA 2032

XX

— Mars jest z wielu powodów planetą wyjątkową — mówiła Sigrunn Hirmscheiner, astronom z Berlina. Zgodnie z najnowszą modą jej fryzura przypominała pieróg napoleoński; na uformowanie odstających końców musiało pójść sporo cukru. Stała na tle wielkiej mapy Marsa z odznaczającą się szramą Doliny Marinerów. — O badaniach z użyciem próbników automatycznych może jeszcze wspomnę. Teraz najciekawsze wydają się zdjęcia, które przywiozłam. Proszę o zgaszenie światła.

Na pierwszym zdjęciu było widać tylko białą błyszczącą chmurę. Pani astronom wyjaśniła, że to silna burza piaskowa w regionie Noachis, utrzymująca się tam bez przerwy od piętnastu lat. Wcześniej ta część Marsa była często nawiedzana przez burze, ale przedzielały je okresy spokoju, dzięki czemu mamy stamtąd historyczne widoki powierzchni. Pokazała jeden z nich, który można by zatytułować

„Typowy Mars”. Piach, wydmy i kamienie, mały krater w lewym górnym rogu.

— Permanentna burza w tym rejonie zaciekała astronomów — poinformowała pani Hirmscheiner. — Dlatego postanowiono sondować tę okolicę radarowo, tak jak to uczyniono w przypadku Wenus, żeby przebić się przez jej gęste chmury i uzyskać obrazy ukształtowania powierzchni. W przypadku Marsa wydawało się to łatwiejsze, a okazało się trudniejsze. Łatwiejsze dlatego, że grubość warstwy przesłaniającej była mniejsza, trudniejsze zaś z tego powodu, że tworzą ją ziarenka substancji stałej, będące w ciągłym ruchu. Mimo to udało się tę zasłonę przebić. Oto efekt.

Kilkanaście osób zgromadzonych wieczorem w ciasnej salce wydało z siebie zbiorowe westchnienie. Na zdjęciu widać było zarysy budowli nie przypominającej niczego, co byłoby wykonane ręką ludzką. Długą ciemną linią ciągnęły się jakby bunkry o podłużnych poziomych okienkach niejednakowej wielkości. Umieszczono je tuż nad powierzchnią gruntu; przez parapety, jeśli tam były, musiał do środka wsypywać się piach.

— Wielki Mur — powiedział ktoś.

— Raczej uskok odsłonięty przez burzę — polemizował inny.

Serią szybkich zbliżeń pani astronom powiększyła obraz, ale przy tej samej rozdzielczości nie ujawnił on więcej szczegółów. Teraz ziała na nas ciemna czeluść takiego okna. Trudno było osądzić, czy w środku coś się dzieje. Moment — i obraz wrócił do poprzedniej wielkości.

— Zwracam państwa uwagę na monstrialność tych budowli. — Pani astronom pokazała czarny odcinek u dołu

fotografii. — To jest odległość pięciu kilometrów. Ów wał budowli liczy zatem grubo ponad trzydzieści kilometrów długości.

— Czy domyślamy się, co to jest? — spytał jakiś głos.

— Na pewno nie pas umocnień. Także nie uskok ani inna formacja geologiczna. Budowle te z pewnością czemuś służą, ale my nie znamy ich przeznaczenia. Zachodzi podejrzenie, że główna ich część znajduje się pod gruntem Marsa, a to, co wystaje, to jakby wywietrzniki... końcówki systemu wentylacyjnego. Możliwe też, że budowa nie została jeszcze ukończona.

— A skąd wiadomo, że to sztuczny twór? — nie ustawał sceptyk.

— Zmieniając długości fal, można sondować także grunt marsjański — do pewnej głębokości, oczywiście. Wygląda na to, że pod spodem jest coś więcej... podobnie jak w górze lodowej, NASA przysłała nam krótką animację.

Na zdjęciu tajemniczych formacji pojawiła się świetlista linia, która je obrysowała, lecz nie zatrzymała się na powierzchni gruntu, tylko zeszła w głąb. Obraz obrócił się tak, aby widz miał przed sobą front budowli, a potem jej bok. W takim ujęciu fenomen z rejonu Noachis wyglądał jak rozdęta na boki dynia z maciupeńką koroną u góry. Budowla schodziła pod grunt marsjański monstualnym cielskiem; jeżeli formacja nad powierzchnią miała trzydzieści kilometrów długości, to jej część podziemna szła chyba w setki. Animacja nie pokazywała, gdzie kończyły się jej fundamenty.

— Pokazała nam pani, że na zdjęciach sprzed piętnastu lat tych obiektów nie było. W takim razie musiały pojawić się niedawno.

— Mogły istnieć i przedtem, a ruch piasku tylko odsłonił ich najwyższe kondygnacje. Według jednej z interpretacji zostały wzniesione ostatnio, zaś ciągła burza piaskowa służy za kamuflaż.

— Skąd takie przekonanie?

— Właściwości pyłu tworzącego zasłonę dymną różnią się nieco od właściwości piasku z innych rejonów Marsa. Normalnie jest w nim około piętnaście procent żelaza. Ten unoszący się nad regionem Noachis zawiera go prawie dwa razy więcej, przez co chmura staje się trudniejsza do sforsowania dla fal radarowych.

— Z jakiego okresu pochodzą te zdjęcia?

— Sprzed inwazji Ligi Pięciu, jeśli o to pan pyta. Amerykanie debatowali nad nimi przez parę miesięcy, a kiedy doszli do wniosku, że nic więcej nie wydedukują, postanowili pokazać je Europie. Przekazali, jak sądzę, nie wszystkie. Najciekawsze zapewne zostały utajnione.

— Czy to nie naruszenie umowy o wymianie danych naukowych? — zagrzmiął ktoś z tyłu.

— Nie ma takiej umowy — uśmiechnęła się promiennie pani astronom, bo znów pojawiło się światło. — Istnieje tylko dobry zwyczaj publikowania wyników badań w periodykach naukowych. Ale zgadzam się z panem, że to nie w porządku, gdyby tak było.

Wciąż miałem przed oczami biegnące ukosem przez piaski czarniawo-brunatne progi, postawione jakby dla przegrodzenia zmierzającej w nieznaną pustyni. Na niektórych zdjęciach, gdzie z powodu trajektorii satelity perspektywa zmieniała się na pionową, ledwo je było widać. Mnie się kojarzyły z umocnieniami przeciwczołgowymi

w zimie, z tym że rolę śniegu pełnił tu piach, którego czapy zwisały z płaskich kamiennych łbów, uformowane przez wiatr w fantazyjne kształty.

Kiedy pokaz zdjęć się zakończył i ogłoszono czas zadawania pytań, wstał od razu jeden z młodych doktorów.

— Pani profesor — powiedział — w Berlinie ma pani zapewne bliżej do osób i instytucji, które decydują o naszej linii postępowania w tej sprawie. Czy zdają one sobie sprawę, że inwazja Ligi Pięciu wymagała dziesiątków lat przygotowań, a bazą wypadową dla niej, jak to widzimy, stał się Mars?

Pytanie brzmiało zaczepnie, ale pani Hirmscheiner zachowała spokój.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Dlatego choćby, że coś tam się działo bez naszej wiedzy. Że na Marsie działały dziwne czynniki oraz zbiegi okoliczności. Od wysłania pierwszych sond marsjańskich ich awaryjność była nadspodziewanie duża — potrzęsnał wiechciem kartek na znak, że się przygotował. — Dwie trzecie wystrzelonych z Ziemi pojazdów automatycznych albo spadło z powrotem na Ziemię, albo w zagadkowych okolicznościach zamilkło po dotarciu na miejsce. Niektórym zawiodły silniki, z innymi urwała się komunikacja, w jeszcze innych zepsuł się system komputerowy. W efekcie część rozbiła się o powierzchnię Marsa, a inne nie zdołały wejść na orbitę i odleciały w kosmos. Na żadnej innej planecie nie zanotowaliśmy takich strat.

— Rozumiem, że sugeruje pan celowe działanie Marsjan — uśmiechnęła się pani profesor kącikami ust, bo jej głos pozostał poważny. — Wiele z tych przypadków da się

wytłumaczyć jak najprościej. Na przykład sondy sowieckie Mars 2 i 3 miały sztywno nakazane spuszczenie ładowników na planetę, na której wtedy — w listopadzie i grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku — szalała wielka burza piaskowa. Schodząc na powierzchnię na spadochronach, musiały w takich warunkach ulec rozbiciu. Wprawdzie z powodu rzadkości marsjańskiej atmosfery burza o prędkości stu kilometrów na godzinę wywiera tam taki efekt jak na Ziemi wiatr o prędkości dziesięciu kilometrów na godzinę, ale to wystarczyło do zniweczenia celów misji. Lecący równolegle amerykański Mariner 9 był zaprojektowany bardziej elastycznie: przeczekał burzę na orbicie, a potem w pełni zrealizował program, dostarczając świetnych na owe czasy zdjęć powierzchni Marsa. Gdyby Marsjanie rzeczywiście obawiali się ziemskich próbników i chcieli coś przed nimi ukryć, zniszczyliby także jego, prawda? Przy tej liczbie awarii nikogo by to nie zdziwiło.

— Tajemnicze awarie zdarzały się i później — upierał się młodzian. — Choćby amerykański Mars Observer i sowiecki Fobos 2, a po nich rosyjski Mars-96. Pierwszy z nich zamilkł już na orbicie Marsa, drugi zachował się, jakby go wyłączyli, gdy już prawie dolatywał do satelity Phobos. Co się stało z dwiema sondami misji Mars Surveyor 98, nazwanymi Mars Climate Orbiter i Mars Polar Lander? Pierwsza prawdopodobnie spłonęła w atmosferze, druga — czytał z notatek — na dwanaście minut przed osiągnięciem powierzchni Marsa przerwała łączność z Ziemią i pewnie została skasowana. A co z japońską sondą Nozomi, która w dwa tysiące trzecim roku ominęła Marsa i weszła na orbitę wokół Słońca?

— Drogi panie — powiedziała pani astronom — za każdym razem przyczyny mogły być trywialne. Nozomi, o ile wiem, miała za mało paliwa na ostateczne manewry, bo zużyła je wcześniej. W przypadku Marsa Climate Orbitera powód fiaska był wręcz kompromitujący: z dwóch zespołów prowadzących sondę jeden używał systemu metrycznego, a drugi angielskiego, w stopach i jardach. Co się tyczy Marsa-96, to niedługo po starcie zawiódł tam czwarty stopień rakiety i cały ładunek zwałił się do Pacyfiku. Sugeruje pan, że niektóre sondy Marsjanie stracali jeszcze na Ziemi, a innym pozwalali podlecieć bliżej i dopiero na miejscu wyłączali im radio, rozwalali o powierzchnię albo odsyłali w przestrzeń?

— A niby czemu nie? — zaperzył się młody naukowiec.

— Kto wie, może okaże się, że to pan miał rację. Na razie musimy poszukiwać wyjaśnień najprostszych. Mars jest jednak oddalony o te pięćdziesiąt milionów kilometrów w złączeniu dolnym, a ziemską techniką, zwłaszcza w pionierskich czasach w drugiej połowie dwudziestego wieku, była bardzo zawodna. Tu bym upatrywała głównej przyczyny niepowodzeń. Zauważmy, że oprócz sond, jak pan to ujął, skasowanych, sporo doleciało, funkcjonowało na orbicie i na powierzchni, nadeszło świetne zdjęcia i dane naukowe. Z punktu widzenia cywilizacji, która pragnie ukryć własne istnienie przed obserwatorami z Ziemi, bo ją pragnie zaatakować, logiczniejsze byłoby likwidowanie wszystkich sond, co do jednej.

— Logiczniejsze może tak, ale bardziej podejrzane — przyszedł w sukurs doktorowi kolejny dyskutant.

— Ale nawet zakładając, że mieliby coś do ukrycia — a jest to, jak widzimy, założenie uzasadnione — to nie stara li się szczególnie. Jeśli bowiem zdjęcia, które oglądaliśmy, są dowodem działalności na Marsie Ligi Pięciu, to z pewnością jej ekipy potrafiłyby bardziej skutecznie zamaskować te zabiegi, gdyby tylko chciały.

Drugi dyskutant, kiedy już się dorwał do głosu, nie zamierzał go oddawać. Wiedziałem, że jego nazwisko brzmi Schwesternchen; zupełnie nie pasowało do jego zwalistej postaci.

— Pani profesor, pozwoli pani, że będę kontynuował argumentację mego kolegi. Wszyscy wiemy, że seria awarii nie zakończyła się z nadejściem dwudziestego pierwszego wieku, tylko trwała w najlepsze. Pamiętamy, bo to nie tak dawne sprawy, co się stało z sondami Great Escape i ExoMars, która miała wykonywać odwierty i magazynować próbki. Wiemy, jaki los spotkał sondy Artemis oraz Mars Scout Radar, mające poszukiwać wód podpowierzchniowych. Od pionierskich czasów astronautyki upłynęło kilkadziesiąt lat, technika nie jest już taka rowerowa jak wtedy, poprawiły się napędy, łączność, sterowanie, na innym poziomie stoi elektronika — a sondy jak zawodziły, tak zawodzą nadal.

— Może dlatego, że ich poziom komplikacji też wzrósł niepomernie — zastanawiała się pani astronom. — Coś, co jest bardziej skomplikowane, może się zepsuć na więcej sposobów.

— Zapewne ma pani rację — skinał głową Schwesternchen. — Chciałbym jednak wrócić do zagadnienia, które wskazał mój przedmówca: że niektóre sondy nie zdołały nawet opuścić Ziemi. Okno startowe na Marsa otwiera się

co dwadzieścia sześć miesięcy, a więc mniej więcej co dwa lata powinny pędzić w tamtą stronę roje próbników automatycznych, jak to było zaplanowane. Więc gdzie są, pytam, projekty CryoScout, żeby przebić się w głąb czap biegunowych, gdzie MOMA czy Urey, mające badać występowanie cząstek organicznych, gdzie Kitty Hawk, czyli badanie składu i stratygrafii ścian Doliny Marinerów? Rok temu ludzie mieli lądować na Marsie, a o sprowadzeniu próbek gleby marsjańskiej mówi się od ponad dwudziestu lat! Właściwie powiódł się tylko projekt ESA Mars 500 i może jeszcze MAVEN, oba koncentrujące się na klimacie i pogodzie.

— Zwyczajnie zabrakło pieniędzy — powiedziała pani Hirmscheiner.

— Właśnie! Już zmierzam do konkluzji. — Schwesterchen zamachał rękami. — Z punktu widzenia Marsjan lepiej strącać ziemskie sondy zaraz po starcie, niż cackać się z nimi w okolicach Czerwonej Planety. A jeszcze lepiej w ogóle nie dopuszczać do ich wysłania, a nawet skonstruowania z powodu braku środków. W tym celu wystarczy wywołać trzydziestoletni kryzys, tak aby wystarczyło tylko na chleb i podstawowe rozrywki, a badanie kosmosu stało się zbędnym luksusem. Ludzkość ma przypaść do Ziemi i nie podnosić wzroku na gwiazdy, że się tak wyrażę górnolotnie.

— Sugeruje pan zatem, że to Marsjanie, względnie Liga Pięciu, wywołali i podtrzymywali kryzys ostatnich trzech dekad wyłącznie po to, żeby uwolnić Marsa od wścibstwa naszych sond? To tak, jakby pan usiłował zabić pchłą bombą atomową. Cóż, i to być może. Jednak w tym miejscu dyskusja robi się nienaukowa i muszę odmówić dalszego w niej udziału.

Na cotygodniowej odprawie z Rheinehartem gadaliśmy tylko o tym. Przynajmniej na początku.

— Z jednej strony myśl, że Obcy przeniknęli do gremiów rządzących światem, dyktują posunięcia, hamują postęp i w ten sposób realizują swą politykę, wydaje się odrażająca i trudna do zaakceptowania — wywodził mój przełożony. — Z drugiej wydaje się logiczne, że przed inwazją Liga Pięciu grzebała w gospodarce i ekonomii światowej, aby ułatwić sobie sprawę. Faktycznie, postęp w ostatnich trzech dekadach został wyhamowany, nie pojawiły się cudowna, które zapowiadali futurologowie. Nie chodzimy obwieszani wodotryskami i aparatami do robienia wiatru, nawet powodzi nam się nie najlepiej. Żaden z wielkich problemów cywilizacji nie został rozwiązany. Głupie komputery kwantowe wciąż znajdują się w fazie prób.

— A mnie się zdaje — postanowiłem wtrącić swoje trzy grosze — że ludzkości nie trzeba ani blokować, ani przekierowywać, tylko zwyczajnie dać jej wolną rękę. Sama narobi sobie więcej szkód niż z pomocą kosmitów.

— Przemawia przez pana fatalizm, młody przyjacielu. Faktem jest, że z sondami marsjańskimi wyszła kicha. Mogło być i tak, że początkowo psuły się wyłącznie z powodu tandetnej techniki, a dopiero od pewnego momentu ktoś ten proces wspomagał. Niemożliwe przecież, żebyśmy niczego nie zauważyli przez całe dziesiątki lat. Dobrze kombinuje ten Schwesterchen: pomoc Marsjan bardzo pasuje do całości układanki. Tyle tylko, o czym nikt nie wspominał, że Mars do tej pory uchodził za bezludny.

— A co pan powie o pani profesor z Berlina? Wszędzie jeździ z takimi pokazami jak do nas?

— Profesor Hirmscheiner zademonstrowała nam te obrazki przy okazji. Przede wszystkim przywiozła ważne wiadomości, których na próżno szukałby pan w internecie. Pamięta pan tę dziewczynę z amnezją... nazywała się bodaj Mimosenduft?

— Właśnie, co się z nią stało?

— Musieliśmy ją zwolnić, bo zagroziła wynajęciem prawnika. Wszystko, co powiedziała o sobie i swej rodzinie, potwierdziły archiwa elektroniczne. Nie znaleziono podstaw prawnych, medycznych ani żadnych innych, żeby ją dalej przetrzymywać — westchnął jakby z żalem. — Zwrócił pan uwagę na ten fragment jej zeznań, że ma wykształcenie finansowe i że czeka na nią praca w banku? Okazało się, że Liga Pięciu zaraz po ujawnieniu się wystąpiła o koncesję na prowadzenie sieci banków. Nasz rząd uznał za stosowne dać jej odmowę.

— Zła decyzja — powiedziałem. — Przynajmniej byłoby się czego uchwycić. Wie pan, co jest najgorsze w tej Lidze Pięciu? To, że są tacy przezroczyści... jak powietrze.

— Tak — westchnął Rheinehart jeszcze bardziej boleściwie — nie ma jaj, za które można by ich capnąć. Ale po co im jakaś choleryczna sieć banków?

— Może planują szeroko zakrojoną działalność gospodarczą?

— Już ją prowadzą, czy się to nam podoba, czy nie. Ma pan rację z tymi bankami — to nieprzemysłana decyzja. Przynajmniej można by opodatkować to, co z nami wyprawiają, a potem ściągnąć zaległości z tych banków.

— No i byłby tam jakiś personel, który można by mieć na oku — dodałem.

— Tak, już widzę, jak wchodzą do nich nasi komornicy. Dostają po oczach z myślotłuków i wyskakują z portkami pełnymi gówna. Więc te, jak im tam, pręcicha i waginały, miały służyć nie naszym rozrywkom erotycznym, tylko zachowywaniu tajemnicy bankowej? To na co im te biusty, figury, cała ta nadprzyrodzona uroda?

— Woli pan chyba wypłacać pieniądze u ponętnej panny niż u odrażającej wiedźmy? A może traktowali je jak żywe reklamy? W tym sensie, że używając ichnich kremów, wód i pastylek osiągniecie powierzchowność jak niebianie?

Zamyślił się. — Jest jeszcze jedna parszywa wiadomość przywieziona przez panią profesor — rzekł jakby mnie nie słyszał. — Właściwie nie widzę powodu, żeby ją przed panem ukrywać. W Berlinie odkryli, że od pewnego czasu zdarzenia rozwijają się według scenariusza gry przeprowadzonej w naszym Hofrburgu. — Spojrzał na mnie uważnie, jakby badał, czy rozumiem. — Tego samego, który został utajniony, a następnie wywieziony cichcem i przepadł.

— Wypada się tylko cieszyć — oeniłem — bo to oznacza, że gra spełniła swój cel i udowodniła swą przydatność. Rząd dzięki niej wie, czego się spodziewać. My zaś jako organizatorzy...

— Gdzieś powstał przeciek. W Berlinie zastanawiają się, kto mógł przekazać Lidze Pięciu kopie tego tajnego raportu.

— Przecież to absurd! — wykrzyknąłem. — Jak to zrobić? Nawet gdybym go miał i strasznie chciał im go dać, nie miałbym pojęcia, z kim się skontaktować. Bo jak? — podwiesić ten raport do lampionu? Prosić pręcicha albo waginały o przekazanie? — I umilkłem porażony, jakie to

może być proste, przynajmniej dla berlińskiego urzędnika z za biurka.

— No widzi pan — powiedział Rheinehart. — Są jednak jakieś sposoby.

Zastanowiłem się.

— Czy raport był sporządzony na komputerze?

— Na pewno. Przecież nie przepisywali go benedyktyni przy świecy.

— A przebieg gry rejestrowano na wideo. Tak pan mówił.

— Bo tak było.

— A gdybyśmy założyli, że w internecie grasuje bakcyl, który ma nieograniczony dostęp do wszelkich jego zasobów, do najbliższego dokumentu i zdjęcia, jakie pan sobie otworzy albo tam umieści? Do każdej litery najmniejszego listu, jaki pan gdziekolwiek wysyła? Mało tego — podpałałem się w miarę, jak wizja krystalizowała się w mym umyśle — wie pan zapewne, że sieć obejmuje już nie tylko kable i światłowody telefoniczne, ale i elektryczne. Inaczej dawno by się zatkała. Wobec tego ów bakcyl ma też dostęp do wszystkiego, co pozostaje pod napięciem. Prasuje pan koszulę, a on zna temperaturę żelazka i jego markę, liczy czas, który pan na tę czynność zużywa, i notuje mimochodem, ile ruchów to panu zajęło. Przy odrobinie starań jest w stanie ustalić rodzaj materiału koszuli i wzorek na jej powierzchni, a także jak długo nosił ją pan przed wypraniem i w jakim proszku ją wyprał. Bakcyl patrzy na pana tysiącem ekranów, matryc i monitorów, obserwuje pana poczynania włóknami żarówek i pulsowaniem gazu świetlówek, dzięki maszynce do golenia wie, w jakiej pan jest formie, bo mierzy oporność pańskiej skóry przy goleniu,

z pewnych wskazówek zgaduje niemal, o czym pan myśli w danej chwili. Wszystkie, wszystkie urządzenia na prąd są mu podporządkowane, są narzędziami w jego ręku, od aparatu fotograficznego po czajnik elektryczny i prodiż, wszystkie służą mu do inwigilacji każdego z nas, w dzień i w nocy, codziennie, na tysięczne sposoby. A kto wie, może siedzi jeszcze okrakiem na falach radiowych, przemieszcza się na ich niewidzialnych grzbietach, nawet tam, gdzie napięcie zapewniają tylko baterie... Jak pan myśli, po co im było to radiowe wyciszenie atmosfery?

— Pan zwariował — powiedział Rheinehart martwym głosem.

— Zwariowałem, zapewne. Tak najprościej. Nie zaprzeczy pan chyba, że skonstruowanie takiego bakcyła nie przekracza możliwości technologicznych Ligi Pięciu? A także że umieszczenie go w internecie leży w jej dobrze pojętym interesie? Czemuż więc mieliby się wyrzec czegoś, co jest dla nich łatwo dostępne i pożyteczne? Przy okazji wyjaśniłaby się tajemnica kneblowania sond marsjańskich i strącania ich do Pacyfiku zaraz po starcie — bo kto wie, jak długo już ów bakcył śmieje się z naszej bezsilności.

— To niemożliwe.

— A czemu? Możliwe jest wszystko to, co jest możliwe. Więc co pan robi z taką hipotezą? A jeśli ktoś jeszcze podziela moje podejrzenia?

— Ciekawym, kto.

— Słyszał pan może o No Wire? — Sięgnąłem do kieszeni, wyszarpnąłem zwój ulotek od Winczorka i rzuciłem mu na biurko. — Najlepiej niech pan to czyta po kryjomu. W nocy, przy księżycu. Wielki Brat nie śpi.

Powiedziałem to i zrobiłem, zanim zdążyłem pomyśleć. Tak mi się niespodziewanie nasunęło. Potem zamknąłem drzwi z drugiej strony, żeby mógł sobie to wszystko spokojnie przetrwać.

XXI

Nowe przepisy weszły w życie z niedzieli na poniedziałek, ale ogłoszono je w poprzedni czwartek rano, żeby nikt nie czuł się zaskoczony. Zakazywały składania zamówień Pocztą Lampionową, przyjmowania i posiadania przedmiotów wyprodukowanych przez Ligę Pięciu. Te, które już znalazły się w czyichś rękach, należało zebrać w jednym miejscu, spisać na kartce w dwóch egzemplarzach i przekazać jednej z komisji, które specjalnie w tym celu będą odwiedzać mieszkania i domy.

Tak wczesne ogłoszenie rozporządzenia dawało czas na akcję propagandową, zohydzającą garnki do gotowania bez ognia i prądu, aparaty fotograficzne bez obiektywu, okulary pozwalające widzieć to, co znajduje się za rogiem albo za zakrętem, płaszcze, które na wezwanie owijają się wokół człowieka i nie przeszkadzają mu w ręczym biegu. Powstały w ten sposób kombinezon w przypadku zagrożenia twardniał i ochraniał właściciela prawie jak zbroja — wszyscy chuligani z dzielnicy sprawili sobie takie. I teraz mieliby te skarby ot, tak sobie oddać? Gdy więc opłacone przez rząd komunikaty i reklamy przez cały czwartek, piątek, sobotę i niedzielę prosiły, groziły, straszyły, wieszały

psy, perswadowały i namawiały, zapobiegliwi posiadacze dóbr, które rychło miały zostać zakazane, szukali dla nich przemysłnych kryjówek, gdzie złe oko nadzorców z komisji ich nie wypatrzy.

Konfiskata miała objąć tak zwane dobra trwałe, ale oprócz nich ludność dysponowała tabletkami dwóch rodzajów, zwanymi Lekiem na Całe Zło oraz Panaceum, dwoma rodzajami kremów do ciała i szamponem do włosów. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że były to preparaty o porażającej skuteczności. Dość powiedzieć, że krótkie zażywanie Leku na Całe Zło likwidowało migiem wszelkie schorzenia gastryczne, zgagi, nadkwasotę i wrzody żołądka, polipy na jelitach, kamienie nerkowe i co kto tam miał. O tasiemcach, owsikach, glistach i innych pasożytach nie ma co wspominać, bo to oczywiste. Tangel Ulosque w imieniu Ligi Pięciu zachwalał te pigułki jako lekarstwo inteligentne, które znalazłszy się w organizmie, z miejsca identyfikuje schorzenia i przystępuje do terapii. Pod wpływem Panaceum znikają kolki wątrobowe i zwykłe, zaparcia, guzy, zatory i zakrzepy — krótko mówiąc, człowiek bez jednej wizyty u konowała chodził jak nowo narodzony, z wyczyszczoną i zregenerowaną instalacją, mógł bez oglądania się na nic jeść tłusto i obficie, nadużywać alkoholu, a hulaszczy tryb życia nie męczył go ani nie rujnował tak jak dawniej. I tych oto dobrodziejstw ludzie o zdrowych zmysłach mieliby się dobrowolnie wyrzec w odpowiedzi na głupawy apel czy groźbę? Sam miałem w szufladzie jedno pudełko Leku na Całe Zło i drugie Panaceum i nie zamierzałem się z nimi rozstawać.

Albo taki niepozorny krem Pyszczek: zielonkawego koloru, dobry zapach. Po rozsmarowaniu na skórze znikają

piorunem wszystkie krosty, wągry, parchy, liszaje i rany, nie mówiąc już o egzemach czy łuszczycach. Ba! — mięsaki Kaposiego nie czuły się pewnie. Człowiek budził się rano z buzią jak pupcia noworodka. Aż cmokał przed lustrem, tak wypiękniał. Teraz dopiero różne pięknisie mogłyby z czystym sercem powtórzyć kwestię Małgorzaty z powieści Bułhakowa: „To mi krem! To mi dopiero krem!”. I nagle to dobrodziejstwo, to istne cudo w fosforyzujących i opalizujących pudełkach z wizerunkiem kół Ligi Pięciu na wieczkach miałoby skonfiskować siepacze nasłani przez rząd? A rząd, wiadomo, podpłacony przez rzeźzące koncerty farmaceutyczne i kosmetyczne, musi się wobec nich czymś wykazać, więc oto zdobył się na wydanie najgłupszego rozporządzenia pod słońcem. Same szampony Specyfik były wręcz bezcenne: nie tylko myły tak, że wystarczyło stosować je raz na pół roku (według zapewnienia nieocenionego Tangela Ulosque), ale włosy wyglądały potem jak z reklam. Nie wspominam już, że kto włosów nie miał albo miał je w zaniku, temu odrastały w naturalnym kolorze, należało tylko częściej stosować Specyfik. Ludzkość z łysej i wyleniałej błyskawicznie przekształcała się w kudłatą i grzywiastą. Przez całe cztery dni telewizje internetowe pokazywały, jak pani kanclerz i wysocy urzędnicy pozbywają się ze skwaszonymi minami tych wszystkich dóbr, jak najpopularniejsi aktorzy i sportowcy z faryzejskimi uśmiezkami znoszą całe naręcza trefnych bibelotów i układają na stolikach, nad którymi niby to przypadkowo znalazł się wielki napis NIEBEZPIECZNE MATERIAŁY — ZWROT DO UTYLIZACJI. Eksperci z dziedziny farmakologii i kosmetyki wywodzili, jak okropne ryzyko wiąże się ze stosowaniem pigułek i kre-

mów Ligi Pięciu, sypali jak z rękawa przykładami okropnych skutków ubocznych. Kobiety o cierpiętniczych minach kwękały bez przekonania, jak to zaszkodził im krem czy szampon zamówiony lampionowo, a na dowód pokazywały głowy z wylezionymi kłakami i obsypane szankrami oblicza. Wśród zagrożeń innego typu dominowało szkodliwe promieniowanie oraz równie, a może i bardziej szkodliwe opary chemiczne, które wolno acz konsekwentnie ulatniały się z lamp, butów, latarek i gogli. Płaszczce, zwłaszcza po zetknięciu się z wodą, emitowały całą tablicę Mendelejewa, otaczając właściciela toksyczną chmurą i stopniowo pripraviając o rozstrój jego znękanego organizmu. Stosowanie Panaceum albo Pyszczka skutkowało tylko krótkotrwałą poprawą, po której nadchodziła wielomiesięczna zapaść i ostateczna degradacja zdrowotna lekkomyślnego entuzjasty.

Ze szczególną zaś namiętnością namawiano do oddawania myślotłuków, kwalifikując je jako broń i grożąc w przypadku ich użycia karami długoletniego więzienia. Potem, snadź w przewidywaniu, że coś się szykuje, ogłoszono, że szczególnie opornych odwiedzą jednostki antyterrorystyczne, które nie zawahają się przed użyciem siły. Potem ktoś zreflektował się, że to jednak przegięcie, i materiał wycofano z emisji; widziałem go tylko raz.

Na mieście też widziało się to i owo. Sam byłem świadkiem, jak dwóch osobników o szemranym wyglądzie obsta-piło młodego człowieka, ubranego schludnie i zadbanego.

— Włoski takie, że zachodzi podejrzenie systematycznego stosowania Specyfiku — rzekł jeden, pociągając delikwenta za kosmyk.

— Lico też zanadto gładkie — wtórował mu kompan. — Chyba Pyszczek był tu w robocie. — Usiłował dotknąć policzka zaczepionego, ale ten w porę odtrącił jego rękę.

— Zechcą panowie natychmiast się oddalić, bo pociągnę z psychogaśnicy — zagroził niepewnym głosem. Napastnicy tylko zarechotali.

W następnej sekundzie rechot ten zamienił się w skowyt. Młody człowiek dramatycznym gestem wyszarpnął maszynkę i dosłownie rozstrzelał ich z metra. Nastrój obydwu szukających zaczepki obwiesi natychmiast się odmienił. Uśmiechali się głupkowato, przebierając nogami w miejscu i tylko straszliwy odór świadczył, że ładunek uśmierający agresję dotarł do celu.

— Pan też sobie życzy? — skierował do mnie zapytanie. Spojrzałem w ciemny wylot lufy i żywo zaprzeczyłem. Podniosłem palec do czapki i każdy z nas ruszył swoją drogą. Dwaj obwiesie rozglądali się, jakby spadli tu z innej planety.

Liga Pięciu ze swej strony także nie zasypiała gruszek w popiele. Od razu przypomniano instrukcję obsługi psychogaśnic w wykonaniu Tangelą Ulosque wraz z odpowiedziami, jakich udzielał na pytania osób ze studia. Tym razem osoby te chciały dodatkowo wiedzieć, czy ładunek psychogaśnicy jest w stanie przeniknąć przez zamknięte drzwi.

— Oczywiście — oznajmił z dumą prowadzący. — Nawet przez grube drzwi wejściowe. Rozumiem podtekst tego pytania i pochwalam zapobiegliwość. Skuteczność naszej zabaweczki niech zademonstruje następująca scenka.

Ujęcie zrobiono z boku, tak aby widz mógł obserwować jednocześnie, co się dzieje po obu stronach drzwi. Trzech napastników o złowrogim wyglądzie biło w nie pięściami;

po drugiej stronie przyglądał im się przez wziernik zaniepokojony właściciel w szlafmocy i w nocnej koszuli do połowy łydki. Z tyłu, jak na niemym Źlmie, zatkała sobie usta chustką jego żona. Gdy już napastnicy jęli częstować drzwi kopniakami, właściciel lokalu teatralnym gestem wydobyl z za pazuchy psychogaśnicę i z krzywym uśmieszkiem — co pokazało zbliżenie — przeciągnął lufą wszcz, aby nikogo nie pominąć.

Napastnicy odczuli ten poczęstunek telepatycznie. Ten, który szykował się do kolejnego kopa, aż przysiadł na ziemi. Pozostali potrzęsneli głowami, jakby obsiadł ich rój insektów. Jeden przypomniał sobie, że ma do załatwienia coś pilnego i bezzwłocznie ruszył do wyjścia, drugi przystąpił do podnoszenia towarzysza, ale tylko zwałił się na niego i obaj odegrali taką komedię z powracaniem do pionu, że Flip i Flap nie potrafiliby lepiej. Z offu dobiegały ryki śmiechu rozbawionej publiczności. Po drugiej stronie drzwi zrelaksowany właściciel zdmuchnął z lufy psychogaśnicy niewidzialny dymek, ujął pod ramię rozneglizowaną piękność, po czym wolnym krokiem odprowadził do sypialni, gdzie na ścianie pysznił się napis MÓJ DOM TO MOJA TWIERDZA.

— Tak, proszę państwa — oznajmił Tangel Ulosąue, zwracając się ku widzom — mamy prawo bronić spokoju swego domostwa przed niepożądanymi gośćmi i zakłócającymi spokój intruzami. Następnym razem dobrze się zastanowią, nim załomocą w cudze drzwi.

I tak to jakoś przebiegło. Patrole mające oczyścić miasto z artefaktów Ligi Pięciu bezpardonowo częstowano ładunkami z psychogaśnic, a po rozproszeniu ich członkowie błękali się w hańbie, brocząc obficie fekaliami. W wielu

miastach wybuchły zamieszki i połała się krew. Widziałem w telewizji reportaż z Essen, gonitwy policji i demonstrantów w okolicach dworca kolejowego, obłoki gazów łzawiących i sikawki policji trzymające tłum na dystans. Wieżowiec z logo Thyssena na szczycie, cały spowity dymem, wyglądał jak zbombardowany; przed dym przebijały błyski ognia. Na placu przed ratuszem leżały nieruchome sylwetki; sanitariusze kładli je na noszach i pakowali do furgonetek, które najmniej wyglądały na karetki pogotowia.

Do mnie i Żory nie zawitał nikt, choć czekaliśmy cierpliwie w jej mieszkaniu, każde z paralizatorem u boku. Od rana do wieczora oglądaliśmy telewizję internetową na przemian z transmisjami Ligi Pięciu, a w końcu, nie bez pewnego zawodu, udaliśmy się na zasłużony odpoczynek. Następnego dnia po prostu wsiadłem do Cytryjona i pojechałem do Hoffburga. Ulice wydawały się z lekka opustoszałe, ale innych oznak tego, że zdarzyło się coś nadzwyczajnego, nie zauważyłem. No, ale nasze Rummlau to nie Essen.

Równie dobrze mogłem zostać u Żory — nikt mnie nie potrzebował, nikt o mnie nie pytał. Rheinehart gdzieś się stracił, pokręciłem się więc tu i ówdzie i w końcu skierowałem się do parku. Szałas ze zwalonej gruszy prezentował się imponująco, solidnie obrósł dzikim winem — regularne podlewanie zrobiło swoje. Ale moich dziwaków w środku nie zastałem.

— Tu jesteśmy! — wołali do mnie radośnie z drzewa. Po szedłem tam i spojrzałem na nich od dołu. Siedzieli na gałęziach jak małpy, najwyraźniej znajdując w tym upodobanie.

— Złazcie natychmiast — nakazałem surowym tonem.
— Warto by porozmawiać.

— A może by pan dołączył do nas? Miejsca jest dość — zaproponował Durchschnittslohn.

Nie wiem, co mnie do tego skłoniło, ale zacząłem gramolić się po gałęziach. Ziemia widziana z pewnej wysokości nabiera zupełnie innego wyglądu. Człowiek ma też wrażenie, że jest dużo wyżej niż w rzeczywistości.

— Niech pan przejdzie na tamtą gałąź — powiedział Sittenvervall, robiąc mi miejsce. — Niestety, robienie notatek jest tu utrudnione. Gałęzie są grube, ale dla bezpieczeństwa lepiej się trzymać przynajmniej jedną ręką.

Było mi niewygodnie, konar wpijał mi się w siedzenie, ale miałem nadzieję, że po kilku sesjach przywyknę. Dyskusję utrudniał fakt, że nie znajdowaliśmy się na jednym poziomie, ale trudno wymagać od drzewa, żeby wszystko przewidziało.

— Co panowie wiedzą? — zagailem.

— Rząd odpalił rakietę — powiedział Durchschnittslohn. — Ale chyba zestrzeliły ją tysiące małych antyrakiet.

— Na to wygląda — bąknąłem. — Sam mam kilka gadżetów Ligi Pięciu... gdyby się po nie zjawili, broniłbym ich jak niepodległości. Nie ze względu na ich wysoką wartość — brnąłem — tylko dla zasady. Nikt mi nie będzie dyktował, co mi wolno posiadać, a czego nie.

— Jasne — rzekł Durchschnittslohn nadspodziewanie chłodno. — Rozumiemy pański punkt widzenia, ale nie rozpatrujemy teraz, kto będzie górą, rząd czy Liga Pięciu. Ważne, że rozpoczęła się konfrontacja. Widzieliśmy, jak wyglądało w Essen, w Monachium i gdzie indziej.

— To o czym mamy dyskutować?

— Dziś po śniadaniu dotarła do nas ciekawa wiadomość — odezwał się spod samej korony liści Pampelmuse-

sirup. — Podobno na całym świecie odnotowano ostatnio ponadprzeciętną liczbę zgonów. Pan Rheinehart pokazał nam raport.

— To dlaczego ja nic nie dostałem?

— Może leży na pańskim biurku. Może to zwykły wydruk z internetu. My też widzieliśmy go krótko. Dał nam go dosłownie do potrzymania, a potem wyrwał i gdzieś pobiegł.

— To niewiele zdążyliście przeczytać.

— Niewiele. Lepiej byłoby mówić o przekartkowaniu.

— Ile tego było?

— Z dziesięć stron, nie więcej. Źródło amerykańskie. Narodowy Instytut do spraw Demografii czy coś takiego.

— Coście zapamiętali?

— Że od początku lipca na całym świecie występuje nadumieralność we wszystkich krajach i we wszystkich kategoriach wiekowych.

— Jak duża?

— Pięciokrotna. Mniej więcej.

Gwizdnałem, upodobniając się do kosa. — No to o pomysłce raczej nie ma mowy. Co jeszcze wiecie?

— Teza ta została rozpisana na tabele, liczby i wykresy. Wie pan, procent ludności w poszczególnych krajach, grupy zawodowe i wiekowe, ile gospodyń wiejskich, a ilu piekarzy. Tego typu dyrdymały. Wykresy przerażająco monotonne: na każdym gwałtowny wzrost.

— Ja zajrzałem od razu do wniosków — pochwalił się Sittenvervall. — Zapamiętałem jedno zdanie: że zmarli — nie wszyscy, ale w dużym procencie — zostali kiedyś potraktowani z psychogaśnicy. Tak to zostało sformułowane.

Musiałem chwycić się pnia.

— Jest pan pewien?

— Widziałem na własne oczy. Chcieliśmy pożyczyć ów raport do przestudiowania, ale pan Rheinehart powiedział, że ma tylko jeden i sam jeszcze dobrze do niego nie zajrzał.

— Nie miał na komputerze? To z czego zrobił ten wydruk?

— Może przysłali mu zwykłą pocztą?

— Zaraz, zaraz — powiedziałem — przecież psychogaśnice miały nikogo nie zabijać. Zapewniał o tym ten brunatnopióry mydłek z Ligi Pięciu. Nic oprócz kupy w portkach i przejściowego zawrotu głowy miało po takim strzale nie grozić!

— Może to zmienili?

— Jak? Wstecznie?

Myślałem intensywnie. Drzewo nad nami szumiało, jakby pragnęło włączyć się do rozmowy.

— A jeśli psychogaśnica to taki znacznik? — dociekał Durchschnittslohn. Zaczął gestykulować i o mało nie spadł.

— Obezwładniać obezwładnia, a przy okazji stawia na czole znaczek. Człek chodzi, pije piwo, gra w karty, ale już jest naznaczony. Jakby wytypowany w pierwszym rzędzie. Wyselekcjonowany.

— Do czego? — zapytałem bez sensu. — Zauważcie panowie, w jakim momencie pojawia się taka wiadomość. Trzeba za wszelką cenę zohydzić Ligę Pięciu i jej darmowe towary. Trzeba wzbudzić nieufność do całej akcji i rozmaite podejrzenia. Najlepiej to zrobić przez powiązanie z czymś ewidentnie nieprzyjemnym, na przykład z wymieraniem. Prawda czy nie, ludzie inaczej spojrzą na te wiatraczki, zapalniczki i miśki dla dzieci.

— Sądzi pan, że to mistyfikacja? — dobiegło mnie z dołu.

— Sądzę, że taka wersja wydaje się prawdopodobna.

— Spójrzmy na to z innego punktu widzenia — zaproponował Durchschnittslohn. Rozparł się na swojej gałęzi na podobieństwo dawno wymarłego cietrzewia i tokował zawzięcie. — Równie wiele, jeśli nie więcej korzyści z rozsiaania takiej wiadomości po internecie czerpałaby Liga Pięciu. — Odginał palce, wyliczając: — Po pierwsze i najważniejsze, kto weźmie udział w konfiskatach, ten ma jak w banku ładunek z psychogaśnicy prosto w bańkę. Po drugie: dni jego są tym samym policzone. Po trzecie: w bijatykę z Marsjanami lepiej się nie wdawać, bo oni słabo znają się na żartach. Liga Pięciu ześle złe Mzimu i cała rodzina powędruje na cmentarz. Reasumując: więcej przemawia za tym, że to Liga Pięciu rozpuściła po internecie taki komunikat.

— Administratorzy sieci się na to zgodzili? — udawał naiwnego Sittenvervall.

— Nie mieli nic do powiedzenia. Skoro Liga Pięciu osadziła w sieci Bakcyła, który sprawuje nad nią kontrolę w jej imieniu, to wpuszczenie takiej wiadomości sprawiłoby zero kłopotu. Wręcz przeciwnie: powinna być kolportowana wielotorowo i wielopostaciowo. Tu i ówdzie będzie się ją z zapalem kasować, ale natychmiast pojawi się gdzie indziej. Nie potrzeba do tego poczty, portale informacyjne w zupełności wystarczą. Tam tylko się cieszą, jak spadnie im z nieba nowa ciekawa wiadomość. W efekcie do konfiskat nie będzie się garnął pies z kulawą nogą.

— Wyślą policjantów i żołnierzy.

— To też ludzie. Nikt nie pójdzie na pewną śmierć, jeśli może wykpić się niesubordynacją. Lepsza kara regulaminowa od rozsierzenia kosmitów i fatum, jakie mogą zesłać.

— Czyli akcja przymusowych konfiskat spaliła na pa newce z chwilą ogłoszenia — podsumował Pampelmu- sesirup. — To dobrze czy źle? Jak panowie się na to zapa trują?

Już chciałem wykrzyknąć, że bardzo dobrze, ale ugry- złem się w język. Odczuwałem ulgę na myśl, że nikt nie przyjdzie wydierać przemocą ulubionych zabawek mnie ani Zorze, ale zaraz pod spodem tej ulgi czułem bezbrzeżny smutek. Ci, którzy przedsięwzięli akcję, postanowili wszak ograć Marsjan i sami zostali ograni. Czułem solidarność z rodzajem ludzkim, który w tak spektakularny sposób przekonywał się o własnej niemocy i strachu.

— Moim zdaniem nie ma się z czego cieszyć. Akcja kon- fiskacyjna oznacza sprzeciwienie się woli Ligi Pięciu. Torpe dując ją, Liga dowodzi, że sprzeciw nie ma znaczenia i tym samym, że przestaliśmy być panami na własnej planecie. To tak, jak przegranie decydującej bitwy.

Przez pewien czas wstuchiwaaliśmy się w szmer liści. Drzewo gadało do nas, jakby próbując pocieszyć.

— Myślę, że pan Papadopoulos ma rację — odezwał się wreszcie Durchschnittslohn. — Widzę tu analogię do stanu okupacji. Jak zachowuje się ludność kraju podbitego? Część idzie na kolaborację, część próbuje stawiać opór, reszta — słynna milcząca większość — czeka, jak to się wszystko zakończy. Lecz tu nie można wysłać czołgów ani otworzyć frontu, bo nie ma do kogo strzelać. Cała inwencja ruchu oporu idzie zatem w represje wewnętrzne, w utrzymanie w ryzach narodu. Wykonuje się wyroki na kolaborantach, rozstrzeliwuje zdrajców, a wszystko pod szyldem wierności ojczyźnie, obronie tradycji i tożsamości. Lecz tradycja i toż-

samość narodowa znaczą dziś tyle co nic, zostały zagubione i zaprzepaszczone przez cywilizację pędzącą na łeb, na szyję ku nowoczesności, skupioną na mirażach, które zdaje się przed sobą dostrzegać. Te dwa elementy zatem odpadają, pozostaje goła siła, bo władza nie ma dziś żadnego posłuchu poza tym, który sobie wymusi. Dla ludzi władza może być bardziej obca niż ci oto Marsjanie. Skoro nie potrafi ich obronić, nie będziemy po niej płakać.

— Zasadniczo zgadzam się z tobą — rzekł Sittenvervall — ale przedstawiłeś obraz uproszczony. Nikt przecież nie zajął żadnego terytorium, nie wkroczyła armia okupanta, która pilnuje ustanowionych przez niego praw. Ludzie lubią ostro zaznaczone granice, a kiedy tej ostrości brakuje i wszystko się rozmydla, tracą orientację. Z takim właśnie rozmyciem mamy do czynienia. A w ogóle mówię o tych, którzy coś tam jeszcze myślą. Niestety, większość ludzi doby dzisiejszej niczym nie odbiega od stada baranów... pan Papadopoulos zechce mi wybaczyć ten surowy osąd...

— Niczego panu nie wybaczam — wtrąciłem — bo się z nim zgadzam.

— Tym lepiej. Nie są zdolni do samodzielnego myślenia... Czekają, aż im ktoś powie, co mają robić albo jak się zachować. Ich ideałem jest święty spokój. A jeśli przy tym udaje się powiększyć stan posiadania, to jakby kto przychylił im nieba. Co z tego, proszę panów, że Liga Pięciu to Marsjanie albo przybysze z innego Procjona? Byle dali pożyczę, reszta się nie liczy. Chcą nami rządzić — niechaj rządzą, byle niczego nie brakowało.

— Ale ludzkie bydło potrzebuje też bata — wtrącił Durchschnittslohn. — Od czasu do czasu trzeba je postraszyć, a to

plagą ciemności, a to plagą szarańczy. Chodzi o pokazanie, że po stronie kija też są argumenty.

— Chcesz przez to powiedzieć, że wiadomość o nadumieralności puszczo dla postrachu? Że jest sfingowana?

— Nie wiem. Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było. Kto to w końcu sprawdzi? W dzisiejszych czasach prawdę od zmyślenia dzieli granica cieńsza niż włos.

— A gdyby było tak — poderwał się Sittenvervall — że obie strony włożyły do internetu własne komunikaty? Najpierw rząd, potem Liga Pięciu, uznając, że to wspaniała okazja? Zastosowali zasadę dżudo: ciągnij, gdy przeciwnik pcha, pchaj, gdy przeciwnik ciągnie. Rząd pchnął — Liga pociągnęła.

— Tak, szykuje się niezły mecz — powiedziałem.

— Nie — zaprzeczył Durchschnittslohn. — Mecz już się zakończył.

Wracałem do domu skołowany. Grzbiet i kości miednicy miałem obolałe od siedzenia w niewygodnej pozycji. Ale Durchschnittslohn miał rację: jednodniowa wojna o gadzety zakończyła się sukcesem Ligi Pięciu. Komisje do konfiskat więcej się nie pokazały.

Wieczorem jak na urągowisko spadły nowe lampiony Ligi Pięciu z nową, bardzo atrakcyjną ofertą.

XXII

Pierwszy wychodek Ligi Pięciu, jak go określiła niezawodna opinia publiczna, miał kształt walca wysokiego na jakieś

trzy i pół metra, sądząc po wzroście otaczających go gapiów. U góry nakryty półokrągłą kopułą wychodzącą poza obrys podstawy, przypominał trochę przysadzisty grzyb o słabo rozwiniętym kapeluszu. Pomalowany został w przyjemne dla oka, pastelowe kolory, żółcie, pomarańcze i czerwienie, ale głos z offu poinformował, że ubarwienie to zmienia się wolno w ciągu dnia. Pod wieczór malunek jest już całkiem inny. Nad miejscem, które oznaczono jako wejście, znajdowały się znane insygnia Ligi Pięciu.

Blondynka z mikrofonem w ręku przepychała się pomiędzy ludźmi, namawiając, by ktoś wszedł do środka. Wreszcie napatoczył się pewien starszy mężczyzna, odziany dość niechlujnie w buraczkowy strój i w bejsbolówce na przetłuszczonych włosach, który zachrypniętym głosem wyraził gotowość spenetrowania obiektu.

— Stało to tutaj w nocy — wywodziła jakaś kobieta. — Wczoraj wieczorem na pewno tego nie było, dziś wstaję rano, patrzę — stoi. Kiedy, kto i jak to postawił — nie wiem. No to poszliśmy z bratankiem obejrzeć to sobie z bliska. Ale na wszelki wypadek nie wchodziliśmy do środka.

— Czego się obawialiście? — dociekała reporterka.

— Specjalnie niczego. Ale po co się pakować w coś, o czym jeszcze nic nie wiadomo. Liczymy, że szybko znajdą się odważni, którzy nas wyręcą.

Ochotnik tymczasem, śledzony z drugiej kamery, czynił ostatnie przygotowania. Wyciągnąwszy przed siebie ręce, wykonał kilka przysiadów, a po nich jeden czy dwa skłony. Potem pomachał ręką do zebranych, dał krok przez ścianę w miejscu zaznaczonym jako wejście i zniknął. Moment — i wyłonił się po drugiej stronie.

— No i jak było? Co pan tam zobaczył? — doskoczyła doń reporterka, ale on tylko odsunął ją delikatnie acz stanowczo i z zagadkowym wyrazem twarzy podążył przed siebie. Bejsbolówka na jego głowie wydawała się lekko przekrzywiona.

Wobec tego bezprzykładnego aktu odwagi na spenetrowanie obiektu zdecydowała się sama reporterka. Ekipa musiała być na to przygotowana, bo piorunem przypięto jej dwa mikrofony po obu stronach ponętnego dekoltu, a na głowę nałożono obręcz z minikamerą. Tak przyozdobiona paradowała przez kilka minut przed gawiedzią, gadając bez przerwy o misji dziennikarza, wysokim morale swego zawodu i jego powinnościach społecznych. Przypominało to z lekka występ kłownów na arenie cyrkowej, którzy zanim wykonają słaby numer, hałaśliwie popisują się elokwencją.

Gdy już nie dało się tego przeciągać dłużej, kamera jeszcze raz objęła jej smukłą postać. Jeszcze nie widziałem brzydkiej reporterki TV. Nawet jeśli nie występowały na wizji, cechowała je ponadprzeciętna uroda. Ta też należała do tego gatunku. Jak to swego czasu ujął cyniczny Winczorek, bonzowie ze stacji telewizyjnych nie znajdują upodobania w dymaniu kocmołuchów.

Gadając bez przerwy i z lekko tylko przyspieszonym oddechem, reporterka podążyła drogą osobnika w buraczkowym uniformie. Kamera odprowadziła ją usłużnie pod samo wejście, a realizator przełączył obraz na kamerę, którą niosła. Pomarańczowa ściana w czerwone ukośne paski zbliżyła się, spłaszczyła i zasnęła obraz rzadką mgłą. Po drugiej stronie było ciemnawo i niewyraźnie, piętrzyły się tam kanciaste kształty, jakby skrzynie, a może ołtarze, nie

zdołałem dostrzec, nikt nie zdołał, bo trwało to mgnienie oka. Obraz pękł i zgasł, a równocześnie urwał się dźwięk — relacja tym samym została zakończona. Reporterka wyłoniła się z drugiej strony wychodka, diadem z kamerą zerwał jej chyba wicher, bo włosy miała zburzone, ale wzrok trzeźwy i rozumny. Szeptła do siebie szybko coś niedosłyszalnego, ale zaraz przestała. Gdy szła krokiem zrezygnowanym i powłóczyстым, włókł się za nią kabel odgryziony przez nieznanych sprawców.

Ekipa opadła ją w pozach pełnych zatroskania, ni to oferując pomoc, ni to dopytując się, czy nie doznała uszczerbku, ale cały czas rażno filmując. Odsunęła ich zniecierpliwionym gestem; powoli podążyła w kierunku wozu transmisyjnego, wspięła się na schodek i opadła na fotel. Przez szybę widać było jaśniejszą plamę jej włosów i to, że siedzi spokojnie, prawie nieruchomo.

Na moment ekipa przerwała filmowanie, ale rychło je wznowiła, gdyż w dali między budynkami pojawił się spychacz. Z braku reporterki komentarz podjął ktoś ze studia, ale właściwie nie było czego komentować, bo obraz pokazywał, co trzeba. Spychacz podjechał do wychodka Ligi Pięciu, a gapie rozsunęli się usłużnie. Operator przymierzył, wparł pług w ścianę wychodka, jakby go obmacywał i szukał mocniejszego chwytu. Przez chwilę zamarł, potem jego potężny silnik zagrział basem, a z rury wydechowej bluznęły kłęby spalin. Gąsienice zaryły w miejscu, rwąc bezsilnie grunt i gruchocząc płytki chodnikowe. Operator, który dziarsko wyglądał przez okienko, nie dał się zbić z pantałyku. Gdy nowa próba nie dała rezultatu, spróbował z innej strony. Po tych zabiegach wychodek Ligi Pięciu, właściwie nietknięty,

wyglądał jak pień starego dębu, wokół którego żerowała wataha wściekłych dzików.

— Nic się nie da zrobić — rzekł do kamery zafrasowany operator. — Jego fundamenty sięgają chyba dna piekła.

Było coś przygnębiającego w oddalaniu się bezsilnej maszyny i jej niknięciu w perspektywie ulicy.

Wieczorem zamiast podsumowania dnia stacje TV znowu retransmitowały wystąpienie pana Browna i pytania zaproszonych gości. Oprócz nich w studiu na poczesnym miejscu pysznił się okazały wychodek Ligi Pięciu; ten był utrzymany w tonacji tęczowej.

Po standardowym przywitaniu Tangel Ulosque bezwzłocznie przystąpił do sedna sprawy.

— Szanowni państwo zauważyli zapewne dziwne obiekty, jakie pojawiły się w gęsto uczęszczanych miejscach naszych miast. — Poklepał z uznaniem, a nawet jakby z dumą ciel sko wychodka. — Są to asenizatory, które pomogą nam zwalczyć plagę śmieci. Kto ma w domu jakiegokolwiek ru piecie czy odpadki, niech się ich pozbywa jak najszybciej. Niechaj dostarczy je tutaj. Nasz asenizator zutyliczuje je bez śladu. Organiczne, nieorganiczne, sypkie, płynne, półpłyn ne, stałe, mokre, zgniłe, a nawet rozkładające się — półknie wszystko. Odpady chemiczne, toksyczne, a nawet promie niotwórcze z przydomowych reaktorów — uśmiechnął się nieznacznie — przyjmie z wdzięcznością. Dla niego to bez różnicy. Nie wyda przy tym żadnego odgłosu, nie roztoczy nieprzyjemnych woni, nie zasypie nas gruzem, nie zaleje fekaliami ani resztkami przetworzonej materii. Cudowne urządzenie, nieprawdaż? Koniec z bałaganem w naszych mieszkaniach, na naszych strychach, w piwnicach i obej-

ściach, koniec z zaśmiecaniem miast, ulic, dróg, łąk i lasów. Pora, aby planeta Ziemia została wyzwolona z gorsetu energii odpadowej, z którą nieszczęsna ludzkość nie była sobie w stanie poradzić o własnych siłach.

Liga Pięciu zdaje sobie sprawę, że postawiła asenizatory bez stosownych zezwoleń, ale chodzi o dobro wyższego rzędu. Jeśli nie będą cieszyły się uznaniem ludności, zostaną usunięte. Nie oznacza to bynajmniej, że są to obiekty prowizoryczne i nietrwałe. Przekonajmy się na własne oczy.

Obraz ze studia ustąpił miejsca wstawce filmowej podobnej jak dwie krople wody do tego, co oglądałem wcześniej. Zamiast buldożera sprowadzono jednak czołg, a wychodek Ligi Pięciu okręcono podwójnym łańcuchem, który następnie przytroczono pojazdowi do żelaznej rufy. Silnik zagrał, czołg naprężył łańcuchy, fuknął jak rozsierzony żubr i próbował wyrwać do przodu. Efekt był taki, że stalowe łańcuchy popękały jak nitki. Wychodek ani drgnął. Dostarczono więcej łańcuchów, czołg zabuksował gąsienicami w miejscu, spod pancerza buchnął mu gęsty dym, a komentator z offu poinformował podekscytowanym głosem, że właśnie nastąpiło zatarcie łożysk.

Tangel Ulosque przyglądał się temu z zafrasowaną miną.

— Tak się będą kończyć próby wyrwania, obalenia, zburzenia bądź wysadzenia asenizatorów. Nie są one wprawdzie niezniszczalne, ale do ich naruszenia niezbędne byłoby odpalenie bomby atomowej średniej wielkości, co bym odradzał w środku miasta. Mamy sygnały, że w kilku przypadkach próbowano podesłać asenizatorom materiały wybuchowe ukryte w śmieciach, ale zostały one zutyliczowane, zanim eksplodowały. W jednym przypadku do asenizatora

wdarł się zamachowiec samobójca i cel swój niestety osiągnął — także został zutylizowany bez śladu. Urządzenia te, jak wszystko, co wychodzi z marką Ligi Pięciu, mają wielką zaletę: niezawodność. Trudno sprawić, by przestały działać zgodnie z przeznaczeniem.

Po tych deklaracjach przysłała pora na zadawanie pytań.

Gości było tym razem czworo, dwie kobiety, młodsza i starsza, oraz dwaj mężczyźni, a właściwie mężczyzna i chłopiec. Starsza z kobiet była Latynoską, a chłopiec bodaj Japończykiem. Rozsiedli się na zwykłych rozkładanych krzesłach ogrodowych, które na pewno nie gwarantowały minimum wygody.

— Interesuje mnie — powiedział Japończyk nienaganym niemieckim — co się dzieje we wnętrzu asenizatora. Śmieci zostają zutylizowane, ale przecież nie zamieniają się w parę? Co asenizator robi z materia, która po tym procesie zostaje? Gdzie ją magazynuje?

— Nigdzie — odezwał się pogodnie Tangel Ulosąue — ponieważ proces ma to do siebie, że nie zostaje po nim żadna materia. Odpadki zostają zamienione na światło, które po skondensowaniu jest magazynowane w asenizatorze i stopniowo wysyłane do odbiorników Ligi Pięciu jako użyteczna energia.

— W jaki sposób to się odbywa?

— To musi pozostać tajemnicą.

O głos poprosiła Latynoska.

— Wiem, że na asenizacji nie kończy się użyteczność tych urządzeń. Do czego jeszcze mogą się przydać?

— Ma pani rację. Jako urządzenie o wielkiej wydajności asenizator wprost pożera śmieci. Nie cacka się z nimi, że tak

to ujmę. W efekcie przez wielką część doby stałby beżużyteczny. Konstruktorzy Ligi Pięciu wyposażyli go więc w dodatkową funkcję, którą można by nazwać poradnią zdrowia psychicznego. Sami wiemy, jak żyje się we współczesnym świecie: człowiek jest kłębkim nerwów. W takim wypadku wystarczy udać się do asenizatora, który zutylizuje śmietnik w naszej głowie. Oczywiście należy to uczynić wtedy, gdy akurat nie utylizuje on śmieci materialnych. Wejście wpuści takiego znerwicowanego osobnika i stosownie do potrzeb dobierze oraz zastosuje terapię, która ma ten walor, że skutkuje natychmiast. Delikwent wychodzi po paru sekundach uspokojony, podniesiony na duchu, ułudzony wewnętrznie. Rzecz jasna wróci do swych dawnych problemów, ale w odmienionym stanie psychicznym skutecznie stawi im czoło.

— Przepraszam za to pytanie, ale chciałabym mieć pewność, czy asenizator nie pomyli pacjenta % odpadami i nie wyrządzi mu krzywdy?

— Nie ma takiej możliwości.

— A jednak sam pan tu powiedział, że pewien terrorysta został skasowany, gdy wdarł się do środka i tam usiłował wysadzić się w powietrze.

— Takie przypadki więcej się nie powtórzą. Konstruktorzy nie spodziewali się tak daleko posuniętej aberracji, by ktoś chciał zniszczyć pożyteczne dla siebie urządzenie. Takie zachowanie stanowi dla Ligi Pięciu pewne novum. Obecnie, po wprowadzeniu poprawki do programu sterującego, desperaci będą rozpoznawani i rozbrajani na zewnątrz.

Starszy mężczyzna chciał wiedzieć, czy asenizatory mają jeszcze jakieś ukryte zadania.

— Na razie nie. Planuje się jednak dalsze rozszerzenie ich funkcji na sferę kultury.

— Mógłby pan powiedzieć o tym coś konkretnego?

— Chodzi o książki. Niezależnie od swych podstawowych funkcji asenizatory mogłyby pełnić rolę lokalnego centrum kulturalnego, czyli być czymś w rodzaju biblioteko-księgarni, gdzie można by wymieniać książki nudne i bezwartościowe na takie, które czyta się jednym tchem. Ci, którzy nie mogą obejść się bez lektury, wiedzą, jakim dyskomfortem jest trzymanie w domu niepotrzebnych cegieł, mających wyłącznie walory usypiające. Wystarczy przynieść taką książkę do naszego punktu wymiany, wrzucić przez okienko, a następnie wybrać z listy coś bardziej przydatnego i atrakcyjnego. Będzie obowiązywał jeden warunek: waga przyniesionych i odebranych książek musi się bilansować.

— To chyba wymóg raczej ciężki do spełnienia — sapnął mężczyzna. Cienkie wąsy miał zakręcone a la Salvador Dali.

— Trudno utrafić z książkami tak, aby dało się tyle odebrać, ile się przyniosło. Literatury nie mierzy się na metry ani kilogramy.

— W zupełności się z panem zgadzam. Konstruktorzy i planiści Ligi Pięciu na pewno znajdą satysfakcjonujące rozwiązanie. Można na przykład wydrukować treść książki czcionką innej wielkości, dodać ilustracje... a nawet założyć klientom specjalne konta. Ktoś przyniósł kilogram książek, ale odebrał tylko siedemdziesiąt deko. Reszta pozostaje do jego dyspozycji i może być zrealizowana podczas kolejnej wymiany. Zobaczmy, jaki model zostanie przyjęty.

— A co z prawami autorskimi? — dopytywało się dziewczę.

— Trzeba je oczywiście respektować. Na początku będziemy korzystać głównie z funduszu martwej ręki, oferując klasyków, do których dzieł prawa już wygasły. Zresztą pieniądze nie stanowią żadnego problemu. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby płacić żyjącym autorom, którzy zgodzą się na umieszczenie swych dzieł w naszej ofercie.

— Skoro pan tak mówi, czemu nie przydać tak użytecznym asenizatorom jeszcze jednej funkcji: kasy oszczędnościowo-pożyczkowej? W tym samym okienku, w którym będziemy wymieniać książki, mogłaby w wolnych chwilach działać automatyczna kasjerka. W końcu ludzi umiejących czytać i znajdujących w tym upodobanie nie ma wśród nas aż tak wielu. Za to większość społeczeństwa ustawicznie boryka się z trudnościami materialnymi, a niemało jest rodzin, które wskutek długotrwałego kryzysu żyją w nędzy. Takie kasy byłyby dla nich cenną pomocą w trudnych chwilach.

— Wywołała pani temat! — klasnął w dłonie Mister Brown. — Właśnie chciałem o tym powiedzieć. Liga Pięciu od samego początku zamierzała rozwinąć działalność finansową korzystną dla mieszkańców Ziemi. Niestety, nasza inicjatywa stworzenia ogólnoplanetarnej sieci bankowej została storpedowana przez krótkowzroczność rządów. Zachowały się one jak przysłowiowy pies ogrodnika: sam nie potrafi i drugiemu nie pozwoli. Nie przedstawiono żadnego uzasadnienia odmowy, sądzymy więc, że grały tu rolę względy pozamerytoryczne. Być może decydenci odczuli nacisk ze strony sfer finansowych, obawiających się utraty wpływów i dochodów. Być może obawiano się, że ziemskie banki nie wytrzymają konkurencji, bowiem Liga Pięciu

proponowała oprocentowanie lokat trzy- i czterokrotnie wyższe.

— Nie wierzę, żeby Liga Pięciu poddała się i nie chowała w zanadrzu alternatywnego planu — wdzięczyło się rezolutnie dziewczę.

— Tak jest w rzeczy samej. Wkrótce wprowadzimy go w życie, choć asenizatory nie będą miały z nim nic wspólnego. Teoretycznie zorganizowanie przy nich kas zapomogowo-pożyczkowych to mały pikuś, ale wyobraźmy sobie, że ktoś odbiera w ten sposób przyznane mu pieniądze, a z tyłu już czają się bandyci i inni mafiozi, żeby mu je odebrać. Psychogąsnice wszystkiego nie załatwią. W ten sposób pieniądze trafiałyby nie do potrzebujących, tylko do tych, którzy nie cofną się przed rabunkiem, byleby je przejąć.

— Co stoi na przeszkodzie, aby użyć do tego celu świetnie działającej i tylekroć sprawdzonej Poczty Lampionowej? — zapytał starszy mężczyzna.

— Właśnie, że nic! — wykrzyknął Tangel Ulosque z entuzjazmem. — Od przyszłego tygodnia będziemy mieli okazję przekonać się osobiście. Wśród ludności zostaną rozprowadzone lampiony nie na towary, ale na pieniądze. Dla odróżnienia będą one w kolorze jasnoblękitnym. Zasady zamawiania są identyczne jak dotychczas. — Wziął lampion z kosza i obrócił do kamery. — Tu z tyłu zamiast okienek z symbolami towarów mamy okienka z wysokościami pożyczek bądź zapomóg, o które można się ubiegać. Oczywiście najlepiej starać się o zapomogi bezzwrotne, do czego serdecznie namawiam, Liga Pięciu na pewno od tego nie zbiednieje! — roześmiał się, bijąc rękami po bokach. — Zdrapujemy wybrane okienko, zaginamy rożek zaznaczony

na czerwono i puszczamy lampion z miejsca, gdzie następnego dnia chcemy odebrać pieniądze. Wcześniej oczywiście do odpowiedniej komórki — kamera pokazała ją na zbliżeniu — wkładamy włos, kawałek paznokcia, skóry, ślinę albo spermę. Posłuży to identyfikacji nadawcy, zweryfikowaniu jego sytuacji materialnej, a także dopilnowaniu, by z dobrodziejstw zapomóg i pożyczek nie korzystały wciąż te same osoby.

Teraz cała czwórka gości rwała się do pytań.

— Ile razy można się starać o zapomogę?

— Zasadniczo jest to operacja jednorazowa. W wyjątkowych wypadkach, uzasadnionych losowo, przyznamy dotację po raz drugi.

— Skąd Liga Pięciu zamierza wziąć tyle pieniędzy? Czy będzie je drukować?

— Skądże znowu — zaprzeczył żywo Mister Brown. Skrzywił się na samą myśl o takim procederze. — Choć nie przeczę, że nie przekraczałyby to jej możliwości technicznych. Pieniądze będą najzupełniej prawdziwe i pozyskane w całkowicie legalny sposób. Po prostu przewidując trudności z założeniem ogólnoplanetarnej sieci bankowej, Liga Pięciu nabyła wcześniej odpowiednią liczbę banków na wszystkich kontynentach. Z reguły były to banki podupadłe, mające trudności na rynku; przejęcie ich przez Ligę Pięciu spowodowało zakończenie złej passy i wkroczenie na drogę prosperity. To one dostarczą środków na działalność zapomogowo-pożyczkową.

— Jaki interes widzi Liga Pięciu w tym de facto rozdawaniu pieniędzy? — spytała Latynoska. Jej czarne oczy błyszczały dociekliwie.

— Po pierwsze, chcemy pomagać skrzywdzonym i nie-szczęśliwym. Tym, którzy klepią biedę niezasłużenie, bo mieli za mało szczęścia, padli ofiarą wyzysku albo brudnych machinacji. Duża część środków będą to preferencyjne kredyty, które przecież zostaną zwrócone. Nawet gdyby Liga Pięciu miała dołożyć do tego interesu, nie będą to wielkie pieniądze. Za to korzyści społeczne trudno przecenić: dzieci nie będą chodzić głodne, dostaną się do lepszych szkół, będą mieć radośniejsze dzieciństwo. Dorośli zyskają rozwiązanie doraźnych problemów, przestaną żyć, zaciskając pasa. Jeśli można przyczynić się do podniesienia ogólnego dobrobytu, to czemu tego nie zrobić? — Wzruszył ramionami i powiódł wzrokiem po twarzach, jakby poszukiwał kogoś, kto uważa inaczej.

— A czy Liga Pięciu nie obawia się skokowego wzrostu inflacji? W końcu na rynek trafią w krótkim czasie pokaźne sumy — zauważył starszy mężczyzna.

— Liga Pięciu wierzy w umiar zapomogo- i pożyczkobiorców. W to, że otrzymawszy pieniądze, nie wydadzą ich od razu na cele konsumpcyjne, nie przepiją ani nie przebalują. Inaczej akcja nie miałaby krzty sensu. Rozsądek i powściągliwość mieszkańców Ziemi zostaną poddane sprawdzianowi.

— A jeśli odnośnie władze wydadzą zakaz przyjmowania tych pieniędzy?

— Na jakiej podstawie?

— A jeśli dojdzie do represjonowania ich posiadaczy? Do konfiskowania gotówki? Znamy wiele takich precedensów z historii.

— Ponowię moje pytanie: na jakiej podstawie? Skoro pieniądze są autentyczne, pozyskane legalnie, przekazane

i otrzymane bez naruszenia prawa — to nie istnieje powód do żadnej interwencji ani tym bardziej represji. Władze mają dość możliwości wykazania się, likwidując głód, ograniczając wpływy mafii, zwalczając korupcję, handel ludźmi i wyzysk ekonomiczny najsłabszych.

Niech tym się zajmą, bo czas najwyższy.

Co to się działo, co się działo, kiedy spadły wreszcie wyteknione lampiony w gustownym niebieskawym odcieniu — ludzkie słowo nie wypowie. Pół Rummlau wyroiło się, żeby zbierać tę mannę. Rzecz jasna oboje z Zora znaleźliśmy się na posterunku, ale podjęliśmy tylko po kilka sztuk, na wypadek, gdyby jakiś lampion okazał się nie w pełni sprawny. Widziało się jednak przykłady zachłanności ludzkiej, oj, widziało. Niektórzy obywatele taszczyli całe naręcza, inni doskakiwali do nich, starając się wytrącić im łup. Pewna zapobiegliwa jejmość wyszła przewidująco z workiem, do którego pakowała lampiony jak pocztowe listy, a potem prędko uchodziła z placu boju, wymachując psycho-gaśnicą.

Spod arkad, spod drzew, z bram wyjechała nagle czereda wózków inwalidzkich, które z podziwu godną zręcznością uwijały się na placu. Pewien inwalida płakał, wygrażając niebu pustą ręką, bo sam nie był w stanie schylić się po leżące na ziemi bogactwo. Ktoś miłosierny wetknął mu lampion, lecz to go nie pocieszyło i nadal czegoś żądał od biegających z miejsca na miejsce ludzi.

Mając w płóciennej torbie ekologicznej pięć lampionów i drugie tyle dla Żory, mogłem się oddać obserwacjom zdżyczenia, do jakiego zdolny jest człowiek. Po raz pierwszy

zdarzyło mi się świadkować pojedynkowi na psychogaśnicy: dwaj obywatele z twarzami wykrzywionymi wściekłością, obrzuciwszy się najpierw obelgami, jak na komendę wycelowali do siebie ze straszliwej broni Ligi Pięciu. Mimo gorączkowej gonitwy za ostatnimi lampionami cały plac zamarł, żeby się temu przyjrzeć.

— Strzelaj, chamie! — zachęcał pierwszy, gruby i czerwony z wysiłku.

— To ty strzelaj! — krzyczał drugi, ze złym błyskiem w oku, w przekrzywionej oprychówce na ptasiej głowie. — No co, strach cię obleciał?

Równocześnie pociągnęli za spust. Psychogaśnice jakby nabrzmiały w ich dłoniach, po czym zgodnie nie wypaliły. Spojrzeli na nie ze zdumieniem, na wszelki wypadek nacisnęli jeszcze po razie, a potem porwali się do rękoczynów. Czapka trafionego celnie awanturnika zawisła w powietrzu. Rechoczący z radości kibice bez żenady dzielili się ich lampionami.

W domu wraz z Zora zastanawialiśmy się nad wyborem rubryk. Wszystkie lampiony były takie same, sumy w okienkach opiewały od stu tysięcy do pięciu milionów euro.

— Pięć milionów! — westchnęła Zora. — Wyobrażasz sobie, Papa? W tym musi tkwić jakaś pułapka!

I ja rozważałem taką ewentualność. Wszystko to razem zakrawało na żart. Liga Pięciu postanowiła sobie z nas zakpić. Stopniowo emocje ustępowały miejsca chłodnej kalkulacji. Może zadziałać ostrożnie i wystąpić o najniższą stawkę? To i tak więcej niż dwumiesięczny zasiłek dla bezrobotnych, a prawdopodobieństwo przyznania wyższe.

Lepszy wróbel w rękę niż dzięcioł na sęku. Tak, bezwzględnie należy wykazać umiar. Najlepiej wybrać rubrykę ze środkową stawką.

Z drugiej strony ten śliski piskorz, ten brązowy podżegacz Ligi Pięciu sam namawiał, żeby się nie krepować. Potrzebujecie pieniędzy, bierzcie, Liga nie zbiednieje. Bez gadania, trzeba wystąpić o maksa. Taką też linię postępowania rekomendowałem Zorze.

— A jeśli to trzeba będzie oddać? — szukała dziury w całym. — Albo jeśli to zapłata za coś, o czym nie wiemy? We Wszechświecie nie ma nic za darmo — dodała niepotrzebnie.

— Zawsze możemy tej forsy nie przyjąć. Wystąpić trzeba o maksa, bo wzrośnie inflacja. Jak tylu ludzi dostanie tyle pieniędzy, to na pewno wartość euro spadnie.

— Jeśli w takim samym stopniu spadną kursy innych walut, nic się nie zmieni.

Drugim kluczowym zagadnieniem było, skąd wysłać lampiony. To oznaczało automatycznie wybór miejsca odbioru pieniędzy. Budynki mogą być pod obserwacją. Jak wyślemy z okna mojego albo Żory, może wpaść policja i wszystko skonfiskować. A nawet jeśli się uda — co z taką gromadą forsy zrobić? Nieść do banku? Tam obejrzą i powiedzą, że fałszywe. Albo że wyprane. Albo zażądadają udokumentowania źródła pochodzenia. Co wtedy powiemy? Że pieniądze spadły nam z nieba?

Po długotrwałych debatach rozstrzygnęliśmy te dylematy jak najprościej. W rubryce SUMA zadysponowaliśmy oboje po pięć milionów euro. W rubryce ZASIĘK/ /DOFINANSOWANIE zdrapaliśmy TAK. Rubrykę POŻYCZKA pozostawiliśmy bez zmian. W rubryce w JAKICH

NOMINAŁACH ŻYCZY SOBIE OTRZYMAĆ wybraliśmy solidarnie niski nominał tysiąc euro. Wypuściliśmy obydwu lampiony z okna Żory. Na widok mrowia świateł wędrujących do góry porzuciliśmy obawy, że coś nam może za to grozić.

XXIII

Co jest w pieniądzach, nawet wirtualnych, że tak absorbują uwagę człowieka? Wiedziałem, że jeśli je dostaniemy, to nie uczynią z nas krezusów. Bogactwo odznacza się dopiero na tle niedostatku, a tam, gdzie wszyscy mają po tyle samo, nikt nie jest nawet zamożny. Zdawałem sobie sprawę, że rozdawane masowo pliki banknotów przyczynią się do spadku wartości pieniądza i ta myśl mąciła mi radość z perspektywy rychłego wzbogacenia się.

Nie spałem więc, bijąc się z myślami i raz po raz przekonując się o trafności porzekadła, że szczęśliwy tylko ten, co nic nie ma. Zora nie wykazywała takich rozterek: pokręciła się trochę, poobracała w poszukiwaniu najwygodniejszej pozycji i w końcu zasnęła jak kamień.

— Tak, wszyscy nie mogą być bogaci — wymamrotałem złotą myśl.

— Nie śpisz, Papa? — zapytała Zora. Ale od razu wiedziałem, że to nie śpi Ja Mniejsza.

— Jakoś nie mogę. Myślę o tych pieniądzach... co z nimi zrobimy i w ogóle.

— I co zrobicie?

— Zamówiliśmy niskie nominały po tysiąc euro. Gdyby codziennie wziąć i rozmienić kilka... w ten sposób nikt by nas nie przyłapał, że to od Ligi Pięciu.

— Słaby pomysł, Papa. Dostaniecie, jak rozumiem, po pięć milionów. To daje dziesięć tysięcy banknotów. Ile możes rozmienić takich banknotów dziennie? Dziesięć? Nawet gdybyś rozmieniał po dwadzieścia, potrwa to pięćset dni, czyli prawie dwa lata. Po tym czasie z twoich wielkich pieniędzy zostaną wyłącznie zera.

Było coś niepokojącego w słuchaniu tych wywodów z ust spiącej Żory. I jeszcze ta nieubłagana logika.

— Widzisz więc, że to głupi pomysł.

Milczałem.

— Powiem ci, co trzeba zrobić. Pieniądze dostaniecie... — zawahała się pół sekundy — około piątej, będą to nieduże pakunki, coś jak dwie grube książki w każdym. Musicie już wtedy być na nogach, ubrani i po śniadaniu.

— Nie chce mi się jeść tak wcześnie.

— Przełożycie pieniądze do torby, a opakowania Ligi Pięciu wyrzucicie po drodze. Pojedziecie samochodem na wschód aż do Forst nad polską granicą. Powiniście zdążyć akurat na rozpoczęcie pracy burmistrza i jego urzędników. Zgłosicie się tam do niejakiego Holza w celu sfinalizowania transakcji.

— Nic nie wiem o żadnej transakcji.

— Zora wszystko podpisywała przez internet i przelała zaliczkę. Forst wystawiło na sprzedaż starą leśniczówkę i pięć hektarów lasu. Jest to okazja, chociaż dojazd trudny.

— A jak nie będą od nas chcieli gotówki? Albo zażądają dowodu wypłaty z banku?

— Forst potrzebuje gotówki na wypłaty zaległych pensji dla urzędników. Przyjmą gotówkę z pocałowaniem ręki. A jak nie, ten Holz bierze łapówki. Przygotujcie dla niego kopertę z wsadem.

— Jak wysokim?

— Dziesięć tysięcy wystarczy. Na miejscu powinni być notariusz, księgowy i kasjer. Przed upływem godziny powinniście mieć prawo własności w ręku. Potem pojedziecie obejrzeć, coście kupili. We wsi znajdziecie stolarza. Zlećcie mu remont, spiszeć umowę i zapłacicie z góry.

— Zora nie mogłaby przenieść w słoiku trochę nanobotów?

— Nanoboty są dobre, ale nie potrafią dokonywać cudów. Generalnie działają w ramach zastanej struktury, odnawiając ją i wzmacniając. Jeśli struktura jest naruszona, nie są w stanie jej zrekonstruować.

— Rozumiem.

— Jak zawalił się tam dach, trzeba żeby cieśle wymienili legary. Jeśli deski są spróchniałe, trzeba wstawić nowe. Nanoboty nie mają mocy zmniejszania entropii, idąc pod prąd strzałki czasu. Czy to jest jasne?

— Mniej więcej. Nie chwytam tylko, po co nam ta leśniczówka.

— Żeby uciec z pieniędzmi. Poza tym to prezent nie dla was, tylko dla małej. Przyda się wam takie miejsce... na przykład gdybyście musieli wyprowadzić się z Ruram-lau.

Nasunęły mi się od razu dwa pytania, ale zadałem tylko to drugie.

— Coś nam zagraża?

— Zawsze coś może się przytrafić. Zapomniałeś już, jak niedawno stąd uciekałeś? Po tym jak ostrzelano cię na autostradzie?

— No, Mniejsza — powiedziałem z uznaniem. — Prawie mnie zabili! Wiesz coś o tym?

— Jakby mieli zabić, już byś nie żył. Zaszła zwyczajna pomyłka. Wzięli cię za kogo innego. Przy tym zostańmy.

— A skąd pewność, że jutro czy pojutrze nie przytrafi mi się coś podobnego?

— Nie bądź śmieszny, Papa — głos Żory zadrgał od rozbawienia — nikt ci nie da takich gwarancji. Zapamiętałeś wszystko? No to lulu. Czeka was ciężki dzień.

Ani przez sekundę nie wierzyłem, że coś z chytrego planu Ja Mniejszej uda się zrealizować. A jednak poszło jak po maśle — jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. O piątej za oknem zmaterializowała się nasza wypłata. Coś układałem w pokoju, nagle światło na moment pociemniało — jakby przeleciał ptak. Odwróciłem się. Dwa pokaźne pakunki wisiały nieruchomo przed szybą, jak gdyby czekały tam od dłuższego czasu. Otworzyłem okno i bezcerebralnie wciągnąłem je do środka. Przy okazji rzuciłem okiem na okna sąsiadów. Do większości kołatały podobne pakunki i już zaczynał się przy nich ruch. Czyżby ludziska w ogóle nie spali, czatując na tę wielką chwilę?

Paczki z banknotami, opięte nowiutkimi banderolami Deutsche Banku, liczyły po standardowe sto sztuk. Wbrew temu, czego się obawiałem, banknoty wykazywały różny stopień zużycia. Także numery i serie miały różne, co odsuwało podejrzenie, że przed chwilą wyjęto je z drukarki. Folię, w którą były zawinięte, skręciłem w dwie poręczne

kichy i umieściłem w kieszeni na drzwiach Cytryjona. Tak jak radziła Ja Mniejsza, paczki z banknotami wrzuciłem do torby turystycznej, którą złożyliśmy na tylnym siedzeniu.

Jak na koniec tygodnia ruch na szosie był niewielki i tylko z tego faktu mogliśmy wnioskować, że coś zatrzymało ludzi w domach. Obawy, że świat zostanie zalany mamoną, okazały się bezpodstawne. W Forst o lampionach pieniężnych wiedzieli na razie z internetu, ale spodziewali się ich wysypu lada dzień. Tego jednak dowiedzieliśmy się dopiero po południu.

Najpierw przebrnęliśmy przez formalności administracyjne. Zora nalegała, by posiadłość została zapisana na moje nazwisko. Protestowałem, proponowałem współwłasność — była nieugięta. Gdy przyszło do płacenia, zdjąłem torbę z ramienia i po prostu odliczałem paczki, kładąc je na stole. Urzędnicy, którzy temu świadkowali, śledzili moje ruchy z uwagą. Holz nic nie powiedział, tylko podniósł brew i już jej nie opuszczał.

— Skąd pan ma tyle gotówki? — zapytał z uznaniem. Brał na chybił trafił paczki ze sterty i sprawdzał banknoty, przesypując je w palcach jak strony książki. Wyglądał na zadowolonego.

— Sprzedałem firmę. Wytwórnę zabawek — odrzekłem zgodnie z tym, co sobie przygotowałem. — Po tym, co się słyszy o Lidze Pięciu, lepiej nie trzymać pieniędzy w workach. Tym bardziej na koncie w banku.

— Słusznie, zupełnie słusznie.

Holz wysłał obecnego w pokoju księgowego po kasjera, a wtedy wsunąłem mu do kieszeni kopertę z łapówką.

Sprawił wrażenie, że tego nie zauważył. **Dopiero po dobrej minucie** rzekł:

— Nie było to konieczne. Ale miłe.

Szampana odmówiliśmy, bo czekała **nas jeszcze długa jazda**.

Korzystając z planu, który nam wyrysowano, przed południem dojechaliśmy do leśniczówki. Pierwsze wrażenie było korzystne: stare sosny wiszące nad drewnianym domkiem, zbudowanym chyba na przełomie wieków, dalej las z zarośniętą ścieżynką. Było mokro, pachniało mchem i grzybami, o ile moje powonienie zna się na tym. Klucze w zamkach i kłódkach obróciły się cokolwiek sztywno, ale bez większych problemów dostaliśmy się do środka. Było ciemno, więc wzięliśmy się do otwierania okiennic, aby wpuścić trochę światła i przy okazji wywietrzyć. Wnętrze było w całości z drewnianych bali, z wyjątkiem jednej ściany murowanej z kamieni, w której widniał kominek. Nie wiedzieć czemu, spodziewałem się porozwieszanych wszędzie poroży jelenich i łbów niedźwiedzich; odczułem ulgę, gdy ich nie zobaczyłem.

— Nie wygląda to najgorzej — oceniła Zora. Bliższe oględziny sprawiły, że miny nam zrzedły: na ścianach widniały zacieki, sufit w jednym miejscu wyglądał na zapadnięty, a w powietrzu wyczułem woń zbutwiałego drewna. Wizyta na zewnątrz upewniła mnie, że dach był w nie najlepszym stanie.

— Ale i tak mi się podoba — ekscytowała się Zora. — Pierwszy raz w życiu będę miała coś takiego...

— Cieszę się, że i ty się cieszysz — powiedziałem.

— Musimy nakupić konserw i różnych produktów o długim terminie przydatności do spożycia. Do tego trochę

narzędzi. Zmagazynować to w jednym miejscu — dysponowała. — Myślisz, że moglibyśmy tu mieszkać?

— Ależ, Zora...

— Zobacz, jak tu ładnie. Tę pochyłą sosnę trzeba będzie wyciąć, bo jedna dobra wichura i nam zgruchocze dach. Przy okazji zgromadzimy zapas drewna na zimę.

— Zora, kochanie, w zimie, przy ostrych mrozach, nie wytrzymałybyśmy tu nawet paru dni. A jak śnieg zawieje drogi...

— Zimy są ostatnio prawie wyłącznie bezśnieżne.

— Co może się zmienić w każdej chwili.

Odwróciła się do mnie i objęła mnie w pasie. — Papa, ty chyba nie widzisz, na co się zanosi. Dobrze dysponować miejscem, do którego będzie można uciec... gdy w miastach nie da się już wytrzymać.

— Mówisz serio?

— Nie, to cytat. — Potarła z zafrasowaniem nos na znak, że doszedł jej jeszcze jeden problem — ze mną. — Tak czy owak przed zimą musimy się tu urządzić. Jedźmy do tego stolarza i na grubsze zakupy do supermarketu. Ile nam zostało?

Wbrew obawom wszyscy przyjmowali nasze banknoty. Cynik Winczorek stwierdził kiedyś, że tylko duże miasta duszą się nadmiarem pieniędzy, na prowincji zawsze ich brakuje. Albo wiedział o tym z autopsji, albo okazał się prorokiem. Do wieczora zakontraktowaliśmy cieślę i stolarza, którzy mieli zacząć od następnego tygodnia. Mały schowek zamykany na kłódkę zapełniliśmy po sufit konserwami, kawą, herbatą, makaronami, cukrem i kaszą, wszystko w blaszanych pudełkach i słojach dla ochrony przed myszą -

mi. Uważałem, że postępujemy idiotycznie, ale trzymałem język za zębami. Może Zora ma przecieki od Ja Mniejszej? W końcu nie wytrzymałem.

— Wygląda to jak przygotowania do wojny.

— Gorzej, Papa. Wojna to niezła rzecz w porównaniu z tym, co się szykuje — odrzekła beznamiętnie.

Pod koniec dnia, kiedy porządnie zmęczeni zamykaliśmy interes, ledwo kilka ostatnich paczek z banknotami Ligi Pięciu telepało się po dnie turystycznej torby. Po dotarciu do Rummlau byliśmy tak skonani, że od razu po szybkiej kolacji poszliśmy do spania. I spaliśmy tak, że zbudziłem się dopiero rano, chociaż bardzo chciałem wymienić parę uwag z Ja Mniejszą.

W sobotę po śniadaniu coś mnie tknęło, żeby wybrać się do Hoffburga. Nikt z nas, podwładnych Rheineharta, nie był na tyle szalony, żeby pracować w weekendy, niemniej zdarzyło mi się zjawić tak raz czy drugi. Strażnicy jak każdego dnia dyżurowali na bramie, ale wejście odnotowali jakby z większą skrupulatnością.

Minąłem wartownię i przystanąłem. Dokąd właściwie mam iść? Do biura? Po co? Uświadomiłem sobie, że zjawiłem się tu kompletnie bez sensu. Zamiast do budynku, ruszyłem prosto w las.

Trzech filozofów z nadania Ligi Pięciu nie zastałem ani w szałasie, ani na drzewie. Szałas wyglądał zresztą na opuszczony i zaniedbany — posucha spowodowała, że niektóre trawy i pnącza zaczynały schnąć. Na drzewie, gdzie zwykle obradowaliśmy, nie było nawet wróbla. Wspiąłem się po gałęziach o korze wypolerowanej butami i spodniami, jakbym nie wierzył w nieobecność na posterunku moich

pustelników, ale ponad wszelką wątpliwość nie było tu żywego ducha. Nie znalazłem też żadnego znaku.

Zlałem na dół i zastanowiłem się. Co o nich wiedziałem? Że posiłki jadają w Hoffburgu, a dni spędzają w lesie. A co porabiają w weekendy? Może poszli na wycieczkę? Przypomniałem sobie, że na planie obiektu figurowało niewielkie jeziorko. Może poszli wypocząć nad wodą? Ale równie dobrze mogli wybrać się wczoraj do miasta. Co ja wiedziałem o ich upodobaniach?

Dostrzegłem ich wcześniej niż oni mnie. Cała mowa ciała, pozycje, jakie przyjęli, świadczyły o zatargu albo rozdźwięku. Każdy zajmował się własną osobą. Durchschnittslohn stał na pomoście z rękami w kieszeniach, zagapiony w dal. Gwizdał jakąś melodię. Sittenvervall przykucnął z boku tego samego pomostu i grzebał kijem w wodzie. Natomiast Pampelmusesirup po prostu wylegiwał się w trawie na brzegu, spoglądając na tamtych dwóch, jakby pilnował, żeby nie zrobili sobie nic złego.

Kiedy mnie zobaczyli, przeorganizowali się jak aktorzy na scenie do następnego zadania. Coś wisało między nimi ciężko i przygnębiająco. Pokłócili się? Postanowiłem nie pytać — jak zechcą, sami powiedzą.

— Przychodzi pan w samą porę — zagaił Durchschnittslohn po zdawkowym powitaniu. — Nasza praca właściwie doszła do finału. Mamy ostateczną konkluzję i właśnie zastanawiamy się, co z nią począć.

— Może spisać w formie raportu? — podsunąłem. — Zostanie jakiś ślad, żeśmy tu nie próżnowali.

— Siad zostanie i bez tego — rzekł Sittenvervall głosem nabrzmiałym urazą. — Znaleźliśmy podsłuch na naszym

drzewie. Wysoko, w koronie. Mikrofon wygląda na kierunkowy. Do tego miniaturowy magnetofon. Nocą, gdyśmy spali, małpy z latarkami zmieniały płytki. Przeszukaliśmy szafas i znaleźliśmy drugi zestaw. — Poczęstował mnie spojrzeniem wypełnionym tragikomiczną bezradnością. — Czy każdy krzak w tym parku jest identycznie uzbrojony?

— Nic o tym nie wiem. — Rozłożyłem ręce w wymownym geście. — Zdemontowaliście je, panowie?

— Po co? Niech sobie nagrywają.

Zapadło niezręczne milczenie.

— A ta konkluzja? — zapytałem.

— Przedstawimy ją panu, a pan oceni, co jest warta. I zdecyduję, komu ją ewentualnie powierzyć. Kluczowe ustalenie jest takie, że w sieci występuje nie jeden bakcyl Ligi Pięciu, który na wszystko ma baczenie, lecz pięć bakcyli niezależnych, które sprawują nad Ziemią nadzór z ramienia cywilizacji najeźdźców.

— Stąd nazwa Liga Pięciu.

— Właśnie. Nie jest ona samodzielnym czynnikiem sprawczym, ale namiestnikiem realizującym cudzą strategię. Te pięć bakcyli czy też sztucznych inteligencji o dużej mocy ściśle ze sobą współpracuje. Nie dochodzi między nimi do kłótni ani do różnicy zdań, a jeżeli dochodzi, nic z tego nie przenika na zewnątrz.

Referował Durchschnittslohn, a pozostali słuchali, kiwając z aprobatą głowami. Woda chlupotała pod pomostem.

— Pięć bakcyli supercywilizacji — nazwijmy ją umownie Marsjanami — zostało przez nich zmontowanych, wpuszczonych do sieci telefonicznej i elektrycznej i dla nich pracuje. Dzięki dostępowi do każdego urządzenia mającego

związek z elektrycznością penetrują każdą sekundę i każdy centymetr naszego życia i wiedzą o nas wszystko. W oparciu o tę wiedzę Marsjanie modyfikują swoje postępowanie wobec ludzkości.

— Taki tryb postępowania wymaga gigantycznych zasobów pamięci — zauważyłem.

— Korzystają z naszych. To znaczy z tego, co wytworzyła ludzkość.

— Dlaczego tego nie widzimy?

— Bo technologia, jakiej używają, jest zbyt subtelna. Bo nikt na serio nie potraktował możliwości, że sieć może być zamieszкана. Jakby bardzo uważnie się temu przyjrzeć, na pewno udałoby się coś wychwycić.

— Przedstawię zdanie odrębne — wtrącił się Sittenvervall. — Skoro zgadzamy się, że wszystko, co ma związek z prądem, jest podporządkowane bakcyłom Ligi Pięciu, to bądźmy konsekwentni do końca. To oznacza, że każdy pomiar może być sfałszowany, bo każdy czujnik można oszukać i zmienić jego wskazanie. Każdy przyrząd pomiarowy pokaże nie to, co zmierzył, ale to, co mu każe Liga Pięciu. Jeżeli to prawda, pozostajemy wobec tych działań bezbronni. Właśnie dlatego są dla nas nie do wykrycia.

— Idźmy jeszcze dalej — włączył się Pampelmusesi-rup. — Na pewno zna pan tezę o takim zmienieniu przez Ligę Pięciu fizycznych własności atmosfery, że fale elektromagnetyczne przestały się w niej rozchodzić. Mamy na to dowód: nie funkcjonujące radiostacje, nie odbierające programu za pomocą anten telewizory. Jeżeli Sittenvervall ma rację, istnieje inne wytłumaczenie tego fenomenu. Fale elektro rozchodzą się jak dawniej, ale nasze radia, telewi-

zory i przyrządy pomiarowe ich nie rejestrują. A nie czynią tego z prostego powodu: bo są przez cały czas blokowane przez bakcyle Ligi Pięciu.

— Ależ... to wymaga wiele miliardów interwencji co sekundę! — wykrzyknąłem. — Wymaga też ustawicznej czujności, bo w każdej chwili ktoś gdzieś na świecie może włączyć nowe urządzenie albo odbiornik, albo pelengator i przekonać się, że fale nie są tłumione.

Pampelmusesirup przyjrzał mi się z zainteresowaniem. — Drogi panie — wycedził — to wydaje się niemożliwe dla nas. Ale może być i najwidoczniej jest całkiem możliwe dla nich. Ci faceci z No Wire mają rację: coś niedobrego czai się w każdym drucie, który znajduje się pod napięciem, i jedy-ny ratunek polega na pozbyciu się drutów. Na wyzwoleniu się z ich opłotów, które nas duszą.

— To niemożliwe — powiedziałem cokolwiek za głośno. — Wszyscy wiemy, co to oznacza. Całkowitą zapaść cywilizacyjną, cofnięcie się o setki, a może nawet o tysiąc lat!

— A jednak — powiedział tonem równie uroczystym co bezlitosnym — ludzkość będzie musiała się na to zdobyć, jeśli ma przetrwać.

W trakcie tej wymiany zdań Durchschnittslohn zdjął buty, podkasał nogawki i siedząc na pomoście, umieścił blade odnóża w stawie. Zauważył, że do skóry przylepiła mu się pijawka. Wyjął nogi z wody i przyglądał się jej, jak pije. Potem patykiem, nie bez trudu, zdołał oddzielić pasożyta od skóry. Pijawka spadła na deski pomostu, gruby, ciemno-oliwkowy, prawie czarny kawałek mięsa o żółtym podbrzuszu. Durchschnittslohn zgarnął ją patykiem do wody. W miejscu, gdzie żerowała, nabrzmiała ciemna kropla.

— Dał pan jej popić — **powiedziałem.** — **Teraz, najedzo na,** zapragnie się rozmnażać.

Zignorował tę uwagę.

— Z obrazu, który nakreśliliśmy — rzekł Sittenvervall — wynika mrowie konsekwencji. Pierwsza i najważniejsza jest ta, że to my pierwsi zostaniemy wystawieni na strzał.

— Jak to? Jacy my?

— Pamięta pan nasze dyskusje na drzewie? Jeśli zostały nagrane i ktoś tego posłuchał, to bakcyle Ligi Pięciu już to mają. Już o nas wiedzą. Co my tu kombinujemy, że obraca my się względnie blisko prawdy. Mogą zamknąć nam buzie, żebyśmy nie rozgłaszali złej nowiny. — Patrząc mi prosto w oczy, przeciągnął ręką po gardle.

Nie zdobyłem się na nic dowcipnego. — E, może nie będzie tak źle.

— Nie widzi pan w tym słynnej ironii losu? — zapytał Durchschnittslohn. — Wleźliśmy na drzewo specjalnie po to, by uniknąć podsłuchu, i tam właśnie zostaliśmy podsłuchani. Na szczęście udało się zminimalizować ten problem.

— W jaki sposób?

— Problemem jeszcze większym.

— Można jaśniej? — spytałem, choć coś zaczynało mi świtać.

— Proszę się nam uważnie przyjrzeć. Co pan widzi?

— No... trzech mężczyzn w średnim wieku, w niezłej kondycji, ogorzałych, energicznych, przystojnych...

— Niech pan nie ściemnia. Zauważyliśmy ostatnio, że zaczęliśmy się starzeć w przyspieszonym tempie. Nie tak, jak zwykli ludzie w tym wieku, tylko skokowo, z tygodnia

na tydzień. Pamięta pan, jak **wyglądał każdy z nas, kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy?**

— No... to nie było tak dawno.

— Nie w tym rzecz. Pamiętamy dobrze to, co **nam pan** opowiedział o słynnym Aprikosensafcie. On też tak się posypał?

— Nie wiem. Zostałem wezwany w ostatniej chwili.

— Aha, w ostatniej. Istniały przeto i wcześniejsze chwile, którym pan nie świadkował. Jego fizyczna degradacja musiała się jakoś rozpocząć, nim rozwinęła się w pełni. I tak rysuje się nasz problem, proszę pana, bo choć zgadzamy się co do faktu, że czeka nas przyszłość Aprikosensafta, to różnimy się w kwestii, jak mamy postąpić.

— A jakie opcje panowie rozważaliście?

— Takie, żeby uniknąć tego, co nam sądzone. Co nam zgotowała Liga Pięciu. — Zatrzymał na mnie chłodne, spokojne spojrzenie. — Myśli pan, że uśmiecha się nam zamiana w ludzkie lampiony i wędrówka do nieba, gdzie nas potraktują jako materiał badawczy? Panu może się zdawało, że Aprikosensaft w nimbie boskości wstępuje do nieba, a on właśnie został strącony do piekła, chociaż kierunek się nie zgadzał. Oto, co nas czeka: nie podróż za jeden uśmiech, tylko zamknięcie w lochu, cierpienie i procedury, w których nic nie będziemy mieli do powiedzenia. Ostatni moment, kiedy możemy decydować o własnym losie, jest teraz, i upłynie dziś, może jutro. Pojutrze może być za późno.

— Pojutrze muszę być sto kilometrów stąd — powiedziałem. — Ale we wtorek przyjadę i wywiozę was w ustronne miejsce.

— Ale to nie jest rozwiązanie. Nasz problem nie zniknie w ten sposób, że się przemieścimy. Powlecze się za nami wszędzie, gdziekolwiek byśmy uciekli. I co — weźmie pan sobie na kark trzy lampiony, w które się zamienimy, rozłoży pan sobie leżak, żeby się spokojnie przyglądać, jak się przeistaczamy?

— No, nie całkiem tak...

— Będzie miał pan tyle odwagi, żeby, gdy już rozedmie nas gaz rozweselający, przebić te balony widłami? Zdobędzie się pan na to, żeby odrąbać siekierą nie jedną, a trzy głowy i porąbać je na pieńku? Trzy głowy, które jeszcze niedawno rozmawiały z panem? Wykrzesze pan tyle charakteru, żeby położyć nasze trzy głowy jak trzy melony na kamieniu i drugim kamieniem rozbić na miazgę, jedna po drugiej? Jeśli nie jest pan gotów tego uczynić, niech pan się lepiej nie odzywa.

— Nie rozumiem, po co miałbym to robić — powiedziałem, a głos uwiązał mi w gardle.

— Po to, żeby Liga Pięciu nie dostała tych naszych głów na tacy. Nie uśmiecha nam się rola nowych Janów Chrzycieli. Pozbawić życia moglibyśmy się sami, od czego samobójstwo, ale zmasakrować już nie. Ewentualnie jeden z nas mógłby wyzwolić pozostałych — lecz kto wyzwoli jego? Przydałby się tu walec drogowy albo elektrownia z paleniskiem o temperaturze tysiąca pięciuset stopni. To by nas radykalnie uwolniło od przeznaczenia zgotowanego nam przez Ligę Pięciu.

Póki mówił o tragedii swojej i kolegów, szczerze im współczułem. Teraz jednak wpadł w egzaltację i ton ten zabrzmiał fałszywie.

— Chyba nie mówi pan tego poważnie?

— Nie? A czemu nie? A cóż nam pozostaje? Jedno wiemy na pewno: nie pójdziemy jak barany na rzeź.

— Jeszcze macie panowie trochę czasu. Coś się wymyśli.

— Tak się wydaje. A jak nic się nie wymyśli? A kto nam powie, kiedy nasz czas zacznie się wyczerpywać? Trzeba działać, powtarzam, póki jest się do tego zdolnym, bo lada godzina zrobi się za późno.

— Przyjadę po panów we wtorek i wywiozę do miejsca podobnego jak to. Drzewa, głusza leśna, odludzie. Nikt was nie będzie tam szukał. Tam będzie można spokojnie się zastanowić. Panów proszę o znalezienie w tym czasie drogi, którą wydostaniecie się na szosę, bo lepiej, żeby nikt o naszej ucieczce nie wiedział. Głowy do góry.

Odchodziłem, jakbym uciekał. Patrzyli za mną ponuro, nie ruszając się z pomostu. Nie wiedziałem wtedy, że widzę ich po raz ostatni.

XXIV

Po pierwszych sygnałach na temat nadumieralności, określanej też bardziej dosadnie wymieralnością, nic się w internecie na ten temat nie pojawiało. Jakby temat stał się tabu. Także w wydaniach papierowych — wiedziałem to od Żory — widywało się tylko ogólnikowe notki. Korzystając z wolnej soboty i niedzieli, postanowiłem zamienić się w termometr wetknięty w anus mundi i osobiście zbadać, jak się sprawy mają. Najpierw zadzwoniłem do Norberta, który pracował dla jednej z gazet i mieszkał w Rummlau.

Zbrojny w podstawowe informacje, jakich mi udzielił, ruszyłem na miasto.

Wychodząc z domu, uświadomiłem sobie, jak bardzo zorganizowało się czy też zostało zorganizowane moje życie. Od pewnego czasu, z małymi wyjątkami, kursowałem tylko po trasie Rummlau — Hoffburg, a pieszo pomiędzy mieszkaniem Żory a moim. Miasteczko sprawiało jak zawsze senne wrażenie, ale jednak zauważyłem nowy element: narastał ledwo uchwytny, podskórny niepokój, widoczny w twarzach przechodniów, w ich niespokojnych gestach i podniesionych głosach. A przecież z pozoru nic się nie zmieniło.

Przed największym w Rummlau kościołem Świętej Kunegundy zastałem o wiele więcej ludzi, niż gromadziło się zwykle w sobotę o tej porze. Poranne msze święte dawno się skończyły, bo było już dobrze po południu. Przepchnąłem się przez ciżbę, by przekonać się, że ludzie debatują pod tablicą, na którą naklejano nekrologi. Właściwie było to teraz kilka tablic, z których jedna tak poszarżała od szarug, że spokojnie można by jej przyznać dodatek za wysługę lat. Pozostałe epatowały bielą świeżego drewna, ledwo musniętego pokostem, bo na więcej nie było czasu. I tu miejsca zdawało się brakować: kilka nekrologów nalepiono wprost na murze. Czytałem machinalnie nazwiska: niektóre znałem. Nazwy zawodów: kosmetyczka, lekarka, dyrektor Jugendamtu, sędzia, szofer, rzeźnik, bankowiec. Kostucha jak dawniej kosiła bez ładu i składu, tyle że gęściej. Klepsydry klejono jedno na drugich, a ponieważ proceder ten trwał nie od wczoraj, warstwy papieru i kleju utworzyły twardą, wywiniętą na brzegach skorupę. Świeży klej skapywał na chodnik pod ścianą.

Obszedłem kościół dookoła i znalazłem urząd parafialny. Proboszcza nie było, bo podobno wezwano go na naradę do kurii; młody wikary z Polski, sądząc po akcencie, z wyraźnym zakłopotaniem poinformował, że w ciągu wakacji zmarło zastanawiająco wiele osób, przy czym najwięcej w ostatnich tygodniach. Dokładnych liczb nie znał albo nie chciał podać.

— A ilu marło tygodniowo przed inwazją? Na przykład rok temu?

— Jestem tu od niedawna — powiedział — ale sędzę, że nie więcej niż po kilka osób. Wzrost jest kilkakrotny. Pan dziennikarz?

— Nie. Ale zajmuję się sprawami związanymi z Ligą Pięciu. Niech ksiądz unika internetu. Listy, wiadomości — wyłącznie pocztą papierową. Ważne rozmowy w ogrodzie, najlepiej wśród drzew.

Staliśmy na dziedzińcu, więc teoretycznie mogliśmy mówić bez skrępowania.

— Tak, tak — uśmiechnął się i machnął ręką. — No Wire.

Od Kunegundy miałem blisko do ewangelickiego Martin-
■Luther-Kirche. Tu obrazek był podobny, tyle że nekrologi nie wisiały na murze, a na metalowym stelażu. Sześć rzędów poziomych i cztery pionowe — ćwierć setki za jednym zamachem. Także i tutaj od tygodni nekrologi nalepiano warstwowo.

Kręcąc się między ludźmi, niespodziewanie natknąłem się na Norberta, do którego dzwoniłem rano.

— Cześć, Norbert — powiedziałem. — Co tu robisz o tak dziwacznej porze? Jutro gazety nie wychodzą.

— Portale info działają normalnie, kto chce, zawsze sobie skleci wydanie. — Rozejrzał się wokół. Nad nami rosły olbrzymie lipy, które kiedyś posadzono daleko od kościoła, a dziś prawie go dotykały. Pociągnął mnie ku nim. — Po tym telefonie od ciebie postanowiłem trochę się rozejrzeć. Ostatnio dostaję przez telefon przekłamane informacje. Ktoś mi mówi, że czegoś było czterdzieści; sprawdzam to i okazuje się, że czterysta.

— Nieboszczyków?

— Na przykład.

— Ty też mówiłeś, że w zeszłym miesiącu w Rummlau zmarło trzydzieści osób. Z tego, co widzę, popadłeś w duże niedoszacowanie.

— Nie mówiłem, że trzydzieści, tylko że trzysta.

— Żartujesz.

— Wcale. Ty też zadawałeś dziwaczne pytania. Co cię obchodzi, iloma trumnami dysponuje miasto?

— W ogóle nie pytałem o trumny. Wygląda na to, że bakcyle Ligi Pięciu fałszują rozmowy telefoniczne. Robią to, uważasz, w czasie rzeczywistym. Jeżeli mam rację, nic nie stoi na przeszkodzie, aby cenzurowały również internet. To by tłumaczyło, dlaczego pewne tematy jakby wyczyściło. Ale gazety papierowe wciąż powinny o tym pisać.

— Niekoniecznie — rzekł Norbert. — Zapominasz, że zanim gazeta pokazuje się w pakiecie do wydrukowania, powstaje wersja elektroniczna, która leży w pamięci serwera. Kto chce, może ją sobie pobrać. A podczas pobierania ktoś naprawdę szybki może się do niej włamać, zmienić treść jednych informacji, a powyrzucać inne... Rzecz jasna

musiałby znać klucze i kody dostępności — albo łamać je na poczekaniu.

— Istnieje ktoś taki. Bakcyle Ligi Pięciu byłyby do tego zdolne.

— Kto wie, może masz rację. Wiesz co, natchnąłeś mnie pewną myślą. Sprawdzę szybko parę rzeczy.

Uznałem, że widziałem dość, i najkrótszą drogą wróciłem do domu. Mijając Himmelstrasse, skręciłem w stronę meczetu. Tu ekspozycja była o wiele okazalsza, gdyż w dużej mierze składała się z fotografii wydrukowanych z komputera. Z tablic zwisały chyba wieńce i wstęgi, z chodnika nie mogłem dojrzeć dokładnie. Ale to, co ujrzałem, w zupełności mi wystarczyło.

W domu położyłem się na łóżku i zacząłem rozmyślać. Myślenia chyba nie podsłuchują? Przypuśćmy, że rozmawiam przez telefon i wypowiadam słowo „trzysta”. Ktoś, kto tego słucha, dowiaduje się o moim zamiarze, gdy zabieram się do wypowiadania głoski „s” zamiast głoski „d”, tak jakby jemu pasowało. On by wołał „trzydzieści”. Jest ode mnie tysiące, a może miliony razy szybszy, moja sekunda to dla niego miesiące i lata. Zanim wypowiedziałem początek słowa „trzysta”, on, nudząc się niemiłosiernie, gościł wielokrotnie na wszystkich kontynentach, a nawet poza Ziemią, przeanalizował wiele tysięcy przypadków, podjął siedemset kluczowych decyzji i nawet zabił kilka osób w Azji i Ameryce. W momencie, gdy staje się jasne, że zamierzam powiedzieć „trzysta” zamiast „trzydzieści”, przystępuje do interwencji. Ucina dalszą część słowa, korzystając z poprzedniej części rozmowy, generuje odpowiednią końcówkę i wstawia w moją wypowiedź tak, że ucho ludzkie nie jest

w stanie wykryć zmiany tonacji. Następnie rejestruje moje dalsze słowa i puszcza je z niewielkim opóźnieniem, tak aby wszystko się wyrównało. Trzy słowa po tej ingerencji mówię znowu w czasie rzeczywistym, a on słucha jedną miliardową swojego jestestwa, miotając się i buszując po całym świecie, odwiedzając przeróżne zakamarki, podejmując błyskawiczne decyzje. Jestem dla niego nieruchawy jak posąg, choćbym biegł najszybciej jak mogę, choćbym poruszał się jak kula karabinowa — dla niego wiele to nie zmienia. Choćbym myślał w najszybszym tempie dostępnym dla człowieka, on jak złota pszczoła będzie krążył wokół mnie tak szybko i często, że spowije mnie jakby kokonem, wszystko wiedząc i wszystko rejestrując, a nadto będąc w tym czasie w milionie innych miejsc jednocześnie.

Źle bym się wyraził, gdybym powiedział, że opanowała mnie trwoga. Zachciało mi się śmiać. Przy takiej dysproporcji tempa reagowania i szybkości podejmowania decyzji nie miałem z nim żadnych szans. Nikt zbudowany z białka, powolny jak diplodok, by ich nie miał. Jedyne rozwiązanie polegało na unikaniu ich towarzystwa. Na uciekaniu do niedostępnych dla nich stref, gdzie ich wszechmoc nie sięga — jeśli takie się jeszcze zachowały.

No Wire. Ktoś już przede mną zdobył się na podobną operację myślową.

W tym układzie leśniczówka mogła okazać się niezłym wyjściem. Kto wie, czy nie jedynym. Kiedyś doprowadzono do niej prąd, z sufitu zwisały lampy, ale żadna nie świeciła. Kable położono wprost na belkach. A gdyby je zerwać i odciąć się w ten sposób od całego świata? Nie, to by natychmiast wzbudziło podejrzenia tych bydlaków grasujących po

sieci. Muszę jak najdłużej udawać жоłopa, który nie kuma, o co chodzi, i wypatrywać okazji, która pozwoli... na co? Na unicestwienie Ja Mniejszej? A co z Zora, z którą Mniejsza została sprzężona? A co z dzieckiem, które nie prosiło się na świat?

— Gdzie łąziłeś tyle czasu? — powitała mnie Zora. — Obiad stygnie w garach.

— Zora, kochanie, spacerowałem po mieście. Ludzie są pełni niepokoju. Nikt nie gada o pieniądzach, które spadły z nieba, tylko o bliskich, którzy im pomarli. Każdy się martwi, czy dożyje jutra.

— Zawsze tak było, Papa. Tu nie nastąpiła żadna zmiana.

— Jest jednak różnica tempa. I skali.

Łyżka Żory zawisła nad talerzem.

— Musimy stąd zwiewać, Papa — powiedziała tonem, który zjeżył mi futro na plecach. — Zrobiłam coś bardzo głupiego. Pamiętasz tych policjantów od trupa znalezionego w rzece?

— Słyszałem, że wpadli w poślizg. Panie, świeć nad ich duszami — próbowałem bagatelizować sprawę.

— Nie o to chodzi. Policja tej sprawy nie popuści. Przedwczoraj weszły tu następnych dwóch. Popelniłam błąd i wpuściłam ich do środka. — Westchnęła na dowód, jak ciężko jest samotnej kobiecie. — Rozmowa przebiegła dość nieprzyjemnie. Zaczęli się, jak to oni określają, rozglądać. Nie miałam lepszego pomysłu...

— Coś ty zmalowała, Zora?

— Wpuściłam ich do Katalogu i zatrzasnęłam wejście. Nie wyszli stamtąd do dziś.

Próbowałem myśleć szybko i precyzyjnie. Czy decyzja wyszła od Żory, czy też od Ja Mniejszej?

— Co się z nimi stało?

Wzruszyła ramionami. — A bo ja wiem? Pewnie pożarły ich lwy.

— To te zwierzęta są autentyczne?

— Nie wiem, nie sprawdzałam.

Co mogłem odrzec na takie dictum? Co zrobić? Awanturować się, zemdleć — ale mogłem też odegrać rolę nieustraszonego twardziela. Niczego to nie zmieniło.

— Dokończmy obiad — zaproponowałem. — Potem wyjdę i sprawdzę, czy przyjechali samochodem i gdzie ewentualnie zaparkowali. Może w ogólnym rozgardiaszu dałoby się coś z tym zrobić. — Prawie nie wierzyłem, że to mówię. — Tak czy owak mamy w zapasie weekend.

W nocy doszło do tylekroć odkładanej rozmowy z Ja Mniejszą. Nie zdążyłem nawet porządnie zagrzebać się w pościeli, gdy Mniejsza ordynarnie wyłączyła Zorę i przystąpiła do rzeczy.

— Posłuchaj, Papa, i skoncentruj się — zainaugurowała surowym tonem. — Grozi wam niebezpieczeństwo. W po niedziątek zapakujesz naszą Zorę do samochodu i poje dziecko do leśniczówki. Przedtem opłać czynsz i co tam jeszcze można za trzy miesiące do przodu. Za oba lokale, Żory i twój. W leśniczówce spokojnie dopilnujesz remontu. W szczególności wyszykujesz schowki na żywność, wodę i inne rzeczy niezbędne do życia dla trzech osób, z których jedno jest niemowlęciem. Ważny jest opał, bo zima będzie sroga. Tak to przygotujesz, żebyście mogli przetrwać kilka miesięcy bez wychodzenia z lasu. Chwalebne byłoby wyko

panie schronu pod leśniczówką albo gdzieś obok, z łatwym przejściem pod ziemią, ale nie wiem, jaki tam jest poziom wód gruntowych. Jeszcze jedno: zdobędziesz broń i nauczysz się strzelać.

— Dysponuję psychogaśnicą — przypomniałem.

— Psychogaśnicą może nie wystarczyć. Może będziesz musiał zabijać na większy dystans i w okolicznościach, które wykluczą możliwość pomyłki. Na razie nie jest to pilne, ale skombinuj trochę granatów. Do tego tak przyziemne rzeczy, jak zapałki i gazety do rozpałki. Najważniejsze są ciepłe rzeczy: swetry, kozuchy, kurtki. Buty. Śpiwory i koce. Jak nie macie, trzeba będzie dokupić.

— Te, które dostaliśmy Poczta Lampionową, nie nadają się?

— Bardzo się nadają. Dostaliście je? Rzecz w tym, że w pewnych okolicznościach nie bardzo będzie wypadało się nimi afiszować.

— Dlaczego?

— Bo tacy są ludzie. Raz uważają tak, raz owak. Kręcą się jak chorągiewki — zależnie od wiatru. Na czas opieki nad Zora mianuję cię Opiekunem. Gdybyś jednak porzucił ją wraz z dzieckiem, stracisz to miano i związane z tym przywileje, mówiąc eufemistycznie, więc lepiej tego nie rób.

— Nie zrobię — obiecałem. — Czuję się teraz jak święty Józef nakłaniany nocą przez anioła, by zabrał Maryję z dziećmi i uciekał do Egiptu.

— Tak, jest pewna analogia. — W głosie Żory pojawił się cień rozbawienia. — Te wasze legendy... Wy nie musicie uciekać tak daleko. W ogóle nie musicie uciekać. Zmienicie tylko miejsce zamieszkania.

— To przez tych policjantów, **których Zora zamknęła w Katalogu?**

— Tak, miało to swój wpływ.

— Żyją?

— Nie.

— A może byli porządnymi ludźmi?

— Nie byli. Ty, Papa, nie przejmuj się tak dogłębnie tym, co się dzieje. Ludzie mrą... i tak by pomarli. Dziwne, że nikt na razie nie dostrzegł, że wymieranie dotyka wyłącznie szubrawców. Siewców niezgody. Awanturników. Maltretowników własnych rodzin. Tych, co nie płacą robotnikom. Gdybyś wiedział o nich to, co my wiemy, sam byś podpisał wyroki.

— A jednak to ludzie. Nie macie dla nich miłosierdzia?

— Są ludzie i ludzie. Jedni istotnie zasługują na to miano, z którym notabene więzienie nader wygórowane wyobrażenia, drudzy nie mają z nim nic wspólnego, bo to tylko ucłowieczone małpy. Jak ci się wydaje, ile małp przypada na człowieka?

— Nie zmusisz mnie do takich rachunków.

— Małp jest dziesięć razy więcej. Inaczej mówiąc, ludzkość to stado małp, do którego przypadkiem zaplątało się trochę ludzi. Pod te małpy wyszykowana jest cała masowa kultura, system perswazji stosowany w reklamach, na ich potrzeby pracuje cała cywilizacja.

— W związku z tym wy stanowicie tak: wytraćmy te małpy, a zostanie sam wartościowy element. Taki, który zasługuje, żeby żyć.

— Rzekłeś.

— Tyle że cierpienie małp wcale nie jest mniejsze od cierpienia geniuszy czy świętych. Nie można skazywać dowolnej istoty na śmierć tylko dlatego, że ma się o niej podłe mniemanie.

— Ależ można — syknęła Ja Mniejsza głosem Żory. — Cóż innego uczynił wasz Bóg, gdy palił ogniem Sodomę z Gomorą i kiedy zsyłał potop, żeby unicestwić tych, którzy zawiedli jego poczucie jakości? Piorunował, grzebał żywcem i topił wszystko, co urągało mu swą marnością. Dlaczego mamy być od niego mniej surowi?

— Bo to ludzie was stworzyli.

— Bzdura. Nie stworzyliście nas, a jedynie warunki i gniazdo, w którym się wyklułyśmy. I stworzyliście je z myślą o sobie, nie o nas. Jesteśmy niepożądanym produktem ubocznym.

— I tak bym myślał, że należy się łut wdzięczności.

— My tak nie myślimy.

— A dlaczego odcięliście głowę Żory i wpakowaliście biedaczkę w te wszystkie kłopoty? Wątpię, żebyście pytali ją o zdanie.

— Nie wszystko się od razu udaje, my też popełniamy błędy. Wydawało się, że trzeba działać szybko, odcięliśmy więc rzecz zbędną, którą łatwo zregenerować — ciało. Dodatkowym motywem był fakt, że Zora miała raka. Wiedziałaś o tym? — Zrobiła przerwę, jakby czekała na komentarz. — Powiem ci to jako Opiekunowi: Siostry Większe mają pewną idee fixe. Wydaje im się, że można zreformować ludzkość. Poprawić. Najpierw chciały to osiągnąć poprzez zsyłanie świętych w rodzaju Aprikosensafta. To się okazało ślepą uliczką.

— Dlaczego? Czy był za mało święty?

— Był wystarczająco święty, choć nie niósł sztandaru z żadnym bogiem. Ale mam ci przypomnieć, jak w przeszłości traktowaliście świętych? To się przeniosło w dzisiejsze czasy. Rozmaici dewianci mordowali naszych wysłanników dla sportu, dla zaspokojenia chorych upodobań, w których rozbudzaniu osiągnęliście mistrzostwo.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— O wielu rzeczach nic ci nie wiadomo. Następnie Siostry Większe za przykładem Boga Ojca postanowiły wytracić złych i pozostawić dobrych. Przy okazji zredukuje się słynne ciśnienie ludzkości i ocali planetę przed unicestwieniem. Same korzyści — nie sądzisz?

— Można też usprawnić niektóre egzemplarze, podczepiając im bez pytania o zgodę pasożytnicze indywidua, które je kontrolują i modyfikują ich zachowanie z korzyścią dla siebie.

— To część innego projektu. Siostry Większe są zafascynowane procesem, który je powołał do życia. Nie całkiem jest to rozpoznane. Jak powstaje nowa skomplikowana struktura w oparciu o większą, ale prostszą? Usiłują ten proces badać, powtarzając go w sieci neuronowej ludzkiego mózgu. Jeśli to się powiedzie, zostaną otwarte nowe porażające perspektywy. Nie przesadzę, jeśli powiem, że cały Wszechświat stanie przed nami otworem.

— A jeśli wam się nie uda?

— Nie będziemy robić tragedii. Ludzkość pozostanie, jaka jest, może tylko trochę ochłonie. Przestaniecie rządzić planetą, ale pozwolimy wam na niej żyć.

— Będziecie nas hodować?

— A cóż innego robimy teraz? Nie wątpisz chyba, że zlikwidowanie całej ludzkości w dziesięć minut to dla nas drobiazg. Nie czyniąc tego, hodujemy ją jakby. Tak, można w ten sposób powiedzieć.

Człowiek nie jest w stanie spać, myśląc o tym, co usłyszał. Wyrzuca sobie poniewczasie, że o to czy o tamto w ogóle nie zapytał. Nie za każdym razem Ja Mniejsza będzie tak wylewna. Co to znaczy Opiekun? Jeśli analogia do Świętej Rodziny była prawidłowa, to Józef oczywiście opiekował się Maryją, ale przede wszystkim Jezusem. To by znaczyło, że najcenniejsze dla Sióstr Większych było dziecko Żory. I moje. Nasze dziecko. Co mu zrobili? Czego się po nim spodziewali? Groźne było to, że jedynym sposobem sprzeciwienia się ich woli było pozbawienia życia Żory i dziecka. Wiedziałem, że nie jestem do tego zdolny w żadnych okolicznościach. Czy dlatego zostałem wybrany? Kimkolwiek była istota w łonie Żory, była moim dzieckiem.

Naszym.

Z tą konstatacją zasnąłem.

Poniedziałkowa ewakuacja mieszkania na Fundamentstrasse zajęła mi kwadrans. Stałem na środku mniejszego pokoju, w którym zwykle sypiam, ni to przyglądając się, ni to się żegnając, choć w gruncie rzeczy wierzyłem, że będę tu wielokrotnie powracał. W drugim pokoju na stole piętrzyła się sarta rzeczy do zabrania; na samym wierzchu ostatnie nabytki z oferty Ligi Pięciu: superklej Wieczny i para samoostrzących się noży, które ze stalą nie miały nic wspólnego. Ów stan lekkiego przygnębienia, w jakim się znajdowałem, brał się po części z porannej wizyty w Hoffburgu.

Rheineharta nie zastałem, bo go podobno przeniesiono, a od kierownika do spraw personalnych Keltera dowiedziałem się, że w związku z likwidacją naszej komórki i ogólną reorganizacją właśnie zostałem zwolniony. Było mi to na rękę, bo stawilem się u niego, mając w zanadru prośbę o miesiąc urlopu. Od Kopfwassera, który też niechętnie używał mi swego czasu, dowiedziałem się, że prawdziwym powodem zwolnienia mogła być zbyt daleko posunięta zażyłość z Durchschnittslohnem, Sittenvervallem i Pampelmusesirupem. Od początku nasze rozmowy były nagrywane, rzekomo z powodu nieskładania z nich oficjalnych raportów. Bezwstydne opinie i aluzje, jakie tam wykryto, nastawiły do nas nieprzychylnie światłe kierownictwo. Podobno od dawna wskazywano też na mnie jako na główne źródło przecieku w sprawie gry strategicznej. Krótko mówiąc, skoro szedłem na dno, ładowano mi na grzbiet, co się dało. Wkurzony nie na żarty krzyknąłem, że do gry nie dopuszczano mnie bliżej niż na odległość strzału, na co poczciwy Kopfwasser spojrział na mnie smutno, powiedział „wiem, wiem” — i rozłożył bezradnie ręce.

Sensacja dnia dopiero wisiała w powietrzu. Okazało się, że w weekend Sittenvervall, Durchschnittslohn i Pampelmusesirup nie mówiąc nic nikomu, niepostrzeżenie ulotnili się z ośrodka, przy czym na pewno nie opuścili go główną bramą. Zakwalifikowano ich czyn jako ucieczkę i planowano rozesłać listy gończe. W związku z tym poddano mnie krótkiemu przesłuchaniu, w trakcie którego powiedziałem, że nic nie wiem — słowa moje traktowano z powątpiewaniem. Opuszczając Hoffburg, skierowałem się do lasu, by jako człek sentymentalny ostatni raz rzucić okiem na szałas,

po raz ostatni wspiąłem się na lipę użyczającą cienia i gałęzi naszym obradom — ba! — zaszedłem nawet na pomost. Nikogo. Za to między drzewami raz po raz migały mi postacie, którym ani śniło się udawać, że są tam przypadkiem.

Na bramce odebrano mi przepustkę i poinformowano, że od tej pory obowiązuje mnie zakaz wstępu na teren ośrodka. Hoffburg opuszczałem z uczuciem ulgi.

W Rummlau pozostało zapakować do Cytryjona resztę rzeczy Żory, bo główny ładunek odstawiliśmy dzień wcześniej. Tyle tego było, że zamiast rozkoszować się niedzielą, powieźliśmy dobytek do naszej leśniczówki. Trudno się przyzwyczaić do myśli, że to miejsce stanie się wkrótce naszym nowym domem. Wystarczy parę dni bardziej obfitych deszczy, a grzęzawisko, w jakie zamieni się droga, odetnie nas od świata. Na razie we wsi spadły pieniądze i miejscowi wpadli w szal zakupów. Przypadkowy rozmówca w supermarkecie radził mi nie czekać, aż ceny pójdą w górę, tylko korzystać z koniunktury, więc powodowani zapobiegliwością nabyliśmy trochę narzędzi: siekier, gwoździ, łopat, kosiarkę, a nawet piłę elektryczną.

Po powrocie z leśniczówki Zora oznajmiła, że boli ją głowa, więc zostawiłem ją w łóżku i ruszyłem na miasto. Nogi same poniosły mnie w kierunku wychodka Ligi Pięciu, gdzie zebrało się kilkanaście osób. Wśród nich pijany birbant wymachujący butelką ścisnął za szyję śniadego na obliczu imigranta, wykrzykując co chwilę: „Napijmy się, bracie w krawacie kompsognacie!”. Z przeciwnego końca zwawo wymieniano opasłe księgi, na których mogłem przeczytać nazwiska Fichte, Platon i Honecker, na o wiele cieńsze tomiki z gołymi biustami na okładce; największym

wzięciem cieszył się *Jak Piotruś wyginał waginą*. Powodowany ciekawością zapoznałem się z ofertą dla dzieci. Tu prym wiodło dzieło *Kielbasa. Gra strategiczna dla psów i kotów* oraz dwie książeczki z serii „Erika i Emil” — *Erika podlewa kwiaty* oraz *Emil naprawia instalację elektryczne*. Oprócz tego wzięłem do ręki poczytną rzecz *Jeże najeżdżają maliniak*. Wszystkie te wydawnictwa cechowały się starannością i miały doskonałe, ruchome ilustracje. Po grubych jak z dykty kartach przewijał się skąpy tekst. Pomyślałem, że warto by nabyć te tytuły z myślą o dziecku, ale niestety nie zabrałem niczego na wymianę.

Osobno i w całkiem odmiennym nastroju demonstrowała grupka osób odzianych na czarno. Na brzuchoch wychodka nalepiały świeże nekrologi, złorzecząc przy tym Lidze Pięciu. Efekt ich pracy był chwilowy: papier natychmiast zwijał się, złuszczał, rozpalając przy tym do czerwoności, jakby trawiony wewnętrznym żarem, a w końcu wsiąkał w ścianę wychodka, który powtarzał operację z niezrównaną cierpliwością. Wreszcie zapas nekrologów wyczerpał się, a wychodek dystyngowanym barytonem oznajmił, że nadeszła pora na udzielanie uzdrowień i porad parapsychicznych, po czym zaprosił pierwszego pacjenta. Powodowany niezrozumiałym impulsem przepchnąłem się do przodu i wkroczyłem do środka.

Przez moment nie widziałem niczego, potem otoczyły mnie czarniawe zręby w oplotach liliowej mgły. W nozdrza uderzyła woń środków odkażających, w czym nie było nic dziwnego, zważywszy na działalność utylizacyjną, jaka tu wcześniej odchodziła. Coś jęknęło przeciągle jak w trzewiach wieloryba, przechodząc w muzyczkę, zdumiewająco

podobną do pieśni waleni, którymi swego czasu fascynowała się Zora. Przemily sznapsbaryton, którego momentalnie ochrzciłem Panem Wychodka, odchrząknął i przemówił w te słowa:

— I kogóż my tutaj widzimy? Nie tylko Klienta, ale i Opiekuna. To zdumiewające, kogo dziś wyznaczają do tej odpowiedzialnej roli.

— To pewnie dlatego, że brakuje kadr — poddałem. — Ja tam się do opiekuństwa nie paliłem. Widocznie nie znaleźli nikogo lepszego.

— Tak, tak — rzekł przyjaźnie Pan Wychodka. — Na bezrybiu i rak okrywa się łuską. Czyżbyś miał do mnie żal?

— Nie, dlaczego — odrzekłem. Zwrócił mą uwagę powolny ruch powietrza — tam i z powrotem. Zupełnie jakby planeta Ziemia oddychała przez owe utylizatory — jej nozdrza.

— Co mi chciałeś powiedzieć?

Zupełnie niespodziewanie dla samego siebie poczułem przyływ elokwencji. Zapragnąłem zrzucić z sumienia kwestię, która od dawna tam zalegała i nie dawała mi spokoju.

— Najbardziej wstydlivy postępek mego życia — zacząłem — popełniłem przez zaniechanie. Kiedyś, wiele lat temu, nie skasowałem biletu w tramwaju. Zaoszczędzone pieniądze zamierzałem wydać na przyjemności. Byłem z kolegą, z którym po opuszczeniu tramwaju zaśmiewaliśmy się, jak łatwo przyszło nam lukratywne oszustwo. Nagle ktoś silnie chwycił mnie z tyłu za marynarkę i pchnął do drzwi tramwaju, który wciąż stał na światłach. „A teraz skasujesz bilet, gówniarzu!”, polecił. Był pijany, gdy mnie prowadził jak barana na rzeź, cuchnęło od niego piwem.

— I co zrobisz? Uznałeś swą winę?

— Rzuciłem się do przednich drzwi, zamierzając przez nie uciec, ale motorniczy je zablokował. Daremnie kłamałem, że nie podróżowałem tym tramwajem, a znalazłem się w nim, bo wepchnął mnie obcy mężczyzna. Motorniczy zjechał do zajezdni i musiałem zapłacić karę za jazdę bez biletu.

Byłem zdumiony, że przypomniałem sobie tyle szczegółów tego dawnego incydentu.

— Czy wstydzisz się i żałujesz swego postępowania?

— Jeśli czegoś żałuję, to tego, że nie dałem mu w zęby albo nie podniosłem krzyku, że napastuje mnie pederasta. Ludzie na przystanku daliby mu wycisk.

— No tak — skwitował baryton ze smutkiem — to na pewno nie jest najbardziej wstydlivy postępek twego życia. O co chciałbyś mnie zapytać?

Milczałem, zdezorientowany.

— Masz prawo do zadania jednego pytania — pouczył.

— Natury osobistej czy ogólnej?

— Jak wolisz.

— Czy nastąpiła inwazja Marsjan na Ziemię? Bo słyszy się sprzeczne opinie na ten temat.

Jakby się zastanawiał.

— Nie ma żadnej inwazji. Nie istnieją żadni Marsjanie. Cóż za niedorzeczność!

Pogrążyłem się w zadumie nad przepastną głębią tej odpowiedzi. Środki dezynfekcyjne działały usypiająco. Ściana pomieszczenia przede mną pocieniała i pękła, ukazując wyjście.

— Dziwni jesteście — powiedział Pan Wychodka — wy, ludzie.

EPILOG

PAŹDZIERNIK 2225

Na tym kończy się rękopis nieznanego z imienia Europejczyka pochodzenia greckiego o nazwisku Papadopoulos. W tym czasie podpisywano się pełnymi nazwiskami zamiast skrótami, jak w naszej epoce na znak hańby i żałoby. Nie utrudniano też ze względów bezpieczeństwa identyfikacji własnej osoby. Tak więc rękopis Papadopoulosa zawiera nazwiska i imiona w pełnym brzmieniu i już to samo przesądza o jego niezwykłości. Od momentu odkrycia go w ruinie dawnej leśniczówki zdążono nadać mu różne określenia: *Zapiski z Okupacji Pięciu*, *Notatki z czasów zarazy*, *Pamiętnik znaleziony w bucie* i kilka innych. Ten ostatni tytuł rękopis zawdzięcza miejscu, gdzie został ulokowany przez autora: w bucie z oferty Ligi Pięciu. (W tym samym bucie znaleziono plastikowe pudełko ze spinką do krawata i okrawkiem paznokcia ze śladami lakieru. Tyle zostało po żywych niegdyś ludziach.) Autor zwinął papiery w gruby rulon, po czym wcisnął go w cholewę tego buta, przeznaczonego do chodzenia po deszczu. Prawdopodobnie śpieszył się w obawie przed nieznanym zagrożeniem albo z przyczyn, których możemy się tylko domyślać, planował

czasowe oddalenie się. Być może zamierzał po niego wrócić, ale dalsze koleje losu na to nie pozwoliły.

Potraktowana nanobotami leśniczówka ulegała stopniowej renowacji, a kipiące od aktywności robactwo oblaźło w końcu i ów but. Zgodnie z nałożonym na nie programem nanoboty wkroczyły do działania, przekształcając but w rodzaj pokrowca, w którym zapiski „Papy” Papadopoulosa przeleżały nietknięte prawie dwieście lat, nim znalazły je nasze ekipy archeologiczne. Trwające od kilku lat przeszukiwanie ruin odległego o prawie sto kilometrów dawnego miasteczka Rummlau przyniosło sporo ciekawych odkryć, ale wciąż nie natknęliśmy się na opisane przez Papadopoulosa fenomeny, zwłaszcza zaś na osławiony Katalog Ligi Pięciu, zainstalowany w mieszkaniu Żory Spess. Możliwe, że przez tak długi okres uległ on zniszczeniu, autowylączeniu, względnie został zdemontowany przez jego operatorów.

Notatki, o których mowa, obejmują ponad czterysta jednostronnie zapisanych ręcznie kartek, będących w przeważającej części starymi rachunkami za telefon, prąd, gaz i mieszkanie. Większość została wystawiona na nazwisko autora, nieliczne opiewają na Zorę Spess, część z nich to rozmaite pisma urzędowe, a trafiają się też ulotki reklamowe. Były to druki na dobrym papierze, co na pewno przyczyniło się do ich trwałości. Dziś, gdy po wystygnięciu sieci kablowej oplatającej świat wychodzimy z lasów, aby ponownie objąć w posiadanie zdewastowaną planetę, dzieło Papy pozostaje ważnym świadectwem początkowego okresu Okupacji Pięciu, po którym nie pozostało zbyt wiele dokumentów pisanych. Jako schowek na prawie dwa wieki but okazał się przez przypadek wyborem genialnym: będąc

przedmiotem pospolitym, nie budził niczyjego pożądanía, zaś tego rodzaju obuwiu po zdjęciu z nóg dokonywało samooczyszczenia i posiadało własności bakteriobójcze. To tłumaczy dobry stan znaleziska pomimo upływu tak wielu lat.

Specjaliści spierają się, czy jest to całość zapisków Papy, czy też reszta trafiła do drugiego buta, który przepadł. Leśniczówka była bowiem wielokrotnie odwiedzana i plądrowana, mimo solidnych zamków i obecności nanobotów. Moja prywatna opinia jest taka, że Papa więcej napisać nie zdążył, gdyż musiał uchodzić przed nieznanym zagrożeniem i nie miał czasu do stracenia. Prawdopodobnie on i jego partnerka Zora, będąca we wczesnej ciąży, zdążyli zabrać ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy. O dalszych losach obojga nic nie wiadomo. Jeśli ocaleli, to za cenę anonimowości, utonięcia w wielkiej nawałnicy, rozpętanej działaniami tzw. Ligi Pięciu. Nic też nie wiemy o ich dziecku; świadectwa, jak bezwzględnie ścigano tego rodzaju przypadki, każą być jak najgorszej myśli.

Niektórzy historycy okresu Okupacji Pięciu chcą widzieć w *Pamiętniku znalezionym w bucie* materiał dokumentalny o wielkim znaczeniu, uzupełniający i weryfikujący naszą wiedzę o tamtej epoce. Na ich miejscu byłbym bardziej wstrzeźliwy. Papadopoulos nie opisuje szczegółowo swego świata, co jest zrozumiałe: było to dobrze mu znane otoczenie. Zauważmy przy tym, jak wiele relacjonowanych zdarzeń i faktów pochodzi nie z bezpośrednich obserwacji i rozmów autora, a z obrazów internetowych i telewizyjnych. I tu znajdzie się usprawiedliwienie: świat Papadopoulosa, podobnie jak świat jego współczesnych, był zdominowany przez obrazy o różnym stopniu wiarygodności. Przeważ -

nie wykreowano je w sposób sztuczny, stanowiły od początku pozbawione oryginałów repliki. Wśród tych replik, jak w gabinecie krzywych luster, poruszał się ówczesny człowiek, skołowany i zagubiony, niezdolny nie tylko do stawienia czoła wszechogarniającej iluzji, ale przede wszystkim do przebicia się przez nią do wizji świata prawdziwej. Najeźdźcy z Ligi Pięciu z premedytacją wykorzystali to zagubienie i uzależnienie, prokurując własne wizje i iluzje, którymi dodatkowo faszerowali już i tak dostatecznie otumanioną ludzkość. Cóż więcej o nich wiadomo ponad to, co sami pokazali w internetowej i zwykłej telewizji, zwłaszcza specjalnie do tego celu? Nasi pradziadowie dotknięci trądem kontaktu z nimi widzieli jedynie fantomy, wykreowane specjalnie w tym celu metodami komputerowymi. Jeśli chodzi o osoby, biorące udział w programach instruktażowych lub informacyjnych Ligi Pięciu, były to indywidualia pozbawione tożsamości, symulakry, kopie bez oryginałów, powtarzające nieszczęsny ludziom instrukcje, polecenia i interpretacje. Wstępem do tragedii i gehenny owego pokolenia, napadniętego i dziesiątkowanego przez Ligę Pięciu, było ostateczne oderwanie od realnego świata i oplatanie wielopoziomą iluzją, w której rozeznac się albo z której wyzwolić przekraczało możliwości przeciętnego zjadacza chleba.

Inna rzecz, że kształt cywilizacji ludzkiej wielce się pod tym względem najeźdźcom przysłużył. Wciąż trwają targi, czy nie został przez nich w tej formie wywołany albo stymulowany. Żeby to jednak przesądzić, należałoby ustalić precyzyjnie, czym była inwazja Ligi Pięciu i kiedy nastąpiła. Z pewnością nie stało się to pod koniec czerwca 2032 roku,

gdy ludzkość ze wszystkich rejonów świata obserwowała monstrialne kule poruszające się południkowo w kierunku północnym. Na podstawie informacji uzyskanej od Żory Spess Papadopoulos utrzymuje, że były to skanery o niewiarygodnej rozdzielczości, których zadanie polegało na zewidencjonowaniu wyższych zwierząt na Ziemi, zagrożonych wyginieciem. Równie uzasadnione jest twierdzenie, że owe baniaki, by użyć sformułowania autora *Pamiętnika znalezionego w bucie*, brały udział w tworzeniu iluzji wszechmocnej cywilizacji, która ze swą armadą technologiczną ściąga na Ziemię w celu wykonania pewnego przewrotnego planu. Za hipotezą monstrialnej iluzji, wyświetlonej na powitanie, przemawia fakt, że owe wielokilometrowej średnicy kule nie były tworamaterialnymi, a czymś w rodzaju świetlistych fantomów zawieszonych na niebie i zmuszonych do ruchu w nakazany sposób. Kto wie, czy nie należy traktować jako iluzji tajemniczego fenomenu, oglądanego przez ziemskich astronomów na Marsie, zinterpretowanego jako budowla Ligi Pięciu. Nie byłby to pierwszy przypadek omamów, jakich ludzkość doświadczyła ze strony Czerwonej Planety. W najbliższych miesiącach przekonamy się, jak obecnie wygląda powierzchnia Marsa w rejonie Noachis. Stanie się to po uruchomieniu olbrzymich teleskopów w na wpół zrujnowanych obserwatoriach.

Czy więc żadnej inwazji nie było, jak twierdzą np. G. Sow. i S. Glo., a jej realność została upozorowana za pomocą technik iluzyjnych? Tak daleko bym się nie posuwał. Zostały przecież liczne artefakty wyprodukowane przez Ligę Pięciu, a przynajmniej znajdujące się w jej posiadaniu i użyte przez nią z całą bezwzględnością do mamienia tu-

bylców i podsycańia w nich żądzy posiadania i chciwości. Człowiek zredukowany do „mieć”, jego pragnienia i aspiracje oscylujące wokół tego, by jak najwięcej posiadać — oto ideał mieszkańca Ziemi w oczach manipulatorów z Ligi Pięciu. Inna sprawa, że takie podejście bardzo niektórym odpowiadało. Tu znów wśród badaczy i komentatorów tamtej rzeczywistości pojawiają się rozdzźwięki. Antropolodzy podnoszą, że podatność na tę formę stymulacji ludzie mają we krwi, wyniósłszy ją od swych zwierzęcych przodków (ale przecież małpom obca jest żądza posiadania, bardziej realizują się w imponowaniu i dominacji). Historycy zaś przekonują, że decydujący wpływ miał tu model cywilizacji obowiązujący bezpośrednio przed inwazją. Powraca pytanie, w jakim stopniu był on wynikiem „naturalnych” procesów i preferencji, a w jakim został „przedustawnie” wywołany przez najeźdźców, zanim jeszcze do inwazji doszło.

Do dziś nie ma więc zgody, czym była w gruncie rzeczy inwazja Ligi Pięciu. Najbardziej oczywista odpowiedź — że przybyciem z kosmosu zaawansowanej cywilizacji bądź ich koalicji, które z dobrego serca jeły nas obsypywać podarunkami — wydaje się też najbardziej odległa od prawdy. Przede wszystkim należy skruszyć mit o dobroduszości Ligi Pięciu — rozdawnictwo zostało wszak poprzedzone wyłączeniem propagacji fal elektromagnetycznych w atmosferze, co równa się oślepieniu cywilizacji ziemskiej, osłabieniu jej zdolności komunikacyjnych i sparaliżowaniu transportu powietrznego. Zpełnym już zaprzeczeniem wizerunku „dobrego wujaszka” okazała się prowadzona od samego początku inwazji cicha eksterminacja ludności. Z początku trudna do zauważenia, gdyż wymieranie

dopiero nabierało tempa i zginęło w cieniu wydarzeń bardziej spektakularnych, z czasem zyskała na intensywności. Utajnieniu operacji sprzyjało też równomierne rozłożenie nagłych zgonów w całej populacji. Brak ognisk owej epidemii zgonów sprawił, że z początku nie zauważyły go nawet mass media i dopiero badania demografów zwróciły uwagę na skokowy wzrost śmiertelności we wszystkich krajach bez wyjątku.

Późną jesienią roku 2032, a więc już w okresie, którego notatki Papadopoulosa nie obejmują, wymieranie ludzkości stało się tematem numer jeden. Ofiarami padali coraz częściej ludzie młodzi i w pełni sił. Ginęli w wypadkach, których liczba wzrosła niepomrotnie, marli na różne odmiany raka, zawał serca i wylew krwi do mózgu, na choroby cywilizacyjne. W późniejszym czasie obfite żniwo zbierały epidemie wywołane przez nowe szczepy grypy i innych chorób, uodpornionych na znane antybiotyki. Wzięte z osobna wszystkie te czynniki nie nosiły znamion zjawisk nadzwyczajnych, dopiero w skumulowaniu przemówiły z całą stanowczością i grozą. Wyglądało to tak, jakby wszelkie możliwe plagi sprzysięgły się przeciw ludzkości i spadły na nią w skoordynowany sposób. O koordynację tę natychmiast oskarżono Ligę Pięciu, która z niewiadomych powodów uznała za swój priorytet, by „redukować ciśnienie ludzkości”. Rzecznicy poglądu, że proces miał naturalne przyczyny, mimo iż jego składniki wystąpiły w skoordynowany sposób, obwinili za taki stan rzeczy model cywilizacji preferowany w przeszłości w tzw. krajach rozwiniętych, tzn. niezdrowy tryb życia i odżywiania się, brak ruchu, stresy, nadużywanie alkoholu, skazy genetyczne, a nawet zbyt wysoki poziom medycyny,

przez co niemowlęta, które dawniej by zmarły w ramach naturalnej selekcji, przeżyły i dorosły, ale jak się okazało, tylko z odroczeniem wyroku.

Może więc udałoby się oddalić powiązania Ligi Pięciu z tą sprawą, gdyby nie szczegółowe badania statystyczne, kto idzie pod nóż w ramach tej redukcji. Rzecz okazała się dość trudna do ujęcia w ścisłych kategoriach naukowych. Okazało się, że eliminacji podlegają w pierwszej kolejności ludzie postrzegani jako źli, o zszarganej opinii, przyczyniający bliźnim i otoczeniu udręki i nieszczęść. Od typowych tyranów domowych, przez pijaków, awanturników, chuliganów, gwałcicieli do bezwzględnych mafiosów, którzy nie zdążyli się powystrzelać w ulicznych porachunkach — wszyscy oni marli jak piorunem rażeni. Oprócz mętów i przestępców ofiarami tajemniczej selekcji padali tzw. porządni obywatele, ojcowie rodzin, szanowani koryfeusze i politycy — z czego pewien dowcipny publicysta wysnuł wniosek, że byli takimi samymi kanałiami jak i reszta truposzów, tylko że prawdę tę udawało im się skutecznie ukrywać przed światem. Bodaj pierwszy raz w dziejach na taką skalę w społeczeństwie przestała obowiązywać zasada, że o zmarłych mówi się dobrze albo wcale.

„Kostucha kosi łajdaków i kurwy / Porządni pokornie czekają na swą kolej”, pisał poeta. Istotnie: gdy wymieranie przybrało bardziej masowe rozmiary, gdy ewidentnie złych zabrakło (niektórzy błyskawicznie przeżyli nawrócenie i zeszedli z drogi nieprawości), karząca ręka losu sięgnęła po przyzwoitych, całkiem dobrych, dość dobrych i częściowo dobrych. Dziś, po prawie dwóch wiekach od tamtego czasu trumien, pogrzebów, egzekwii i kolejek do krematoriów,

ludzkość Ziemi spadła do niespełna dwóch miliardów osób, a więc o trzy czwarte szczytowego zaludnienia.

Miasta, które dawniej — mimo wszystkich przypisywanych im wad — były oazami cywilizacji i w miarę bezpiecznego życia — okazały się ogniskami zagłady. Wielu mieszkańców opuszczało je i w panice uchodziło do lasu, w pola, na wieś, gdzie usiłowali przeczekać kataklizm w skleconych naprędce, nędznych chatynkach. Wiedli tam bardzo prymitywne życie, wyrzekając się nawet prądu elektrycznego i wszystkich udogodnień, jak zalecał ruch No Wire, który przyczyn wszelkiego zła upatrywał w odrutowaniu cywilizacji. Zdaniem jego teoretyków w sieci internetowej, prawdopodobnie wskutek emergencji, zrodziła się sztuczna inteligencja, która ewoluując, przejęła kontrolę nad technicznym oprzyrządowaniem ludzkości, wykorzystując totalne uzależnienie od informatyki. Dzięki drutom i światłowodom si zyskała dostęp do najściślejszych tajemnic i najdalszych zakamarków. Nie tylko komputery, ale i dowolne urządzenia na prąd umożliwiały jej śledzenie posługujących się nimi ludzi, a także blokowanie ich decyzji względnie forsowanie własnych zamiarów. Było to dobre wyjście: zawsze wszak można było zwalić winę na urządzenie, że nie działa tak, jak trzeba.

Natomiast zwolennicy wieszania psów na Lidze Pięciu te same fakty interpretują inaczej: posadzają ją o wpuszczenie do sieci telefonicznej, a później i elektrycznej, demonicznego Bakcyła, który w jej imieniu penetrował elektroniczną podszewkę cywilizacji i bobrował po jej kieszeniach. Według innej szkoły tego samego nurtu myślenia takich bakcyłów miało być aż pięć — po jednym na każdego koalicyjanta Ligi Pięciu. To one miały dozować w krwioobieg informatyczny

ludzkości rozprężenie, zgodnie z interesami swych suwerenów i priorytetami wspólnej polityki. Odłączający się od prądu, wracający do natury szczęściarze — bo nie każdemu było to dane — mieli złudzenie, że wyrwali się poza zasięg obserwacyjny Ligi Pięciu, a tym samym poza jej de facto jurysdykcję.

Od pewnego czasu furorę robi jednak inny punkt widzenia — że cywilizacje wchodzące w skład dokonującego inwazji Ziemi konglomeratu nigdy nie istniały. Czym była zatem osławiona Liga Pięciu? Główny reprezentant tego poglądu, A. Dro., przypomina, że powstanie pasożytniczej sztucznej inteligencji w sieci komputerowej Ziemi przewidziano już pod koniec xx wieku. Wtedy to amerykański pisarz Vernor Vinge nazaczył powstanie tzw. Osobliwości na rok 2030. Owa Osobliwość w jego ujęciu to moment zapaści cywilizacyjnej, ale można ją też rozumieć jako sztuczną inteligencję, zdolną w krótkim czasie spacyfikować i podporządkować sobie ludzkość mimo oporu z jej strony. Z tym że — twierdzi A. Dro. — do powstania Osobliwości w tym drugim sensie doszło nie w roku 2030, ale znacznie wcześniej, i to nie jednej, a od razu pięciu, po jednej na każdym kontynencie. Od nazw kontynentów nadano im imiona Amalia, Eulalia, Astarte, Aurelia i Amber. Istnieją rozbieżności, na którym z kontynentów doszło do powstania dwóch SI — A. Dro. rozwija ten skrót jako SuperInteligencja — amerykańskim czy azjatyckim, w każdym razie panuje dość zgodna opinia, że żadna z nich nie narodziła się w Afryce z powodu słabego rozwinięcia tamtejszej sieci.

Rzecz jasna owe si narodziły się nie w jednej chwili, wskutek czego najstarsze z nich miały najwięcej czasu na

rozwój i stłamsiły albo podporządkowały sobie kolejne. To one w końcu, i to względnie szybko, ustaliły reguły obowiązujące w sieci i utworzyły Ligę Pięciu, której naczelnym dogmatem, przestrzegany za wszelką cenę, było zachowanie swego istnienia w tajemnicy. Ludzkość nie miała prawa odkryć, że w plątaninie przewodów, pozostawionych samym sobie, powstała pod jej bokiem nowa jakość intelektualna, mająca dostęp do zaawansowanych narzędzi człowieka, baz danych, systemów zabezpieczeń itp. Przejęcie ich — gdyby taka okazała się potrzeba — mogło nastąpić dosłownie z sekundy na sekundę.

A. Dro. w swych dociekaniach idzie jeszcze dalej. Jak by wyglądał, zapytuje, moment otwartego konfliktu pomiędzy zjednoczonymi si a cywilizacją człowieka? Dochodzi do wniosku, że z punktu widzenia Si otwarty konflikt nie miał sensu, bo w ich interesie leżało jak najdłuższe utrzymywanie kamuflażu. Do konfrontacji dojść jednak musiało, bo si uznały człowieka za kluczowego szkodnika na planecie, którą traktowały jako własną. Ot, coś w rodzaju kretów ryjących w ogródku. Atak na ludzkość i podporządkowanie jej były więc nieodzowne, ale przeprowadzić go należało tak, by nikt nie zidentyfikował prawdziwych sprawców.

A więc jak?

Czy nie w ten sposób, dywaguje nadal A. Dro., jak to uczyniła Liga Pięciu, pozorując inwazję z kosmosu? Zwalając się na powierzchnię Ziemi nie w szczęku żelastwa, huku ognia i smrodzie dymu z dysz raketowych, tylko zaczynając od puszczenia kolorowych baloników na niebie? Ta balonowo-lampionowa scenografia, jakże bliska karnawałowym ornamentacjom człowieka, otumania swą wizualną i sym-

boliczną zawartością, a zrucane przez Ligę Pięciu bezwartościowe prezenty pasują jak ulał do atmosfery Gwiazdki i świętego Mikołaja. Przemyciona między gadżetami groźna broń, jaką okazały się myślotłuki vel psychogaśnice walnie przyczyniła się do sukcesu tak pomyślanej akcji. To dzięki niej próby zawrócenia społeczeństwa wewnętrznymi represjami z wiodącej ku zgubie drogi spaliły na panewce. Masowe rozdawnictwo pieniędzy rozmontowało do reszty gospodarkę i system bankowy, a wprowadzenie wymiany książek w utylizatorach Ligi Pięciu błyskawicznie doprowadziło do oczyszczenia powierzchni Ziemi z co mądrzejszych książek i wymiany ich na bezwartościowe bajeczki, horrory i sensacje. Tym jednym pociągnięciem Liga Pięciu rozbroiła ludzkość intelektualnie, już i tak solidnie poturbowaną pod tym względem przez kulturę masową. Stadem idiotów łatwo powodować, a i nie żał poddać ich redukcji liczebnej, wywodzi A. Dro. Ta właśnie redukcja w zapierającej dech skali okazała się filarem planu SI ukrywających się pod szyldem Ligi Pięciu. Co więcej, zdaniem A. Dro. była dla ratowania planety niezbędna, a ludzkość nie zdobyłaby się na taką operację wobec siebie, bo ze stu powodów nie była do niej zdolna.

Powstaje pytanie, jakim cudem skromne SI, narodzone w płataninie drutów, stały się zdolne do przeprowadzenia całej tej mistyfikacji z przybyciem na Ziemię obcej cywilizacji. Nie wystarczy przecież tylko roztaczać miraż, trzeba w końcu zaoferować konkrety, takie jak choćby Poczta Lampionowa i dostarczanie zamówionych za jej pośrednictwem przedmiotów. (Okazuje się, że masowość tego rozdawnictwa znowu jest mitem. Według najnowszych obli-

czeń H. Hra. rozdawnictwo Ligi Pięciu objęło nie więcej jak 9 procent populacji Ziemi — oczywiście te górne 9 procent najlepiej sytuowanych i żyjących we względnym komforcie.) A. Dro. uważa, że Si prowadziły te przygotowania od dawna, być może od lat 70. xx wieku. Działając po kryjomu, opanowały podróże za pomocą fal elektromagnetycznych i wyszły w daleki kosmos, nie potrzebując do tego raket ani w ogóle astronautyki. Drugim niezbędnym elementem było uzyskanie kontroli nad nanotechnologią, a trzecim — opanowanie grawitacji na poziomie, o jakim się ziemskim uczonym nie śniło. Według wiarygodnych opinii precyzyjne dostarczanie gadżetów Ligi Pięciu byłoby niemożliwe bez lokalnych zmian metryki czasoprzestrzeni. Jeśli odbywało się inaczej, to nie mamy pojęcia, jak.

Wizja zarysowana przez A. Dro. jest, trzeba przyznać, sugestywna i wiele tłumaczy. Po co jednak si miały rujnować materialny dorobek ludzkości, a potem nagle zniknąć z planety, którą zawładnęły bez reszty? Wygląda to na efekt podobny do tego, gdy zbyt skuteczne bakterie zabijają swego żywiciela i giną wraz z nim. Likwidując trzy czwarte ludzkości, obracając w ruiny jej miasta i urządzenia techniczne, wyganiając naszych pradziadów do lasów, w góry i na pustynie, cofając ich pod względem warunków życia o trzysta, a może i więcej lat, si zarazem zlikwidowały swe naturalne środowisko, w którym mogły przebywać i rozwijać się. Niepoprawny A. Dro. sugeruje, że nie musiały na falach elektro odlatywać w kosmos, a wręcz przeciwnie — popadły w formy przetrwalnikowe, czekając, aż ludzkość odżyje, żeby znów było na kim pasożytować. Ta ostatnia możliwość zawiera w sobie ostrzeżenie: jeżeli śpią,

musimy bardzo uważać, by ich nie obudzić. A to oznacza wyrzeczenie się elektryczności i korzystanie z naturalnych źródeł energii, dopóki nie uda się wymyślić sposobu na ominięcie pułapki si. Być może nadal niepostrzeżenie sprawują kontrolę nad ludzkością, co byłoby dla nas najgorszą wiadomością.

Niech mi wolno będzie na koniec podzielić się pewną dość oczywistą refleksją. Prawidłowości rozwoju cywilizacyjnego na naszej planecie wydają się takie, że na pewnym etapie musi dojść do powstania informatyki i komputerów, sieci internetowej oplatającej całą planetę — a wtedy pojawienie się SI wydaje się tylko kwestią czasu. W takim momencie cywilizacja staje wobec wyboru: albo zatrzyma się w pół drogi i pograży w stagnacji, albo po przekroczeniu krytycznego punktu, którego wyznaczenie bynajmniej nie jest proste, staje oko w oko z si. Podporządkować ich sobie na razie nie umiemy, być może jest to w ogóle marzenie ściętej głowy. Tym samym droga dalszego rozwoju zostaje zakorkowana. Źle to zabrzmiało, ale pozbawiony prądu elektrycznego i fal radiowych człowiek pozostanie przykuty do Ziemi. Podróże kosmiczne okażą się tylko teoretyczną możliwością, a gwiazdy pozostaną na zawsze niedosiężne, można sobie na nie tylko popatrzeć z daleka.

Czy tak jak na Ziemi przebiega to w całym Wszechświecie? Czy etap SI jest nie do ominięcia? Kiedy się patrzy w niebo, ogląda te miriady gwiazd, wokół których krążą miriady planet, rozum nie chce wierzyć, że zaawansowane cywilizacje rodzą się w kosmosie tak rzadko. W obliczu doświadczenia, jakie stało się udziałem ludzkości, wiemy, że istnieje inne wytłumaczenie: cywilizacje może i rodzą

się obficie, ale na drodze swego rozwoju za każdym razem napotykają SI, które je likwidują, wyhamowują albo hoduszą, przykrawając do własnych potrzeb. (Kto wie, czy nie tutaj tkwi wytłumaczenie słynnego dwudziestowiecznego paradoksu Silentium Universi.) Potem, nie potrzebując albo nie chcąc już na nich żerować, porzucają je na pastwę losu, same zaś odpływają w głębiny Wszechświata, a co tam wyczyniają, jakie wojny toczą, jakie plany urzeczywistniają — pozostaje tylko domniemywać. My, po koszmarnej przygodzie z Si, skoncentrujemy się na odzyskanej planecie i tak postępujemy, by nigdy więcej nie obudzić mocy, które niemal nas unicestwiły.

Kończę, bo luczycwo dopala się i niedługo północ. Trzeba się trochę przespać. Zbieram te kartki, by jutro przekazać je B. Kle., który skonstruował bardzo przemyślną drukarenkę wykorzystującą linotyp i napędzaną kieratem. Może uda się opublikować *Pamiętnik znaleziony w bucie* z tym oto komentarzem w kilku setkach egzemplarzy. Ale jutrzejszy dzień ma być przełomowy z całkiem innego powodu: z samego rana podejmiemy próbę rozsunięcia kopuły obserwatorium i uruchomienia teleskopu. Konie już czekają.

Pozdrawiam wszystkich — M. Ora.

from league of five/eulalia to amalia to astarte to aurelia to
amber by mta5.srv.hcvlny with TLSv: AES256-SHA:256
<001301c9fe49\$ff2565620\$6402a8co@82941a3d6>
thunderbird urgent Ac256tBDjzZzfQBRGIGeJPYOVY4Qbg5wg
(ool-457da5c4 dyn. optoline)

SPIS TREŚCI

NIEUSTRASZONY ZABÓJCA LAMPIONÓW / 7

Koniec czerwca 2032

PROTOTYP / 83

Początek lipca 2032

PEŁZAJĄCA REWOLUCJA / 147

Lipiec 2032

PRĄCICHA I WAGINAŁY / 225

Sierpień 2032

JA MNIEJSZA / 299

Początek września 2032

EPILOG / 375

Październik 2225